

HENRYK RZEWUSKI

PAMIĄTKI JPANA SEWERYNA

SOPLICY CZEŚNIKA PARNAWSKIEGO

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

KAZANIE KONFEDERACKIE

Było to roku 1769, czwartego listopada, w sam dzień świętego Karola, a tak pamiętam, jakby to się działo onegdaj. Słuchaliśmy mszy świętej w kościele ojców bernardynów w Kalwarii, kościół był jak nabity szlachta, którym mnóstwo panów przewodziło. Siedzieli w ławach: solenizant, książe Radziwiłł, wojewoda wileński, siedział i podczaszy Potocki, i wojewoda kijowski, i marszałek konfederacji litewskiej Pac, starosta [ziołowski], i Rzewuski, chorąży litewski - a któż wymieni wszystkich tych panów? i na sejmach więcej nie widziałem. Oni siedzieli w ławkach, a my stali, ba, nie tylko my, ale i urzędnicy stali nawet, bo do ławek niełatwo było się docisnąć. Po mszy świętej ksiądz Marek, karmelita, na którego cuda zacni ludzie patrzali, zaintonował *Te Deum laudamus*, a my, szlachta, śpiewali wtór i niektórzy panowie, jako: JW. chorąży litewski - Panie, daj mu wieczny odpoczynek, bo to zacne było panięcie i dziwnie basem śpiewał, choć jak starzy mówili, trybem światowym - śpiewał i JO. wojewoda wileński, ale już nie tak dobrze; ale wszyscy śpiewaliśmy ochoczo, bo też było za co Panu, Bogu dziękować. Przed czterema dniami, w sam dzień Wszystkich Świętych, jakby na wiazanie JO. i JW. panom, nie zapominając i o nas, szlachcie, pan Kaźmierz Puławski, staroście warecki, porządnie był wytłukł Moskwę pod Lanckoroną; aż do Myślenic Suwarowa gnali, a i ja tam swoim nie szkodził, co mnie i trochę zaszczytu, i troszkę nieprzyjemności przyniosło, jak się o tym powie. Po hymnie odbytym wstąpił ksiądz Marek na ambonę. My wszyscy nateżyliśmy uszy: raz, że i łaknąć trzeba za słowem Bożym, a po wtóre, byliśmy ciekawi, co też ksiądz Marek powie z powodu rocznicy urodzin JO. księcia Karola Radziwiłła, którego był pan wielki, pobożny, dobrodziej szlachty i filar naszej barskiej konfederacji, a którego w dniu tym przepomnieć nie zdawało się nam, aby było z reguł. Przeżegnał się ksiądz Marek - jeszcze dziś patrzę na niego - a on tak powiedział:

- Święty Jan Ewangelista mawiał: „Dziateczki, kochajcie jedni drugich!” - a i ja wam to mówię, a raczej wymówię, że tak nie robicie. „Kochamy ojczyznę” - mówicie, a między sobą w ciągłych swarach! Piękna to miłość ojczyzny ziemię kochać, a z jej mieszkańcami się wadzić. A wy, panowie naczelnicy tej konfederacji, pod hasłem wiary i wolności zawiązanej, zamiast, cobyście mieli dobry przykład dawać szlachcie, abo sami ogień tworzyć, abo do gotowego dREW przykładacie. Czy wy sadziliście się znękać miłosierdzie Boże, aby drugie narody oświecić, wiele trzeba grzechów, ażeby aż ojczyznę zatracić, i tym sposobem dośledzić granic cierpliwości Bożej? Wy się cieszyce z wygranej pod Lanckoroną, a ja się smucę, bo ta łaska boska stanie się wam powodem nowej Boga obrazy: bo powiększy waszą pychę, waszą swawolę, waszą rozpustę? A kiedy bieda was nie poprawia, co to będzie z pomyślności? „Lękamy się Boga - mówicie - za wiarę, za biskupów wziętych walczymy i krew naszą przelewamy.” Bóg daj tak! A to, co się u waszmości na obiedzie zrobiło dzień szósty temu, JW. marszałku lubelski? Jak dwóch rotmistrzów związku twojego powadziło się i kiedy zapomniawszy o Bogu, z cierpkich przymówek przyszło do ograżania się, do korda - to ty, marszałku, natomiast cobyś miał mitygować, godzić, gromić nareszcie, już nie jako wierny katolik, ale przynajmniej jako poczciwy gospodarz, cożś uczynił najlepszego? Toś sobie z tego zabawkę robił, toś drugich panów

zapraszał, aby byli świadkami, jak się Lubelczyki tego w kordy biją. A o cóż to się bili? O honor Najświętszej Panny, o wypędzenie tego intruza, którego syzma na stolicy naszej przemocnie usadowili? Nie, o głupstwa, aby wam, panowie, czas przyjemnie zeszedł. Niech się świat poleruje! Krew szlachecka dla pańskiej zabawy ma się przelewać! Tak to niegdyś w Rzymie, przed papieżami, bawili się pogańscy panowie, patrząc, jak gladiatory się zabijali. A i ci przecie krew szlachecką szanowali, bo szermierze byli brance narodów Rzymowi obrzydłych, ale nie szlachta rzymska. Taka to wolność, taka to równość szlachecka, taka to religia wasza! Tacy to wy ojcowie ojczyzny! Nie masz ratunku dla was! Wkrótce opuszczę was; powrócę do klasztoru berdyczowskiego, z którego bogdajbym nigdy

nie był wyszedł! A tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą - tak, za sobą, bo same patrzy- nie na wasze zdrożności zmasało duszę moje. To wy Ją nazywacie Królową waszą? Pięknych Ona ma z was poddanych! Dziewica czysta i łagodnego serca ma panować nad wszeteczni- kami i burdami? Złoży Ona wkrótce tę niegodną koronę, a raczej Lutra i syzmę ogłoście kró- lami waszymi. To będą godni was panowie: jacy poddani, tacy monarchowie! A więcej wam nic nie powiem, bo nareszcie i duch Boży znużył się w piersiach moich.

To wyrzekłszy zszedł z ambony i przed wielkim ołtarzem ukłękawszy zaczął śpiewać:

„Przed oczy Twoje, Panie”, a my stali jak wryci; nie mogłem widzieć, co też się natenczas działo z JW. Granowskim, marszałkiem koronnym lubelskim, ale jak mi później mawiał pan Mikołaj Morawski, natenczas porucznik pancerny, któren lubo dworzaniń księcia Karola Ra- dziwiłła, miał do niego dziwną poufałość i stał przy jego ławce, co ludzie pewnej okoliczno- ści przypisywali, która lubo o niej przemilczę, jemu samemu krzywdy nie przynosiła - otóż pan Mikołaj, więcej trzydziestu lat sąsiadując ze mną, nieraz powtarzał, że JW. Granowski tak się pocił, jak gdyby w łaźni siedział, a przecie to był czwarty listopad i dobry przymrozek był na podwórzu: taki był mu wstyd! A nie bez słuszności, bośmy wszyscy wiedzieli, o co rzecz chodziła. W sam dzień zaduszny zaprosił na obiad obozowy panów i urzędników, i tych, któ- rzy się dnia poprzedniego popisali pod Lanckoroną, co i mnie dało wstęp do jego stołu, a swoich Lubelczyków prawie wszystkich. Otóż między nimi był pan Snarski, tęgi jeździec, nie ma co mówić, i łebski w potyczce, ale - zwłaszcza przy kielichu - wielki kłótnik. Już to on i do mnie u stołu strzelał przymówkami, ale ja, szanując i gospodarza, i dostojnych gości, wszystko mimo się puszczałem, raczej przysłuchiwałem się dyskursom zacnych, niżbym się miał oglądać na jakieś przymówki. Tak tedy nie doczekawszy się ze mną zwady i innych na próżno o to tentując, aż na koniec otrzymał, czego żądał, z jednym ze swoich. Pan Bolesta, którego Mańkutem nazywali, lubo opodał od Snarskiego siedział, usłyszał, iż ten się odezwał:

„Vivat powiat urzędowski, czoło województwa lubelskiego!”, a że był ziemianin łukowski, przykro mu się zrobiło, i to mu wymówił. Od przymówek do wymówek. Jak zaczął ich pod- judzać JW. marszałek i JO. księżę wojewoda wileński, przyszło do tak grubych między nimi wyrazów, że aż zgroza było słuchać; a z tego gospodarzowi jeszcze większy śmiech. Wyszli z izby, a porwawszy się do szabel, przy nas bić się zaczęli. Urzędowczycy swego, Łukowczanie swego, a JW. marszałek obydwóch zagrzewał. Ślicznie się obadwa składali - Panie Boże, przyjm to za żart, ale aż miło było patrzeć. Ale na koniec silnie po łbie dostał Snarski. Jak długi padł krwią oblany. Myśliliśmy, że już po nim, ale jakoś przyszedł do siebie; a potem cerulik tameczny jak zaczął mu chleb z solą do rany przykładać, a krew puszczać z ręki, cier- piał, prawda, jak w czyścucu - alem go jeszcze kilkanaście lat potem widział Wojskim urzę- dowskim na kontraktach dubieńskich, z głęboką wprawdzie kryzą, ale zdrowego i opamięta- łego. I jak ludzie mówili, bardzo był szacowanym w swoim powiecie. A co się zrobiło z Bole- sta, prawdziwie do dziś dnia nie wiem; ale dawno musiał umrzeć.

Ale wracam do swego. Ksiądz Marek śpiewał, ale sam jeden, bo my wszyscy tak się za- dumali, że muchę by można usłyszeć, a przecie nas była ćma, a żaden z kościoła nie wyszedł. Ksiądz Marek po odśpiewaniu pieśni wznovu na ambonę powrócił, co starych

mocno zadziwiło, bo i nie słyszałem, aby kiedykolwiek ksiądz lub zakonnik w jednym poranku dwa razy kazał; ale my wszyscy ciekawi byli słuchać, raz, że to był święty człowiek, po wtóre, że do przekonania mówił, a na koniec, prawdę powiedziawszy, choć my szczerze do panów byli przywiązani, nie byliśmy od tego, żeby nie słuchać, jak też i im *verba veritatis* prawią. Dość, że gdy ksiądz Marek skończył mówić, przy świeżej pamięci zapisałem sobie to, co mnie najwięcej obchodziło w jego kazaniu. Otóż to było tak:

- W piersi uderzyć się muszę, że w dzień urodzin i imienin twoich, JO. książę wojewodo wileński, dostojny wodzu naszego świętego związku, zdawałem się na chwilę zapomnieć o tobie. Twoje i przodków twoich zasługi, poświęcenie się twoje dla ojczyzny, miłość szlachty ku tobie i ta żywa wiara, którą Bóg tobie, pomimo twoich obiadów, zostawuje, zasługują,

ażebym się z tego powodu w obliczu was wszystkich skruszył. Dam ci więc w dniu tak dla ciebie i dla nas uroczystym wiązanie, wiązanie najdroższe, bo go nigdzie otrzymać nie możesz, tylko w domu Bożym, to jest prawdę. A że, jako prawy Polak, gościnne i uczynne twoje serce żadnej korzyści nie zna, której byś drugim udzielać nie mógł, wielce mnie pochwalisz, że w tej prawdzie, w tym wiązaniu tobie ofiarowanym inni dostojni koledzy twoi w przewodnictwie konfederacji naszej swój udział otrzymają. A jeżeli ciebie i kolegów twoich nie przekonam, że to, co mówię, jest prawdą, każdemu z was wolno będzie mnie zawstydzić mieniąc mnie kłamcą. Bóg często dla korzyści drugich niegodnym sługom swoim wielkie rzeczy objawia; i w tym względzie doświadczałem jego łaski. Oto raz, rok siódmy temu, gdy w celi mojej, gorzko płacząc nad ojczyzną naszą, modliłem się, ujrzałem anioła Polskiej. Widziałem jego tak, jak na was wszystkich tu przytomnych patrzę; a Bóg najwyższy udzielił siły, żem mógł znieść oblicze tego mocarza niebieskiego. Wiele on rzeczy mnie powiedział, których objawić mi nie wolno; ale to, co mi się godzi, to wam powiem bez ogródki, a anioła rzecz ani szlachcica, ani pana, ani króla nawet obrazić nie może, bo każdy z nich jest kmięciem przed nim. Słuchajcie więc:

„Marku - powiedział mnie anioł - źle się dzieje z ojczyzną twoją. Nierząd ją zgubi. Wszyscy pragną rządu, a żaden z pocziwszych rządzić nie chce. Król Sas, którego wszyscy Kochają, a nikt mu nie pomaga, lada dzień zamieni koronę doczesną na wieczną i będzie to, co jest: rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce, aby go podjąć. Pod różnymi postaciami do wszystkich waszych panów udawałem się: zawsze ta sama odpowiedź. Przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo! Byłem u Radziwiłła, wojewody wileńskiego; błagałem, mówiłem:

„Jedź do Warszawy, zajmij się rządem! Cała Litwa twoja! Ratuj ojczyznę!...” Aż płakał, tak się rozczulił: „Ja z torbą pójdę, powiedział, a niech ojczyzna będzie cała!” „Ale to nie idzie o ofiary z majątku lub narażanie życia, ale siedź w Warszawie i zajmij się rządem.” Oto wiesz, com wycisnął na koniec? - „Panie kochanku, ja będę w Warszawie rządził, a mnie pan Michał Rejten w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije.” Udałem się do wojewody kijowskiego. Pan wielki i chętnie większą część majątku dla ojczyzny by oddał; ale uczciwszy uszy, jakże to siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł wymykać się od żony, ażeby po kilka dni ciągle z panem miecznikiem Ciesielskim pić w Szorstynie, kiedy pani wojewodzina, siedząc w Krystynopolu, myśli, że mąż gospodarstwem się trudni. Byłem u Sapiehy, kanclerza. Nie można! Kocha ojczyznę, ale rządzić nie można mieć procesów, a jakże żyć bez konferencji prawie codziennych z jurystami? A pan Mniszech, marszałek wielki koronny, kocha ojczyznę, ale „bała, bała, jak zasiądę się w Warszawie, dyspozytory zapomną gospodarstwa, kiedy ja nie będę ich na sesji w Dukli uczyć”. A pan krakowski? „Tego to, Panie Boże jedyny, niech no się obmuruję w Białymstoku, to o ojczyźnie pomyślę.” A ksiązę San-guszko, wojewoda wołyński? - „Mopanie, ja będę siedział w Warszawie, a stado moje sparszywieje?”

Otóż to taka wasza miłość ojczyzny! I dlatego tułacie się, żeby odzyskać to, coście prawie dobrowolnie utracili. Niechże to wam za naukę na dal posłuży i waszym potomkom; płońcież na deszczce, kiedy już okręt wygodny przez niedbalstwo wasze od lądu odbiegł. A przynajmniej teraz, zaklinam w imię Chrystusa, nie ustawajcie w

przedsięwzięciach waszych; może wam Bóg najwyższy pobłogosławi pomyślnością; a i w przeciwnym zdarzeniu nawet żadna wasza usilność dla ojczyzny straconą nie będzie. Myślcie w Bogu o ojczyźnie, ale tak działajcie, jak gdyby ona tylko jedynie od was zależała.

Mówił on ksiądz Marek wiele jeszcze innych rzeczy pięknych. Płakaliśmy, a razem i nadzieją pocieszaliśmy się. Myślałem, że panowie, których ksiądz Marek wymieniał, zasierdzą się na niego; ale nie, i owszem, każdy z nich wychodzącego księdza uprzejmie powitał i w rękę pocałował, a księżę solenizant na obiad zaprosił, gdzie jakem się od pokojowych dowiedział, kolejnym kielichem wszyscy pany jego zdrowie wypili.

PAN DZIERŻANOWSKI

Bitym charakterem na wołowej skórze by nie zapisać, jak i ile razy konfederaci barscy po- pisywali się. Gdzie tylko harmat nie było, nigdy nam placu nie dotrzymano. A ludzi tak zręcznych jak naówczas to teraz i nie widać. Między zgrabnymi jakże nie porachować pana Franciszka Dzierżanowskiego, pułkownika pułku gumbińskiego, u którego miałem wielką łaskę, gdyż mi się udało jemu raz życie ocalić, a przynajmniej wolność - ale taki życie, bo nie był on z takich, których żywcem łatwo dostać; a będąc z nim zażyłym, ile że on był wielo- mownym, mógłbym jego kronikę napisać. Jego ojciec był sługą i przyjacielem ordynatów Zamojskich i od nich miał w dożywociu Sułowiec pod Zamościem. Miał on kilku synów, którzy dobre wychowanie wzięwszy po pańskich dworach, potem na ludzi wyszli. Ba, brat jego najstarszy był u nas marszałkiem i o nim mawiano, że gdzieś nawet był królem. Ale pan Franciszek z gramatyki uciekł i przystał na szeregowego do pułku Mirowskich. Ledwo czytać umiał i to, jak Pan Bóg dał, a kiedy co napisał, to i bies by się nie doczytał, czego on chce; ale o dwadzieścia kroków na koniu siedząc, nigdy z pistoletu tuza czerwienego nie chybił. JW. Mniszech, podczaszy wielki koronny, a szef pułku Mirowskich, miał sobie za szczególną za- bawę widzieć go w palcaty olejem [i] krejdą namalowanymi potykającego się; sześciu na nie- go nasadzali i wszystkich sześciu krejdą obznaczał, a jemu nigdy nic; co też mu i na dobre wyszło, bo JW. szef w tymże pułku poruczeństwo jemu kupił. Ale jak tylko konfederacja bar- ska nastąpiła, on, podmówiwszy prawie cały szwadron, kasę pułkową zabrawszy, a pułkownika swego Larzaka, do którego miał anse, dom zrabowawszy, z konfederatami się złączył. Nad- gradzając tę jego ku dobrej sprawie przychylną, Generalność zrobiła go pułkownikiem po- wiatu gumbińskiego, upoważniając go do werbowania pułku i wszystkich oficerów fortrago- wania, a wkrótce pan Franciszek stanął na czele pułku wcale pięknego, a którego aż do rozwią- zania konfederacji ciągle się popisował. Co to były za piękne mundury! Czemerki i szarawary błękitne, a żółte wyłogi; a sam pułkownik, prócz olstrowych, nosił jeszcze za pasem parę pi- stoletów, szablę i sztuciec na plecach, z którego, bywało, jak wystrzeli, to Dony jak chrząsz- cze padają. Nadokuczał on tyle Moskwie! Toteż mówiono, że Drewicz w imieniu carowej deklarował, że kto go żywcem przyprowadzi, zostanie gubernatorem petersburskim, choćby był prostym Kozakiem; ale on tego nie uważał i tak się narażał, jakby za jego głowę nikt tynfa nie dał. Demulier wielce jego i jego pułk ceniał, ale co mu było przykro, to to, że bez tłumacza nie mógł z nim rozmawiać. Demulier po łacinie mówił jak jezuita i z nami tym językiem ob- cował; ale pan Franciszek Pana Boga po łacinie nie umiałby nazwać, a cóż dopiero w dyskurs się wdać. I choć nadrabiał fantazją, mocno to go sromało, gdyż on prawie jeden z ludzi stop- niowych między nami, co po łacinie ani słowa. Ale temu nie można było zaradzić. Staliśmy obozem pod Tyńcem. Demulier miał nad nami komendę, nawet pan Kazmierz Puławski był jemu posłusznym. Owoż tedy wyszedł ordynans, aby nikt pod karą najsroźszą nie ważył się po capstrzyku samopas z obozu oddalać; a to z powodu, że Moskwa okolice plądrowała, a Dony nam odosobnionych chwywali. Ale ten ordynans nie był panu Franciszkowi po myśli, bo o dwie mili mniej więcej od

Tyńca, w Burzymowie, mieszkała sędzina Sulejowska, z domu Bonerówna, pierwszego ławnika krakowskiego córka, wdowa w średnim wieku, urodziwa, dobrego rodu, bo jak wiadomo, *civis Cracoviae nobili par* - a bogata: pomimo dożywocia na mężowskim Burzymowie miała sto tysięcy własnego wniosku i porządków mnóstwo. Otóż pan Franciszek, poznawszy ją w Krakowie, do jej przyjaźni wzdychał. Stanąwszy tedy pod Tyńcem, a dowiedziawszy się, jak mi się widzi od Żydów, że wielmożna sędzina tak blisko, niepospolitą uczuł ochotę oferta u nóg jej złożyć, ile że miał dobrą nadzieję, to jest z jej stro-ny, bo jej familia była mu przeciwną ciągle. W Krakowie, gdy panu ławnikowi przy kielichu oświadczył [się], prosząc o wsparcie, pan Boner spolitykował mówiąc:

- Moja córka od siebie zależy, będąc wdową; a potem, panowie wojskowi żartować lubią.

I gdy na usilne nalegania konkurenta zawsze jedno powtarzał, tak pana Franciszka zniecierpliwiał, że mu powiedział:

- Szabli mojej na łokieć nie zamienię, ile że ona mi się zda, aby łeb rozplatać pierwszemu, który się do sędziny posunie - czym sobie jeszcze więcej sprawę popsuł.

Chociaż, gdyby się nie wiedzieć jak był w baranią skórę podszył, nic by nie wskórał, bo familia sędziny miała wielką nad nią przewagę, a na takowe małżeństwo nigdy by nie zezwoliła, bo pana Franciszka miano za nałogowego kartownika. Dośledzono, że w Krakowie po całych nocach w karty grywał i tak ślicznie się ograł, że gdyby pan Zaręba nie był mu pożyczczył trzystu tyńfów, nie miałby o czym na wiosnę wojny rozpocząć. Otóż pan Dzierżanowski tak pięknie wysunął się nam z obozu do Burzymowa, że prócz jego gumbińczyków nikt się nie spostrzegł. Aż tu przede dniem usłyszeli żołnierze strzał. Jego sztuciec ledwo nie jak harmata hałasował; a że ci żołnierze byli z jego komendy, wiedzieli, o co rzecz, i obudzili pana regimentarza Zaręby, u którego byłem na ordynansie. A ten do mnie:

- Otóż ten szalawiła i biedy narobił! Obaczysz, co to będzie za kłopot. Weźże waćpan dwadzieścia koni z sobą i zmiłuj się, panie Sewerynie, wyratuj go, Najświętszej Pannie cię poruczam.

Ja na koń i w cwał z gumbińczykami! Było cicho, ale ledwo godzinęśmy ubiegli, aż tu wznovu okropne strzały; i tuż tuż już świtać zaczęło; aż tu widzimy chmurę Donów. Jak huknę: „Nacieraj! Bóg z nami!”, a Kozactwo w nogi, tylko pan Franciszek na koniu, koło niego kilka koni, a on między nimi, jak furman na wozie.

- Panie pułkowniku, jak się masz? A on na to:

- Niech ci Bóg nadgrodzi i wam, koledzy! Otoś mi brat. Ale mię diable spisał pocałował. Patrz!

W istocie ramię miał skłute i krew się sączyła, a na ziemi trzech Kozaków leżało, jeden jeszcze się ruszał.

- Dobijcie tego psa, niech więcej nie kasa!

Tego gumbińcom dwa razy nie trzeba było powiedzieć.

- Winszując, pułkowniku, trzech położyłeś.

- Oho, pójdz no, bratku, o pół mili dalej, tam czterech leży, a oto ich konie; przez tę chudobę mało mnie kaduk nie spiskał.

Pokazało się z jego dyskursu, że gdy wracał już późną nocą z Burzymowa do obozu, Dony to wysłędzili, czterech ich nań zrobili zasadzkę, ale że Kozak większy niż tuz czerwienny, wszystkich czterech położył; a tak mógłby bez szwanku do obozu powrócić. Ale jemu żal się zrobiło opuścić kozackie konie; zatem, dostawszy ich, powiązał ich cugle do swoich; szczęście, że broń na nowo ponabijał, a tak już wolnym musiał stępać krokiem ku Tyńcowi; a tak inni Dony mieli czas jego doścignąć, ile że, poplątany końmi, nie po myśli mógł się obracać; strzelał ci on wprawdzie, ale uciec nie było sposobu. Żeby mu nie przybył na ratunek, nie wiem, co by się z nim stało, i dlatego mnie silnie polubił. Kiedy my już bezpiecznie wracali:

- Sewerynie, bracie - mówił mnie - a co też będzie ze mną w obozie, żem z niego wylazł pomimo rozkazu? A ja mu na to:

- Pan regimentarz markotny, ale pułkownika kocha. A on mnie:

- Mniejsza o regimentarza, boć to szlachcic, jak ja i jak waszmość, porozumieć się łatwo, ale ten utrapiony Niemiec (u niego każdy zagraniczny człowiek był Niemcem), żeby mnie nie kazał na kobyłę drewnianą wsadzić dla przykładu. A ja jak na nią siadę, niechże pilnuje, abym z niej nie zlął, bo mu w łeb wystrzelę jak psu.

A ja jemu:

- Panie pułkowniku, zaniechaj tego, bo i siebie zgubisz, i sprawę oszpecisz.

Alić skończyło się na mniejszym, bo generał Demulier konie zabrane mu odebrał, a jego na dziesięć dni do aresztu zaparł, co mu było i potrzebnym, bo dało mu czas plejzer wygoić. On mnie chciał zrobić rotmistrzem w swoim pułku i to mi było do smaku, bo i mundur był

ładny, i gotowe miałem zasługi; ale ludzie od tego mnie odwiedli, a szczególnie wielmożny Korsak, porucznik piatyhorców, któren mi z małego znajomy, opiekował się mną i mnie świadczył. Zawsze mi mawiał: „Żyj z Dzierżanowskim jak z kolegą, ale do jego pułku nie przystawaj, bo duszę zgubisz; on Pana Boga się nie boi, swoich i cudzych rabuje, a nierząd lubi, że aż zgroza.” Już to różnie bywało, ale że wierzył po katolicku, tom świadek, bo i szkaplerz nosił, i pacierz mówił; a że był tępym do książki, a k'temu na miejscu ustać nie mógł, nadto krótko się modlił, dlatego miano go za heretyka - ale to niesłusznie.

PAN BIELECKI

Wszystko dawniej szło lepiej niż teraz. Takie przestępstwa, co by dziś ich miano za żart, to i ludzi gorszyły, i widoczne kary od Boga ściągaly; a teraz już tyle złego się namnożyło i takie paskudztwa, o których dawniej ani słycho, że Panu Bogu naprzykrzyło się karać i zdaje się, iż ludziom mówi: „Róbcie, co chcecie.” A na cóż Pan Bóg ma cudowne kary zsyłać, kiedy w Boga albo wcale nic, albo nie tak, jak potrzeba, wierzą? Jak kto przeczyta kiedy to, co teraz napiszę, nie będzie temu wierzyć, a ja i tysiące ludzi na to patrzali; wreszcie, dla wnu-ków moich piszę, którym takie starałem się dać wychowanie, że dziada poczciwego bajaranem trzymać nie będą. - Oto był u nas już niemłody konfederat, ale jeszcze czerstwy; nazywał się Bielecki, imienia nie pomnę. Że był dobrym szlachcicem, dowód, iż go tytułowano sędzią grodzkim, że był możnym, świadczą trzydziestu jeźdźców zbrojnych, których aż z Mściławskiego z sobą przyprowadził; a że był światły, to powiem, że na własne uszy słyszał, jak z generałem Demulier po francusku rozmawiał, a do tego pobożny jak ksiądz i dziwnie łagodnego przystępu; a choć obywatel możny i k'temu urzędnik, pokorny jak kwestarz; my wszyscy za niego ubić byśmy się dali; a patrzcie, jakich ten obywatel szczególnych doświadczał dziejów. Oto był dworzaninem u króla Augusta Wtórego i wielkie miał u niego względy. Pan ten, acz wielkich cnót, widno, że z pierwiastkowego luterskiego wychowania przyniósł (Boże mu przebacz!) i w łono Kościoła świętego nieco skłonności do rozwiązłego życia. Pewnego wojewody żona wpadła mu była w oko, a której nazwisko, lubo mnie wiadome, wymienionym nie będzie, gdyż jej prawnuki teraz żyjące, a pany ze wszech miar szanowne, nieradzi by byli, aby wiedziano, iż pochodzą od przodka, któren się niedobrze prowadził. Powiem tylko, że ta pani była urodziwą, rozumną i długo nawet cnotliwą; a król, coraz silniejsze do niej czując zapęły, używał dworzanina swojego Bieleckiego, aby zabiegami swymi torował jemu drogę do cudzej własności; a pan Bielecki, jakby nie wiedział, że co Bóg zabrania, z tego król rozgrzeszyć nie może, z wiernością sługi panu pomagał. To się wnącał do domu wojewody, nigdy przed szlachtą nie zakrytego, to listy nosił, to na koniec rozmowami swymi, jak to zwykle wiele od wystawienia rzeczy zależy, przyczynił się, o ile mógł, do osłabienia przekonania, i stąd wielkie zło wynikło. Pan wojewoda, zelant o sławę swoją, jako chrześcijańskiemu senatorowi przystoi, jakimś sposobem zaczął żonę podejrzywać i mieć się na ostrożności. Raz

więc, gdy obaczył pana Bieleckiego wychodzącego z pałacu, kazał go schwycić przez sługi swoje i dopóty kazał mu wytrząsać odzienia, aż z nich wypadł list wojewodziny do króla. Przeczytawszy i z niego wiele złego wysłedziwszy, nie zważając, iż pan Bielecki składał się, iż jest szlachetnie urodzonym i komornikiem królewskim, kazał go zbić na kwaśne jabłko i w pół umarłego z bólu wyrzucić na ulicę, za dziedziniec swojego pałacu; a sam żonę natychmiast do dóbr swoich wywiózł, a stamtąd osadził ją w klasztorze panien zakonnich, fundacji jego domu, w którym to domu i dnie swoje w wielkiej pobożności i skrusze po kilkusetletnim pobycie skończyła. Pan Bielecki, odszedłszy z bólów i nie mając nawet środka do poszukiwania swej krzywdy, na próżno od króla, pierwszej sprężyny jego nieszczęścia, był

pocieszany i obdarzany. Tyle doświadczał wzgardy i poniżenia od wszystkich (bo komuż jego zdarzenie mogło być tajnym?), że nie tylko dwór, ale świat nawet był mu w obrzydzeniu i gdyby nie był natenczas żonaty, do klasztoru by wstąpił. Dobry król, litując się nad jego losem, dawszy mu znaczną królewszczyznę w Mściśławskim, a do tego wyjednał mu od JW. Pocięja, wojewody mściśławskiego, iż go instrumentował sędzią grodzkim tamecznym; a pan Bielecki z majątkiem i znaczeniem gotowym przeniósł się do tego województwa oddalonego, gdzie abo nie wiedzieć kiedy, abo i wcale się nie dowiedzą, co też kto tam w Warszawie robił. I długo mu też Pan Bóg szczęścił, bo i znacznie majątku przyrobił, i do niemałej wziętości przyszedł u tamecznych obywatelów, co mówi za jego światłem, bo wiadomo, że w naszej Litwie, zwłaszcza zapadłej, niełatwo szlachcie oswoić się z adweną. Ale po wielu leciech, jak to zawsze człeku złe na biedę dojrzewa, już nie wiem, jaką drogą, a i tam doszło o wszystkich okolicznościach, których to niegdyś przebył w Warszawie, i rychło się po wszystkich uszach rozeszło i rozgnieździło się po pamięciach, i tak od niechętnych, na jakich i najlepszemu nie zbywa, do oziębłych, a potem do przyjaciół i najgorliwszych tak się wszystko trąbiło, że oczu nie można było pokazać. Ani go na kondescensje zapraszano, ani u niego bywano; a kiedy na jaki sejmik jako sędzia grodzki przyjeżdżał, to choć nieborak ust nie otworzył, miał się czego nasłuchać od tych, co sprawy w grodzie poprzegrywali. To go pytano: „Gdzie rzemień lepszy, czy w Warszawie, czy tu?”, to mu gadano o rozdziale XIV, artykule 36 Statutu Litewskiego. Na pochyłe drzewo, jak mówią, i kozy skaczą; dość, że widząc pan Bielecki, że poszedł między ludźmi w poniewierkę i że nawet trudno mu będzie dziatki, których miał dość, w dobrych małżeństwach osadowić, a jeszcze trudniej między szlachtą promować, wielce się zasmucił i sęstwo złożył, tego znieść nie mogąc, a nareszcie Panu Bogu szlubował, że jak niegdyś ksiązę Radziwiłł Sierotka, grób Pański nawiedzi, tusząc, że za to Zbawiciel zdejmie z niego sromotę. I dobrze się nagotował na tę podróż: jakoż się i lat kilka gotował, i siła nagromadził pieniędzy, że mógłby za nie ledwo nie drugie tyle dóbr nabyć, ile ich miał, choć miał ich niemało, i już zabierał się do podróży - a właśnie wtenczas konfederacja barska nastąpiła. Otóż pewien tamecznych stron dominikan, któren był i wielki teolog, i świętobliwy zakonnik, a któremu mocno pan Bielecki wierzył, zamienił mu szlub w ten sposób, iż mu rozkazał wszystkie grosze, których nagromadził, użyć na uzbrojenie ludzi dla konfederacji i samemu osobą swoją do niej akces zrobić, a zapewnił go, że działając w związku za wiarę i ojczyznę walczącym zyska takie same odpusta jak na pielgrzymce. W czym, jak mi się widzi, ojciec dominikan, że był natchnionym, się pokazał, raz, że kilka - a może kilkunastoletni zamiar w jednej chwili przemienił, po wtóre, że skutek go usprawiedliwił. Tak więc pan Bielecki, trzydziestu ludzi na dzielnych koniach uzbroiwszy, przyprowadził ich do Generalności, w Mohilowie nad Dniestrem znajdującej się. A choć, od młodości będąc to dworakiem, to urzędnikiem, sędziwego doczekał się wieku bez żadnego doświadczenia rycerskich zabaw, szlubował jednak, że trzy razy osobiście w boju znajdować się będzie. Jakoż w ciągu naszej konfederacji trzy razy znajdował się, gdzie ciepło, a na każdy raz nosi na sobie gotowego świadka. Najprzód z panem Rudnickim - któren później się spaskudził, ale u nas był bardzo dobrym - był z nim przy Jaro-sławie dobyciu i tam dostał strzał w nogę; a gdy przyszedł do zdrowia, był z nami pod Lanc-koroną, gdzie nam była wielka

pociecha, a jemu z bólem przymieszana, bo kulą dostał w stawę od ręki. Gdyby to któremu z nas, pewnie by ręka uschła, jeno że on miał ku wszystkie- mu sposób: załatawszy ranę naprędce, porządną kolasą aż na Bielsk się wywiózł, to tam led- wo Niemcy mu zaradzili, że odrobinę władzy w ręku zachował. A tak po długiej kuracji gdy do zdrowia przyszedł, choć jego ludzie ciągle z nami chodzili, gdzie potrzeba, on pamiętał na szlub swój, że mu jeszcze jedna bitwa do rachunku nie dostaje. Aż w Częstochowie, pod okiem właśnie Najświętszej Panny, uzupełnił, co Panu Bogu przyobiecał ; bo gdy nas pan Kazimierz Puławski na wycieczkę wyprawiał, on z nami wyruszył z własnej ochoty, a wystąpił wedle swego zwyczaju jak do króla na biesiadę. Miał taratatkę pąsową z złotymi potrze- bami i pas lity.

Pan Puławski, co zawsze skromnie się nosił i tych przepychów w wojnie nie lubił, a był żartobliwym, mówił mu:

- Panie sędzio, opamiętaj się waszeć! Coc z tego, żeć obsypano złotem jak na wili szczy- paka szafranem? Czyż chcesz, aby cię miano hetmanem całego chrześcijaństwa? Tac to nie tam, gdzie z makówek strzelają, idziecie. Komu nie potrza, toć tak błyszczącego zobaczy. Przebierz się, panie bracie, a nie ucz cudzych kuł, kogo najpierwej witać mają.

A on mu na to:

- Mości starosto dobrodzieju, wszak toć ja nie dziś się urodził. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi; jak zechce, trafi on mnie, choćbym pod ziemią się schował; a jeśli nie, to wyjdę bez szwanku i od mądrzejszych strzelców niż Moskale.

A pan Puławski:

- Jak książka mówisz, mój sędzio. Kiedy tak dobrą masz wiarę, niechże w las pójdzie moja przestroga. Kto robi, co potrzeba, niech się nosi podług woli swojej.

A pokazało się, że kaźden z nich był praw: bo dragan mu gębę przestrzelił w oczach na- szych, jako go pan Puławski ostrzegwał, że go łatwo na cel wziąć; ale jak mówił sędzia, bez woli Pana Boga to by się stać nie mogło, czemu ani pan Puławski, ani ja, ani żaden konfederat barski, ani żaden poczciwy a polski szlachcic wątpić nie może. Otóż pan Bielecki, gdy długo w Częstochowie wylizywał się, powiadał nam wszystkie swoje zdarzenia, dodając:

- Juźem teraz sobie rad, boć wszystko się dopełniło. Zgrzeszyłem nogą, chodząc, gdzie nie trzeba, ręką, bom nosił listy ku złemu, a gębą, bom nie do dobrego namawiał: a gdzieem zgrze- szył, tam mnie Pan Bóg dotknął, w czym niech Mu chwała będzie, ac już ja do domu spokoj- ny wrócę.

Jakoż, zostawiwszy swoich ludzi i na nich jakiś grosz panu Puławskiemu, z jednym pa- chołkiem puścił się aż do Mścislawia, z nami czule pożegnawszy się.

I właśnie trafił na sejmik, gdzie podkomorzego wybierano. Kilka było partii i nie mogła się szlachta godzić; aż ledwo się zjawił pan Bielecki, jednomyślnie obrano go podkomorzym, czego on się spodziewać nie mógł. A toż to nie cud oczewisty? To dopiero był u nich w takiej poniewierce, żeć aż grób Pański z rozpaczy chciał nawiedzić, a tu go ci sami na pierwszy urząd województwa wynoszą:

dopiero tułacz, a teraz *princeps nobilitatis* i jaśnie wielmożny, jakim i umarł - a że w wiel- kiej pobożności, zdaje się, iż temu nikt wątpić nie będzie.

PAN AZULEWICZ

Temu lat dwadzieścia z okładem ustawicznie o Wolterze prawiono, aż uszy bolały jedno słyszeć. Gdzie, bywało, nawiedzę sąsiada, a gospodyni młoda, na stoliku leżała książka pięk- nie w skórkę oprawna, na marginesach pozłacana, a nie otworzywszy jej, można było na pewne zakład trzymać, że to był Wolter. Jeszcze to jakoś w czasach konfederacji barskiej to nazwisko obilo się o moje uszy. Pamiętam, w Preszowie, u JO. przewielebnego Krasińskiego, biskupa

kamienieckiego, którego był i świętym biskupem, i świetnym senatorem, bywał pan August Siedlnicki, wojewodzie podlaski, którego u króla Poniatowskiego dworakował, ale że w duszy dobrze ojczyźnie życzył, więc, choć go grafem nazywano i po francusku się nosił, do nas akces zrobił i przy łasce boskiej do końca wytrwał; a księżę wojewoda wileński, co jego cierpieć nie mógł, raz, że nie po naszymu się stroił, po wtóre, że przy starszych zbyt lubił rozprawić, mawiał o nim: „Ten Francuz z Mokotowa chce nam wmówić, że wszystkie rozumy pojadł.” Otóż razu jednego, gdy u księdza biskupa w przytomności księcia wojewody wileńskiego i innych panów, i szlachty rozszerzał się wojewodzie nad różnymi swoimi peregryna-

cjami po zagranicznych dworach, gdy przyszło do Francji, zaczął się unosić nad Wolterem, jak on niszczy przesady w swoim narodzie i daje mu światło widzieć, i że co to by było za szczęście, gdyby w naszej ojczyźnie podobny jemu wielki człowiek się okazał, i tak dalej. Książę wojewoda przerwał mu dyskurs mówiąc:

- Panie kochanku, widziałem tego Woltera. At, zwyczajnie Francuz, pochwytał koncepta od księdza Bohomolca i tym baki świeci. Trzeba wiedzieć, że ksiądz Bohomolec napisał był książkę bardzo piękną pod tytułem *Diabeł w swojej postaci*, w której z upiorów szydził, o czym książę wiedział, a że wierzył w upiory i mocno ich się obawiał, więc z tego powodu zbrzydził sobie księdza i już do siebie przystępu nie dawał.

Tylem tylko o Wolterze wiedział przez długi czas; a człowiek, to wojując, to w palestrze obywatelom służąc, to koło roli pracując, nie miał nawet czasu dowiadywać się po szczegó-łach, co też za górami się dzieje. Ale gdy się doczekało dobrze osiwieć, a i siła, i ochota do pracy się zmniejszyła, człowiek rozrywki zaczął potrzebować i na starość wziął się do czyta- nia. A że wtenczas właśnie najwięcej o Wolterze mówiono, przyznam się, że wielką uczulem chętkę dowiedzieć się z własnego czytania, co też ten pan Wolter tak mądrego wymyślił, i często dawałem się z tym słyszeć przed moimi dziećmi.

Aż tu na moje imieniny Staś, mój wnuk, dobrze z francuszczyzną obeznany i który dopiero skończył nauki, dał mi na wiązanie przez niego tłómaczoną *Zairę*, tragedią Woltera, w której to niby wystawia Turków i chrześcijan w czasie krucjatów. Właśnie na ten dzień zjechało się do mnie łaskawego sąsiedztwa i przyjaciół, a między tymi pan Azulewicz, Tatar, ale szlach- cic, mój kolega. On panu podczasemu litewskiemu służył za tłómacza w Stambule, gdzie lat dziesiątek przepędził, i wierny był ojczyźnie w konfederacji barskiej, a potem w moim są- siedztwie na dziedzicznej wiosce osiadł. Nasza znajomość niewczorajsza była, bo jeszcze przy początku konfederacji JW. Ogiński. wojewoda Witebski, mój pan, posłał mnie z nim do Chocimia, ażeby konia, w bogaty rząd ubranego, oddać w podarunku baszy tamecznemu (któ- ren się nazywał Emir Jussuf i mocno nam sprzyjał), a to wywdzięczając się, iż jego ludzi zbrojnych, którzy przed Moskwą uciekając, za Dniestr przepawili się, swoim kosztem po- dejmował i przez swój kraj przeprowadził aż na Pokucie, gdzie z konfederacją się złączyli. To ów basza wedle ich obyczaju okazał, iż nam był rad, kawą i sorbetem nas traktował. Obdarzył pana Azulewicza paciorkami na kształt naszych różańcowych, do odprawiania jakichś mu- zułmańskich modlitw; a mnie się dostała szabla, prawdziwy damaszek, na którym można du- katem pisać jak krejdą po tablicy, którą to szablę na Bilsku po naszymu kazałem oprawić. A potem, gdy mi do głowy nieco szkrupułu przylazło, że choć Emir Jussuf uczciwy mąż, prze- cie, jako czysty Turczyn, mógł coś niedobrego do tej szabli przyczepić - a że ja chciałem bro- ni używać po szczeremu, a bez żadnych inkluzów, jako chrześcijańskiemu rycerzowi przystoi

- otóż u księdza Marka uprosiłem, ażeby na wielkim ołtarzu podczas mszy świętej ją poświę- cił, i taką do dziś dnia chowam, którą po śmierci mojej wnuki moje znajdą. Więc gdy Staś zaczął czytać głośno, z uwagąśmy go słuchali, a szczególnie pan Azulewicz, co wiedział Tur- ków na pamięć, i ja, któren z nimi nieco obeznany byłem. Alic oddając sprawiedliwość i pra- cy tłómacza, którą

dziadowi życzliwość okazał, i niektórym czułym kawałkom, ile razy na plac Turków wyprowadzał, za boki trzymaliśmy się od śmiechu. Sułtan narodu, w którym największa usilność w jak najmniej wyrazach zamykać swoją myśl, a gdzie wielomówstwo jest w obrzydzeniu i pogardzie, tak byle o co rozprawia jak Karski na mękach. Któż o tym nie wie, iż Turczyn tak jest zazdrosny, że bratu rodzonemu nie pozwoli ani chwili na swoją żonę patrząc, a kutemu tak wstydlivy w mowie, że nie tylko kobiety ani *rzeczy* jej tyczącej się nie wspomni, ale słuchać coś takowego poczytuje sobie za największe zgorszenie. Otóż u pana Woltera sułtan nie tylko, że z swoim powiernikiem, jak on sam Turczyńcem, tak szeroko plecie o miłości, że i warszawskiego panicza mógłby nauczyć, jak się wnieść do serduszka panienki przez madam wychowanej, ale rycerzy chrześcijańskich, z którymi od maleńka ciągle wojo-

wał i wojuje dotąd, do komnaty swych kobiet przypuszcza, z nimi rozmawiać pozwala i takie im wolności zostawia, jakie by u nas nawet za moich już czasów nie uchodziły; a na koniec ów sułtan turecki sam się zabija, jak Niemiec, którego zbankrutował. Otóż to wielki człowiek, któremu wierzone, jakby był prorokiem! Co mnie po dowcipie, kiedy prawdy nie ma.

Ale Stasiowi zrobiło się markotno, że krybrował Francuza, i tak się odezwał:

- Ale, mój dziaduniu, wszakże to nie historią turecką Wolter wystawił, jeno ogólne uczucie. Gdyby myśli były tureckie w istocie, czyżby przytomni Francuzi mogli ich rozumieć?

A ja na to:

- Mój Stasiu, jeżeli koncept francuski, cóż on zyskuje, że wychodzi z ust człowieka ubranego w zawój i szarawary? Niech i strój, i postać będą stosowne do myśli. Na co piszący wprost swojej myśli nie objawia? Na co ta obłuda? Niech sobie Francuz oszukuje drugich, swoje myśli mieszcząc w usta takich, którzy inaczej myśleć musieli. Zartują sobie z niego, że prócz siebie nikogo znać nie chce, ale jak jest boleśnie, że Polacy nawet siebie poznawać nie umieją i swoich wielkich mężów ważą wedle nowinek, które za granicą pochwycili. Jeżeli piszą lub mówią o swoich przodkach, czyż poprzednio zadali sobie najmniejszą pracę, ażeby się cokolwiek z nimi obeznać? Czy z występłą lekkością ich potępiając, zastanowili się nad ich wielkimi dziełami, których skutki ichże samych przeżyły i których żadna usilność zniwieczyć nie może? Serce się kraje, ile razy czytam lub słyszę o Zygmuncie III, o tym wielkim i prawdziwie polskim królu, którego lubo na obcej urodzony ziemi, od matki swojej, cnotliwej Jagiellonki, z krwią polską wziął duszę polską, którego wolał utracić dziedziczne berła niżeli narodowość polską skazić. Był to, mówią, fanatyk, przez jezuitów rządzony, dlatego ani w Szwecji, ani w Moskwie mu się nie wiodło. I cóż to znaczy? Trzeba było, ażeby był katolikiem w Polsce, lutrem w Szwecji, szymatykiem w Moskwie? Czyż się godzi twierdzić, że jak kto w sobie samym zniszczy podstawę wszelkich obowiązków, ten będzie zdolniejszym wszędzie je wypełniać, że jak w sobie zniszczy narodowość własną, to wszędzie będzie narodowym? Po co Zygmunt i syn jego Kazimierz tyle usilności łożyli, aby wiarę polską zaszczerpić w Rusi? Tym krokiem Kozactwo od nas się oderwało: to była pierwsza przyczyna upadku ojczyzny! Tak to dobrowolnie zamrużacie oczy, ażeby spotwarzać to, co jest godnym waszego uszanowania i wdzięczności. Czy zapominacie, że państwa na ruskich kniazach zdobyte w ogromie swoim o dwa razy przynajmniej przewyższały Polskę? Ze w nich nic polskiego nie było? Religia, język, obyczaje, prawodawstwo, wszystko było obce i nieprzyjazne. Zygmunt III poznał, że skoro naród podbity myślą się nie skojarzy z narodem podbójczym, ani chwili nie przestanie być z nim w wojnie. On poznał, że w stosunku z Moskwą nasza narodowość jedynie na religii katolickiej się opiera. Nie mądrością światową, nie filozofami on spolszczył ruskie dzierżawy, ale religią, ale świętobliwymi mężami; a jak religia nasza te kraje ogarnęła wszystkie, inne warunki polskiego żywota same z siebie tam się wkorzeniły. Ledwo obywatelstwo tameczne przyjęło naszą wiarę, trzeba już było ich statut na polski język wytłomaczyć; imię nawet Rusina zostało im w obrzydzeniu, bo im wystawiało już nie uczucie szlachetnej niepodległości narodowej, ale ohydne przypomnienie błędów i wątpliwości zbawienia. Sołomereccy, Zbarascy, Dorohostajscy, Ogińscy,

potomkowie mocarzów, których oręż polski na prostych zniżył obywatelów, ledwo religią katolicką uznali za prawdziwą, z większym biegle zapalem bronić ogólnej równości polskiej niżeli ich przodkowie szczególnych swoich jedynowładztw ruskich. Kuncewicze, Tyrawski, Zgierski, świętobliwe dzieci wielkiego naszego Odroważy, wy, prawi obywatele, którzy więcej imieniowi polskiemu zrobili podbojów niż najwięksi nasi bohaterowie - dawno już ogłosił Kościół stopień dostojny, który macie w krainach wieczności, gdzie wasze obywatelskie dusze nie przestają błagać naszego Ojca, aże- by nasze zaślepienie na zawsze nas nie przegrodziło od Niego. Niewdzięczni wasi rodacy zatracili pamięć nie tylko waszych zasług, ale nawet waszych imion; nieplodną zajęci cieka- wością nad rzeczami obcymi - dzieci swoje zmuszają niedojrzałą jeszcze mową cudze wy- mawiać nazwiska. Ciemny, pomimo twego światła, Polaku, idź w województwo kijowskie,

stań nad brzegami Dniepru i znaj, dlaczego tu się kończy narodowość nasza, dlaczego po jednej stronie miłość wolności i orszak uczuć jej towarzyszący, z drugiej przywiązanie do niewoli i szereg nałogów, które się nigdy nie opuszcza - a tam ocenisz tych wielkich mężów, których Zygmunt i syn jego posłali jako misjonarzy naszej narodowości; poznasz, jaką nam zrobili przysługę ci spotwarzani biskupi, którzy w senacie nie chcieli zasiadać z władcykami ruskimi. Oni to sprawili, że dotąd biją po polsku serca potomków ruskich bojarów na prawym brzegu Dniepru. Choć Polska zginęła, Polacy żyją i żyć będą, póki sami się nie zabiją; a nie zabiją się nigdy, jeżeli zechcą zrozumieć, co jest duchem narodu i jaka była myśl ich przodków. Zygmunt i syn jego utworzył Polskę w Rusi. Wróciła Ruś do oderwanych od siebie dzierżaw, a krocie jej żołnierzy i cała mądrość tego wieku nie może wykorzenić tego płodu, którego nasienie kilku zakonników rzuciło.

PAN REWIEŃSKI

Był u mnie dnia wczorajszego pan Wolski, wnuk naszego niegdyś, a teraz nieboszczyka, sędziego ziemskiego, a osobliwego mego łaskawcy. Wnuk ten, kawaler bardzo piękny i przyzwoity, wychowanie swoje zakończył w niemieckich szkołach, ale pięknie myśli i miewa bardzo dobre zdanie; kocha szczerze ojczyznę po swojemu i choć go często nie rozumiem, bo jakoś się tłumaczy zbyt mądrze, ale go szczerze poważam i wdzięczny mu jestem, że choć roku nie ma, jak osiadł na wsi, przecie kilka razy już nawiedził dobrego przyjaciela jego ojca i dziada, a że to, czy z ciekawości, czy może tylko z grzeczności, lubi słuchać to, co ja tam rad bzdurzyć o starych rzeczach, wypadło mi mówić o śp. Ignacym Rewieńskim, który po dziedzie jego, a swoim teściu otrzymał sęstwo za jednomyślną wolą całej szlachty i który był wzorem dobrych urzędników, a przy pewnej oszczędności żył jednak ledwie nie po pańsku. Wystarczało mu i długów nie zostawił, choć dom jego przed nikim nie był zakryty i częste tam bywały zjazdy, a każdy był nakarmiony, napojony i ugoszczony, jak się należy.

A właśnie wtedy przy mnie były suscepta; otóż sędzia przy końcu kadencji trzechkrólskiej mówi mnie na sesji:

- Panie Sewerynie, proszę waści na zapusty do Omniewicz, ale z żoną.

Skłoniłem się sędziemu dziękując mu uniżenie, że raczy o nas pamiętać; a bo to tacy byli sędziowie jak teraz! I tak z moją Magdusią bryczką krytą (którą mnie W. wojski Jabłoński darował jako *deservita merces* [zasłużone wynagrodzenie] za odbytą u niego kondescensję na gruncie z ojcami bazylianami nowogródzkimi) puściłem się do Omniewicz; a trzeba wiedzieć, że natenczas bryka kryta była rzecz bardzo niepowszechna i palestra nasza, choć z obywatelskich dzieci złożona, ślicznie wózkami ruszała; ale że mnie brykę dano, czemuż miałem sobie i żonie jej żałować?

Dom sędziego nie był to pałac, ale ile tam mieściło się gości! Jaka uprzejmość, jaka szczerłość, jaka wesołość! Dziś by tego umieścić nikt by nie potrafił. - Ja z żoną stałem na folwarku u dyspozytora, który jak to wtenczas bywało, nie sługą, ale przyjacielem był uważany przez pana, z którym nawet miał jakieś powinowactwo; a

prócz nas jeszcze trzy małżeństwa mie- ściło się w pokoju, a dwa w alkierzu z ekonomstwem. A co też tego było we dworze! W sali jadalnej pięć małżeństw, a i po kwaterach u chłopów młodzież się roztaszowała. To co dzień z rana W. sędzia wszystkich obiegł i każdemu dzień dobry powiedział, przepraszając każdego za niewygodę, choć nie było o co przeproszać. Pewnie nikt nie obudził się przed sędzią, bo to u nas był wielki wstyd, ażeby gość był na nogach wprzód niż gospodarz. A wielmożna sędzi- na wszystkie obywatelki obchodziła wraz z sędziankami i niejedną czasem w łóżku zastała, choć już i pacierze odbyła, i kawę i śmietankę wszystkim gościom sama porozsyłała. A tak

wszyscy zbieraliśmy się około dziesiątej z rana na pokojach, gdzie już i sędzina, i sędzianki poubierane siedziały, ażeby gości bawić, a gospodarz w sieniach gości przyjmował i wprowadzał ich do żony, a wszystkich, nie wchodząc w ich godności. Bo choć my, niżsi, umieli czuć powagę urzędu i wieku, znaleźmy, że jako szlachta, wszyscy my równi byli między sobą. Otóż ja, co tylko susceptantem byłem natenczas, to kiedy mnie wielmożny sędzia, tak majątny i dostojny obywatel, w sieniach witał i nisko się kłaniał, i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego grzeczność i w kolanom go pocałować; a przecie, gdyby mnie inaczej przyjął, czułbym siebie być ukrzywdzonym. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym i pocałowawszy w rękę wszystkie białogłowy, począwszy od samej gospodyni i jej córek, słudzy weszli z gorzałką i zakąskami. Natenczas W. sędzia odezwał się:

- Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć - i odpasał szablę, to, co my wszyscy za jego przykładem zrobili i w katyśmy je postawili, ale tak, żeby kaźden o swojej szabli wiedział; bo jak tylko jaki senator lub wysoki urzędnik przyjeźdzał, trzeba było nam wszystkim opasać szablę i biec do sieni za gospodarzem do przyjęcia gościa, i wprowadzać go do pokoju, i dopiero odpasać się, gdy on sam się odpasał. Ale ta grzeczność nie obowiązywała, tylko względem ministrów, senatorów, dygnitarzów i podkomorzego, a od nas, palestry, taż etykieta należała się i urzędnikom sądowym, jako nad nami zwierzchność mającym. W. sędzia, gdy wdział wszystkich rozgoszczonych, nalewał kieliszek gorzałki, wypił i ten sam kieliszek, po wtórnie napelniwszy, oddawał go gościowi, którego uważał być najznacniejszym (i flaszę z kieliszkiem), a ten to samo - tak że kaźden z nas z jednego kieliszka pił, i dopiero ostatni, wypiwszy, służącemu nalał, a ten, wypiwszy, odnosił szkło do kredensu, a wszyscy do wędlin się rzucali. A i to trzeba wiedzieć, że jeżeli był ksiądz, co zawsze bywało, od niego zaczynało wódkę, choćby prostym był księdzem; chyba że senator się znajdował, a i ten zawsze jakieś ceremonie z nim robił, co się chwali. Bo ksiądz i do świata nas wprowadził, i daj Boże, ażeby z świata nas wyprowadził; a potem, panowie nie rozumiecie, co to był ksiądz za naszych czasów. To książe Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, na którego często patrzałem, a nigdy bez jakiegoś strachu, chociaż go z serca kochałem - i wszyscy; on miał dziesięć tysięcy luda w swojej milicji, a dwór jaki! nie tak to łatwo było mu w oczy spojrzeć. A że nikt nie jest bez ale, był prędkim, to, jak się rozdaśa na kogo, czy to z plotki, jak po dworach bywa, czy z jakiegoś widzimusię, wie Bóg, jaki rozkaz na niego wyda; to i pod ziemią szlachcic od niego nie byłby bezpiecznym. A jak takiemu rady dać? Perswadować - to zamiast jednemu, dwóm byłaby bieda. Otóż do księdza Kantembrynga, proboszcza nieświeskiego, udawano się:

- Oto książe mnie ukrzywdzić chce, zażalony na mnie przez złych ludzi. Ratuj mnie! A on natychmiast do księcia:

- Mości książe, czy to się godzi takimi dziwactwami duszę mazać? Wszak wasza książećca mość nie pierwszy ordynat nieświeski, a gdzie się podzieli antenaci jego, tam i książeć pójdziesz; a jak się Panu Bogu pokazać, kiedy kto płacze na waszą książećca mość? Zaniechaj, książe, tych impetów, a w imię Zbawiciela proszę go, abyś owszem, rękę podał struchlałemu nieborakowi, którego gniew waszej książećcej mości tak przestrasza, że nie wie, gdzie się podziać.

To książeć, rad nierad, a ustąpić musiał i jeszcze chudego pacholka

obdarzył, nagradzając mu strach; a tak najczęściej wszystko się przyzwoicie kończyło.

Po gorzałce i zakąskach zaczynały się zabawy przedobiednie. JW. Jeleński, kasztelan nowogródzki, którego zaszczycał nasze towarzystwo swoją bytnością, siadł do miasza w pulę z gospodarzem i z JW. Rdułowskim, chorążym nowogródzkim, którego żona była rodzona siostrzenica księcia Karola Radziwiłła. I choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali, bo to była u nas wielka sromota zgrywać się w karty; nie tak jak teraz, co lada szlachcic, często i nieosiadły, złoto na kartę sypie. Prawda, że i za naszych czasów niektórzy panowie w Warszawie poprzyuczali się szulerki, ale to im się nie chwaliło. Książę biskup Massalski po całych nocach, bywało, grywał w swoje francuskie karty, toteż i pięknie skończył. A w Nie-

świeżu francuskich kart na lekarstwo dostać nie można było, bo książę tego towaru srodze Żydom zakazywał i za to niemiłosiernie plagami ich karał. Więc ci panowie mariaszem, a my rozmową się bawili. Starsi mówili, a my, młodszy, radzi ich mowie przysłuchiwać się: mówio- no o sejmach, o posłach, którzy na nich się wstawiali, o prawach, o swobodach naszych, o konfederacji barskiej, świeżo rozwiązanej, o nieszczęśliwych braciach naszych, którzy za grzechy nasze zakordonowani zostali, o haniebnym sejmie, którego ich niewolą ratyfikował i w którym nasze nowogródzkie poselstwo taką sławą się okryło, co nie dziw, bo nasze księstwo nowogródzkie nigdy się nie spaskudziło. Rej ten i Korsak nasi byli ziemianie, i Bohusz, sekretarz i dusza konfederacji barskiej. A później w tak rozrodzonym obywatelstwie ani jeden się nie znalazł, którego by do obrzydłej Targowicy przystąpił. W tych nieszczęśliwych czasach bez wielkich ofiar nie można było być poczciwym; a że ci ludzie te ofiary robili w Bogu dla dobra kraju, nie byłbym katolikiem, ażebym nie był pewny, że te ich zasługi i cierpienia trwają u Boga i przepaść nie mogą, i zbudują nam gmach - a kiedy, wie Ten, któremu na cza- sie nie zbywa i którego powiedział, że niesprawiedliwością narody upadają. I ja, dzięki Bogu, w cierpieniach doczekałem się zgrzybiałości i ran kilka odniosłem, i zrabowany dwa razy zostałem do szczytu. Pomijam, że jak to było w obyczaju, zawszem ojczyźnie służył o swoim, bez zapłaty, nie tak jak dziś, co usługi na tandet wystawiają jak stare pludry. I na Sybir porwany byłem od żony i dzieci, gdzie dwa lata z górą biedowałem, i, w wolnym narodzie wolny szlachcic urodzony, na mniemanych ich inkwizycjach w Smoleńsku kilka razy batogami do omdlenia obitym zostałem; a przecie żadna moja łza na ziemię nie padła; każdą z nich na łono Boga mego upuściłem, błagając Go, aby te krzywdy moje na korzyść mojej ojczyzny obrócił; a że w czasie gorących modlitw moich ode mnie twarzy nie odwrócił, pewny jestem - i ta pewność osładza mnie bojaźń śmierci, która do mnie, starca, tuż tuż nadchodzi.

Ale prócz tych naszych ważniejszych rozmów, przez politykę dla kobiet, mówiono o rzeczach, które ich bawić mogły. Pamiętam, jak je szczególnie bawił pan stolnik Siemieradzki, który był bardzo krotofilny i którego gdy nie było, zawsze czegoś nie stawało kompanii. Opowiadał on nam o Niemcu-kuglarzu, którego kiedyś widział w Królewcu, a którego dziwne omamienia umiał na ludzi rzucać; kłął się, że tak wszystkich i jego samego omamił, że im się zdawało, iż pokój był wodą napelniony, i kiedy wszyscy, przestraszeni, zabierali się już do ucieczki, postrzegli się, że nie ma nic i że sucho w izbie. Prócz tego, że żaden jurysta gębą tak wprawnie się nie wytłomaczy jak on kuglarz brzuchem. I inne podobne rzeczy opowiadał, czym nas wszystkich zadziwiał, a do tego miał swoje koncepta w opowiadaniu, że za boki od śmiechu trzeba było się trzymać. Potem jak zaczął udawać Żyda śpiewającego majufes, ale tak zabawnie, że chorąży Rdułtowski aż grę przesłepił i dublę dostał, a przecie się nie zasepił, taki mu był śmiech; on to i koty umiał udawać, i jak się dziady z babami kościelnymi poswara; a któż by to wszystkie jego krotofile spamiętał. Jemu ten dowcip na dobre wyszedł, bo choć zacie był urodzony, ale z rodziców podupadłych, zatem, jako chudy pacholek, od młodości po służbach chodził, aż przypadkiem dostał się do księcia Karola Radziwiłła, którego jego silnie polubił za te jego koncepta, dobrze go ożenił, obdarzył dożywociem porządnym i na człowieka go wykierował, co jemu nikt nie zazdrościł, bo był człowiek dobry, nie wstydził się ubogich swoich

krewnych, owszem, im świadczył i rad mawiał, będąc już stolnikiem, o młodości swojej, w ubóstwie przepędzonej, co jemu wiele przyjaciół na sejmikach przyczyniało.

Potem zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się wmieszały; gdy pani sędzina powiedziała:

- Muszę się moim gospodarstwem pochwalić - i kazała przynieść rozmaitego kształtu moteczków i płócien swojego urzędnika. Wszyscyśmy wychwalali te jej prace, a ksiądz gwardian bernardynów z Iwieńca, co się z nami znajdował i przez ten cały czas, na kolanach trzymając synka wielmożnego sęstwa, obrazkami go bawił, aż dopiero odezwał się:

- *Laus Tibi, Christe*, żeś mnie do Omniewicz przyprowadził. Właśnie nasza zakrystia obdarła się, w łatanych albach za dobrodziejów Boga prosim, a tu piękne lniane płótno tęskni do kościoła i prosi się, ażeby ze mną poszło do Iwieńca.

A pani sędzina:

- Wybierz sobie, ojcze, jeden półsetek; wszakem waszecina dłużniczka za tulipany, coś mnie przyniósł w jesieni, a które własną ręką posadziłam.

A pan sędzia:

- Wybierze, księże gwardianie, najlepszy półsetek, bo oskarżę cię przed kapitułą, że nam wybiera takich gwardianów, co na płótnie się nie znają.

Wtem Wawrzyniec, kredencierz domu, wszedł z serwetą na plecach i przybliżywszy się do W. sędziego, coś mu szepnął, a sędzia wstawszy powiedział żonie:

- Kochanku, proś JW. kasztelana do stołu. I każdy z nas, skłoniwszy się i wzięwszy kobietę pod rękę, poszliśmy wszyscy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy nim stolki i ławki. Siedliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, którego jako gospodarz, chodził tylko około stołu od jednego gościa do drugiego, aby usługi z oka nie spuścić.

Nadmieniłem Wawrzyńca, kredencierza, bo tego starego sługi cała palestra nowogródzka znała. On na rękach nosił sędziego kiedyś i u nieboszczyka Wojskiego Kowieńskiego, który był wielkim myśliwym, służył za dojeżdżacza, a potem lat kilka był u niego furmanem i woził go raz do Warszawy. On był kroniką żyjącą domu Kowieńskich, on to pamiętał, jak kiedy nieboszczka wojska chodziła w ciąży z W. sędzią, Cyganka jej wywróżyła, że będzie miała syna, którego w zaszczytach przejdzie ojca swojego - i to często młodemu swemu panu przypominał. Otóż, kiedy wybranym został sędzią ziemskim, pierwszą rzecz, co zrobił, to, że całą rodzinę Wawrzyńca od wszelkiej robocizny uwolnił, a jego samego z furmana na kredencierza postąpił. Bywało, co kadencji Wawrzyniec do Nowogródka z panem swoim przyjeżdżał. To my co dzień z rana, bywało, na atencją chodzimy do sędziego, którego choć nie ma czasem w dworku, Wawrzyniec nas wódką traktuje, a sam, nie wiem, czy jej smak znał, tak był trzeźwy. I tylko o starych rzeczach, na które patrzył, lubił mówić, szczególnie o polowaniach nieboszczyka. Bywało, za stołem u obiadu stojąc, do dyskursu się miesza, ile razy o nieboszczyku mówiono; bo sędzia jemu wielką do siebie konfidencją pozwalał, ile że był bardzo do państwa przywiązany i tego znał służbę. Czasem i kilkadziesiąt gości u sędziego podochociło się, a pewnie ani jedna butelka na bok nie poszła. A do tego psy na nosaciznę i konie na robaki miał sekret leczyć i kilka razy udało mu się, czegom sam był świadkiem.

Przy obiedzie po pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich mały kolejno zaczął obchodzić;

jedni winem, drudzy miodem zdrowia rozmaite pili. U stołu gospodarz zaczął od JW. kasztelana Jeleńskiego i pił w ręce chorążego Rdułtowskiego, a wkrótce potem w ręce kasztelana spełnił za zdrowie chorążego; potem kasztelan zaczął zdrowie gospodarskie, chorąży gospodyni, a gospodarz wznovu rozmaitych zasłużonych a przytomnych obywatelów: i z rąk do rąk kielichy szły, a każdy skrupulatnie swój wypełniał, bez wylewania na ziemię, bez zafarbowania wody i innych tym podobnych obłud, jakie się później rozmnożyły, nim przyszło do tego, że gościa, bogdajby

najzacniejszego, przyjmuje się bez picia jego zdrowia, co ma być dowód, że teraz większa grzeczność jak za naszych czasów! - Po obiedzie zaczynały się pląsy, taniec i mazur na przemian. A tak i młodzież, i sędziwi bawili się, a kielichy ciągle chodziły, że aż miło. Zabawy były niewinne, szczerze; każdy serce na ustach nosił i nikt się nie bał jego okazywać, bo nikt nie miał powodu z niego się wstydzić. Kiedyśmy w poufalej kompanii zaczynali przy kielichu śpiewać kociurbychę, to kiedy przychodziło do ostatniej zwrotki: „Kardasz, kardasz nad kardaszami!”, a hukniem razem: „Kochajmy się!” - to nie było czcze słowo, ale można było być pewnym, że jeden dla wszystkich, a wszyscy dla jednego choć w czyściec. Otóż tak to było i w Omniewiczach. Mocarze świata zazdrościliby szlachcowi polskiemu, żeby byli świadkami, jak umiał i siebie, i gości bawić na łonie równości.

W ostatni wtorek z rana, gdyśmy już w pokoju sędziny byli zebrani, sędzia wpadł z obliczem uradowanym i powiedział:

- Żono, baw gości, bo muszę natychmiast konno wyruszyć naprzeciwko dostojnego gościa, którego swoją bytnością ubogi nasz domek chce zaszczyścić. JO. księżę Radziwiłł, wojewoda wileński, o godzinie dwunastej tu będzie; zatem na granicy mojego szczupłego dziedzictwa biegnę go przyjmować.

Ledwo to wyrzekł, prócz JW. kasztelana nowogródzkiego, którego jako senator, w domu został, i kilku starych, wszyscyśmy się upomnieli, ażeby W. sędziemu asystować. Niektórym wystarczyło sęskich koni, a reszta, każdy zaprzęzonego konia chwyciwszy i okulbaczywszy pierwszym siodłem lub terlicą, na którą napadł w masztami sędziego, ruszał na spotkanie JO. księcia, a niejeden i oklep; bo choć masztarnia była porządna, gdzieżby wszystkim nastarczyć: więcej jak w pięćdziesiąt koni ruszyliśmy. Droga była kopna, to my ledwo nie sznurem się ciągnęli: konfederacją barską mnie to przypomniało, ile że biegłem patrząc na najdostojniejszego jej niegdyś naczelnika. Niedaleko Naci, przy karczmie w uroczysku Czarnoszczenie

(tak nazwanej z tego, iż prostota powtarza, że kiedyś jakoby diablina miała się oszczenić tam, gdzie teraz figura św. Jana Nepomucena niedaleko karczmy stoi), spotkaliśmy pierwsze sanie orszaku księcia, a ostatnie już okiem dojrzeć nie można było. Więc my ustąpili z drogi, ciekając, aż sanie samego księcia dojdą. Śniegu było po pas koniom, sędzia z urzędnikami stali przodem, a my z tyłu kupą. To jak się przybliżyły sanie księcia, jak hukniemy wszyscy razem:

„Niech żyje nasz księżę, sława prowincji litewskiej!” - i wszyscyśmy posiadali z koni, ażeby go powitać. Z piękną mową sędzia wystąpił, aż księżę do łez rozczulił się, powtarzając tylko:

„Panie kochanku, czy ja wart tego, żebyście mnie tak przyjmowali?” - i pomimo nalegań sędziego wysiadł z sań, nie uważając, że śnieg, i witał się z nami, a prawie każdego po chrześcijańskim imieniu nazwał, rozumie się, z tych, co się ku niemu zbliżali; bo wielu z nas, i ja najpierwszy, nie chcąc sędziemu czasu zabierać, a tym więcej księciu, opodał staliśmy. Wszakże pomimo naszej dyskrekcji więcej dwóch godzin witania trwały, a wszystko w śniegu; aż naciłowawszy i naciśkawszy się z bracią szlachtą, księżę krzyknął na koniuszego swego, aby mu konia wierzchowego podał. A że sędzia nalegał, ażeby w saniach siedział jak wprzód, zniecierpliwił się mówiąc:

- Taki waszec przyjaciel, panie Ignacy! Kiedy szlachta na koniu, chcesz, żeby Radziwiłł na wozie siedział jak Żyd!

I choć był dość otyłym, lekko siadł na konia, jak za dobrych czasów, i zażył go, jak by żadnemu z nas lepiej się nie udało, a potem stepo wedle powagi swojej ciągnął do Omniewicz i ciągle coś rozprawiał sędziemu i jego otaczającym. Przykro mi było, że byłem opodał, bo bym rad był wszystkiemu się przysłuchać, bo co tylko nasz księżę powiedział, warto było ryc na kamieniu. Księżę był wzrostu słusznego, otyły bardzo, głowa ogromnej wielkości i tak ogolona, że na wierzchu kilka włosów tylko zostawało; wąs duży i zawieszony, którego głąskał, gdy był wesoły, a zakręcał do góry, kiedy był markotnym lub poruszonym; płeć biała jak u kobiety, nos długi, oczy błękitne, duże i najczęściej pełne wesołości. W czystości wykwinny, bo zawsze przynajmniej dwa razy na dzień bieliznę odmieniał; a był ubrany tego dnia w mundurze ulubionym województwa wileńskiego, to jest: kontusz granatowy kusy, żupan i

wyłogi karmazynowe, pas srebrny w amarantowe kwiateczki, szabla w jaszczur oprawna, buty żółte z srebrnymi podkówkami, a na to wszystko płaszcz sukienny szary, kuczbajem podszyty, a po wierzchu burka, niżej szyi przypięta srebrnym Radziwiłłowskim orłem. Przypominam, że miał wielkie szarawary płócienne, które nad pasem zapinał, a to, ażeby kontusza w podróży nie brukać. Do tego czapka biała, czarnym barankiem okolona, a kitajką podszyta bez waty, którą czapkę na bakier nosił na samym wierzchołku głowy, ucha nie dotykając się, choć mróz był dobry. Na bucie berlacze sukienne; rękawiczek nie znał, choć znaczną część zimy pod gołym niebem przepędzał, łowami zajęty. Do tego dowcip bystry, łatwo obejmujący rzeczy, z historią swojego narodu obeznany, a nie tylko że doskonale znał procedencję i powinowactwa

swojego domu, ale i przednie j szych domów szlacheckich. Szlachcica najuboższego, byle starożytnego rodu, uważał być sobie równym i obcował z nim poufale. Do ludzi podejrzanego szlactwa, jako neofitów, Niemców i popowiczów, czuł wstręt i nigdy do siebie przystępu nie pozwalał. Z prawem krajowym był dobrze obeznany i po dwakroć przewodnicząc trybunałowi litewskiemu, w tym urzędowaniu okazał się czynnym, umiarkowanym i w zdaniu raz powziętym niezachwianym. Na obradach publicznych mówił często, zawsze nieprzygotowany, a zawsze do przekonania. W obcowaniu pełen konceptów i lubiąc z drugich żartować, nigdy sienie urażał, kiedy kto jemu się odciął. Pan dobry i kochający sług jak dzieci; toteż i oni za niego ubić by się dali. Choć był poryw czy, ale że dobre miał serce, byle czym dał się ubłagać; nie tak jak jego stryj, księżę chorąży, który po lat kilkanaście w łańcuchach sług trzymał. Kiedy szlachcic u księcia wojewody służbę otrzymał, już mógł być spokojnym o losie swoich dzieci. Dla kobiet był tak grzeczny, że każdą z uszanowaniem w rękę całował, choć nawet żonę dyspozytora, byleby szlachcianka. Obserwował pilnie przepisów religijnych: co dzień z szatnym godzinki Niepokalanego Poczęcia śpiewał, sobotę suszył i nawet w Wielki Piątek dyscypliną się chłostał, za co też wielkich od Boga doświadczał błogosławieństw. Pił dużo i mało który mógł mu placu dotrzymać. Jednemu tylko Leonowi Borowskiemu co nie mógł dać rady: ten zawsze go zwyciężał kielichem; ale spomiędzy jego sług i przyjaciół on był jednym.

Kiedy się kalwakata już do omniewickiego dworu zbliżała, sędzia puścił konia swego w cwał, ażeby przy dworze księcia przyjąć. Jako też jego i wszystkich gości zastaliśmy przy ganku. Sędzina i wszystkie damy także się znajdowały dla powitania gościa. Księżę, zsiadłszy z konia i po kilkakrotnie ucałowawszy wznovu gospodarza, wszystkie kobiety, zaczynając od gospodyni, w rękę pocałował; dostało się i mojej Magdusi. Potem, wszedłszy do pokoju i zobaczywszy Wawrzeńca:

- Jak się wać masz, kumie? - powiedział mu. W istocie przed trzema laty chłopca mu do chrztu trzymał. Wawrzyniec jak długi padł mu do nóg i rozbeczał się. Księżę, podniósłszy go, zaczął łaskawie wypytywać się o żonie i dzieciach i natychmiast kazał sekretarzowi swojemu, Mikuciu, napisać mu kwit na dwie firy zboża do wyboru Wawrzyńca, i sam wręczając mu kwit, powiedział:

- Zanieś to ode mnie twojej żonie.

Wawrzyniec ledwo nie oszalał i tak nadęty jak indyk chodził. Jeszcze nazajutrz, kiedy przyszedł na folwark, upominając się u dyspozytora o owies dla gościnnych koni, kiedy mu ten powiedział:

- Ale, mój Wawrzeńcu, czy nie przesadzasz? - Wawrzyniec odpowiedział:

- Przesadzasz, przesadzasz; to ja to niby doliczyć się nie potrafię, to ja niby głupi? A niech no jegomość pójdzie do księcia pana i zapyta go, czy Wawrzyniec głupi; Bóg i ludzie wiedzą, że księżę pan mnie zna i wczoraj od razu mnie poznał i tak mnie powitał, jak gdybym był wielmożnym; toć już zdaje się, że mnie nikt za głupca trzymać nie może.

A że ja to wszystko z alkierza słyszał, za boki trzymałem się od śmiechu.

Trzy dni hulaliśmy. Księżę był ciągle w przecudnym sosie i animował do kielicha, tak że aż płakał z rozrzewnienia sędzia. Między innymi zdrowiami księżę sam zaczął prześwietnej palestry i każdemu z nas coś przyjemnego powiedział, a gdy ja z innymi

przybliżył się do niego, powiedział mnie:

- Sewerynie, kolego, waść byłeś de hajda, a teraz de jurę; kiedyś to my nieprzyjacielskie łby płatali, a teraz przyjacielskie lampy.

Ja mu padłem do nóg jak dłużni:

- Niech książę pan tylko piśnie, dobre czasy nam wróca, a pan stolnik pójdzie fora z dwó-

ra

· Książę waśa do góry pokręcił, bo już był przyrzekł królowi, że nigdy konfederacji na niego podnosić nie będzie, i mawiał często:

- Robiło się, co można, ale teraz, kto kocha ojczyznę, niech wiare królowi dochowa. Panie kochanku, namnożyło się kapeluszków, czapkami rady im nie damy.

Ale wśród zabawy było się trochę zachmurzyło: JW. Jeleński, kasztelan nowogródzki, przed kilku niedzielami jako członek sądów zadwornych był zjechał do Nieświeża na komisję księcia pana z kahałem nieświeskim i zakończył interes zapewne sprawiedliwie, a przynajmniej wedle przekonania. Ale księżę jego nie lubił, gdyż w czasie bezkrólewia był z liczby małej Litwinów adherentów domu Czartoryskich i z ich łaski otrzymał wysokie w prowincji naszej krzesło. Księżę więc przy kielichu, wspominając o świeżo odbytej komisji, powiedział niby żartem:

- Powiedz prawdę, panie kochanku, wiele wzięłeś rebochem od Żydów? Myślałem, że na te słowa pęknie ze złości kasztelan.

- Straszne rzeczy - powiedział, bo to było jego przysłowie - straszne rzeczy! Senatorowi, orderowemu kawalerowi Orła Białego, powiedzieć „rebochem”! Protestuję się przed wami, iż księżę wojewoda w mojej osobie całe księstwo nowogródzkie skrzywdził.

Na to się obruszył chorąży nasz, Rdułtowski, najpierwszy z stanu rycerskiego, lubo sensat i poważny, ale przez żonę siostrzeniec księcia:

- Panie kasztelanie, a jużci to zanadto posunąłeś się; chyba stworzyć trzeba takiego oby-watela, co by wymówkę do osoby jego zregulowaną uważał być krzywdą całego województwa.

Na to kasztelan:

- Ponieważ wszyscy dopuszczają mnie krzywdzić, więc ja, nie czując się bezpiecznym w domu pana sędziego, wyjeżdżam.

Sędzia prawdziwie był w rozpacz: klęczał przed drzwiami, prosząc kasztelana, ażeby mu tej krzywdy nie robił - wynosić się z domu. Ale księżę pan, widząc frasunek sędziego, przybliżył się do kasztelana mówiąc:

- Panie kolego, odpuść mnie to, com ci żartem powiedział.

Poprzestał na tym kasztelan i miał słusność, bo gdyby się był wahał, toby++my się wszyscy obruszyli; nie wiedzieć, co mu do głowy przyszło, jakby konfidencja księcia mogła kogo obrazić. Rozgniewał się wójt gdański na króla polskiego! Toteż my wszyscy zrozumieli, że księżę się niby uniżył dla sędziego, a nie dla niego samego. Ale też niedługo potem na ustępie wyszturchaliśmy porządnie pana Adamowicza, jego plenipotentą, którego po swojemu o tym zdarzeniu rozповідаł, ale jako o słyszanej rzeczy, bo on z nami w Omniewiczach się nie znajdował. Z tego wypadku kilkunastu nas jurystów z taktowego rejestru zapozwanymi zostali. Na mnie się zmełło, bo gdy wizja odkryła, że Adamowiczowi część czupryny wyrwano, zarzucił mnie, iż włosy w moim ręku zostały; nie śmiałem się odprzysiąc, lubom tego nie pamiętał, gdyż w zapale to być mogło. I za to wskazany zostałem na cztery niedziel wieży i zapłacenie tysiąca grzywien. Grzywny chorąży Rdułtowski za mnie zapłacił, ale wieżę musiałem odsiedzieć. Lecz tegom nie żałował, bo księżę pan, pamiętny, że cierpiał dla jego sławy, kazał mnie wypuścić Doktorowicze, ale tak, że gdyby człowiek nie chciał, to majątek sam z siebie by się zrobił. Toteż przy łasce księcia (niech go Bóg najwyższy błogosławi z całym jego rodem!), a przy pomocy boskiej z tego się zrobiło wszystko, co jest. Co się zaś tyczy JW. kasztelana, grzeczność księcia pana dała mu się we znaki, gdyż księżę na dopełnienie przeprosin z całym swoim dworem pojechał do Dunajczyc, rezydencji kasztelana, którego będąc wielce oszczędnym, w

duchu niemało się nafrasował przyjmując swoim chlebem oka- załego i liczego gościa przez dni kilka; a przecie, rad nierad, musiał się okazywać wesołym. Ja z boku słyszałem, że ta wizyta kosztowała go do czterdziestu tysięcy, bo był pysznym i chciał nie po szlachecku, ale po pańsku wystąpić. Tak więc odpłacił swoją obraźliwość, a nie było kogo żałować, gdyż był bezdzietnym i prócz porządnego spadku kilka miał królewsz- czyzn intratnych.

Tak więc chmura prędko rozpędzoną została i już nic zabawom naszym nie przeszkodziło - i owszem, z powodu zgody jeszcze gęściej kielichy krążyły; nawet przy końcu pito z kijów. Był to w dawnym obyczaju najwyższy stopień podochocenia. Kij był szklany dęty i gdy go do ust przykładano, trzeba było koniecznie go wypróżnić nie oddalając z ust, inaczej pijący został obryzganym i za karę za kołnierz wlewano mu kielich wody. Wszyscy popiliśmy się okropnie; gospodarza bez przytomności wynieśli. Książę jeden został przytomny, a nie mając z nikim pić, na znak zwycięstwa jeszcze kielich wypił do Wawrzeńca, jemu go oddał, napełniwszy swoją ręką; o swojej sile poszedł do sędziny, z nią zmówił litanie do Najświętszej Panny i to wszystko odbywszy, zjadł ogromną misę kapusty kwaszonej i spać się położył, tak zdrow, jak gdyby nie pił.

Nazajutrz, w ostatni wtorek, był obrządek z rana solenny dla gospodarstwa i ich przyjaciół: zaręczyny pana Symeona Mogielnickiego, stolnikowicza nowogródzkiego, z panną Agnieszką Haciską, siostrzenicą rodzoną sędziego a w jego opiece będącą. Jej ojciec, chorąży pancer-ny, zacny obywatel, miał piękne dziedzictwo, ale w czasie konfederacji barskiej znacznie go odłużył, swoim kosztem sztyftując chorągiew, na czele której pod Sochaczewem poległ. Jego majątek spustoszoną okropnie został przez Moskwę, zgoła że prawie bez sposobu zostawił żonę z czworgiem drobnych dzieci, a i ta, niedługo płacząc, złączyła się z zacnym małżonkiem, polecając biedne sieroty pieczy brata swojego, którego lubo młody, już najsędziwszych posiadał szacunek. Jakoż się nie zawiodła, bo pewnie o własnych dzieci dobro więcej by się sędzia nie starał niż o siostrzanach. On to posag ich matki wydzwignął, gdyż cały ojczystry majątek poszedł na satysfakcję wierzycieli; nawet kilkanaście tysięcy spadłych długów sędzia własnym funduszem zaspokoił, ażeby duszę szwagra oczyścić a wieczny odpoczynek jej przybliżyć; a jego dzieciom dał wychowaniu kierunek przystojny. Starszy syn, wyćwiczywszy się w palestrze, został regentem grodzkim nowogródzkim; młodszy był pokojowym u księcia wojewody. Starsza córka, Katarzyna, lubo trochę ułomna, wielkie szczęście miała do ludzi i niejednego majątnego kawaler o jej przyjaźń się starał, ale ona najlepszymi postanowieniami wzgardziwszy, Bogu czystość swoją ofiarowała. Sam byłem na jej obłóczynach w klasztorze panien benedyktynek nieświeskich. Sędzia chciał być na nich, jako wuj, ale nie mógł do- trwać do końca; bo lubo nie sprzeciwił się powołaniu boskiemu, tak go za serce ścisnęło, że się kazał wyprowadzić z kościoła; a najmłodsza panna Agnieszka, dopiero siedmnaście lat mająca, której zaręczyny z W. stolnikowiczem się odbywały. Z rana, gdy się goście zebrali na pokojach, pan stolnik Mogielnicki oświadczył, iż widząc przywiązanie syna swojego do panny chorążanki, a przekonany będąc, że z nią dożywotni związek największe mu szczęście zapewni, tak z powodu cnót i skromnego wychowania chorążanki, jako też i koligacji z jednym z najzacniejszych domów w województwie, prosi więc dla syna o jej rękę W. sędziego, jako drugiego jej ojca, a razem o wstawienie się księcia wojewody, aby raczył wesprzeć tę prośbę sługi swego dobrym słowem. Nie można było więcej uradować księcia, bo co najwięcej lubił, to kojarzyć małżeństwa. Toteż natychmiast wstał i w pół ścisnąwszy sędziego, rzekł:

- No, panie Ignacy, dobrze się zdarza dla Jagusi. Mogielnickich dobra krew: niech przyjaciele Radziwiłła się łączą. Zezwól, a prędko, bo jak zaskoczy Popielec, na czterdzieści dni klamka

zapadnie.

I ojciec, i syn ucałowali kolana JO. swata za wstawienie się łaskawie; a gdy pan sędzia oświadczył, że i on, i żona za zaszczyt poczytują sobie, iż tak zacny obywatel jako W. stolnik szuka w ich domu szczęścia dla syna swojego, i że (czego się spodziewa) jeżeli Jagusia wstrętu przeciw temu nie czuje, chętnie błogosławieństwo swoje jako wuj i opiekun daje. Pan stolnikowicz jak długi padł mu do nóg i toż samo sędzinie. Książę wziął za rękę chorążankę, która drżała jak liść osiny, i zapytał jej:

- Czy zgadzasz się z wolą wujaszka iść za stolnikowicza?

Chorążanka w płomieniach ustami coś ruszyła, ale nie można było się dosłyszeć. Książę:

- Głośniej, Jagusi! - a ta jeszcze więcej się zmieszała. A książę: - No, kiedy się tak wstydzisz, powiedz mnie do ucha, ja powtórzę głośno, a mnie uwierzą.

I wzięwszy ją wpół, ucho do jej ust przyłożył. Ale przynajmniej przez dwie Zdrowaś Maria stała w tej posturze, nim się odważyła coś szepnąć księciu, aż dopiero książę wykrzyknął:

- Zezwala!

Biedna chorążanka ledwo nie zemdląca, zwłaszcza gdy stolnikowicz jej padł do nóg. Dopiero zaczęto mówić o postanowieniu państwa młodych, a chorążanka wymknęła się z pokoju. Pan stolnik powiedział:

- Ja dymituję synowi Kozarkę, folwark mający 10 dymów, a po mojej śmierci będzie się miał jeszcze czym dzielić z braćmi; a wypuszczając mu wieś, dam mu świeronek zapaśny, iż na niczym młodemu gospodarstwu zbywać nie będzie.

- Co do mojej siostrzanki - rzekł sędzia - jej posag aktom wiadomy: ona ma swoich szesnaście tysięcy pięćset złotych, które przy zapisaniu ewikcji przez pana stolnika na ogólnym swoim majątku wręczone mu będą; a ja z afektu wujowskiego dam wyprawy trzy tysiące.

Wtenczas książę się odezwał:

- Na co pan družba ma ewikcją obciążać swój majątek.

Ja sumę przyjmę, a w procencie wieś pani stolnikowiczowej przyszej wypuszczę. Skłoniwszy się stolnik powiedział:

- Ponieważ wasza książęca mość łaskaw naszych dzieci, a przyszych sług jego swoim chlebem karmić, więc ja szacunek wyprawy, trzy tysiące gotowych, dołączę, a całkowity posag synowej mojej, dziewiętnaście tysięcy pięćset, ulokowany zostanie w kasie waszej książęcej mości.

Książę powiedział panu Mikuciu, że jedną z wsi, które są do wypuszczenia, wypuszcza w zastaw pannie Agnieszce Haciskiej, a jej posag do siebie przyjmuje, tylko dodał, żeby inwentarz był przyjacielski. Pan Mikuć przy sobie nosił registry folwarków do puszczenia będących, a gdy pan stolnik wybrał Borowicze, tego folwark w Śluczczyźnie, przeszło trzydzieści chłopów mający, książę powiedział:

- Jaki addytement roczny będzie się należeć do mego skarbu, połowę z niego daruję Jagusi, aż do czasu wykupna Borowicz.

Po najpokorniejszych dziękczynieniach pan sędzia wyrzekł:

- Wasza książęca mość i wy, szanowni goście, raczcie mnie wybaczyć, iż w ich przytomności sam intercyzę pisać będę. Rad jestem to własnoręczne moje pismo na pamiątkę mojej Jagusi zostawić.

A wzięwszy pióro i papier, od razu zaczął pisać transakcją, wedle zwyczaju zaczynającą się od procedencji państwa młodych. Dziwną łatwość do pisania miał sędzia: nic go rozerwać nie mogło; nieraz pisząc do dyskursu się mieszał, a nigdy omyłki nie zrobił. Wszystkie prawa z pamięci pisał i dość obszerną intercyzę w pół godzinie skończył. Po głośnym onej przeczytaniu a przez strony podpisaniu nowy kłopot był dla chorążanki, bo sędzina ją wyprowadziła z garderoby; trzeba było wraz z narzeczonym zamienić pierścionki, przyjąć błogosławieństwo rodziców, a potem klęknąć przed księciem z intercyzą w ręku, dziękować mu za szczerą łaskę i prosić go o podpisanie się za świadka, co książę zrobił, naprześladawwszy żarcikami chorążankę. Podpisał się także kasztelan i chorąży

Rdułtowski. Zgoła nie co dzień się czyta taka intercyza; bo był w niej i porządny kawał chleba, a zdołały ją mitry, krzesła i ordery. Zaręczyny się odbyły, a dzień szluby naznaczony został na dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, z woli sędziny (pomimo licznych próśb, ażeby go przyspieszyć), z powodu iż w dniu tym z mężem przyjęła błogosławieństwo. Ucałowawszy rękę męża, dodała:

- Dzień to szczęśliwy, mój Ignasiu, bo już kończy się lat trzynaście, jak z sobą mieszkamy, a dotąd momentu smutku nie doświadczyłam.

Sędzia rzucił się w jej objęcie i rozplakał się; wszyscyśmy się rozrzewnili: każdy z nas jakby pomimowolnie ucałował pocziwą żonę swoją, bo każdy z nas to samo mógł o sobie

powiedzieć; choć wysocy goście na nas patrzali, rozbeczeliśmy się słodkimi łzami, ale i księ- ciu wojewodzie kilka łez na wąż spadło. I jeszcze nie odeszliśmy od rozrzewnienia naszego, gdy pora obiadowa złączyła nas wszystkich za stołem, gdzie już sama wesołość panowała. Pierwsze zdrowie było przyszłego szczęścia państwa zaręczonych. Piliśmy także: „Niech żyją połączone domy.” A gdy do pląsów przyszło, które książę otworzył, w pierwszą wzięwszy parę pannę chorążankę, a coraz lepsza ochota nas zagrzewała, piliśmy z trzewiczka panny Agnieszki, piliśmy także z buta księcia wojewody i na przemian szły tańce: mazurki, krako- wiaki, przeplatane kielichami. Dopiero o samej północy, na zakończenie zapust, książę, wzięwszy panią sędzinę, a każdy z gości damę swoją, posłaliśmy drabanta, po skończeniu którego-natychmiast muzyka się rozeszła, a zwykłym w owe czasy obyczajem ksiądz gwar- dian bernardynów miał do nas egzortę, w której ostrzegając, że już o zabawach trzeba zapo- mnieć, gdyż nadszedł czas pokuty, zaprosił nas do modlitw. Wszyscy my wtórowaliśmy mu *Gorzkie żale*, aż ściany się trzęsły. Donośny głos księcia wojewody i ojca gwardiana nad na- szymi wszystkimi się unosiły. Klęczeliśmy cztery godzin ciągle, aż dopiero wszyscy poszli- śmy za gwardianem do cerkwi unickiej, niedaleko dworu będącej, i tam ojciec gwardian miał mszę, pańską nazwaną, o samej czwartej z rana. Sędzia służył do mszy. Gdy przyszło do tych słów: „*Cum jejuniatis, nolite fieri sicut Pharisei*”, wszyscyśmy do pół szabie z pochew wy- dobyli na znak, iż gotowi jesteśmy orężem walczyć za święte słowa Zbawiciela naszego. Po skończonej mszy książę wojewoda z JW. kasztelanem, a potem stan rycerski, urzędnicy wprzód, dalej my, szlachta, ordynkiem po dwóch przy siąpiliśmy do ołtarza dla przyjęcia popielca; a dopiero po nas kobiety, tak że kiedyśmy wrócili do dworu, to już było koło szó- stej, i jako w pierwszy dzień postu, bez żadnego posiłku poszliśmy spoczywać kilka godzin. A gdy zebraliśmy się w sali obłędnej, posililiśmy się postnym obiadem: wszystko było na oleju; ale większa część gości i same gospodarstwo, przywykłe dzień popielcowy suszyć, grzankami tylko się żywili. Nawet gdyśmy spostrzegli, że książę wojewoda także od innych pokarmów się wstrzymywał, mało kto, pobudzony pięknym przykładem, odważył się doga- dzać żołądkowi, a choć tym małym umartwieniem rad był przysłużyć się Zbawicielowi swo- jemu. W dniu tym wina na stole nie było widać, tylko miód i piwo; a po obiedzie wszyscy rozjechali się. I ja z moją Magdusią do Nowogródka puściliśmy się, gdzie dość późno w nocy stanęliśmy w ubogim dworku naszym.

KSIĄŻĘ RADZIWIŁŁ PANIE KOCHANKU

Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka; w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsow- ny: więcej czterech tysięcy szlachty nas zjechało się na wybory pisarza ziemskiego. Po śmier- ci pana Marcina Danejki książę wojewoda wileński prowadził pana Michała Rejtana, brata owego sławnego Tadeusza, tak z zacności rodu, jako i z osobistych zasług powszechnie w województwie lubionego; a że zwykle u nas wybory były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło, ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecie

zrobiło się inaczej. Markotno było JW. Niesiołowskiemu, wojewodzie, a Jeleńskiemu, kasztelanowi nowogródzkiemu (szczególnie wojewodzie), iż najmniejszego wpływu w sejmikach swojego województwa nie mieli i że trzeba było kłaniać się JO. księciu wojewodzie wileńskiemu, ażeby lada urząd od szlachty otrzymać. Na próżno po kilkakrotnie w różnych czasach skakał [wojewoda] przed szlachtą nowogródzką: ona zawsze przy księciu Radziwille niezachwiana stała jak mur. Przyjaciele jego i on sam radzi nieradzi, dla zachowania jakiejś powagi musieli się łączyć z Radziwiłłowskimi, a że Rejteny z licznymi swoimi koligatami rejdziły w partii Radziwiłłowskiej, usiłując JW. Niesiołowski ich rozdwoić namówił pana Kazimierza Hara-

burdy, męża rodzonej siostry Rejtenów, a potomka owego sławnego wojewody smoleńskiego, ażeby oświadczył się o ten urząd dla siebie, co niemało zgorzenia przyniosło całemu województwu, okazując szwagrow zawziętych, jawnie jeden na drugiego sławę powstających. Na próżno usiłowali obu stron przyjaciele namówić pana Haraburdy, ażeby tej krzywdy szwagrowi nie robił, iść z nim w kandydacie wtedy, gdy już tamtego po kilkakrotnie zdrowie wypito jako przyszłego pisarza, że on sam z początku nie był jemu przeciwnym, że ta braci niezgoda zagraża zakłóceniem całe województwo, że z tego ciężki grzech mu będzie, a na koniec, że nie ma podobieństwa, ażeby przeciw panu Michałowi się utrzymał. Wszystkie te słowa tyle na nim wrażenia zrobiły, ile garść grochu rzucona o ścianę. Gdy obywatele zjechali się w Nowogródku do klasztoru bernardyńskiego na Porcjunkuły, a między nimi znajdowali się oba szwagrowie, i tam starano się ich pogodzić; ale jak zaczął pan Haraburda wyrzucać szwagrowi, że go ukrzywdził w wypłacie posagu siostry, to, że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami, a nie nad dokumentami mozolić się i że choć pan Michał zausznikiem nieświeskim, on nie traci nadziei w swoich, a nikomu nie podległych przyjaciółach - pan Michał porwał się do szabli i gdyby bernardyni nie byli wyprowadzili pana Haraburdy, podczas gdy pana Michała reflektowała szlachta, pewnie refektarz byłby zakrwawionym. Już tedy nie było podobieństwa ich pojednać, a czas sejmikowania nadchodził; właśnie nastąpiła pewna okoliczność, z której JW. wojewoda nowogródzki wielkie sobie korzyści obiecywał i która niemało przyczyniła się do uczynienia twardym pana Kazimierza Haraburdy. A to był postępek księcia wojewody wileńskiego z wielmożnym Tryzną, strukczaszym nowogródzkim, który postępek nawet wielu gorliwych przyjaciół Radziwiłłowskich oburzył, a z którego zrecznie umiała korzystać partia Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z Radziwiłłowskim nawet skoligaconego. Wszakże Naliboki Tryznianka kiedyś w dom Radziwiłłowski wnieśli, a większa część funduszków klasztoru żurowieckiego była darem Tryzny, antenata strukczaszego. W kantyczkach żurowieckich jest wzmianka o tym wielkim mężu:

„Któż nie przyzna, że pan Tryzna był pan świętobliwy”, etc.

Otóż pan strukczaszy, prócz sumy zastawnej na Radziwiłłowskim Kołdyczowie, nic nie posiadał; zastawa była, jak może być najtańsza, i kto inny mógłby z niej wyjść na szerokie dziedzictwo; ale pana Tryzny pieniądź nie umiał się trzymać: Maciek zrobił, Maciek zjadł, a często nawet więcej zjadł, niż zrobił. Już to tam i moich parę tysięcy na tamten świat z sobą zaniósł, o które na ostatnim sądzie pewnie upominać się nie będę, bo jeśli nie zjadł z nim beczkę soli, to pewnie z pół antała z nim wypilem jego własnego wina, nie rachując miodu. Że on nie miał prócz jedynaczki córki żadnego potomstwa, że na nim dom jego się kończył, a że panna z urodą i tak dobrego gniazda nie potrzebowała posagu, aby w dobrym małżeństwie się usadowić - jakoż później za bardzo możnego Witebszczanina Syrucia, starosty cuchłowskiego, wyszła - więc poniekąd był wymówionym nasz strukczaszy, że o przyszłość nie pamiętał. Pan Tryzna był ludzki, wesoły, ale czasami popędliwy. Otóż razu jednego w same żniwa księżę wojewoda wileński, nie obwieściwszy jego, ale właśnie jak piorun wpadł z licznym myśliwstwem, aby spłować lasy kołdyczowskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia swoje podstarościu, by żniwiarzy naglić do roboty, i sam się w pole wybierał, gdy do niego wpadli dojeżdżacze księcia, wymawiając, by

natychmiast obławę do lasu posłał; i że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoś tak cierpko dopominali się u niego, iż go w niecierpliwość wpędzili. Odmówił im ludzi, ofuknął ich i miał niby powiedzieć, wedle ich relacji, że tylko szaleni w czasie żniwa polują. Jak wrócili dojeżdźacze, a ich relacja zaczęła biec po szczeblach dworskich, a ciągle rość - ile że pan Mikuć, sekretarz księcia, miał żal do pana Tryzny z powodu, iż konkurując o jego córkę, w swoim domu nakarmił go arbuzem, więc dogadzając zemście udał go przed księciem. Książę tak to uczuł, że jak twierdzili mnie przytomni, przez kilka Zdrowaś Maria mowę mu było odjęło, a potem jak zaczął krzyczyć, to aż lasy kołdyczowskie zatrzęsły się, a w niepohamowanym popędzie rozkazał natychmiast odebrać posłu-

szeństwo gromady panu Tryznie i wypędzić go z majątku - co się natychmiast dopełniło, z nieludzkością, bo pan Tryzna, lękając się o skórę, uciekł z tym tylko, co miał na sobie. To jeszcze szczęście, że strukczaszy z córką były wyjechały na odpust do Pińska, uczcić było goślawionego Boboli; zgoła, że piechotą gospodarz uszedł i aż w okolicy Pacynów się oparł, a stamtąd udał się wózkami do Nowogródka, gdzie manifest zaniósł przed grodem a razem i pozew wydał po księciu o irytację kontraktu i ekspulsję.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem atentować od księcia i przed strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, że tak powiem, aby mnie odpuścił, iż z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać, bo znałem dobrze, że nasza sprawa była brzydka. Ale cóż? Czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż pan strukczaszy nie miał mi to za złe i gdy się to wszystko skończyło, nie przestał mnie zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunek, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy z własnego przekonania czyniłem ofiarę. A i przekonaniu przecie umiałem zadośćuczynić, bo gdy przytomny byłem na konferencji poprzedzającej kroki prawne, odezwałem się przed wielmożnym Radziszewskim, chorążym staroduboskim, a generalnym księcia plenipotentem, że niewiele ufności mam w prawności naszej; jeno on mnie zaraz zwrócił na drogę mówiąc: „Waćpana rzecz atentować i bronić sprawy księcia i na to jesteś płatny, a nie, żeby przede mną ją krybrować” - i tym mnie zamknął gębę. Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją wprowadzić do ziemstwa, a nie do grodu, bo gród jurysdykcją wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sądzi (przynajmniej tak jest w wielkiej części Litwy), a siakie takie nadzieje mogliśmy mieć w ziemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać się od grodu, gdyż do niego poszły pozwy powodowe; a na koniec sprawa ekspulsyjna i uczynkowa w rzeczy samej właściwie do jurysdykcji grodzkiej należy. I tak lubom stawał na tym, że illacja podana już została z naszej strony do trybunału *pro determinatione fori*, nie zważając na to sąd grodzki kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a pan strukczaszy zyskał na księciu Radziwille kondemnatę. Ale cóż? - Nieborak cieszył się kondemnatą, na bruku osadzony, a książę, jak zajął Kołdyczów, tak go trzymał. Na następnej kadencji, widząc, że nie ma sposobu utrzymać się w zaprzeczeniu forum, innego skoku próbowałem. Podałem obmowę na jednego z członków sądu (aby zerwać komplet), zadając mu, iż jest krewnym strony powodowej. Pokrewieństwo było dalekie, bo pan Kajetan Uzłowski, sędzia grodzki, miał za sobą Ancutównę, a nieboszczka krajczyna Tryznina, macocha strukczaszego, *primo voto* była za Ancutą. Jednak takowa obmowa zastanowiła sędziego Uzłowskiego, iż składając się zbytnią delikatnością, że ponieważ książę wojewoda w nim zaufania nie ma, a nie wypierając się zaszczytu takowej koligacji wstaje; a że już kompletu nie było, sprawa w *non sunt* poszła i kadencja spełzła na niczym. Było trochę krzyku za to na sędziego i strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dlatego uchylił się, bo sędzina chce być na świętego Karola w Nieświeżu, aby córki produkować, gdzie jej być nie wypadało, gdyby mąż podpisał się na dekrete przeciwko księciu. Mówiono także, że pan Leon Borowski w imieniu księcia ofiarował mu za to szubę rysią. Ale Bóg świadek, że to była obmowa.

Aż tu sejmik na pisarstwo ziemskie nadchodził, gdzie książę wedle zwyczaju swojego zjechał, tym więcej, że chciał utrzymać pana Michała Rejtena, co był Radziwiłłowskim z duszą i ciałem. Zjechał

książę w trzydzieści pojazdów do klasztoru bernardyńskiego, którego był syndykiem, i całkowity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których jak mogli, zakonniki się ścisnęli. Sam książę stał w celi gwardiana, jako najobszerniejszej; ale w nocy w niej ledwo kotowi przecisnąć się można było, bo prócz księcia, pokotem obok księcia leżał pan Michał Rejten. Burgielski, szatny, ojciec Idzi, który był wielkim egzorcystą (a że książę złych duchów mocno się obawiał, wymówił sobie, aby on w celi koło niego spał), i do tego Nepta, ogromna wyżlica, faworyta księcia. Opowiadał nam pan Michał Rejten, że przez dziesięć dni, co trwał sejmik, oka nie zmrużył: takie okropne było chrapanie księcia, ojca Idziego i Nepty. A szlachta okoliczna, która za księciem piechotą przysłała, na dziedzińcu klasztornym spała,

na którym kilkanaście stało fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni co dzień woły rżnięto; a książe (co na zdrowie mu) dwa razy obiadował na dzień: pierwszy ze szlachtą okoliczną na dziedzińcu z kotła zajadał krupnik i flaki, a potem w refektarzu z magnatami i obywatelami województwa, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Otóż to pan Michał, co by rad widział koniec interesu z Tryzną (bo szlachta taki na to krzyczała), a sam nie śmiał otwarcie z tym się księciu odezwać, podmówił ojca Idziego (którego książe, w łóżku leżąc, przed zaśnięciem co dzień wypytywał o czyścicu, jakie tam są męski i jak z nich najskuteczniej się wywinać, co mu ojciec Idzi, jak umiał, tłumaczył), aby mu bąknął, iżby dał się przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego bernardyn i to było tak, jako mnie pan Burgielski, szatny, co do słowa opowiedział jako naoczny świadek.

Otóż po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, książe odezwał się:

- Ojcie Idzi, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Czy nie słyszy wasze, jak moja Nepta warczy? Zapewne nieboszczyk Wołodkowicz mnie nawiedza. Na to pan Michał Rejten przeżegnawszy się:

- Co też się marzy waszej księżęcej mości? Ludzie się szastają po korytarzu, a Nepta warczy; już zaraz ma być pan Wołodkowicz.

- Milczałbyś waść, panie kochanku! Ze umiesz grać w francuskie karty, to już się masz za mędrka. Ja nie do waści mówię, ale do ojca Idziego. Ojcie Idzi, wszak prawda, że dusze z czyścica wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić? Zeby temu przeczyć, trzeba być biskupem Massalskim albo Marcinem Lutrem.

- Tak jest, JO. książe! Bywa to, bywa.

- Słyszysz, panie Michale? Otóż to aż miło spać z teologiem, bo i oświeci, i uspokoi. Mój ojcie Idzi, zawsze nieboszczyk Wołodkowicz mnie w oczach stoi. Co to był za przyjaciel! Żeby go mógł wskrzesić, oddałbym wszystko, co mam. a sam do bernardynów bym wstąpił. To za życia nieboszczyka księcia pana najechałem był po pijanemu na pana Piotra Kotwiczą i dom mu podpaliłem. Na mnie pan Kotwicz namalował sto tysięcy pretensji i kazał mnie oświadczyć, że jeżeli mu nie wyliczę tej kwoty, to mnie zapozwie. Ja był goły, bo nieboszczyk pan był skapy, a do tego tak groźny, że raz mnie kazał dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem miecznikiem litewskim i orderowym panem; a za taki zbytek, jakby się o tym dowiedział, toby mnie ubił. Co tu było robić? A mój Wołodkowicz dwa folwarki swoje własne zastawił i zagodził Kotwiczą (tu słyhać było, jak książe zaszlochał). I czy to jeden raz za mnie się poświęcił? Kiedyś to mnie (pan Wołodkowicz jakby przeczuwał, że niedługo będziemy z sobą) powiedział: „Książe Karolu, ty dłużej ode mnie żyć będziesz; jak mnie przeżyjesz, pamiętaj o mojej duszy.” Otóż kiedy partia, którą ten łotr w infule, ten hipokryta Masalski prowadził, zdradą i podstępem porwała Wołodkowicza i w trzy godzin potem jego rozstrzelała tu, w Nowogródku, gdzie tego samego wieczora przybyłem, ale za późno, przysięgłem pomścić jego krew na głowie waszego biskupa i ruszyłem do Wilna; byłbym mu sakrę zdjął na pierwszej sośnie za Wilnem; a potem pojechałbym do Rzymu przeprosić Ojca świętego i ofiarować mu pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Ale przybywszy do Wilna, we śnie mi się pierwszy raz

pokazał Wołodkowicz, prosząc mnie za biskupem, i powiedział mi, że mu jesz- cze gorzej będzie tam, jak biskupa powieszę. Ojczy Idzi, wszak prawda, że on dotąd w czyść- cu?

- JO. książę, a któż to przemknie sądy Boże? I sprawiedliwość, i miłosierdzie wielkie u Niego. To wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, to Bóg ją posyła wedle jej zasług do nieba, do czyśćca albo, uchwaj nas od tego Jego miłosierdzie! - do piekła.

- Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, panie kochanku! Daj Boże wam wszystkim zakonnikom być tak gorliwymi jak on katolikami. On za życia nieboszczyka pana trzech po-

pów w Słuczczyźnie do unii nawrócił, a czwarty, uparty, pod batogami umarł. To było, nim ta przebrzydła konfederacja śluccko-toruńska, by ją bies pokąsał, przywileje wytargowała dla dysydyntów, za które ja, jako pierwszy senator prowincji litewskiej, Panu Bogu nie odpowiem, bo z bronią w ręku siedm lat temu bluźnierstwu się opierałem. Ale Panu Bogu tak się do czasu podobało: nie mieliśmy szczęścia. To, co ja, ojcie Idzi, za spoczynek duszy Wołodkowicza robiłem, to by wystarczyło, aby całkowity czyściec wypróżnić. Grzebałem na Mołdawie trupów z dżumy poległych, za jego duszę, a dzień jego śmierci co roku suszę. Wieś dałem dominikanom wołkowyskim, u których groby Wołodkowiczów; a co mesz, egzekwiów, jałmużn, lamp, to tego i pan Michał Rejten, choć wielki rachmistrz, nie doliczył! A jednak dusza jego nie przestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta tak jego zna, że jak tylko się przybliży, zaraz się odzywa, jak na grubą zwierzynę, bo jej matkę od niego dostałem w dzień moich imienin. Ojcie Idzi, daj mnie ku temu radę, a ja za to wasz klasztor czerepicą gdańską pokryję.

- Niech Bóg odplaci waszej książęcej mości uczynność jego dla nas; za przyczyną Najświętszej Panny i świętego Franciszka każdy dar dla Niego jest miłym; ale im większa ofiara, tym skuteczniejsza. Niech książę pan robi na intencję nieboszczyka jaką ofiarę z gniewu; na przykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tym uwolnisz duszę przyjaciela.

- Oto już do mnie waszeć mówisz językiem księdza Kantenbrynga, co całe życie u mnie za kiepskimi sprawami patronuje. Tamtego tygodnia najlepsza moja charcica, Wiatrówka, zdechła z łaski Grzesia, psiarza; kazałem go zabić w łańcuchach; po sprawiedliwemu warto było ze skóry go obedrzyć. A ksiądz Kantenbryng jak zaczął mnie prawić antyfony z ojców świętych, a straszyć, a prosić - a diabli mi nadali, że ktoś mnie wmówił, że on wielki teolog - a choć wyrzekłem: „Nie odpuszczę, jakem Radziwiłł”, to tyle mi nadokuczał, że taki kazałem Grzesia wypuścić bez kary. Ale przynajmniej dobrze złażalem księdza Kantenbrynga; on by rad, żeby mnie we własnym domu bezkarnie rozbijali. To już i waszeć tą drogą zachodzisz? To już i bernardyni filutują jak jezuita? Tylko tego przed księdzem Kantenbryngiem nie wypapłaj; ale szczęście, że u mnie furdyga próżna i na nikogo się nie gniewam.

- Ja bym się odezwał z czymś przed waszą książęcą mością, ale nie śmiem.

- Mów śmiało, mów śmiało, ojcie Idzi; wszak to na swoim dziedzińcu i wióry biją, a ja u was na gościnie: mnie o waszą łaskę, nie wam o moją dbać, bo jak mnie wypędzicie z klasztoru, to gdzie ja się udam na nocleg?

- Kiedy mnie książę pan pozwała do siebie śmiałości, to niech wasza książęca mość sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził.

- Ja, panie kochanku, nikogo nie ukrzywdził. Mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Boga odpuszczam. Ja, panie, jeszcze nikogo nie podrapałem, chociaż mnie ta mała wielkopolska, ten Kaszuba Sułkowski, nazywa w Warszawie niedźwiedziem litewskim; ale dam ja jemu, jak do Grodna na sejm przyjedzie, podrapię ja jego dobrze. Ale to waszeci, ojcie Idzi, nie należy, bo waszeć nie wielkopolski bernardyn. A w Litwie kogo ja podrapałem? Ja pokorny jak dziecko, panie [kochanku]. Ksiądz Kantenbryng ciągle mnie z ambony wytyka, a przecie ja się na niego nie krzywię. A pan Leon Borowski mało mi figłów napłatał? A pan Jerzy Biłopotowicz mało mi się worał w moje grunta? A pan filozof, co tu śpi, Michał

Rejten, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach i bobrów wyłowił w Ła-chwie? A ja się nie odzywam, tylko przed Panem Bogiem zapłacę. Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcie Idzi, coś chciałeś wystrzelić, aleś spudłował. Słuchaj, bernachu! Tobie się podobał mój pas, com go wczoraj miał na sobie; mówiłeś, że byłby taki z niego or- nat, jakiego w Wilnie w zakrystii katedralnej nie ma; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew (ale w Litwie), to ci go dam; a jeżeli nie dokażesz, to pięćdziesiąt dyscyplin wezmiesz na intencję Wołodkowicza.

- Zgoda, książę panie! Pas będzie nasz, a ja taki dyscyplinować się będę na intencję nie- boszczyka; tylko że ja się boję odezwać, bo nuż książę pan się obrazi?

- Mów śmiało, jakem Radziwiłł, będę milczał.

- Kiedy księżę pan mnie tak ośmielasz, to powiem, że był zacny obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało, fury z jego spichrza do klasztoru przychodzą, a teraz my musimy udzielać mu z jałmużn, boby z głodu umarł, a to dlatego, że księżę pan wypędzić go kazał z zastawy i prawie w jednej koszuli do Nowogródka uciekł. Pozywa się z księciem, a kawałka chleba nie ma pan strukczaszy Tryzna.

Tu mu przerwał księżę:

- Co ty się wtrącasz nie w swoją rzecz, klecho! Ja cały majątek stracę, a Tryznie nie daruję. On, okryty moimi dobrodziejstwami, on, co półdarmo Kołdyczów trzymał, odmówił mnie ludzi na obławę i jeszcze sług moich z błotem zmieszał i mnie głupcem nazwał! Albo ja, albo on z torbą pójdzie.

- Już on poszedł z torbą, księżę panie. Ale niech wasza księżęca mość przypomni sobie, że co dzień mówisz pacierz, a tam stoi: „I odpuść nam nasze winy, jako my odpuszczamy naszym winowajcom.”

- Otóż ja odtąd pacierza nie będę mówić, a taki nie odpuszczę.

- Ależ, księżę...

- Cicho mnie zaraz! Poszedłbyś precz, bernachu, i nie wędź mi głowy! Tu milczenie chwil kilka nastąpiło, aż dały się słyszeć kroki.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! Co to jest? - odezwał się księżę.

- To ja, JO. księżę panie, wychodzę na rozkaz waszej księżęcej mości; i to trepki moje, co słyszeć się dają.

- Proszę waszeci, panie kochanku, nie odchodź z celi, a śpi ze mną; bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, z żalu zachoruję bez ciebie, mój księże. Ja z tym heretykiem Michałem Rejtenem, co z upiórów żartuje, boję się sam na sam być w nocy, a Burgielski śpi jak zabity. Kładź się, ojczcie Idzi, i nie gniewaj się. Żeby się przynajmniej Tryzna upokorzył? Ale taki nic z tego nie będzie.

Potem wedle relacji pana Burgielskiego nastąpiła cichość, a zaraz potem koncert zwykły księcia, ojca Idziego i Nepty. Ale pan Burgielski, co znał księcia na pamięć, a dobrze życzył panu strukczaszemu, i pan Michał Rejten już mieli dla niego dobrą nadzieję, tylko szło o to, aby pana Tryzny namówić, by jaki krok sam do księcia zrobił, co nam się nie zdawało łatwo; bo pan Tryzna, choć podupadły, znał siebie być magnatów koligatem i nie był skłonny do naginania się.

Ale bardzo dobrze się nakartowało; bo nazajutrz po tej rozmowie, którą dopiero wspomniałem, a o której pana Tryznę pan Michał Rejten i podobno sam ojciec Idzi uprzedził, kiedy zagaił sejmik JW. Rdułtowski, chorąży nowogródzki (bo JW. Niezabitowski, podkomorzy, był zapozwany *de malo gesto officio* [o nierzetelność w pełnieniu swych funkcji] przez JW. wojewody Niesiołowskiego i będąc pod tak brzydkim procederem nie mógł urzędowania dopełniać), otóż po zagajeniu JO. chorąży zaprosił urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księstwa nowogródzkiego do obierania marszałka sejmikowego. Po całym kościele huknęły głosy:

- JO. księcia wojewody wileńskiego zapraszamy na marszałka!

- Zgoda! Zgoda! - zaczęła krzyczyć szlachta. Aż tu pan Kazimierz Haraburda przybliżył się do koła, prosząc o głos. Na dany mu głos odezwał się, iż on nadto czułby się szczęśliwym dodać swoją i

przyjaciół swych afirmatywę, aby zaszczycić województwo tak godnym i ze wszelkich miar najświetniejszym i najcnotliwszym marszałkiem, jakim jest JO. książę wojewoda wileński, ale że jednak sumiennie nie może poświęcić prawa skłonnościom własnym: otóż że prawo wyraźnie mówi, że obywatel pod kondemnata będący nie może urzędu żadnego sprawować, a zatem książę, będąc pod kondemnata, marszałkiem być nie może.

Na to my wszyscy za przykładem pana Michała Rejtena dobyliśmy szable i bylibyśmy w puch rozbili partię pana wojewody nowogródzkiego, bo naszych było cztery razy więcej, ale

pan Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowany i w obydwóch partiach miał wielkie znaczenie, temu zapobiegł. Uprosił, aby wszyscy do pochew powkładali szable, ażeby koło rozstrzygnęło zarzut pana Haraburdy, jako do niego interes należny. Zaczęliśmy więc wołać:

- Prosiemy pana Haraburdy o złożenie kondemnaty, jaką uzyskał na księciu wojewodzie! Na to on:

- Ja nie uzyskałem kondemnaty i tegom nie mówił; ale W. strukczaszy Tryzna w grodzie otrzymał nie jedną, ale dwie kondemnat.

Pan Michał Rejten, rozgniewany, odezwał się na to do pana Haraburdy:

- Waćpan z cudzą kondemnatą popisywać się nie masz prawa, a jeżeli ona do waćpana należy, złożź ustępstwo od W. Tryzny; a jeżeli go nie masz, choć na starość milczyć się naucz!

- Waćpan sam milcz, kiedy ci język nie świerzbi, a nie ucz rozumu tych, co i waćpanu ze swego udzielić by mogli. A JW. chorąży niech raczy zapytać W. Tryzny, czy chce się z kondemnatą na księciu wojewodzie wileńskim otrzymaną popisywać - i o to z mojego miejsca dopraszam się.

Tu zaczęliśmy wszyscy krzyczyć, że nikt nie ma prawa o to zapytywać wielmożnego Tryzny, bo on sam wie, co jemu należy, i potrafi o prawa swoje upomnieć się. Książę sam stał pomiędzy nami mocno poruszony i wąsa do góry zakręcał, aż tu W. Tryzna, który jako strukczaszy w kole zasiadał i milczał, powstał i z głosem drżącym, w którego dźwięku silny żal się okazywał, powiedział te słowa:

- Mam ci wprawdzie dwie kondemnat na JO. księciu wojewodzie wileńskim i oto one składam; krwawo czuję się być uciśnionym przez niego, ale jako obywatel niemniej obowiązany jestem moje prywatne uczucia ustąpić dobru publicznemu; przekonany będąc, że nie może być lepszego zdarzenia dla naszego województwa, jak żeby przewodnictwo naszego sejmiku poruczyć JO. księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi, na boku zostawując moją krzywdę i mimo siebie puszczając, ile uciążliwych dla mnie przewłok z tego kroku wyniknąć może, oświadczam się, że JO. księcia wojewodę z otrzymanych nad nim kondemnat kwituje.

Książę wojewoda przybliżył się do koła i tak był rozczulony, że nie mógł powiedzieć, tylko:

- Ja, chociaż żal czuję do W. strukczaszego, ale ten krok jego dla mnie życzliwości i zaufania będę się starał odwdzięczyć.

A po całym kościele dały się słyszeć liczne, powtarzane okrzyki:

- *Vivat książę wojewoda! Vivat Tryzna, strukczaszy nowogródzki!*

A tak książę wojewoda został ogłoszony marszałkiem sejmiku, ale że już było koło pierwszej po południu, książę solwował sesję na ósmą z rana dnia jutrzejszego i na obiad się udał do JW. chorążego Rdułtowskiego, gdzie na dziedzińcu stoły na kilkaset osób były przygotowane. Był tam z nami i pan strukczaszy i przy kielichach zaczęto godzić księcia z Tryzną. Książę powiedział:

- Ja pana Józafata kocham; to krew, nie woda, panie kochanku; mego prapradziada Tryznianka rodzi. Oddaję Kołdyczów natychmiast, a o pretensje, jakie mieć może za irytacją kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług ofukał i mnie nazwał szalonym. My oboje szlachta, zatem niech nas szable rozprawią, i to natychmiast.

Na próżno się tłumaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan chorąży i pan sędzia Kowieński perswadowali: trzeba było

koniecznie panu Tryznie zadośćuczynić woli księcia; i oba do szabel się wzięli przed obiadem w przytomności nas wszystkich. Książę jak natarł, od pierwszego zakładu klinga pana Tryzny pękła, tak silnie po niej uderzył książę wojewoda, a pan sędzia złożył pana Tryznę, rozbrojonego, swoją szablą. Książę odezwał się:

- Mam zupełną satysfakcją - i ucałował Tryznę. Przeglądał szable i powiedział:

- To szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobył; przyznaj-że, panie Józafacie, że umiem się składać.

Potem dawaj pić na zgodę. Książę był w przecudnym humorze:

- Panie Michale, bądź spokojny o pisarnię ziemską; ja sam jeden z moją batorówką całą partię Haraburdy rozpedzę.

Książę i pan Tryzna zapisali się na kompromis u pana Białopiotrowicza, iż odtąd my tylko sejmikiem byli zajęci.

Szlachta, ucieszona postępkiem księcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Tylko sły- chać było między nimi, jak rozprawiali:

- A co, nasz książę czy nie tęgi rębacz? Klingę jak masło przeciał. A przecie i pan Tryzna gracz; dwanaście świc łożowych od jednego zamachu kraje. Ale kto księciu naszemu da radę?

- Już to trzeba wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękkiego żelaza, bo się nie spodziewał, iżby trzeba mu się było bić, ale na tym źle nie wyszedł, bo go książę bardzo po- lubił, i bywało zawsze - kiedy go widział - to lubił go prześladować, że gdyby nie pan Ignacy Rewieński go złożył, byłby mu głowę odciął.

Po obiedzie wszyscy poszliśmy na dziedziniec bernardynów, gdzie lubo dobrze byliśmy pijani, *de noviter reperta* piliśmy. Już tam była mieszanina. Jaśnie wielmożni i okoliczna szlachta, magnaci i zaścianki byli brat za brat. Książę, napotkawszy jakiegoś szlachcica z ob- darta czapką, zdjął mu ją, na swoją głowę włożył, a dał mu swoją aksamitną. Na to hasło wszyscyśmy zaczęli mieniać sobie czapki, a pić, ale tak, że co momentu inną czapkę nosili- śmy. Potem książę, dobrze pijany, zaczął się rozbierać, besztając szlachtę z dobrego serca. I tak jednemu dał pas złoty, mówiąc: „Darując, durniu!” - drugiemu kontusz:

„Na, świnió!” - a temu szpinkę brylantową: „Trzymaj, ośle!” - a innemu żupan: „Weź, kpie!” - tak że został w hajdawerach amarantowych i w koszuli, na której wisiał ogromny szkaplerz; i tak siadł na wozie, na którym była ogromna beczka napelniona winem. On siadł na beczce, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilkanaście kroków za- trzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nastawiał, a książę czop od beczki odykał i perorował, prosząc szlachtę, aby mu dopisała, żeby pana Michała Rejtena na pisarii utrzymać, a nie dać Radziwiłła na pastwę nieprzyjaciół jego:

- Panie kochanku - mówił - widzicie ten mój szkaplerz? To ja go w sukcesji mam po moich antenatach. Jeszcze go mój protoplasta, Lizdejko, nosił wprzód, nim rewokował Władysław Jagiełło. Sierotka z nim do Betleemu chodził. On wielki jest, bo w nim zaszyta unia Litwy z Koroną. Ja kocham Koronę, panie kochanku, ale nie ma, jak nasza Litwa. Ja i w Koronie mam kawałek ziemi, ale diabeł by tam siedział. Tam łatwiej o kuśnierza jak o dojeżdżacza. My tu niedźwiedzie bijem, a tam z rozjazdem na przepiórki polują. U koroniarzów susły, tu gruba zwierzyna. To, panie, jak zaczął mnie prześladować książę biskup wileński, szwagier pana wojewody nowogródzkiego, co tu usadził się na nas, aby nie pan Michał Rejten, ale pan Ka- zimierz Haraburda dekreta nam pisał, to już z rozpaczy chciałem się do Korony wynieść. I mnie tam intratne opactwo dawano, za to że piękne wiersze piszę. Już byłem osiadł na Rusi, ale kiedym zaczął się modlić Panu Jezusowi w Boremlu, On się do mnie odezwał: „Radzi- wille, wracaj do Litwy, bo tu nic nie wskórasz, tu szlachectwo śmierdzące. *Ostende patrem patris* to wielka filozofia u szlachty wołyńskiej i kijowskiej, nie tak jak u nas w Litwie, co od antenatów każdy na gruncie swoim siedzi (bo moja

prababka była Litwinka). Wracaj tedy na Litwę i kłaniaj się szlachcie nowogródzkiej ode mnie. „A ja Mu na to upadłszy krzyżem o ziemię: „Panie! A jak ja mam powracać na Litwę, kiedy mnie Twój biskup prześladowuje!” A On mnie:

„To nie mój biskup, to hultaj: ale on naprzeciw ciebie nic nie dokáže. Wracaj, Radziwille, do Litwy, a niech mnie diabli porwą, jeżeli ty nie będziesz Radziwiłłem po dawnemu, a on, jak był kpem, tak będzie kpem.” Otóż, panie kochanku, ja, ośmielony takim przyrzeczeniem Pana i Boga mojego, do was wróciłem i Pan mój nadgrodził moją wiarę, bo ja nigdy nie wąt-

piłem o słowie przez Niego danym; a moje wiersze odstąpiłem księdzu Naruszewiczowi, bo choć on był podupadły, ale Radziwiłłowski krewny, i on za moje wiersze dostał biskupstwo smoleńskie.

A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić, to nie tylko nasza, ale i partii przeciwnej, nawet zaścianki, co Woronczy tykają, tak że już można było widzieć, że nazajutrz ani się odezwą przeciw nam, i że na darmo ekspensa senatorów nowogródzkich poszły.

Do dziesiątej w nocy asystowaliśmy księciu, pijąc, tańcząc po ulicach i śpiewając, ale tak, że obywatele partii wojewody nowogródzkiego bali się, by ich nie podpalono. Ale wszystko się odbyło porządnie i nikomu gwałtu nie robiono. A odprowadziliśmy księcia, zawsze na beczce, ale już próżnej, aż do klasztoru, gdzie on jeszcze na dziedzińcu dokazywał i stanął przy studni, zrzucił hajdawery i koszulę i tam kazał się zlać wodą. Czym się wytrzymał od razu i poszedł do celi, gdzie podkurek zjadłszy i z ojcem Idzim pacierze odmówiwszy, spać się położył, pamiętny, że mu na ósmą z rana trzeba być w kościele dla zagajenia sejmiku. O samej ósmej nazajutrz zebraliśmy się w kościele, gdzie książe, przybywszy, zaprosiwszy

wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagaił sejmik tymi słowy:

- JJOO. JJWW, i WW. nasi wielce mościwi panowie i kochani bracia! Z rozkazu waszego objąwszy przewodnictwo wasze w sejmikowaniu w celu wybrania pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić, że na kandydatów dwóch obywatelów naszego województwa się po-

dali: jeden - JPan Michał Rejten, niegdyś wasz deputat na trybunał wileński i szambelan JK. Mości, drugi - JPan Kazimierz Haraburda, starosta wiladymowski. Zatem, panowie bracia, raczcie oświadczyć, którego z ich dwóch życzyście sobie na pisarza ziemskiego.

- Pana Michała Rejtena prosimy! - odezwali się Odyńcowie, Siemieradzcy, Hacińscy i Mickiewiczze. - Zgoda! Zgoda! - odpowiedzieli szlachta z zaścianków. - Pana Rejtena prosie-

my! - Nie ma zgody! - krzyknęli Jeśmany, Czeczoty, Słuszkowie, ale głosy były słabsze nie- równie. Nikt z naszych szabli nie dobył, bo książe wszystkich nas zaklął, żeby żaden do gwałtu nie dawał pobudki, chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Książe wojewoda powstawszy powiedział:

- Bywał tu zwyczaj w naszym województwie, że *unanimitate* wszystko się odbywało, ale *nemini vox non est deneganda*: zatem zapraszam panów braci do wetowania.

Szlachta zaczęła głosować, ale ledwo parę godzin minęło, już aż nadto był pewny pan Ha- raburda, że ani podobieństwa nie było się utrzymać: wszystkie zaścianki go zawiedli; więc, żeby jakoś nie objawić słabość swojej partii, przybliżył się do koła, zabrał głos, w którym oświadczył, iż nie chcąc być na przeszkodzie panu Michałowi Rejtenowi, od kandydacji od- stępuje. I zaraz wyszedł z kościoła i wyjechał na wieś, mocno zgryziony i nie bez wielkiego żalu na JW. wojewodę nowogródzkiego, iż jego zaryzykował. Ale wkrótce potem tenże wo- jewoda instrumentował go sędzią grodzkim nowogródzkim - lepszy rydz jak nic - i tym go jakoś ukoił, a pan Michał został pisarzem ziemskim.

Jeszcze sześć dni trwał niby sejmik, ale w istocie hulanka. Jednak i te hulanki nie były bez pożytku: więcej albowiem trzydziestu spraw,

za namową szczególnie księcia wojewody wi-
leńskiego, poszły pod
sąd kompromisarski; a były niektóre bardzo zawzięte. Większej
połowy spraw superarbitrem był pan Jerzy Białopiotrowicz, który był
istotnym pacyfikatorem woje-
wództwa.

PAN OGIŃSKI

Za dawnych czasów z cierpliwością i statkiem można było zawsze sobie kawałek chleba zapewnić. Służba po pańskich dworach szlachcicowi krzywdy nie robiła: pan był panem, ale razem opiekunem sługi i jeżeli jak ojciec karał, jak ojciec kierował i o losie pamiętał. Ale nie każdemu dostać się do pańskiego dworu! Trzeba było mieć zasługi ojca lub krewnych za sobą albo jakich dobrodziejów, co by się chcieli wstawić, ale co do mnie, mogę powiedzieć, Opatrzność mną kierowała, bo nic nie mówiło za mną. Mój ojciec mnie odumarł w piątym roku, a choćby żył, co by mi pomógł szlachcic z zaścianku i spokojny: kawałka roli pilnował. Gdzie prostaczkowi docisnąć się do pana! Moja matka potem powtórnie poszła za męża, oj- czym nie bardzo był rad mnie w domu trzymać, będąc ubogim a własnych doczekawszy się dzieci. Ale Pan Bóg sieroty nie opuszcza. Miałem wujaszka woźnym, on miał dworek i ogród w Nowogródku; a chociaż miał dwoje dzieci, jednakże zlitował się nade mną i zabrał mnie z zaścianku do Nowogródka, kiedy siódmy rok mi się kończył. To ja potem, wyszedłszy jakoś na półczłowieka, na jego dzieciach choć w części przynajmniej wywiązałem się z tego, com był winien ich ojcu, bo moją niewielką pomoc Pan Bóg pobłogosławił, że żaden z wnuków wujaszka nikomu się nie kłania, tylko z grzeczności i z serca, a nie z potrzeby. Otóż wujaszek żył z woźniowstwa i taki co dzień jaki tyńf kapał, a czasem i czerwony złoty w domu się po- kazał, a wujenka, że była dobra gospodyni, studentów trzymała, a ja, to dyrektorowi buty czyszcząc, to w kościele z bractwem śpiewając, to w ogrodzie pieląc, z małego do pracy wtrawiałem się, co mi potem posłużyło. Dyrektor, co ze studentami u wujaszka mieszkał, a był sam w czwartej klasie, wyuczył mnie czytać i pisać, tak że księża jezuici wprost mnie przypuścili do infimy, nie przechodząc pro-formy. Uczyłem się najprzód z książek pana dy- rektora, ale potem wujenka kupiła mnie Alwara i już swobodnie uczyłem się ze swego a gor- liwie, bo co dzień wujaszek mnie mówił: „Sewerynku, ucz się, bo ty nie masz na czym próż- nować. Pókiś mały, ja ci daję barszcz i opończę, ale jak wyrośniesz, to czego nie wypracujesz, chyba wyżebrzesz -boś goły jak palec.” To ja tak się boję, bywało, aby dziadem kościelnym nie zostać, że uczę się a uczę Alwara na pamięć, tak że przed wakacjami na gramatykę uzy- skałem promocję. I tak szło dalej, że kiedy potem dyrektor nasz wstąpił do zakonu, ja na jego miejscu dyrektorem zostałem. Brałem po trzydzieści tyńfów na kwartał, i z własnej pracy przyszedłem do kontusza gredyturowego, żupana dymowego i pasa półjedwabnego, a pałasz po ojcu oddał mnie wujaszek, że jakoś w niedzielę można było uczciwie się pokazać między ludźmi. I wujowskiego chleba darmo nie jadłem, bo pisałem mu relacje pozwowe i tak za- wczasu do prawa przywykałem; ale że zaraz z retoryki do palestry nie poszedłem, było to z następnego wydarzenia.

Jezuici w Nowogródku od dawna byli zaprowadzili kongregacją sodalisów Marii; byłem jej członkiem i do dziś dnia z *pallatium Mariae* odbywam *officia*. Otóż po śmierci księcia Radziwiłła, kasztelana trockiego a kleckiego ordynata, prefektem kongregacji został JW. Ogiński, wojewoda Witebski, a ksiądz rektor, w nagrodę żem pracował i profesorom zasługi- wał się, mianował mnie marszałkiem kongregacji; bo jeden marszałek był z konwiktorów, a

drugi z stacyjnych; a nasz obowiązek był nosić laski przed prefektem. Otóż kiedy JW. wojewoda przybył do Nowogródka na dzień Wniebowzięcia i z wielką solennością oddawali mu ojcowie jezuici prefekturę kongregacji, ja jako marszałek wystąpiłem do niego z mową łacińską, którą sam napisałem i trochę tylko mi ją poprawił ksiądz Narwojsz, profesor retoryki, a ja, jej nauczywszy się na pamięć, wymówiłem ją przed nim śmiało i z dobrą (jak ludzie mówili) deklamacją, tak iż zaraz wpadłem w oko JW. wojewodzie, co w czasie nabożeństwa o mnie się wypytał u księdza rektora. Kazał mnie przyjść do siebie, wypytywał, co umiem; kazał mnie napisać coś, aby widzieć, czy dobrą mam rękę. Napisałem mu po polsku kilka wierszy z Kochanowskiego, a niżej po łacinie, że JW. wojewodzie było na imię Bogusław, napisałem z

własnego [konceptu]: *Ingentem Boguslao defero cultum, a me minimo excelsus tibi honor* - co mu się bardzo podobało. Posłał po mego wuja i powiedział mu, że chce mnie przyjąć do swego dworu. Na te słowa i ja, i mój wuj padliśmy mu do nóg i zaraz, już za pozwoleniem JW. pana, poszedłem z wujem zabrać moją mizериę i pożegnać się z wujenka. Nie obeszło to się bez łez, szczególnie z mojej strony, bo w jednej godzinie dwa razy rozplakałem się: pierwszy raz z czułości, żegnając się z wujostwem, a drugi raz z bólu, bo wujaszek, dając mi błogosławieństwo i cztery czerwone złote w podarunku, powiedział mi:

- Staraj się o trzy łaski: najprzód o łaskę boską, po wtóre o łaskę pańską, po trzecie o łaskę ludzką. Wszystkie moje opiekuńskie prawa zlewam na JW. wojewody, pana twojego, i ostatni raz dziś użyję władzy mojej opiekuńskiej, abyś zawsze, służąc u pana i opiekuna odtąd twoje- go, nie zapominał, jakie są prawa opiekuńskie.

Kazał mi się położyć i dwadzieścia pięć batogów mnie swoją ręką odliczył, które batogi dotąd mi stoją w myśli, tak szczerze były dane; i dobrze zapłakany powróciłem z wujem i tłumoczką do klasztoru, gdzie stał JW. wojewoda, który widząc, iżem bardzo był zapłakany, wziął to jedynie za czułość moją, chociaż to nie było jedynie z czułości.

JW. wojewoda kazał koniuszemu podróżnemu dać mnie konia, bym na nim asystując je- chał przy jego karecie, a lubo oprócz wujowskie dwa podjezdki, co czasem, bywało, pławie, nigdy na porządnym koniu nie zdarzyło się mi siedzieć - jakoś to ze krwi polskiej dobrze mi się udało. Bo kiedy, wyjechawszy już, o ćwierć mili za miastem JW. wojewoda opatrzył się, że okulary zapomniał w klasztorze, ja zawróciłem konia, wypuściłem go, piorunem stanąłem na dziedzińcu klasztornym, szkodę wynalazłem, zatrzymałem się nawet przez pół Zdrowaś Maria pod ratuszem dla kupienia pół kopy obwarzanków i wróciłem do pana, okulary w rękę trzymając, co mu się tak podobało, że darował mi konia, na którym miałem szczęście pierwszy raz jemu przysłużyć się. Przybywszy do Słoni- ma, gdzie często JW. wojewoda Witebski, jako starosta słonimski, przesiadywał, kazał zawołać pana Szukiewicza, marszałka dworu swojego (co go naówczas tytułowano podstolim wendeńskim, a który umarł podstarostą słonimskim), oddał mnie pod jego dozór, mianując mnie pokojowym, a razem oświadczył, że w kancelarii jego prywatnej pracować będę. Pan podstoli Szukiewicz był starożytny szlachcic i miał swój folwark dziedziczny; był powiernikiem JW. pana, który go często do publicznych używał interesów, jako światłego i sumiennego; a liczny dwór w wielkim rygorze umiał utrzymywać. Naznaczono mnie lafy trzysta tynfów na rok i obrok na jednego konia, stancją z dwoma pokojowymi, obywatelskimi synami, i miejsce u stołu marszałkowskiego. Był zwy- czaj u dworu, że przyjętego szlachcica na pokojowego marszałek oporządzał w mundur przy- jacielski domu Ogińskich (kontusz z sajety perłowej, żupan atlasowy zielony, pas jedwabny zielony z kwiateczkami i frezlami złotymi, czapka zielona z kasztanowatym barankiem i czerwone buty) i w tym ubiorze trzeba było być zawsze na służbie i już nadal utrzymać ten strój ze swojego. Ale na wstępie trzeba było oblać ten mundur - i na traktowanie dworzan i pokojowych z czterech czerwonych złotych, co mi je dał wuj, zaraz trzy poszły.

Pierwszy raz poznałem z bliska dwór wielki, prędko służby wyuczyłem się, a między dwo- rzanami i pokojowymi będąc najuboższym, bo oni wszyscy byli obywatelskimi dziećmi lub sami

obywatelami, zasługiwałem się wszystkim i uzyskałem łaskę ludzką, zaczynając od pana podstolego wendeńskiego, który często sypał plagi na kobiercu moim kolegom, a na mnie ani się nigdy nie skrzywił. Nawet, lubo jako ojciec dzieciom, był skrzętny, otrzymałem od niego w darze pas słucki lity, którego i senator nie powstydziłby się nosić. A to dlatego, że razu jednego, będąc z nim w Stołowiczach na kiermaszu za kupnem sukna na liberią, towarzysz chorągwi JW. księcia Sapiehy, wojewodzica trockiego, będący tam na konsystencji, przycze- pił się do niego i zaczął go w przytomności mojej oprymować; ujmując się za zwierzchnikiem moim, zacząłem od perswazji, ale że on, zapamiętały w swojej zuchwałości, nie tylko że nie poprzestał, ale jeszcze natarczywiej laził mu w oczy, ja, lubo towarzysz pancernego znaku więcej niż pokojowy, żem siebie znał szlachcicem, choć chudym pachółkiem, a do tego czu-

łem, że trzymając się wielkiej klamki miałem plecy za sobą, dawaj do szabli na gołe łby! No- szę ja od niego na twarzy pamiętkę, ale i on porządnie po ramieniu dostał. Podstoli zawsze miał w uwadze, że i pomściłem jego sławę, i taki za nią oberwałem guza: dobrze mnie za to wystawił przed panem moim i to mnie dało wziętość u moich kolegów, gdyż jako potulnego a piórem pracującego, z początku myśleli, że pałasz tylko dla ozdoby noszę, i często od nich przytyczki znosiłem, zawsze cierpliwie, bo postanowiłem sobie nigdy we dworze żadnej nie robić burdy; otóż kiedy gruchnęło, że dać radę pancernemu nie było dla mnie tym samym, czym się porwać z motyką na słońce, zacząłem być u nich w poważaniu, jako człowiek spokojny z przekonania, a nie z bojaźni.

Tak tedy pracując pod ręką JW. wojewody, a nie mając nieżyczliwych przeciw sobie, przyszedłem do tego, że już, pan miał do mnie nieco zaufania (choć byłem młody) i gdyby nie był umarł przed samym końcem konfederacji barskiej, byłbym mużem na jaśnie wielmożnego wyszedł. Co dzień się modłę i pokąd żyw, nie przestanę się modlić za duszę mego pierwszego pana, bo wiem, co by dla mnie zrobił, gdyby mu śmierć nie przeszkodziła; a co więcej, jemu winienem, że ojczyźnie służyłem. Szczególnie pamięć pierwszej mojej usługi dla niej ciągle pieści moją duszę. I taki oprzeć się nie mogę, by ją opisać, a niech ta moja re- lacja moich wnuków kiedyś zajmie i w ich sercu rozżarza tę miłość dla kraju, którą do dnia dzisiejszego pałac ani chwili nie przestałem.

Otóż po śmierci Augusta Trzeciego mój pan, jako prawie wszyscy panowie i my, szlachta, życzyliśmy sobie, aby syn jego królem był obrany. Tac to szeroko piszą, że Augustowie byli gnuśni, że rozpoili Polskę, że nawet językiem naszym rozmawiać nie umieli, że taki nam le- piej mieć Piasta niż cudzego. Jak teraz, to i ja na to się zgodzę; ale dawniej jakoś to szlachta przywykła do rodu, co panował więcej lat sześćdziesięciu. Za królów Sasów był bezrząd, ale była swoboda, było złe i dobre, a co więcej, za nimi był naród; a za Piastem były obce forszy. Przyzwoiciej było szlachcicowi i panu ze swoimi bładzić jak mieć słusność przy pomocy zagranicznego żołnierza. Otóż więc, kiedy Moskwa najechała Warszawę, aby pana podstole- go litewskiego na tron wynieść, prawie wszyscy panowie, temu nieradzi, ukartowali, aby po całym narodzie konfederacją podnieść i przyjsć do tego, by nikt obcy już u nas nie gospoda- rował. Zjeżdżali się pany, wysyłali do siebie gońców poufałych i wszystko się gotowało do wybuchnięcia. Ale nie tak łatwo było co rozpocząć; bo Moskwa napełniała kraj wojskiem i nie można było z jednego województwa do drugiego przejechać bez spotkania moskiewskich komend, co przejeżdżających zatrzymywały i trzęsły, czy jakich listów nie znajdują. Trzeba było robić ostrożnie, a tu książe Radziwiłł, wojewoda wileński, i JW. Pac naglili a naglili na mego pana, aby coś zacząć, bo jego mieli za wielkiego ministra, i nie bez przyczyny. Ale on wszystko kunktował, żeby jeszcze czekać, póki nie odbierze wiadomości od chana krymskie- go, Islam Gireja, na którą co chwili czeka. A pan Bohusz, co potem był sekretarzem general- nym konfederacji barskiej, ciągle przesiadywał u JW. wojewody i ciągle się z nim naradzał. O czym? - ja, lubo byłem użyty do pióra, to ledwo przez dziesiąte domyślałem się, o czym oni konferują z sobą, tak nawet z nami ostrożnymi byli. Aż tu jednego poranku, o piątej z rana, przychodzi do przedpokoju sypialnego pana, gdzie był na służbie, Kozak z Murafy, prosząc mnie, aby natychmiast mógł się widzieć z JW. wojewodą.

- Jakiż masz interes do niego?
- *Oto wezu jemu hostyneć od pana mojeho, pidczaszaho litowskaho Potockoho: on mu pry- syłaje dwi fury sływok węgierek. Na syłu tu prywez, bo Moskali po dorozu, a wsiakij zaderžu- je, a pytaje sia: „Majesz pyśmo?” - „Oto jest łyst od moho pana”. To odbyrajut, list do star- szyzny nesut, a pisle oddajut. Toho było zo dwadciat razy; a szczo myni sływok pokrały? to i połowyny ne ma.*
- Poczekajże, mój kochany, niech no pan się obudzi.
- *Panyczu, serce, pustyte meni do jasne osweconoho pana, bo ja ne mohu czekaty.*

- Ale, mój kochany, czy ty oszalał, żebym dla twoich śliwek budził pana? Parę godzin po- czekaj, a wolisz napić się wódki i śniadanie zjeść niż nalegać na mnie.

- *Spasi Bih za waszu myłost', ale ny pyty, ny istry ne budu, poki ne podywlu sia na woje- wodu. Bijte sia Boha, a pustite! Meni treba zara ichaty do Bociok. Pustyte, panyczu, bo pry- siał Bohu, że pan na was bude żuryty sia, koły uznaje, szczo zara mene ne pustyty; a koły ja brechaju, to pisle bijte mene w smert, sam położu sia.*

Odważyłem się pójść do pokoju pana i obudzić go.

- Co takiego? - zapytał.

- Oto jakiś Kozak ze śliwkami przybył z Ukrainy do JW. pana i ma list od JW. Potockiego, podczaszego litewskiego. Na to mój pan:

- Zawołaj go natychmiast!

A sam zerwał się z łóżka, chałat na plecy narzuciwszy, ale z takim pośpiechem, że nawet zapomniał przeżegnać się wychodząc z łóżka. Ja zawołałem Kozaka. Ten przyszedłszy padł do nóg wojewodzie i podał mu list na czapce.

- Soplico, weź go i przeczytaj głośno!

Czytałem; w nim nic nie było, tylko prośba od JW. podczaszego, aby JW. wojewoda ko- niecznie wypuścił w posesję starostwo bobrujskie, które do podczaszego należało, bo gwał- tem potrzebuje pieniędzy, a niżej podpisu były te słowa: „Stosownie do żądania Twojego śli- wek węgierek dwie fury posyłam Ci z Murafy.” JW. wojewoda mnie powiedział:

- Zaraz przyprowadź do mnie Bohusza i sam przychodź z nim - a sam zostań z Kozakiem. Zastałem pana Bohusza już ubranego i piszącego u kantorka. Gdy mu przyniosłem rozkaz pański, by natychmiast do niego poszedł, poszliśmy razem i znaleźliśmy pana nalewającego kielich wódki Kozakowi. Jak tylko wszedł pan Bohusz, wziął go natychmiast JW. wojewoda do okna i zaczęli z sobą coś szeptać, a po kilkunastu chwil rozmowy odezwał się pan do

mnie:

- Soplico, pójdz do mojego alkierza: na fajerce woda się grzeje, znajdziesz mydło, mied- niczkę, pędzel i brzytwę. Przynieś to natychmiast i zabieraj się do golenia.

Ja, zdziwiony, posłuszny rozkazowi pańskiemu, wszystko, co potrzeba, przyniosłem, za- cząłem brzytwę o pasek wecować i czekałem, aż pan śledzie, by go ogolić, nie bez strachu, bom w życiu nikogo nie golił. Ale pan mnie powiedział:

- Połóż to, co masz, na stole. A teraz przysiąż mi na tę świętą Ewangelię, że nikomu nie powiesz, co będziesz widzieć; to, co się robi, jest dla dobra ojczyzny.

Ja natychmiast przysięgę wykonałem; mój pan dał znak, Kozak kląkł na środku pokoju, który wewnątrz na klucz pozamykał pan Bohusz, a pan powiedział:

- Soplico, ogól głowę całkowicie temu Kozakowi. Coraz w większym zdziwieniu zaczą- łem jego golić; ale ledwo goła skóra się pokazała, jakież było zdziwienie moje, jak spostrze- głem litery napisane serwaserem. Przybliżył się JW. wojewoda z W. Bohuszem i wyczytali następne słowa: „Nie traćcie czasu, my tu na wrzesień powstajemy, i wy powstawajcie. Islam Girej mnie upewnił, że jak Korona z Litwą powstana, Porta pospieszy w pomoc.”

Pan natychmiast podstolego wendeńskiego posłał do Nieświeża z listem nic nie znaczą- cym, ale z obszerną instrukcją; pan Bohusz, raz za Żyda, raz za Cygana, raz w swojej postaci, objeżdżał szlachtę; dość

że nie upłynęło trzech tygodni, a powstanie było po całej prawie Litwie. Ale cóż? Dywan został przekupiony przez Moskwę, Porta pomocy nie dała, a tak wszystko na nas się zmełło. I cuda waleczności nie mogły przeważać liczby i okoliczności. Z początku jednak po kilkakrotnie nam się udawało. W Świsłoczy, gdzie pierwszy raz poznałem się z nieprzyjacielskimi kulami, napadliśmy na pułk piechoty moskiewskiej. Generał Lider-son, co nim dowodził, kapitulował i zaręczył podpisem i honorem swoim, że ani on, ani nikt z jego komendy do końca wojny w Polsce wojować nie będzie. My, zawierzywszy, pozwoliliśmy mu wyjść, a w kilka dni znowu z nim biliśmy się. Całe jego tłumaczenie potem było, że buntownikom nikt nie jest obowiązany słowa dotrzymać. Byłem pod Kleckiem, gdzieśmy z

milicją księcia Radziwiłła i zbieraną drużyną szlachecką ośm godzin trzymali się przeciw całemu korpusowi Podgoryczanina (gdzie obydwie siostry księcia Radziwiłła, JO. Rzewuska, chorążyna wielka litewska, i JW. Morawska, generał-lejtnantowa, same z pałaszem w rękę po kilkakrotnie atakowały na czele jazdy), ale tak silną mieli artylerię, że nie było sposobu. W tej to bitwie Aleksander Odyniec, miecznikowicz wołkowyski, co później zginął pod Stołowicami, idąc na armaty, konia miał pod sobą ubitego i trzy palce u prawej ręki kartacz mu urwał. Odtąd już wszystko się u nas mieszać zaczęło. Gdyby Odyniec młodo nie był skończył, na wielkiego wodza by wyszedł. Kilka tygodni wprzód pod Stołpcami na czele 200 szlachty i dworskich napadł był na brygadę moskiewską, w puch ją rozbił, obydwie ich armaty zabrał, a nie mogąc ich uwięzić, zagwoździł. Pan Tadeusz Rejten, ów potem nieśmiertelny poseł, co był z nim pod Stołpcami i tam nauczył się go cenić, gdy pod Klokiem obaczył go leżącego pod koniem ubitym, wpośród ognia najokropniejszego podał mu swojego, aby go nie dać w niewolę, sam siebie na los puszczając, mówiąc do nas:

- On potrzebniejszy wam niż ja, bo nikt was tak nie poprowadzi, a ja, czy wyjdę piechotą, czy wezmą mnie lub ubiją, mniejsza dla ojczyzny. Żeby trzy palce utraciły wszystkie ręce, co ruble moskiewskie biorą, a temu pocziwemu Odyńcowi żeby jeszcze dwie drugich rąk przy- było, to los pokazałby się sprawiedliwszym.

Wtem jak zaczęli na nas sypać a sypać kartaczami, w nieporządku zaczęliśmy się cofać przeredzonymi rotami, bośmy utracili większą połowę naszych. Szczęście, że Moskwa bojąc się, aby powstanie mińskie z tyłu nie napadło, przestała nas ścigać i dano nam dwa dni odpocząć; co dało czas księciu wojewodzie wileńskiemu nas zebrać i pójść na Ukrainę, by złączyć się z podczaszym litewskim.

TRYBUNAŁ LUBELSKI

Blisko ośmdziesiąt lat bieduję na tym padole płaczu, ale drugie i trzecie tyleż lat bym żył, a nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie sprawił trybunał lubelski, chociaż na *nim* byłem nie dzieckiem ani młokosem, ale już miałem blisko lat czterdziestu. Chodem starzec, nie za- zdroszczę biednej młodzieży naszej, że mnie przeżyje, bo nigdy widzieć nie będzie tego, na cośmy patrzyli!. Doczekają się oni zapewne czegoś dobrego, ale taki to nie będzie, co było. I nasze trybunały były pełne powagi i było na co patrzeć; ale trybunał koronny był jeszcze ok- zalszy, bo i starszy był ledwo nie dwomaset laty, i nierównie więcej narodom sprawiedliwość wymierzał. Na Litwie dziesięć województw, a w koronie ledwo że nie trzydzieści. Otóż, kiedy konfederacja barska się rozwiązała, kraj pierwszy raz podzielono, a mój pan już nie żył, jak to powiadają: usiadłem jak na maku. Miałem ja chętkę i w wojsku służyć i o tom się sta- rał, ale nowy etat przyjmował konfederatów barskich jak pies jeża. Poszedłem z kwitkiem. Co tu było robić? Przypomniałem sobie czasy dawne, jak to ja kiedyś u wuja relacje pozwów przepisywałem. Pomyśliłem sobie: „Pójdę do palestry obywatelom służyć.” Coś się z prawa pamiętało, reszta się douczy. Nie święci garnki lepią. Pomagali mnie ludzie; w Polsce, kto się bił za ojczyznę, a jeszcze coś dla niej oberwał

po kościach, między swoimi z głodu nie umrze. Pan Fabian Wojniłowicz, regent ziemski, wziął mnie na dependenta; a przy takim łepaku, kto by nie chciał, prawa by się nauczył. Wkrótce człowiek przywykłszy stawać, jak potrzeba, a stronom nie bardzo w kieszeń zacierając, szlachta mi powierzała interesa. Właśnie wtenczas na rękę mnie poszło, że pan Stefan Oborski, plenipotent księcia, ożeniwszy się z panią Chrapowicką, bogatą wdową [której wprzód wydzwignął majątek, nieco zawikłany], a z tego powodu wynosząc się do dóbr żoninych na Białą Ruś, księciu podziękował. Wielu było ubiegających się, aby jego miejsce zastąpić, i wielkie były forsy. Ale książę z własnego instynktu,

przypomniawszy sobie, że i widywał mnie w bitwach, i że parę razy byłem do niego posłany z sekretnymi instrukcjami od JW. Ogińskiego, wojewody witebskiego, wówczas pana mojego, przez wzgląd na te małe moje dla kraju zasługi powierzył mi atentowanie wszystkich spraw, jakie by mógł mieć tak w ziemstwie, jako i w grodzie nowogródzkim.

Już od roku chodziłem koło pańskich interesów, kiedy książe rozkazał mi jechać do Białej z częścią swojego dworu i tam na niego czekać. Książe, tam przybywszy, niedługo gościł i ruszył do Lublina, gdzie już finalnie sądzoną być miała jego sprawa zadawniona, a która przez wielkie forsy przechodziła. Jeszcze ona zaczęła się za czasu księcia Radziwiłła Sierotka i okoliczności, z których wynikała, głośnymi są w historii litewskiej. Oto książe Sierotka w ściślejszej żył przyjaźni z Iliniczem, wojewodą brzeskim litewskim, co miał wiele dóbr, a między innymi Białe, w której mieszkał. Kiedy więc książe Sierotka powziął zamiar odzyskania ziem grzymki do Ziemi Świętej, powierzył go przyjacielowi swemu. A że w kraju, gdzie barbarzyństwo pogańskie panuje, gdzie morowe powietrze nie ustaje, gdzie dostać się nie można, jeno przebywając góry, morza i pustynie, podróż jest tak niebezpieczną, iż można było zakład trzymać, że z niej się nie powróci, książe, będąc jeszcze kawalerem a nie mając sukcesora, jeno książąt

Radziwiłłów, upartych kalwinów, co go z powodu, iż rewokował, ile mogli, prześladowali, a tym i on do nich niewiele miał serca i nierad był, aby po jego śmierci ogromne spuścizny miały z bogactw niezliczonych krewnych - te wszystkie okoliczności przyjacielowi wynurzając radził się jego, jak by rozporządzić swoją fortuną. Na to pan Ilinicz:

- Jak zrobisz testament, mój książe, a Pan Bóg ciebie do kraju nie powróci, z twojej szczytoty nie będą korzystać ci, których obdarzysz. Ty wiesz, że w prawodawstwie naszym żaden testament nie jest tak mocnym, aby interpretacjom nie podpadał. Krewni twoi, Radziwiłłowie birzańscy, są silni, oni rej wodzą dysydentami obydwóch narodów, a w Litwie i katolik nawet od Radziwiłłów nie odstąpi; zwałą twój testament, owładną twoje dobra i napelnia ich bombizami. Ja bym ci radził nie testamentem, ale formalną transakcją rozporządzić majątkiem.

- A to jakim sposobem? - zapytał książe Sierotka.

- Ty nie żonaty - odpowiedział Ilinicz - ja potomków nie mam; zrobmy więc między sobą transakcją na przeżycie. Ja pierwiej umrę: wszystkie moje dobra twoje; Pan Bóg cię pierwiej zawoła do chwały swojej: Służczynna, Kojdanowszczyzna, Siebież i co tylko teraz posiadasz, będą moje; a zjedzą diabła kalwini, jeżeli mi włókę twojej ziemi wydrą.

- Zgoda! - powiedział książe i zaraz oba panowie pojechali do Brześcia dla przyznania sobie transakcji.

Już tedy JW. Ilinicz wyglądał tylko zapewnienia śmierci księcia Sierotka, bo już, chodziły wieści raz, że okręt, na którym płynął, rozbitym został, raz, że z dżumy umarł, raz, że bisurmany go ubili, a że był łakomy, bardzo niecierpliwie musiał oczekiwać dokładniejszych wiadomości, bo pięć księstw i trzynaście hrabstw nie piechotą chodzą. Ale człowiek sporządza, a Pan Bóg rozrządza. Książe Sierotka wszystkie trudy i niebezpieczeństwa przy pomocy Anioła Stróża przebył i zdrów powrócił. Szukał śmierci po szerokim świecie, a jej nie znalazł; a ona pana Ilinicza w jego dobrach wytropiła. Bo

kiedy książę Sierotka już wracał do dóbr swoich, w Krakowie kilka dni ledwo zatrzymawszy się, obrócił podróż na Białą, aby przyjaciela uści- skać - aż wjeżdżając w miasto spotyka kondukt, ale bardzo okazały... Zapytuje, kogo to pro- wadzą - dowiaduje się, że przed dwoma dniami na polowaniu niedźwiedź wojewody Ilinicza rozdarł. Oddał mu ostatnie posługi książę i szczerze po nim płakał, bo był czulego serca, jako kroniki o nim piszą, i nie było cnoty, która by nie znalazła miejsca w jego sercu. Ale transak- cja jak wół była wyraźna - dostało mu się, czym łzy otrzeć i ubogim za jego duszę świadczyć, bo Biała. Sławatycze, Zabłudów i wiele innych dóbr Iliniczowskich weszło w dom Radziwił- łowski. Tak jemu pielgrzymka i na tamten, i na ten świat pomogła, bo był wart tego. Ale żona wojewody Ilinicza miała posag swój, dwieście tysięcy terazniejszych złotych wynoszący, oparty na wszystkich dobrach mężowskich; ona była z domu Turlów. Książę Sierotka, cho-

ciaż ona dożywocia na dobrach mężowskich nie miała, pokąd żyła, ich nie zajął, zostawując jej wszystkie dochody; a ona, wywdzięczając się za jego łaskę, listem własnoręcznym upewniła księcia, że ani ona, ani jej sukcesorowie o jej posag nigdy upominać się nie będą, będąc zaspokojoną dzierżeniem tak znacznych majątków. Ale po jej śmierci zaczęli Tarłowie sukcesorów księcia pieniać, jakoby takie ustępstwa kobiecie nie listem, ale transakcją, przyznaną w asystencji krewnych, mają się robić. Przez półtora lat o to wszczywały i urywały się sprawy. Książę Michał Radziwiłł, hetman wielki litewski, sam do Lublina na trybunał zjechał się z JW. Tarłą, wojewodą lubelskim, co mu niemało nadokuczał, bo był najzuchwalszym z ludzi. Ale jakoś i wtedy na niczym spełzło, a wkrótce potem JW. wojewoda lubelski, ostatni z domu Tarłów po mieczu, na pojedynku zginął od JO. księcia Poniatowskiego, podkomorzego koronnego, i ta sprawa dostała się w spadku JO. księciu Stanisławowi Lubomirskiemu, marszałkowi wielkiemu koronnemu, którego natenczas także spodziewano się w Lublinie. Jeżeli świadomy jestem tych wszystkich okoliczności, to nie dziw, bo od deszczki do deszczki mało dziesięć razy odczytałem wszystkie dokumenta dotyczące się tego interesu.

Pojechaliśmy więc do Lublina za księciem. Do bryki, na której siedziałem, dodali mnie Bartłomieja Chodźki, co był dworzaniem u księcia. Dobry chłopiec, ale paliwoda, jakiego świat i Korona polska nie widziały. Ojciec jego miał znaczne dobra w Upiekłem i po kilkakrotnie deputował na trybunał. I mógłby sam kierować syna, ale rady mu dać nie mógł, taki był zabijaka. Oddał go był do palestry; ale ten, więcej szabelki niż pióra pilnując, tyle ponarąbywał łap i uszów, że jednego roku trzydzieści tysięcy przeszło basarunków musiał za niego płacić. Dokuczyło mu to, a że był spadkowiec przyjacielem domu Radziwiłłów, a książę wojewoda lubił szlachtę łapczywą do korda, więc oddał go jemu, aby został nieświeskim dworzaniem. Wzrostu był małego i sucharławy, figura niepokaźna; ale w życiu moim nie widziałem człowieka takiej siły ani tak szablą robiącego. Miał on pałasz cieniutki, który smyczkiem nazywał, i miał sobie za satysfakcją wpadać między nieznanomych udając mazgaja. Tam z siebie dawał żartować, potem odciąć się czym grubym, żeby być wyzwany, dopiero, tchórze udając, od pojedynku się wypraszać, a potem, niby z musu, bić się i kaleczyć tych, co się na nim nie poznali. Ja, już jako ojciec dzieciom, a do tego zaszczycony przyjaźnią jego ojca, więc miałem dość nad nim przewagi i wierzył mnie. To bywało, nieraz umityguję go, kiedy z dworem przyjedzie do Nowogródka i wpadnie w burdę, którą lubił szukać; bo on zawsze u mnie stał, jako u sługi jednego dworu. Więc ja z nim sobie jechał, a on, że nigdy dotąd z Litwy nie wyjechał, wszystko mi w drodze powiedział:

- Wybaczaj, panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z koroniarzami;
- szczególnie rad bym poznał jakiego Łęczycanina.
- A to czemu?
- Temu, że kiedy mnie w szkołach męczono, to w Trocu wyczytałem: „*Se battre en diable*”
- bić się po łęczycku.”
- Tyle mi się zostało z całej francuszczyzny. Otóż rad bym się przekonał, czy lepsi gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu.
- Ej, porzuciłbyś, panie Bartłomeju, pleść takie opałki. Czyś zapomniiał, że pod bokiem trybunału burdę zrobiwszy, można się

przed czasem obaczyć z Trójcą Świętą? Waćpan całe życie guza szukasz; jak staniemy, ja księciu panu powiem, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie, a waćpana nie wypuszczę ze stacji.

- Panie Sewerynie, ja tak żartuję, aby czas prędzej schodził. Bądź spokojny; i pana ciągle będę się trzymał, a na miłość Boga, księciu panu o niczym nie mów!

Jakoż myślałem, że się panicz utemperował; bo na popasach i noclegach napotykałiśmy szlachtę łukowską przy kuflu, a przecie pan Bartłomiej nikogo nie zaczepił. I tak przyjechali- śmy do Lublina w sobotę wieczór. Ja był rad, że nazajutrz była niedziela, bo w drodze, dojeżdżając do Lubartowa, spuszcżając się z góry na groblę naszelniki pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiej się śmiał, ale ja okrutnie przeląknem się i zrobiłem intencją, że jak Pan Bóg

mnie wyratuje z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina nazajutrz pójde do spowiedzi. Jakoż, lubo nasza bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wstaliśmy wszyscy bez szwanku. Ale w niedzielę nie mogłem mojej intencji, tylko przez pół dopełnić, bo książe kazał z rana przyjść do siebie, aby pomagać panu chorążemu Radziszewskiemu do tłumaczenia tego interesu przed panami Hryniewieckim i Koźmianem, co później zostali jeden wojewodą, drugi kasztelanem lubelskim; oni pierwszymi mecenasami byli w Lublinie, a księcia pana przyjaciółmi. Szczęściem, że książe miał kapelana i ołtarz podróżny z wielkimi przywilejami od nuncjusza, bo inaczej byłbym mszą świętą przypiekl. W istocie konferencja po dwunastej się skończyła. Ja z panem Bartłomiejem poszedłem do bazylianów i trafiliśmy na sam koniec nabożeństwa. Uprosiłem księdza, aby mnie wyspowiadał, ale pora była tak późniona, że przyjęcie ciała i krwi Pańskiej do jutra odłożyć musiałem.

Trybunał w tym roku odbywał się pod laską JW. Chołoniewskiego, starosty kołomyjskiego, co miał jakąś koligacją z księciem panem, a prezydentem był kanonik Wodzicki, opat hebdowski, u którego stołu innego nie było wina, tylko pięćdziesięcioletnie; przez czas urzędowania tyle starego wina się wypilo, że pewnie przez niedziel kilka wystarczyłoby parę kamieni młyńskich obracać. On to mawiał, że wino przynajmniej jednym rokiem starsze powinno być od gospodarza. Otóż JW. marszałek tyle miał szacunku dla dostojnego swojego kolegi, że pierwszy go nawiedził i zaprosił do siebie na obiad, a książe pan przyjął go przed kamienicą, żaląc się, iż go uprzedził; potem z JW. marszałkiem pojechali do przewielebnego prezydenta i już razem byli do wieczora. A że pan Koźmian zaprosił do siebie na obiad W. chorążego Radziszewskiego i W. Rupejki, cywuna efragolskiego, co z przyjaźni dla księcia urząd marszałka dworu interymalnie sprawował, więc przy mnie, jako plenipencie, zostało pierwszeństwo nad dworem i u stołu marszałkowskiego byłem gospodarzem. Po obiedzie poszedłem, aby miasto poznać, a nie bardzo jednak dowierzając panu Bartłomiejowi obiecanego przezeń statku, zaprosiłem go, by mi dotrzymał kompanii. Poszliśmy więc chodząc. Ale że niedziela, wszystkie jurysdykcje były pozamykane, a urzędnicy, pacjentowie i palestra biesiadowali, okrom tego nie mieliśmy znajomych, więc z panem Bartłomiejem poszliśmy sobie za miasto od gościńca lwowskiego, aby okolicę poznać. Aż tu za miastem, może o półtrzeciasta kroków, kilka było starych lip; za nimi karczma, a przed lipami na brzegu gościńca leżał wielki kamień młyński. Pan Bartłomiej odezwał się:

- Nieźle by było siaść na tym kamieniu pod cieniem i napić się piwka.

- Dobrze mówisz. Poczekajże tu na mnie, a ja pójde do gospody i każę go tu wynieść. Jakożem i tak zrobił, a przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży do palestry należących, jakem wnosił z paśowych lubelskich kontuszów. Ja im się uklonił, oni mnie i wszedłem do szynku. Opowiedziawszy Żydowi, czego chcę, on poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekam czytając po oknach różne popisane koncepta; a gdy Żyd przyszedł, poszliśmy do lip;

aż widzę pana Bartłomeja siedzącego na kamieniu, jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których zastałem na przyzbie u karczmy. Oni stali kołem przy nim, a on na nich poglądał jak gap. Jużem poznał, że to będą nieprzelewki; przybliżyłem się do niego, a on do mnie, mazgaja minę zrobiwszy:

- Panie Sewerynie dobrodzieju, coś ci panowie do mnie mówią koroniarzowskim językiem, a ja ich nie ze wszystkim rozumiem.

Aż jeden z pańskich panów do mnie:

- Waćpanowie może nie wiecie, że to jest młyn palestry, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi wyjść z niego albo mąką, albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedzcie, którego mamy zmieć, a którego skrupić?

Ja im:

- Moi panowie, już ja za stary, abyście wy ze mnie żartowali, ale Bóg świadek, że jutro do komunii przystępuję; a po wtóre, będąc tu za interesem księcia Radziwiłła, wojewody wileń-

skiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozrządzać przed końcem jego sprawy. A oto jest dworzanin księcia, pan Bartłomiej Chodźko, sędzię upiekl. Bądźcie więc panowie łaskawi a puście nas spokojnie.

Między nimi był, jakem się dowiedział potem, dependent pana Koźmiana nazwiskiem Czarkowski, z Braclawskiego, który wiedział o interesie księcia i że jego mecenas nim się trudni. Ten się odezwał:

- Panowie koledzy, to jest umocowany księcia, a że nie dotykał się kamienia, nie mamy prawa go mleć; ale pan sędzię, że na nim usiadł, od tego wykręcić się nie może.

- Jakże mleć mnie macie, kiedyście mnie nie ze swego spichrza dostali?

- Kiedyś ty dotknął naszego kamienia, toś już z naszego spichlerza.

- A jakże wy mnie mleć będziecie?

- Słuchaj no, bracie, czy ty karabelę nosisz tylko dla ozdoby?

- A dla ozdoby.

- To my ciebie wyuczym, jak się z nią masz obchodzić. Wstawaj i dobywaj szabli!

- A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Czy byście nie woleli piwska się napić, ode mnie odczepić się, a mleć którego z waszych, bo zboże litewskie dobrze osuszona i twarde.

- To obaczmy - odezwał się jeden - czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, zatem ze mną trzeba zaczynać.

- A kiedy ja się asindzieja boję. Wolę przeprosić niż bić się.

- Nie, nic z tego nie będzie. Wychodź, bo inaczej, ilu nas jest, płazować ciebie będziem.

- No, już kiedyście tacy zawzięci, to czy nie ma jakiego Łęczycanina, niech się nie męczę!

- i zaczął chustką niby łzy z oczów ocierać, dodając: - O, biedna moja matulo, jakże będziesz płakać po twoim Bartku!

Tak ja:

- Panowie dobrodzieje, posłuchajcie mnie, od was wszystkich wiekiem starszego. Wszak to w tym samym Lublinie zrobiła się unia Korony z Litwą. Poruszają się zwłoki przodków naszych, jak Litwini z Polakami w tym mieście się powadzą. Czyby nie lepiej na pamiątkę Ludwika króla, ojca królowej Jadwigi, a teścia naszego Jagiełły, kilkanaście węgryńców w żołądku schronie razem? Dajcie pokój temu spokojnemu chłopcu, a pozwólcie, abym posłał po wino i was utraktował w tej gospodzie.

Zacząła się miękczyć palestra i niektórzy odzywali się do marszałka koła:

- Daj pokój temu poczciwemu Litwoszowi, on nie wiedział o prawach naszego młyna.

Tu już się zaczął obawiać pan Bartłomiej, aby burda na niczym nie spełzała, i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się drapiąc się po głowie:

- A, to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? A na Litwie w młynach miernik i wieprze, a nie marszałkowie siedzą.

Struchlał

em.

Marszałe

k:

- Słuchaj no, bracie, ja przez wzgląd na tego pana poważnego życie tobie daruję; ale trzymaj język za zębami i do nas z żartami niewczesnymi nie występuj, jeżeli nie chcesz, abyśmy ciebie porządnie

wypłazowali.

- Nie gniewaj się, W. marszałku, już nie będę żartować, ale serio mówić. A wiesz, dlaczego ja rad bym się z biedy bić z Łęczycaninem, a nie z panem? Bo powiadają, że Łęczycanie mają wielki rozum; a oto świadek mój kolega, że kiedyś jechał do Lublina z Litwy, po drodze Cyganka mnie wywróżyła, że z rąk wielkiego błazna mam zginąć; dlatego jakem spojrzał na W. marszałka, bardzom się nastraszył.

Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo że nie pękł ze złości i dobywszy szabli, z największym impetem na Chodźki natarł. Tamten tylko miał czas za kamień wyskoczyć i dobył swojego smyczka, nie zapomniawszy plunąć w rękę, i od pierwszego zakładu tak mu

dał po łapie, że szabla marszałkowi z rąk wypadła. Obwiązywali marszałkowi rękę, a on nie tyle z bólu, jak z kontuzji stał jak wryty.

- A nu - odezwał się pan Bartłomiej - czy nie ma kogo drugiego? Ja myślał, że bić się z ko-roniarzem wielka filozofia, a tu marszałka oporządzić łatwiej jak chleb z masłem zjeść.

- Poczekaj, gburze, dam ja tobie! - odezwał się drugi i z ogromnym pałaszem na niego. Ale ledwo parę razy [się] złożyli, a i drugi smyczkiem po łbie dostał.

Stanął trzeci:

- A, ty mazgaju litewski, chciałeś mieć do czynienia z Łęczycaninem, masz mnie. Tu trochę dłużej trwało, ale i ten po łbie dostał.

- A to diabeł, nie Litwin - odezwali się koroniarze. - Słuchaj, panie bracie, tyś zadrwił z nas. Udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastej próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy się bił, jest wolny od wszelkiej od nas prepedycji. Jeżeliś temu rad, ofiaruję ci przyjaźń; jeżeli nie, chociażęś tęgi, jeden po drugim wszyscy służyć ci będziem.

- *Omne trinum perfectum* - odezwałem się. - Panie Bartłomieju, będzie z waćpana, a po- całuj się z tymi zacnymi panami.

- Zgoda - odpowiedział Bartłomiej. - Ja jak mam sobie za zaszczyt, żem z wami się poba- wił smyczkiem, tak jeszcze za większy poczytuję waszą przyjaźń - i zaczął się z nimi cało- wać, a przepraszać tych, których obznaczył, a szczególnie marszałka młyńskiego. Ja, ich chcąc pocieszyć, powiedziałem:

- Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwymi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie.

Jakoż się szczerze pojednali i odprowadziliśmy do kwatery marszałka rannego, gdzie pale- stra nam fundowała hulankę, tak że dobrze podochoceni poszliśmy do naszej kwatery. Już to ja trochę strofował po drodze pana Bartłomieja, ale jeszcze go więcej niż wprzód pokocha- łem, bo taki honor prowincji litewskiej utrzymał.

Nazajutrz poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał i tam zastaliśmy już kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy młyńskim kamieniu. Oni czekali na przybycie człon- ków trybunału. Mnóstwo było palestry i pacjentów w ustępczej sali: można było z oka wy- miarkować, że tego było więcej dwóch tysięcy. Nasi nowi przyjaciele oprowadzali nas wsze- dzie i wszystko tłumaczyli. W sali trybunalskiej stał ogromnej wielkości kamienny krzyż ze Zbawiciela wizerunkiem, a nad krzyżem był napis wielkimi złotymi literami: *Justitias vestras judicabo*. To nas uderzyło, że Chrystus Pan miał twarz odwróconą tak, że jej rysów nie można było widzieć; ale nasi przyjaciele nam powiedzieli, że nie sycerz go tak wystawił, i owszem, Chrystus Pan z początku na *pretorium* [salę sądową] patrzył, ale przed laty nastąpiło zdarze- nie - w aktach trybunalskich umieszczone - które tego stało się przyczyną. Była wdowa szczupłego miana uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jej sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat, zobowiązawszy wszystkich członków trybunału, zyskał faworem siebie dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go odczytano, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: „Żeby mnie diabli sądzili, sprawiedliwszy byłby dekret.” A że sumienie nieco kłuło deputatów, na roki jej nie pozwano i wszyscy udali, jakoby nie słyszeli, z czym się ode- zwała. A że to było pod koniec sesji, porozjeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni, jako i świeccy; została się tylko kancelaria i pisarze

trybunalscy. Aż tu zaczęli się zjeżdżać w ogromnym mnóstwie karety i z nich wysiadać jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rókietach, ale z rogami i ogonami, które spod sukien się dobywały. I zaczęli iść po schodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej pozajmywali krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów. Pomiarkowali się pisarze i kancelaria, że to byli diabli, i w wielkim strachu przy stołach siedząc czekali, co to z tego będzie. Aż tu diabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tejże samej wdowy. Przystąpiło do kratek dwóch diabłów jurystów: jeden pro, drugi *contra* stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. A potem diabeł marszałek po krótkim ustępie przywołał pisarza województwa wołyńskiego (bo ten

interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie diabła, i kazał mu siąść za stołem i wziąć pióro. Zbliżył się pisarz, w pół umarły z bojaźni, i zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano - i dekret był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że diabli byli sprawiedliwszymi niż trybunał, przenajświętszą krwią Jego okupiony i w którym tyłu kapła- nów zasiadało, twarz swoją zasmuconą odwrócił i oblicza swego nie pokaże (jako miał o tym objawienie jeden święty bazylian lubelski), aż naród się pozbędzie zaprzędajności w sądach, świętokupstwa w duchowieństwie, a pieniactwa w szlachcie. Otóż ów dekret diabli podpisali (a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu) i takowy dekret położyli na suk- nie czerwonym, co pokrywało stół trybunalski, i zniknęli. Na następnej sesji trybunał znalazł diabelski dekret tam, gdzie był położony, bo żaden z kancelarii ruszyć go nie śmiał. Jest teraz złożony w oryginale w archiwach, a że *nemini acta impedita*, każdemu wolno go odczytać, a nawet ekstraktem wyjąć.

Gdy my się zastanawiali nad tak dziwnym wypadkiem, usłyszeliśmy woźnych na rozmaite tony powtarzających:

„Mości panowie, ustąpcie się, ustąpcie się! JW. sandomierski idzie!”

- A potem wznovu:

„Ustąpcie się, ustąpcie się! JW. chełmski idzie!” I tak ciągle, coraz innego jaśnie wielmożne- go mianując. My czym prędzej z izby wróciliśmy do sali ustępczej i tam między dwoma li- niami palestry i pacjentów, poprzedzani przez woźnych, szli poważni deputaci do sali trybu- nalskiej, lekkim skinieniem głowy odpłacając ukłony, prawie ziemi dotykające, licznych pa- cjentów. Aż huk bębnow i gęste wystrzały oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźniowie wszyscy odezwali się razem:

- Mości panowie, uciszcie się, uciszcie się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie. I prawda, że w tak licznym zgromadzeniu takie milczenie towarzyszyło przybyciu mar- szalka, że muchę słyszeć by można. Prawy i lewy szereg, między którymi przechodził, po- chylił się niziuteńko i aż dopiero, kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim się podnosił, a tak regularnie, jakby za pociągnięciem sznurka. Za marszałkiem kilku magna- tów przybyło i między nimi JO. księżę wojewoda wileński z JO. marszałkiem wielkim koron- nym szli razem, po przyjacielsku rozmawiając, chociaż się prawowali; ale wzajemnie bardzo siebie szacowali, ile że, pomimo kilkokrotnych krwi związków, JW. Rzewuski, hetman polny koronny, a księcia wojewody szwagier, miał wkrótce w dożywotniej parze łączyć się z księż- niczką Konstancją, córką księcia marszałka, panią, która chociaż młodziuchna, nie wiadomo, czym więcej zachwycała, czy uderzającą pięknnością, czyli światłem, któremu nie tylko ma- trony, ale na j pierwsi w narodzie mężowie nie zawsze zdołali sprostać, a która lubo za grani- cą wychowana, tak pięknie mówiła naszym językiem i tak była obeznaną z prawami naszymi, że nieraz dostojny ojciec jej rady zasięgał, chociaż był ministrem, jakich od dawna w Polsce nie było. I przywiózł ją był z sobą do Lublina. JW. marszałek trybunału zaprosił księcia mar- szalka wielkiego koronnego, księcia wojewody i innych senatorów znajdujących się za kratą, by raczyli wziąć miejsca w izbie trybunalskiej, a woźniowie im krzesła przynieśli. Bo mini- strów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, jeno oni sami przez delikatność wychodzili. Trybunał zasiadłszy, prezydent zaintonował *Veni Creator*, a deputaci duchowni i niektórzy świeccy wtórowali, jako wielu z palestry i pacjentów, że po całym rynku

słysząc było głośnie. Po odśpiewaniu hymnu JW. marszałek, uderzywszy łaską, dał rozkaz woźnemu, aby ogłosić gotowość sesji, a ten, stanąwszy na progu ustępczej sali, tubalnym głosem wykrzyknął:

- Mości panowie! Najjaśniejszy trybunał przywołuje was do atutowania i słuchania spraw. Dziś agitować się będzie registr ordynaryjny. Kolej przypada na województwo krakowskie. Mości panowie, gotujcie się!

Regent trybunalski głośnie przeczytał wokandę, a sprawa JW. margrabi Wielopolskiego, marszałka nadwornego koronnego, powodu, z W. Dembińskim, chorążym krakowskim, odwodem, o awulsa z margrabstwa pińczowskiego wprowadzoną została. Pan Koźmian stawał

od strony powodowej, a pan Plichta bronił W. Dembińskiego. To ale były indukta! Ani Cyce- ro, ani Demostenes lepiej by w podobnej sprawie nie mówili od tych dwóch mecenasów.

Było jeszcze kilka innych spraw na tej sesji, bo JW. marszałek bardzo był czynnym i co sesji kilka dekretów ogłaszał.

A co to była za okazłość! Deputaci duchowni w rękawach koronkowych, deputaci [świec- cy] w mundurach swoich województw, a palestra cała w mundurze lubelskim: kontusze pąsowe, zielone obszelegi i kołnierze, białe żupany. Taki to mundur dnia tego nosił nasz książę, jako obywatel tego województwa, w którym posiadał hrabstwo woszczatyńskie, także po Ili- niczach, a na którym pozwy od sukcesorów Tarłowskich były kładzione.

A po sieniach hajduki, pajuki, węgrzynki, a strzelce, a laufry; a na rynku karety, kolasy, a konie, nawet papież nie powstydziliby się nimi jeździć; a złoto wszędzie kapąło. Na trybunale to szlachcic poznawał wielkość swojego narodu. To kiedy my, dworzanie księcia wojewody wileńskiego, po sesji wracali do stacji, a przechodziliśmy popod sklepami, gdzie Niemcy i Francuzi towarami zagranicznymi handlują i wzbogacają się naszym groszem, to my na nich z litością spoglądali i każdy z nas pomyśli! sobie: „Nie zazdrościmy wam, że u was każdy w kamienicy mieszka, jak mówicie, i że u was łatwo o figielki stalowe i kościane. Co by wam było z waszego rozumu bez naszych pieniędzy! Aniście mieli, ani mieć będziecie tego, co my mamy. Gdzie się jaki nasz pan pokaże, to ani się opędzić od Francuzów, Włochów i Niem- ców; a taki nikt z nas do waszych panów nie lezie, chociaż chwalicie się, że u was wszystko porządniej niż w Polsce.”

Tego dnia był obiad u JW. prezydenta, gdzie był nasz książę i jego JO. antagonistą; i tam się robił początek zgody między nimi. A ksiądz Bykowski, deputat kapituły łuckiej, a który dzierżą! z kolacji księcia wojewody infule ołycką, wielmożnego Radziszewskiego i nas wszystkich, dworzan księcia, zaprosił do siebie, gdzie było kilku deputatów i mecenasów. A ciągle słyszeliśmy harmaty, bijące na wiwat tym, których zdrowia spełniali u JW. prezydenta. Tego wieczora

poszliśmy na teatr i przyznam się, że na nim trochę się zniecierpliwiliśmy. Bo człowiek był rad o sztuce granej dowiedzieć się i na koniec za to zapłacił, ale co zaczęły słu- chać, to koło mnie taki hałas, że ani sposobu trafić, o co rzecz. A jak pokaże się wyżej nas czy marszałek, czy deputat, czy jakiego deputata żona, to jak zaczęły krzyczyć z dołu wiwat, a niektórzy każą wina przynieść i nakrzyczą na komediantów, aby przerwali granie, póki nie skończą zdrowia. A tak nawrzeszczawszy wiwatów i przez może dwadzieścia rąk kielich ob- szedłszy, dopiero komediantom pozwolą dalej grać, póki im na nowo nie przerwą. Dość że tym sposobem sztuka się ledwo o jedenastej skończyła; a tyłem o niej wiedział powracając z teatru, jakbym nigdy ze stacji nie wychodził. Postanowiłem sobie, póki będę w Lublinie, na

teatr nie chodzić, aby więcej czterech złotych we wodę nie rzucać.

Niedługośmy bawili jeszcze w Lublinie, bo jak przyjechał JO. brat księcia marszałka ko- ronnego, książę kasztelan krakowski, i JW. hetman polny koronny, to sprawa, co od dwóchset lat trwała, w kilku godzinach się skończyła. Książę wojewoda wileński odstąpił na rzecz ksią- żąt Lubomirskich wszystkich praw, jakie miał wspólnie z nimi do sukcesji po Szydłowic- kich, a księżęta zakwitowali jego z posagu JW. wojewodziny Iliniczowej, o którego zwrot pretendowali. Komplanacją sam JW. marszałek trybunału swoją ręką

napisał, a strony ją podpisawszy osobiście przyznały. Ekstrakty z niej księciu wojewodzie wileńskiemu przynieśli prawnicy książąt Lubomirskich, którym książę rozdał do tysiąca czerwonych złotych; a W. Radzi-szewski, ekstraktem tę komplancją wyjąwszy, z nami zaniósł ją książętom Lubomir- skim, co była dla mnie wielka radość, bom jeszcze nigdy z bliska nie oglądał żadnego kasz- telana krakowskiego, który z urzędu jest *princeps senatus* [pierwszy z senatu] obojga naro- dów. Co wtedy dostał wielmożny Radziszewski i inni, w tom nie wchodził; wiem tylko, że W. Usarzewski, marszałek dworu księcia marszałka wielkiego koronnego, wręczył mnie z rozka- zu swojego pana tabakierkę papierową, ale ciężką, bo w niej było pięćdziesiąt czerwonych złotych, z których tego dnia użyłem dwadzieścia cztery na kupienie u Jokisza, Węgra, antałka

maślaczu, bo mi się tegoż samego roku dziewczyna urodziła. Otóż ten antał wyprawilem z transportem mojego pana do Litwy. A tak się dostał do Doktorowicz, gdzie sobie cicho leżał w piwnicy, że o nim nikt nie wiedział, pokąd na weselu tejże córki łaskawi przyjaciele wraz ze mną go nie wypróżnili.

W czasie naszego pobytu w Lublinie cudowny wypadek zdarzył się. W. Kurdwanowski, możny obywatel, a który rej wodził partii tego hetmana Branickiego, co potem zaniósł ojczyznę tam, skąd wziął żonę, był wielkim pieniaką i ani w Żytomierzu, ani w Włodzimierzu, gdzie były jego dobra, nie było kadencji bez kilkunastu jego wpisów; toż i w trybunale. Plenipotenci hetmana wielkiego koronnego jego spraw atentowali. Plecy miał mocne za sobą: biada szlachcicowi, co z nim sąsiadował! A taki był uparty, że w życiu nigdy się z nikim nie zgodził, ale zawsze pieniał się do upadłego. Otóż była wdowa mająca wioseczkę niewielką prawie w środku dóbr jego leżącą, a którą bardzo życzył nabyć W. Kurdwanowski i kilkakrotnie o to do niej się zgłaszał. Ale ta wdowa, nazwiskiem Glinkowa, wyraźnie zbyć nie chciała swojego majątku, lubo jego wartość pewnie o wiele nie dochodziła kwoty za niego ofiarowanej. Otóż rozgniewany W. Kurdwanowski tej biednej wdowy uporem ułożył sobie procederem wydrzeć, czego pieniędzmi dostać nie mógł. Miał on sobie obowiązanym neofity Abramowicza, który liznąwszy jurysterii, do wszystkich takowych interesów był sposobny. Jakoż podobnymi na obywatela się wykierował, tak że miał już gdzieś pod Berdyczowem kilka wiosek, które potem dzieci jego odziedziczyły, a przecie żadnego brudnego interesu nie opuścił, byle mu za niego coś kapnęło. Bo to był z tych, jakich niektórym potrzeba; jego antecesor za dwanaście srebrników Chrystusa Pana zdradził, on za sześć całą by Świętą Trójcę sprzedał. Ułożyli więc z sobą następną machinację: dziad pani Glinkowej od antecesorów pana Kurdwanowskiego nabył tę wioskę, która go tak mocno tentowała; a donacja, kontrakt *resignationis* i kwit *de pretio* na nią były w aktach żytomierskich. Przekupują więc niejakiego Chamca, plenipotentą pani Glinkowej, aby oryginały spomiędzy jej papierów wydobył i im oddał; one dostawszy jadą natychmiast do Żytomierza i tam za tysiąc czerwonych złotych wyrabiają u Chojeckiego, pisarza ziemskiego tamecznego, iż z akt wydziera obiatę tych dokumentów, a tak zatarliwszy wszelki ślad nabycia wsi, zapożywa W. Kurdwanowski panią Glinkowe o nieprawne posiadanie majątku *sine nullo dato et accepto*. Napastowana wdowa, zaufana w świętość swojej sprawy, a więcej jeszcze w świetle i przyjaźni pana Chamca, czeka wyroku, co jej spokojność ma powrócić. Ziemstwo nakazuje stronom zaprzysiąc komportacją dokumentów. Pan Abramowicz, jako plenipotent, przysięga, bo taki W. Kurdwanowskiego sumienie ruszyło i nie chciał być na sprawie. Jakoż i pan Chamiec zaprzysięgał także komportacją dokumentów, będących w jego ręku, z których zniszczył to właśnie, co stanowiło cały interes jego pryncypałki. A tak sąd ziemski, do którego dobrze panu Kurdwanowskiemu forytował pisarz Chojecki, a który na koniec może i sumiennie osądził, bo taki się sądzi z dokumentów, a nie z własnej wiadomości, przysądził wioskę panu Kurdwanowskiemu z kalkulacją od lat kilkadziesiąt, tak że majątna wdowa została tym dekretem bez kawałka chleba z trzema małymi dziatkami. Apelowała ona do trybunału, który potwierdził wyrok sądu ziemskiego. Ale że w Koronie dwa dekreta trybunalskie *conformiter* zapadłe stanowią dopiero konwiccję, wtedy kiedyśmy byli w Lublinie, ta sprawa była na stole. Spieszył na nią

pan Kurdwanowski w dobrej nadziei, bo wsparty dekretem ziemskim i jednym trybunalskim. Miał wielu deputatów za sobą i czym ich nabywać; a sumienie swoje zupełnie już był zwyciężył.

Jadąc więc do Lublina, gdy nocleg mu wypadł w Piaskach, zmęczony podróżą, spać się kładnie; marzy mu się we śnie, ale tak wyraźnie, jakby to się działo na jawie, że on wchodzi do sali trybunalskiej. I tam widzi miejsca marszałka i deputatów zajęte, ale przez osoby jemu nieznajome. Marszałek ogłasza, iż agitować się będzie registr taktowy, i każe czytać wokandę. Pierwszy wpis wypada pana Chamca. Jakież zdziwienie pana Kurdwanowskiego słysząc wprowadzenie jego sprawy ze wszystkimi okolicznościami jego zaprzędajności i wydania oryginalnych dokumentów na zgubę jego pryncypałki! Po wysłuchaniu tej sprawy w kilku

słowach ogłasza marszałek dekret skazujący na śmierć pana Chamca; a po przeczytaniu one- go każe wprowadzić sprawę następnego wpisu. Wprowadzają sprawę pisarza Chojeckiego. Słyszy Kurdwanowski (choć we śnie, ale silnie przerażony), jak instygator dowodzi, że pisarz wziął tysiąc czerwonych złotych, które mu W. Kurdwanowski sam wręczył, jak pofałszował akta itd., a marszałek wznovu ogłasza równej krótkości dekret, którym i pisarza Chojeckiego na śmierć wskazuje. Czeka więc Kurdwanowski, co tu dalej będzie; aż słyszy z kolei, iż czyta regent dwa następne wpisy: urodzonego Abramowicza i W. Kurdwanowskiego. Marszałek obydwa wpisy każe połączyć i wprowadzać sprawę. Tu słyszy W. Kurdwanowski instygatora tłumaczącego całą rzecz i dowodzącego z wymową najgromliwiejszą, ale tak, że aż mrowie po nim przechodzą, że trybunał, skazawszy na śmierć pisarza Chojeckiego i adwokata Cham- ca, nie może mniejszej kary naznaczyć Abramowiczowi, który był główną sprężyną całej tej zbrodniczej tajemnicy, a cóż dopiero W. Kurdwanowski, który pieniędzmi swoimi jako szatan tych wszystkich nikczemników skusiwszy, przywiódł ich do najszykardniejszego występku - on, co z starożytnego na Podlasiu rodu, powinien by przykładem wszystkich do cnoty zachę- cać, związał się z przekrztami i ludźmi podejrzanego szlactwa, aby biedną wdowę, ale prawdziwą szlachciankę, zgubić. Jakaż byłaby sprawiedliwość najjaśniejszego trybunału, gdyby takowa czynność płazem poszła po panu Kurdwanowskim i żeby ten, co największą korzyść otrzymał ze zbrodni, był jeden wolny od kary! Po skończonym indukcje marszałek nie czekając repliki - ba, po prawdzie powiedziawszy, nie było co replikować - odezwał się tymi słowy: „Ogłoszenie wyroku w sprawie urodzonych Kurdwanowskiego i Abramowicza odkładam do Wielkiej Nocy” - i silnie laską stuknął, a pan Kurdwanow- ski się przebudził. Uczuł się być zmęczonym tak dziwnym snem i w wielkiej niespokojności siadł w pojazd. Ale jak zaczął w umyśle jego diabeł przeciw Panu Bogu patronować i wmawiać mu, że sen mara, że o tym myślał, więc coś mu się i przyśniło, ale że już raz zacząwszy, ambicja każe skoń- czyć, że prawność jest gatunkiem wojny, w której wszelki fortel uchodzi, byle zwyciężyć, że kto przekupuje, za łeb nie bierze - więc ci, co przedali sumienie, niech o sobie myślą; a on tak dalece nie wykroczył, że nawet nie on, ale jego umocowany zaprzysięgał fałszywie kompor- tacją, więc już w tym może sobie sprawiedliwość oddać, że okazał się dość sumiennym, a na koniec kiedyś, jak przyjdą lepsze czasy, to znajdzie sposób panią Glinkowe wynagrodzić... I tak do Lublina przyjechał nieco uspokojony, a przyjechawszy zaczął koło swej sprawy cho- dzić i popierać ją na sucho i na mokro. Aż tu przychodzi do niego sztafeta z doniesieniem, że pan Chamiec, wioząc pana pisarza Chojeckiego na jakieś kondescensje, most pod nimi się zawalił i że Chamca wyciągnęli spod mostu bez duszy, a pan Chojecki we dwie godzin sko- nał.

Dopiero tak się przeraził pan Kurdwanowski, że pierwszy raz w życiu okazał się skłonny do zgody. Nie tylko z całego proceduru zakwitował panią Glinkowe, ale z najsumienniejszą skrupulatnością wynagrodził jej wszystkie wydatki i szkody, jakie poniosła z jego powodu, i klęcząc w obliczu wszystkich prosił ją, by mu odpuściła, opowiadając publicznie sen, który Pan Bóg łaskawy mu posłał i który w części już się ziścił - co mu wielką zjednało sławę; bo przyznanie się do winy, skrucha i zadośćuczynienie są rzeczy nadludzkie i tylko ulubieniec Boży może ich uzupełnić.

Tak i trybunał, i pany, i my, szlachta, wielceśmy się z postępuku

pana Kurdwanowskiego zbudowali i pewnie ten dowód nowy wielkich a tajemnych rozrządzeń Bożych dla nikogo straconym nie został. Odtąd pan Kurdwanowski zupełnie odmienił prowadzenie swoje: wszelkiego pieniactwa poprzestał i wiódł życie prawdziwie chrześcijańskie. A te słowa we śnie usłyszane: „Odkładam wyrok Kurdwanowskiego do Wielkiej Nocy”, zawsze tkwiły w nim i zawsze cały post gotował się na śmierć, rachując się ściśle z swoim sumieniem, bo zawsze się spodziewał śmierci w czasie tych świąt. Jakom się dowiedział później, umarł w podszłym wieku, bo już i natenczas, kiedym go widział w Lublinie, nie był młody, ale umarł w

sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego, jako mu było objawione, i śmierć jego była do za- zdrości, bo można powiedzieć, że się do niej lat blisko trzydziestu gotował.

SICZ ZAPOROSKA

Chociaż urodziłem się Litwinem, ziemianinem nowogródzkim, co poczytuję dla siebie największym zaszczytem, a wzdłuż i wszerz kilkakrotnie całą Polskę przebiegłem, nie mogę nie przyznać, że Krasna Ruś jest najpiękniejszą naszą dzierzawą. Tam bez pracy prawie zie- mia obdarza rolnika niezliczonym plonem, bydło tuczy się bez dozoru, najpiękniejsze konie i niezliczone trzody owiec okrywają pastwiska, a śpiewy wieśniaków i uroda wieśniaczek świadczą błogość ich życia. Słyszałem, że od czasu zaboru ogromne majątki naszych daw- nych panów jak poszły w rozdrób między przychodniami różnego kalibru, którzy najczęściej groszem kradzionym te dziedzictwa ponabywali, namnożyło się podpanków, których nie- ludzkość do smutniejszego stanu przyprowadziła włościan niż gdzie indziej niewdzięczność roli. Wszystko to być może, ale mówię tylko o tym, co było za dawnych czasów i na com patrzył. Pierwszy raz Krasną Ruś poznałem w r. 1763, ale to nie był czas spostrzeżenia robić nad jej pięknnością, bo wtedy gdy po porażce naszej przez Podgoryczanina, ze szczątkami kon- federacji litewskiej szybkim pochodem i ledwo nie co dzień bijąc się, przebiegliśmy cały ten ogromny kraj, aby najprędzej dostać się na Wołoszczyznę, cośmy i dokazali, pomimo naj- większych przeszkód, wytrwaniem i walecznością naszą, a za szczęściem i przytomnością naszego wodza, JO. księcia Radziwiła, wojewody wileńskiego. Patrzyłem, jak on ciągle na koniu, zawsze się znajdował tam, gdzie było największe niebezpieczeństwo, i jak w najsmut- niejszych przygodach żadną chmurką nie oziębiał naszych nadziei. Byłem świadkiem, jak pod Sawińcami, już blisko Dniestru, którego przejście było kresem naszych życzeń, kurtka jego kilkakrotnie była przeszyta wystrzałami karabinowymi, a kula armatnia padła o kilka kroków od niego, potem podniosła się i wznovu przed koniem upadła, którą to kulę, ważącą dwana- ście funtów, kazał podnieść, a później takowej wagi z szczerego srebra odlać i ofiarował ją Najświętszej Pannie boruńskiej, gdzie ją widziano zawieszoną przed jej obrazem, nim w cza- sie rewolucji Moskale ją zabrali, zrabowawszy kościół boruński.

Ale w kilka lat potem, już w początkach konfederacji barskiej, JW. Ogiński, wojewoda Witebski, wysłał pana Azulewicza - z Tatarów, ale obywatela zacnie urodzonego, który po- tem był pułkownikiem lekkiego pułku w wojsku Rzeczypospolitej i ze mną sąsiedował aż do śmierci, która niedawno nastąpiła - otóż z rozporządzenia Generalności JW. Ogiński wysłał go do Islam Giraja, chana krymskiego, aby przy nim prowadził interesa konfederacji, do niej się ciągle zgłaszając i o każdej rzeczy jej donosząc. A dla przesyłania wiadomości, które tylko ustnie mogły przechodzić, bo nie było sposobu w papierki się wdawać, ciągle przedzierając się pomiędzy nieprzyjaciół, wysłano nas czterech młodzieży, na których spuścić się można było, bo i pan Azulewicz od nas nie wiekiem, ale wziętością był starszy, bo, biegły w języ- kach bisurmańskich,

posiadał szczególną ufność wodzów konfederacji, której to ufności nie zawiódł. Otóż było nas czterech jemu dodanych: pan Michał Ratyński, cześnikowicz miński, pan Wojciech Massalski, regentowicz oszmiański, pan Mikosza, co dobrze bisurmańczyzny wyuczywszy się, został później tłumaczem Rzeczypospolitej w Stambule, i ja; a każdy z nas osobno musiał jechać, dla uniknięcia podejrzania, i dopiero w Humaniu złączyć się nam trzeba było, gdzie pan Mładanowicz, rządca generalny, miał instrukcją od JW. Potockiego, wojewody kijowskiego, swojego pana, aby nas opatrzył, co tylko pan Azulewicz rekwirować będzie, i chociaż nas z Lwowa wyprawili, każdy swoją drogą do Humania szczęśliwie trafił, oprócz pana Massalskiego, który został męczennikiem miłości ojczyzny. Bo natrafiwszy na

komendę pana Branickiego, wówczas łowczego koronnego, a który już się zaprawiał na krwi rodaków, został do niego przyprowadzony. Jakiś pana łowczego dworzanin wydał, że go wi- dział we Lwowie przy dworze JW. Paca, starosty ziołowskiego, marszałka generalnego kon- federacji. Zaczął go pan Branicki wybadywać, od kogo, gdzie i z czym jedzie, bo domyślał się, że z czymś ważnym; kusił go różnymi obietnicami, potem katował niemiłosiernie. Ale szlachetny młodzieniec, pamiętny swojej przysięgi, gdy ani łagodnością, ani datkami, ani mę- kami nie dał się zachwiać, oddał go JW. Branicki komendzie moskiewskiej, która jako szpie- ga natychmiast go powiesić kazała.

Islam Giraj był zapalonym przyjacielem Polaków i ciągle nalegał na Portę, by wojnę wy- powiedziała Rosji, a do tego miał wielkie zaufanie u sułtana, na którym już był wymógł, że przekupionych członków Dywanu, którzy w r. 1763 rzeczywiście nas zgubili, poczęstowano stryczkiem jedwabnym. I kiedy pan Azulewicz do niego był wysłany, on natenczas swoimi stronnikami w Stambule popierał, jak mógł, JW. Potockiego, podczaszego litewskiego, który się biedził a biedził, aby sułtana namówić na wojnę, i taki dopiął swojego, pomimo całego Dywanu, który ciągle mu szył buty, bo jego członkowie mało co lepsi byli od tych, co dopiero gardłem zapłacili swoją zaprzędną. A dopiął swego takim sposobem: sułtan był bardzo gorliwym w swojej wierze i rad był cały świat nakłonić do swojego Mahometa. Otóż JW. podczaszy, wyczerpawszy wszelkich środków, takowego na końcu się chwycił: posiadał do- skonale język turecki i kilkakrotne posłuchanie prywatne miewał u sułtana - determinuje się sam do niego iść; a że straży było wiadomo, iż miał łaskę u sułtana, więc go do niego pusz- czono. Stanąwszy tedy przed nim, pada mu do nóg i mówi te słowa:

- Rządco prawowiernych! Wyrwij nas od ucisku moskiewskiego, a cały mój naród podda się pod wyznanie twojego proroka. Masz mnie tu w zakładzie, a w dniu tym, w którym się dowiem, że Moskale z całej ziemi naszej wypędzeni zostali, przysięgam ci, że dam się publicznie obrzezać.

To wtedy sułtan ucałował go, czego nawet z wejzyrem nie robił, i natychmiast wojnę wy- powiedział; bo już tu szło wyraźnie o honor Mahometa. A co to była za miłość ojczyzny - dać się potępić za nią! Bo pan podczaszy był bardzo żarliwym katolikiem, powiedziałbym, że nawet do zbytku, gdyby w tym mógł być zbytek; i nikt z nas od niego zapewne nie był świa- domszy, że jeno w naszym Kościele można dostać zbawienie i że co czeka takiego, co się poturcza. Otóż, kiedy później JW. a przewielebny Krasieński, biskup kamieniecki, jeden z wo- dzów naszej konfederacji, a którego rodzony brat, podkomorzy rozański, był marszałkiem generalnym konfederacji w Koronie, jak JW. Pac w Litwie, po przyjacielsku kiedyś mu wy- mówił, że za daleko się posunął:

- Bóg mi jest świadkiem, księżę biskupie - odpowiedział podczaszy - że nie dla rozpusty ani niedowiarstwa byłem gotów opuścić wiarę mych ojców, ale jedynie dla ratunku ojczyzny. Gdyby mnie za to miłosierdzie Boże ominęło, w piekle sam szatan musiałby mnie szanować.

Na te słowa świętobliwy biskup, ale razem najgorliwszy obywatel, nic nie powiedział, tyl- ko westchnął i lzy mu się puściły.

Otóż gdyśmy się połączyli w Humaniu, a oplakaliśmy przygodę naszego nieodżałowanego kolegi (którego krew o pomstę wołała na

zmoskwiciałego szlachcica, który szeregiem zbrodni przechodząc wyszedł na najmoźniejszego w narodzie pana; o duszy jego my nie zapomnieli, bo pan Roguszewski porządne egzekwie w kościele ojców bazylianów mu sprawił, na których nie tylko my, ale nawet pan Azulewicz, choć mahometańskiego obrządku, się modlił), układaliśmy naszą dalszą podróż. Trzeba nam było udać się najprzód do Siczy Zaporoskiej. Semen Kozudra, koszowy, co był w ścisłych stosunkach z wodzami konfederacji barskiej, skończył życie - i nadchodziły wybory nowego koszowego. Ta strata była dla [nas] tym boleśniejszą, bośmy na nim wielką nadzieję pokładali, że się z nami złączy z wojskiem, którego łatwo do trzydziestu tysięcy mógł zebrać; a tym sposobem konfederacja na nowo łatwo by się zawiązała na Ukrainie, której większa część była własnością panów, co nami bądź dowodzili,

baǳ nam sprzyjali, a przy tym wojsko tureckie i krymskie Tatary jak by weszły, niezawodnie cała Ruś została by oswobodzoną. Szło więc nam o to najwięcej, aby wybrano koszowego nam sprzyjającego; a mieliśmy po sobie Dziumdzuryka, pisarza Siczy, który tym mocniej nam pomagał, że był rodowitym Polakiem. On to ku nam był nakłonił Semena Kozudrę, bo był człowiekiem bardzo przebiegłym, odcytanym i wielkie mającym znaczenie w całym Za- porożu. I byłby sam wyniesiony na stopień koszowego, co by nam było bardzo pomyślnie, ale wedle ich praw koszowy nie powinien był umieć ni czytać, ni pisać, więc kontentować się musiał pisarstwem, co było drugim stopniem w Siczy, i tym nam pomagał. - Otóż pan Roguszewski wyprawił nas z gorzałką skarbową do Siczy jako sług ekonomii humańskiej. My z batogiem w ręku, idąc przy podwodach wołami ciągnionych, tę nie najdłuższą podróż odbywając, raz byliśmy tylko zatrzymani przez Dońców, którzy za okazaniem świadectwa ekonomii natychmiast nas puścili. Dodał nam pan Roguszewski kilku Kozaków humańskich. doświadczonych, co już nieraz gościli w Siczy; a myśmy się im zupełnie dali powodować, tym więcej iż oni szczerze byli przywiązani do wspólnej naszej ojczyzny. Przybywszy do Kahorliku, miasteczka do włości humańskiej należącego, a na którym się kończyły dzierżawy Rzeczypospolitej, trafiliśmy właśnie na czas jarmarku. Lubo miasteczko składało się tylko z ogromnej karczmy skarbowej nad samą Siniuchą i kilku mizernych domostw żydowskich, zjechały się na jarmark tłumy Tatarów, Kozaków, chłopów i Żydów, dla kupna lub sprzedaży koni, bydła, łoju, ryby suszonej, smoły itp. My, z podwodami stanawszy pod karczmą, a woły na paszę puściwszy, weszliśmy do izby szynkowej, gdzieśmy zastali mieszanię liczną rozmaitych narodów, a każdego łatwo było poznać, do którego należy. Tu Tatary w kożuszkach krótkich, których włos sterczał do góry, i w krymkach baranich odznaczeni się twarzą ogorzalą i oczami małymi. Ukraińskich chłopów można było poznać po szlachetności ich rysów i czystości białych koszul, na których czarność siermięgi wdzięcznie się odbijała. Głowy ogolone, na wierzchu których koska szeroka, spadająca aż na ramię, a seledcem przez nich nazwana, była jedynym szczytciem ciemnej czupryny. Wielkie szarawary, obwiązane szeroko czerwonym pasem, spoza którego wyglądała nahajka z rzemienia plecionego i jej srebrna rękojeść, zdradzały ukraińskiego Kozaka. A moskiewskiego kacapa któż by nie poznał po długim sarafanie ciemnobłękitnym, zapuszczonej rudawej brodzie, włosach w okrąg postrzyżonych, twarzy jak księżyc w pełni okrągłej, na której obojętność się malowała, i olbrzymich kościach, hojnie sadłem opatrzonych. Kobiet nie było innych, jeno Ukrainki, a tych było trzy rodzaje: baby, młodyce i dziewczki. Baby miały głowy chustką związane, opończe ciemne, barankami podszyte, zgoła strój skromny, ich wiekowi przystojny; ale młodyce i dziewczki, między którymi wiele było pięknej urody, były dość wykwintne w stroju: galony sute i kosztowne, korale gęsto się okazywały i dowodziły, że ich mężowie i rodzice byli majętni. Kiedyśmy weszli, całe to zgromadzenie słuchało z największą uwagą ślepego bazarza, co grając na lirze, śpiewał im różne wypadki, baǳ z Pisma świętego, baǳ z dziejów ukraińskich. Natrafiliśmy na to, kiedy śpiewał wszystkie okoliczności porwania księżniczki Ostrogskiej przez Dymitra księcia Sanguszki. I uważałem, że najwięcej zajmowało Ukraińców, kiedy on im wyliczał dobra księcia Dymitra i szlachtę i Kozaków jego dworu, jakoż i księżnej Ostrogskiej

dobra i jej sług obojga płciów, wszystkich po imieniu mianując. To, jak wymieni takie imię, które nosi jaki z przytomnych parobków lub dziewczek, natenczas śmiechy i palcem pokazywa- nie tego lub tej, co się wymienilo. My wszyscy byli ubrani jak chłopcy ukraińskie, więc ni- czym na siebieśmy oczów nie zwracali. Pan Azulewicz siadł między Tatarami i z nimi zabie- rał znajomość i przyjaźń, co mu nie było trudno - on, co po tatarsku mówił jak swoim języ- kiem. Pan Mikosza zajadał potrawę z nóg wołowych i kaszę jaglaną, co mu Syducha przynio- sła; pan Michał Ratyński był tylko pięknością dziewcząt zajęty i bardzo się do jednej zalecał, czym mnie niemało nafrasował, bo żaden z nas nie umiał tłumaczyć się językiem stosownym do stroju, któregośmy przybrali, aleśmy przynajmniej milczeli, a pan Michał ciągle z litewska coś plótł dziewczce, czym mógłby nas wszystkich w niebezpieczeństwo wprowadzić, bośmy

mogli natrafić jeszcze na moskiewską komendę. I dopiero byłaby bieda! Ale nic wszakże nie mogło pana Michała oderwać od powabów Ukrainki, która lubo z jego mowy się czasem naśmiewała, nie bez przyjemności spoglądała na ten nowy hołd oddany jej wdziękowi. A ja, lubo byłem równy jemu młodością, przyznam się, że śpiewem bazarza tyle byłem zajęty, że od niego nic mnie oderwać nie mogło. Z niego się dowiedziałem, że Artem Jełowicki, pan czterystu wsi, był marszałkiem dworu księżnej Ostrogskiej i że na czele jej ludzi nadwornych tak się wstawiał pod Suczawą przeciw Wołochom, że król Zygmunt ofiarował mu chorągwo nadworne litewskie; ale że on tego zaszczytu odmówił z powodu, iż księżna Ostrogska bez niego nie da sobie rady; że wzrósłszy na dworze kniazia Ilii, nie godzi mu się opuścić jego wdowy, a wedle Ewangelii dwom panom służyć nie może - jakoż dopiero po jego śmierci książę Dymitr najechał zamek ostrogiński; że książę Czetwertyński, dziedzic Komajgroda, co był towarzyszem kniazia Dymitra i Wasila na tym najazdzie, był synem Ostafieja, co swoim kosztem utrzymywał pułk Kozaków w służbie Rzeczypospolitej i wielce był jej zasłużonym; że bardzo mu się chciało kasztelanii braclawskiej, którą jemu król przyobiecał. Obietnicy panowie rady skutecznie nie dopuścili, chcąc jego wprzód na wiarę rzymską przeciągnąć, aby za jego przykładem wiele szlachty ruskiej się nawróciło. Ale on był szymatykiem twardym i sobie tego mówić nawet nie pozwalał, i z powodu niedotrzymania słowa był nieco rozjątrzony; o czym patriarcha moskiewski dowiedziawszy się, wyprawił do niego jakiegoś ihumena z propozycjami, by do cara przylgnał, a że za to zostanie nie kasztelanem, ale kniazem udzielonym braclawskim, i że mu pora pomścić się nad Rzeczpospolitą, co taką niewdzięcznością odpłaca jego zasługi; a on mu na to odpowiedział:

- *Krywda krywdoju, a otcyzna otcyzna.* Ja z jej nieprzyjacielem w pisma nie będę wchodził, ale ty jemu powiedz, *szczo kniaz Ostafi Czetwertyński, dydycz Komajgrodu i potkownik korola i Riczypospolitoj Polskoj, tobi skazał, szczo maty persze pobyje, a potom pomyłuje, a maczycha persze pomyłuje, a potom pobyje.*

Jak skończył bazarz śpiewać a nadstawił czapkę, to jak zaczęły piętaki w nią spadać, duchem przepelnioną została.

A potem parobkowie z młodzieńcami i dziewczkami zaczęli tańcować szumki. Pierwszy raz widziałem tańcowanego kozaka. Szczególnie jeden Kozak ślicznej urody z dziwną lekkością tańczył, przysiadł, jak oni nazywają, do ziemi robiąc, potem wznów skacząc do góry; hołubce bił piętą o piętę, szastał się z dziewczętami po całej izbie z niewidzianą zgrabnością i to wszystko robił grając na bandurce, czyli po naszymu teorbanie, i śpiewając rozmaite ukraińskie miłosne piosnki. Uważałem, że dziewczki ledwo go nie zjadły oczyma i do której się zbliżał, by z nią tańcować, wszystkie inne natychmiast się chmurzyły. Ale co nas uderzyło, to kilku Kozaków, których strój znacznie bogactwem się różnił od wszystkich innych. Nosili szarawary granatowe z złotym galonem, półkontusze pasowe z wylotami wiszącymi, żupaniki z białego ałasu, pas jedwabny z frędzlami złotymi i czapki wysokie z siwego baranka, a z wierzchu których wisiał po kark jakby worek pasowego sukna z kutasem złotym. Od kobiet widocznie stronili i usuwali się skwapliwie, kiedy jaka z nich przypadkiem się zbliżała; ale wszystkich mężczyzn, znajomych lub nie, gorzałką i miodem traktowali, obowiązywali do picia i sami tego pili, ale tak, że Żyd arendarz wiadrami na ich rozkaz gorzałkę i miód nosił, a co wiadro przyniesie, natychmiast ono się

wypróżnia i drugie, pełne, jego miejsce zastępuje. I nas także traktowali z prostą, ale obowiązującą grzecznością, tak żeśmy nie śmieli im odmówić za ich zdrowie po parę szklanek miodu wypić. Już tu mnie taka wzięła ciekawość, że lubo postanowiłem sobie ust nie otwierać, nie wytrzymałem i Żyda zapytałem, co to za Kozacy tak bogato ubrani i tak hojnie traktujący.

- A wy czużyi, szczo ne znajete zaporoskich Kozaków? Oni z ryboj w desiat' podwod byli w Humaniu, a tam dowidatysia, co ich koszowy pomer; tak spisajut nowoho wyberaty, szczo ne mili czasu prepit' swojego zarabotka i z porożnemi furami na Kahorlik wracajut do Siczy. Uże dziś predali i woły, i wozy. To moje szczastje, co oni z hroszami tu prybyły, w tej karczmie

wszystko prepyjut i hoły do domu powernut. Te bogate żupany oni ne z soboju prywezły, bo w Siczy ne hodyt tak ubyraty sia, ale w Humaniu kupili. Nym słonko zajde, to wy ich obaczyte, jak oni u sebe chodzą.

To jeszcze więcej zaostrzyło moją ciekawość i niecierpliwie wyglądałem wieczora, bo dopiero przed samym zachodem słońca mieliśmy dalej ruszyć z powodu niesłychanego upału. Ale nie miałem potrzeby tak długo czekać, bo jeszcze dwóch godzin nie minęło, a jak zaczął ich Żyd rachować, zabrał im co do grosza wszystkie ich pieniądze, ze tylko każdemu po kilka piętaków się zostało. Dopiero oni kazali podać sobie kadkę napelnioną dziegciem i jeden po drugim w pięknym swoim ubiorze do niej włąził i zanurzwszy się w dziegciu po szyję, dopiero rozbierał się i cały swój ubiór, jakby gardząc marnościami świata, na ulicę rzucał, aby go wziął, kto zechce; i czapkę to samo, równie dziegciem ją powalawszy. A potem każdy się ubierał w koszulę w łoju zmoczoną i siermięgę, w której z Siczy wyszedł, i z biczem w ręku, dobrze pijani, wyszli, nikomu nie powiedziawszy: „Bywaj zdrów.”

Pan Michał Ratyński pomimo moich perswazjów, żeby się wyspał, bo przez całą noc chodzić nam będzie trzeba, nie mógł się wyrwać od swoich zalotów i nawet w płasy się puścił z parobkami i dziewczkami, czym bardzo nas rozśmieszył, osobliwie jak poszedł pierwszy raz w życiu swoim w prysiudy. Ale pan Azulewicz, pan Mikosza, Kozacy humańscy, co z nami szli, i ja, w sieniach słomy i siana hojnie namościwszy, aż do godziny przeznaczonej ku dalszemu pochodowi porządnego wczasu my użyli.

Jeszcześmy szli dwa dni samymi stepami, ani pagórka, ani drzewka nigdzie nie widząc, tylko ogromną przestrzeń, równą jak morze, kiedy żaden wietrzyk po nim nie powiewa. Napotykaliliśmy kiedy niekiedy mogiły, w pewnym wyrachowanym porządku jedna od drugiej oddalona (które to mogiły Kozakom służą i za czaty, i za sposób niezbiać się z drogi w czasie zimowych zamieci) i często przechodzące na pół zdziczałe trzody, które zimą, jak latem pod gołym pasą się niebem. I tak bezludną przebywszy przestrzeń, stanęliśmy w Gardzie nad Bohem, gdzie zaczynają się posiadłości siczowych Kozaków. Tam między skałami były porobione jazy, czyli tamy do łapania ryb, i tam zastaliśmy asaule, przy którym w niebytności pułkownika, będącego w samej Siczy na wyborach, było dowództwo pułku korsuńskiego, stojącego w Gardzie na straży. Nasi Kozacy jemu zameldowawszy się, on nas uprzejmie przyjął i dodał nam dla konwoju jednego towarzysza siczowego z wielkim buzdyganem żelaznym, najeżonym kolcami. Nasi Kozacy nam wytłumaczyli, że widok tego buzdyganu jest dostatecznym, aby nas od wszelkiej przykrości zasłonić, i chociaż Zaporozce skłonni są do rozboju, z tym buzdyganem możemy być spokojni, ale że przechodząc przez ich ziemowliki, będziemy często nawiedzani przez towarzyszy i ich czeladź i każdy pić będzie gorzałkę z podwód, ile mu się podoba, ale na tym nic ekonomia humańska nie straci, bo byle kufę, choć próżną, przywieźć do Siczy, koszowy za świadectwem konwojującego towarzysza, że ona wypróżniona została po drodze przez Zaporozców, zapłaci za nią, jakby była pełną. A że Zaporozce dzieli się na 40 pułków, jeżeliby przypadkiem konwojowanym podwodom jaka szkoda lub kradzież była zrzadzona, pułk, w którego obwodzie to by się stało, całkowitą szkodę winien jest opłacić. Dowiedzieliśmy się, że pierwiej oni rabowali Smilańszczyznę i Humańszczyznę bardzo często; ale pan Ortyński, rządca Humańszczyzny, który umarł podczaszym braclawskim,

ubezpieczywszy Humań wokół fosami głębokimi i ostrokołami, a wyćwiczywszy milicją nadworną JW. Potockiego, wojewody kijowskiego, nie tylko że ich odpierał i raz tyle tej zgrai nabił, że aż pięć mogił na przedmieściu Humania na ich ciała usypał, ale na samą Sicz napadał, ziemowliki im palił, bydła i stada zabierał i tych Zaporozców, co brał żywcem, w dyby zabijał i do robót używał. A że to kilkakrotnie się zdarzyło, więc Bundur Mamałyg, co był natenczas koszowym, z ekonomią humańską i smilańską zaprzysiął wieczny traktat, że już nie wolno będzie Zaporozcom rabunki popełniać w Polsce, ale za świadectwem władzy swojej wolno im będzie tylko dla handlu do Humania, Smiły i innych dzierzaw domów Lubomirskich i Potockich przybywać. A oficjalistom i poddanym tych dwóch włości za świa-

dectwem swoich ekonomów wolno było także dla handlu bywać w Siczy, ale tylko przez Gardę, gdzie była straż zaporoska od granic Rzeczypospolitej i buzdyan w ręku naczelnika dla ubezpieczenia przejeżdżających. Gdyby jaki Zaporoziec przeciw temu układowi co wykro- czył i najmniejszej kradzieży się dopuścił, bądź we włościach wyżej wzmiankowanych, bądź na konwojowane buzdyanem podwoły, koszowy śmiercią go karał po osądzeniu sprawy przez sędziego Siczy a napisaniu wyroku przez pisarza. A śmierć była zadana następnym spo- sobem: obwinionego przywiązano do słupa i obok niego kładziono stos kijów i kadkę gorzał- ki. Każdy tedy Kozak koło niego przechodząc gorzałki się napił i kijem uderzył, i poty pili i bili, pokąd mu życia nie odebrali. Takową śmierć niedawno był poniósł Tymosz Podkujko, ataman i poeta zaporoski, którego pieśni w obydwóch Ukrainach śpiewają, a to z powodu, iż koszowy Semen Kozudra (ten sam, którego śmierć, dopiero nastąpiła, była dla nas nieod- żałowaną stratą), częstując u siebie oficerów moskiewskich, do niego przybyłych w interesach carowej - jak u nich we zwyczaju, kazał Podkujce grać na bandurce i śpiewać. On, chcąc go- ściom podchlebić, ułożył naprędce piosnkę, w której między innymi rzeczami powiedział: że Lachy ubogie, bo choć żonki sami mają, dla popów ich nie wystarcza; Zaporozcy jeszcze ubożsi, bo choć popom dają żonki, a sami bez nich muszą się obchodzić; a Moskale najbogac- si, bo mają żonki i dla siebie, i dla popów. Otóż po odprawieniu oficerów koszowy kazał są- dzić Podkujki za to, że ważył się naganiać ustawom siczowym, i jako przekonany o tę zbrod- nię, był kijmi ubity, pomimo tego że i względy u koszowego, i miłość miał w całym Zaporo- zu. Tak wielkie jest u nich uszanowanie dla swoich praw. Rzeczywiście oprócz żon popów, których jest tyle, ile pułków, to jest czterdziestu (a te popy najczęściej rozstrzyżone w Mo- skwie za hultajstwo), żadnej kobiety nie ma ani w Siczy, ani w ziemiach do niej należących i żadnej nie wolno nogę na ich posiadłości położyć. Ludność zaporoska utrzymywała się raz przyjmowaniem do siebie zbiegów bądź z Polski, bądź z Moskwy, najczęściej najgorszych hultaj, a którzy na Siczy, poddawszy się pod surowe prawodawstwo, jego przepisów wiernie dochowywali, raz z chłopczyków kradzionych za granicą Siczy, których przysposobiali za synów i którzy po nich odziedziczali majątki. Jeżeli zaś Kozak umierał nie zostawiając przy- sposobionych synów, natenczas jego majątek na dwie równe części zostawał podzielony: po- łowę brał koszowy dla siebie, a połowę cerkiew pułku, do którego nieboszczyk należał. Z tego powodu cerkwie u nich były bardzo bogate. Prócz tego miał koszowy wielką wyspę na Dnieprze, na której kilka wsi chłopów żonatyh było osadzonych, co mu czynsz płacili, i jego był wyszynk gorzałki i miodu. Często Kozacy synów tych chłopów przysposabiali. Koszowy i urzędnicy wielcy, których było tylko dwóch: pisarz i sędzia, ubogim swoim ubiorem nie różnili się od prostych Kozaków, a ich mieszkania mało co były wykwiłtniejsze, tylko odzna- czały się pięknnością i obszernością sadów. Dziesięcina pszczelna składała dochód pisarza i sędziego. Każdy pułkownik pobierał opłatę od koni, bydła i owiec na utrzymanie kureni, a w każdym kureniu pułkownik utrzymywał za to Kozaków, co chleb piekli, jeść gotowali i go- rzałkę szafowali dla wszystkich, tak rejestrowych towarzyszków, jako ich czeladzi, którym się podobało w kureni hulać.

Tak rozmawialiśmy z Kozakami humańskimi o ustawach i obyczajach tego osobliwszego narodu, przechodząc piękny kraj, który był jego siedliskiem. Bo już nie goły step, ale gdzie- niedzie

okazywały się gaje, a jary zieleniały olszyną i wierzbiną; to tylko było smutno, że śladu rolnictwa nie można było spostrzec. Żadnej pracy nie chce znosić Zaporoziec i rolnic- twem się brzydzi. Sadem tylko się bawią, i to niektórzy, bo próżniactwo jest ich największą pociechą. Przybyliśmy do miasta Siczy, jeśli miastem godziło się nazwać czterdzieści długich drewnianych karczem, pośród których tworzył się rynek w regularny czworobok, a każda karczma należała do innego pułku; a z tego rynku wychodziły trzy gościńce: jeden popod chałupę koszowego, drugi pisarza, a trzeci sędziego. Chałupy obszerne, ale słomą pokryte, przy nich sady ogromnej wielkości, szczególnie koszowego, który tym się tylko w mieszkaniu różnił od drugich dwóch urzędników, iż [miał] obok chałupy wielką stajnię murowaną, w

której do pięciudziesiąt koni utrzymywał. Zajechawszy na rynek, poszliśmy prosto do pisarza, któregośmy zastali siedzącego popod chałupą i tytuń kurzącego. Był to człowiek przynajmniej siedmdziesięcioletni, aie czerstwy. Twarz jego odznaczała się szlachetnością rysów. On już był przygotowany do naszego przyjęcia i z panem Azulewiczem rozmawiał jako z poufałym przyjacielem, lubo go pierwszy raz widział. Zaprosił nas wszystkich czterech, abyśmy się do jego chałupy wnieśli, i zaprowadziwszy nas do niej, zaczął do nas mówić bardzo czystą polszczyzną. Powiedział nam:

- Złe się zrobiło. Godzina nie upłynęła, jak obrano koszowym Jura Majborody. Intryga pów, Moskwie zaprzędanych, jego na ten stopień wyniosła. On jest fanatykiem w syzmie i wmówił sobie, że jak Polska pozbędzie się Moskalów, to Sicz zmusi do unii. Zupełnie się powodować będzie protopopem naszym Sohaniczynem, bratem rodzonym opata perejaślawskiego, który zawzięty na Polaków za to, że na pał wbito w Żytomirzu ich rodzonego siostrzeńca, czernca motryniańskiego monasteru, co był watażką hajdamaków i na ich czele wiele rabunków i okrucieństw popełniał w wielu domach szlacheckich. Pokąd Majboroda żyje, nie ma nadziei, abyście jakiegokolwiek pomocy od Siczy spodziewać się mogli. Ja jeszcze przez jutrzejszy dzień wszystko lepiej wybadam; a potem niech który z panów jedzie nazad do konfederacji z tym, co wypadnie jej donieść. A teraz muszę iść na ceremonię wnijścia koszowego w swój obowiązek, co długo trwać nie będzie, a wy z daleka stojąc możecie się temu przypatrzeć; a potem powróćcie do mojej chałupy i na mnie czekajcie. Będzie uczta wielka u koszowego, który wieczrę całej Siczy sprawuje. Wszyscy się na śmierć popiją prócz mnie; bo w dzień wyboru koszowego i jego rocznicy pisarz żadnego trunku mocnego do ust nie może przyłożyć wedle praw naszych. Przy nim zostaje władza i prawo chce, aby jeden był przynajmniej trzeźwym.

To rzekłszy, natychmiast wyszedł wzięwszy z sobą papier, kałamarz i pióro za uchem, aby zapisać akt inauguracji.

A my po niejakiś czasie poszliśmy na rynek, gdzieśmy zastali mnóstwo Kozactwa przed karczmą pułku czechryńskiego, gdzie stał nowy koszowy, co był asałą w tymże pułku. Z wielkimi okrzykami prowadziła go tu tłuszcza z karczmy do domu koszowego, gdzie stały cztery wozy przewrócone, których natychmiast ziemią zasypano, tak że na dziedzińcu wznosił się kurhanek dość wyniesiony. Na wierzchołku tego kurhanka zasiadł nowo obrany koszowy, a z każdego pułku jeden towarzysz rejestrowy weszli z ogromnym koszem do izby koszowego i zmiótłszy porządnie całą chałupę wszystkie śmiecie w ten kosz włożyli, tak że go napełnili, a potem zanieśli ten kosz na wierzch kurhanku i z trudnością podniósłszy, całkowity wysypali na głowę nowego koszowego, iż natychmiast został śmieciami obsypany; a pisarz głośno wyrzekł: „Jak widzisz siebie obsypanym śmieciami, tak w każdej potrzebie znajdziesz nas wszystkich od siebie nieodstępnych.” I taka była całkowita ceremonia inauguracji naczelnika Siczy, który z powodu tego na nim przewróconego kosza nosi nazwisko koszowego. Dopiero wszedł koszowy w dom swój i od tej chwili jego władza się zaczynała. Pierwsza jego czynność musiała być odbicie piwnicy swojego poprzednika, skąd wszystek miód, wiszniak i gorzałkę wyniosło Kozactwo; ta zaś próżna została. I wszyscy siadli na ziemi, koszowy i Kozacy, około kotłów napełnionych barszczem, kaszą jaglaną, kluskami, pieczeniami wieprzowymi i baraniami, z których każdy drewnianą łyżką brał na swoje mise, ile mu się podobało, i

wszyscy zaczęli zajadać z wielkim żarłoctwem, każde kilka kęsów popijając gorzałką lub wiszniakiem, i to szklankami. Tylko pisarz, jak mówił, siedział osobno i to jadł, co oni, ale oprócz dzbanka wody nie miał innego napoju. Przybyłym kupcom i ludziom nie należącym do Siczy, między którymi byliśmy, koszowy z wielką gościnnością trunki rozsyłał i w misach jadła, których nadmieniałem, a które lubo niewykwintne, bardzo nam smakowały, i panu Azulewiczowi, który oprócz wieprzowiny, resztę z nami dobrze zajadał. A gdyśmy zobaczyli, że już zaczynają mózgownice tak kozackie, jako i cudzych przybyłych zagrzewać się trunkiem do zbytku, powoli wycofawszy się z tej zgrai, cichaczem poszliśmy do domu pisarza, gdzie

było nasze *locum standi*, i tamęśmy czekali na jego przybycie, które dopiero po dziesiątej wieczór nastąpiło.

Nazajutrz wyprawił mnie pan Azulewicz do General-ności z doniesieniem, że sam puścił się do Bakczysaraju, gdyż cała nadzieja na Tatarach; a na siczowych Kozaków nie ma co rachować, bo wszystkie popy są rozjątrzeni na Polskę, a Jur Majboroda, nowy kozowy, jest ich narzędziem. Tyle tylko możemy być pewni, że przeciwko nam działać nie będą. Dodał nam Dziumdziuryk: Kozacy prości sprzyjają Polscze, bo są przywiązani do swoich ustaw i przeczuwają, że Moskwa, jak utwierdzi w Polsce swoje panowanie, nie ścierpł ich swobodnego życia, podczas kiedy wolny naród nie byłby się gorszył z ich niepodległości. Ale starszyzna prawie cała już zepsuta. Popi im wmawiają, że starostwa czehryńskie i czerkaskie między nimi będą podzielone, a kozowego mają nadzieję, że całkowita posiadłość Siczy zostanie jego dziedzictwem, a on będzie hetmanem kozackim dziedzicznym, jak tylko nakłoni Kozactwo do zaprzysiężenia poddaństwa carowej. Tak to spodleni ci ludzie chcą wolność swoją zaprzedać dla dostatków, których nie dostaną, bo Moskwa żadnemu zdrajcy nigdy obietnicy nie dotrzymała.

Przed moim odjazdem odważyłem [się] go zapytać, jakim przypadkiem, widocznie będąc szlachcicem polskim i mężem światłym, został członkiem stowarzyszenia złożonego z ludzi prostych, włóczęgów i nieoświeconych.

On nam na to odpowiedział:

- Nie będę przed wami tał tajemnic mojego żywota ani wypadków, które mnie tu zapędziły. Jestem szlachetnie urodzony i moje przeznaczenie było i korzystać w wielkim narodzie z klejnotu szlacheckiego, i posiadać znaczny majątek. Jestem urodzonym ziemianinem województwa witebskiego, a moje nazwisko jest Wołk. Mój ojciec był szczupłego majątku, ale szlachcic starożytnego rodu, za granicą wychowany. W wojnach króla Jana III się wślawił i byłby doszedł do pierwszych w Rzeczypospolitej zaszczytów, gdyby wiara, w której był wychowany, nie była ku temu na przeszkodzie: był rodowitym kalwinem. Jednak, że był młodym, przystojnym i ugrzecznionym, podobał się pannie Brzostowskiej, kasztelance mińskiej, bogatej pannie, która zależąc od siebie, poszła za niego, pomimo perswazjów całej rodziny Brzostowskich, którzy, z Jagiellończykami spokrewnieni, radzi by mieć jak zwykle swoją krewną za jakim magnatem, a nie za szlachcicem, chociaż dobrego rodu, ale którego dom ledwo do wojewódzkiego urzędu mógł się docisnąć. Mój ojciec osiadł na obszernym żoninym majątku w tymże województwie witebskim, gdzie było i jego samego gniazdo. Żył na wsi, uprawiał ziemię, pozyskał przyjaźń wszystkich sąsiadów i tak przywiązanie mojej matki do jej religii szanował, że w przeciągu długiego pożycia cienia zgorszenia jej nie dał. Było nas dwoje dzieci: ja i siostra ode mnie młodsza; zezwolił mój ojciec, aby nas w wierze macierzystej wychowano, sam zaś kilka razy na rok jeździł do Kopysia dla dopełnienia swoich obrządków, ale tak, że nikt w domu o tym nie wiedział. O religii nigdy nie mówił, w obyczajach stosował się we wszystkim do wyznania matki: pościł z nią razem, bywał w kościele i kapłanom łacińskim świadczył, jakby był katolikiem. Póki nasz proboszcz, człowiek prawdziwie apostołski i nikogo od prawideł miłości bliźniego nie wyłączający, żył, pożycie moich rodziców było najszcześniejsze. Ale po jego śmierci jezuita orszański wzięli wstęp do naszego domu, bo mój ojciec, pomimo wstrętu do całego tego

zgromadzenia, przez przywiązanie, jakie miał dla żony, temu przeszkody nie stawał. Ksiądz Rokita, przełożony jezuitów orszańskich, został spowiednikiem mojej matki i co chciał, to jej wmawiał. Był to człowiek dość uczony, obywateli za granicą, a mianowicie w Rzymie, i posiadający wszystkie warunki do kierowania umysłów słabych. Najprzód próbował mojego ojca nawrócić; ale ten zawsze go zbywał mił- czeniem lub odwracaniem rozmowy do innego przedmiotu i nigdy nie omijając się z grzecz- nością gospodarską, w żadną ścisłość z nim się nie chciał wdawać. Tam więc księdzu gdy się nie udało, jak zaczął wmawiać matce, że heretyk jest nieprzyjacielem Chrystusa, że kto pa- pieża nie słucha, jest poganinem i zbrodniarzem, że prócz katolika nikt nie wierzy w rzetel-

ność swojej religii i każdy dysydent nie z rzetelnego przekonania, ale przez pychę upiera się w swoim kacerstwie, że tylko u katolików są prawdziwe cnoty, a u różnowierców są tylko cnoty przyrodzone, które żadnego względu u Boga nie mają, i że dla Chrystusa trzeba opuścić i rodziców, i dzieci, i męża - tak obalamucił moją matkę, że przywiązanie do męża utraciła. Po daremnych usiłowaniach, aby odstąpił od swej wiary, nastąpiły kwasy, a na koniec poży- cie dwudziestoletnie szczęśliwe byłoby się rozeszło, gdyby zgryzoty ojcu mojemu śmierci nie przyspieszyły, właśnie jakby dla zapobieżenia tak wielkiemu zgorszeniu. Po śmierci ojca już żadnej przeszkody nie mieli jezuita w owładaniu zupełnym mojej matki i jej majątku. Kto tylko nie był z ich ręki, u dworu naszego nie mógł się utrzymać i do niego nie miał nawet przystępu. I matka moja została zupełną niewolnicą księdza Rokity, tak że w najpotoczniej- szych okolicznościach niczego się nie miała bez jego zezwolenia. Mojej siostrze wmówili powołanie do zakonu i w klasztorze ją osadzili; toż i ze mną chcieli zrobić, ale ja się nie dał: za wsparciem Brzostowskich, krewnych moich, a ludzi możnych, zostałem chorążym pancernym w kawalerii narodowej. Będąc młodym i burzliwym, nieraz, bywając u matki, nie mogłem nie szydzić z postawy, jaką nasz dom przybrał, i dziwacznych obyczajów, które jezuita wprowadzili. Ksiądz Rokita, jak ją był poróżnił z moim ojcem, tak i ode mnie jej serce od- wrócił. Wmówił jej, że rozwiąże prowadzę życie, że się nigdy nie spowiadam, że jestem kalwinem ukrytym i że majątek w moim ręku będzie tylko narzędziem obrazy Pana Boga, że moja matka, żyjąc tyle lat z heretykiem, jest pod ciężkim grzechem i że nie ma skuteczniejszego sposobu, aby go Pan Bóg wykreślił z księgi swojej sprawiedliwości, jak pozyskać wstawienie się świętego Ignacego, cały majątek oddając zakonowi, którego on jest założy- cielem. I kiedy ja Rzeczypospolitej pocziwie służyłem, rychtowano wszystko, aby mnie ogołocić z majątku. Ja, o niczym nie wiedząc, zacząłem się starać o przyjaźń majątnej panny z zacnych rodziców i wkrótce otrzymałem obietnicę jej ręki. Już był dzień szluby naznaczony za zezwoleniem mojej matki. Całe moje szczęście upatrywałem w tym związku, bom szczerze kochał moją narzeczoną. Aż tu moja matka robi donacją całkowitego swojego majątku jezui- tom, nic dla siebie ani dla mnie nie wyłączając - i osiada w Orszy na dewocji przy ich klasz- torze. Rodzice mojej narzeczonej, widząc mnie wyzutym ze wszystkiego, zerwali mówiąc mnie: „Wybaczej, panie chorąży, ale gdzież nam córkę zawieszysz? My naszego dziecka na włóczęgę puścić nie możemy.” Udałem się do ojców jezuitów, błagałem księdza Rokitę, żeby choć część jaką majątku mnie dali, że sama ludzkość tego od nich wymaga. Ksiądz Rokita odpowiedział z łagodnym uśmiechem, że majątek bywa częstokroć dla świeckich narzędziem grzechu, u duchownych zaś na chwałę tylko boską obrócony, że jako dobry katolik, szanować powinienem wolę mojej matki i cieszyć się nawet, że jej dostatki odtąd będą obrócone na ćwiczenie młodzieży w bogoboju i nawracanie pogan. Ze żadnego udziału mnie nie mogą zrobić z daru matki, gdyż alienując fundusz kościelny, podpadliby w ekskomunię, że w mo- jej mocy z nich korzystać, byłem wstąpił do Towarzystwa Jezusowego; że na koniec, jaka- kolwiek będzie moja determinacja, modlić się nie przestaną za synem ich dobrodziejki. I to wyrzekłszy, uniżenie kłaniając się prosił mnie o przebaczenie, że nie może dłużej ze mną ba- wić, bo spieszy do konfesjonau. Wyszedłem z klasztoru w największej złości i pałając ze- mstą; udałem się do dóbr niegdyś mojej matki, tam

zebrałem kilku sług mojego ojca, a których za namową jezuitów moja matka oddaliła, łatwo więc było ich namówić, aby mnie w zemście dopomogli. Uzbrojeni, wpadliśmy w nocy do klasztoru orszańskiego. Ja własną ręką księdza Rokitę zamordowałem, a dwóch innych jezuitów, co bywali w naszym domu, moi towarzysze zakłuli, mając do nich jakiś żal. Resztęśmy powiązali, a cały klasztor zrabowawszy podzieliliśmy się znaczną gotowizną. Potem rozeszliśmy się, każdy w inną stronę, dla szukania schronienia. Już nie było mi czego siedzieć w Polsce: jezuiti natenczas byli mocniejsi jeszcze niż teraz; nie mogąc nie ściągnąć na siebie podejrzeń, wcześniej czy później nie ominęłaby mnie kara przeznaczona zbójcom i świętokradcom. Kryłem więc się czas niejaki po różnych domach, ale właśnie Sicz Zaporoska utworzyła się była niedaleko granic Rze-

czypospolitej, tam się udałem, aby żyć przynajmniej w bliskości tej ojczyzny, w której już nie mogłem mieszkać bezpiecznie. Nabyłem w Siczy zasług i znalazłem w niej znaczenie. Już lat przeszło czterdziestu, jak piastuję urząd pisarza, i Bóg mi świadkiem, że żadnej okoliczności nie omieszkalem być użytecznym ojczyźnie i rodakom. Żadna zgryzota mojego sumienia nie dręczy: moja czynność z księdzem Rokitą była okropną; ale gdzie prawodawstwo obywatela nie zasłania od łupiestwa, sam musi sobie sprawiedliwość robić. Zresztą zestarzałem się na Siczy, jej obyczaje przyjąłem i do nich nawykłem. Między Kozakami, zwłaszcza prostymi, są wielkie cnoty i ich zapalona miłość do swobody nie może nie ująć szlachcica polskiego. Starszyzna jest popsuta, a Moskwa niczego nie zaniedbuje, aby do reszty ją zgnilić. Zamiłowałem szczerze nasze ustawy i to mnie tylko teraz udręcza, że przewiduję, iż Moskwa nas pochłonie, ale tuszę, że, starzec, tego się nie doczekam. Wierzcie mnie, panowie bracia, że szczerze do Rzeczypospolitej przywiązany nie tylko jako jej ziemianin, ale że jestem przekonany, że żadna wolność nie będzie nigdzie szanowaną, skoro ona w Polsce będzie naruszoną, a tym bardziej zagładzoną.

PAN WOŁODKOWICZ

To u nas wielkie zło, że zagraniczni ludzie chcą nas uczyć tego, co się u nas działo; a co gorszego, że młodzież nasza chętniej im wierzy niżeli nam, cośmy na to patrzali!. Długi czas przykro mi było, że nie umiem po francusku, bo człowiek w ich książkach znalazłby jakieś rozrywki; ale obcując z ludźmi uczonymi, podowiadawałem się, że Francuzi o nas takie dziwolągi piszą, że teraz się cieszę, że tych książek rozumieć nie mogę, bo niczego bym się z nich nie nauczył, a co bym się nagniewał, to byłoby w zysku. Mówiono mnie o opisie konfederacji barskiej przez Demuliera, którego znałem. Był dobry żołnierz i rozumiał, jak wytykać obozy, ale Sohazy był od niego jeszcze biegłyjszy, jakoż i Kellerman, co całą gębą był kawalerzysta, ale chwała Bogu nie była to mądrość nad nasze mózgownice. I nasi im nie ustępowali; a pewnie ani pan Puławski, ani Pan Zaręba, ani pan Walewski, co potem został wojewodą sieradzkim, ani Sawa, marszałek zakroczymski, ani tylu innych naszych od nich rozumu uczyć się nie potrzebowali i jeszcze ich mogliby czegoś nauczyć. Otóż ten generał Demulier, wszystkiemu u nas naganiając i tylko siebie chwając, robi księcia Karola Radziwiłła głupcem. Toż i inny Francuz, którego nazwiska nie umiem wymówić ani napisać, w dziele swoim *O nieregularności Polskiej*, lubo naszym więcej sprawiedliwości oddaje, jakoż i o księcia Karola wytrwałości i męstwie przez piąte i dziesiąte coś usłyszawszy twierdzi, jakoby on na czele młodzieży rozbojem się bawił i okrucieństwa na Litwie popełniał, i w tym się godzi z Demulierem, że hasz książę rozumu nie miał i był barbarzyńcem.

Ze książę nie był po zagranicznemu oświecony, to pewna; ale że miał polski rozum wielki, to jeszcze pewniejsze. Miał on to światło przyrodzone, które u nas zawsze w kącie zaprzę światła nabyte, bo taki lepszy rozum z głowy niż z książki: pierwszy umie wielkie rzeczy dobrze robić, drugi umie wielkie rzeczy dobrze opisać. Księżna hetmanowa wielka litewska, ostatnia z książąt Wiśniowieckich domu,

ze wszystkimi tronami chrześcijańskimi spokrewniona, była pani wielkiego światła i książki nawet pisała; ale nie mając, jeno jednego syna, pieściła go do zbytku; i księżę Karol miał już rok piętnasty, kiedy czytać jeszcze nie umiał, bo każdy nauczyciel, co go naglił do pracy, za jego oskarżeniem był natychmiast od dworu przez księżną matkę oddalony; a książątko tylko w palcaty umiało się tłuc z paziami, konia oklep dojeżdżać i z fuzyjki w jaja na powietrzu trafiać. Księżę hetmań zaczął się miarkować, że synowi czegoś więcej trzeba umieć, aby mógł kiedyś piastować przodków dostojęstwa - i o tym księżną przekonał. Więc ta oświadczyła, że dwie wsie daruje takiemu, co go wyuczy czytać i pisać,

ale bez żadnego się jemu sprzeciwiania. Znalazł się na to światły szlachcic, pan Piszczalo, co dokazał tej sztuki, a to go wyniosło na majątnego obywatela i później na podstolego rzeczywistego. On księcia Karola i dwóch jemu dodanych obywatelskich synów dla emulacji: pana Ignacego Wołodkowicza, chorążycy nadwornego litewskiego, i pana Michała Rejtana, podkomorzycy nowogródzkiego, wyuczył czytać i pisać i pierwiastkowych nauk bez żadnego przymusu, ich bawiąc - a to tym sposobem: na wielkiej tablicy drewnianej było krejdą napisane abecadło. Każdy z uczniów stał o kroków kilkanaście z strzelbą w ręku kulą nabitą i trafiał w litery wymienione przez nauczyciela. Potem sylaby składano na tablicy, potem wyrazy, a na koniec periody; i wszystko strzelbą trafiając, wyuczyli się czytać dobrze w bardzo krótkim czasie. A potem, przywykłszy do poświęcania jakiegoś czasu pewnym prawidłom, już z własnej ochoty wyuczyli się i pisać; a trochę czytaniem, a więcej jeszcze obcowaniem z ludźmi świadomymi wyuczyli się i prawa krajowego, i historii swojego narodu, i tej dla nas ważnej nauki - znajomości stosunków i związków familijnych. A książę, w dziewiętnastym roku zostawszy miecznikiem litewskim, bardzo był na swoim miejscu, tak że kiedy został marszałkiem trybunału litewskiego, to juryści za głowę aż się brali, tak on poznawał, co jest prawdą, a co jest kruczkiem. I po skończonym urzędowaniu wkrótce drugi raz był obrany marszałkiem i byłby nim do śmierci, gdyby chciał; tak szlachta była z niego kontenta, bo nikomu się nie dawał powodować, jeno własnemu światłu i sumieniowi, i lepszych nie mógł znaleźć doradców. A co się tyczy zarzutu, że w młodości swojej okrucieństwa i rozboje popełniał, jest to potwarz, która sama z siebie upada. Książę, co wołał na Białej Rusi ośmdziesiąt tysięcy dusz męskich stracić niż Moskwie wierność zaprzysięgać, dowiódł, jak jego serce było dalekie od wszelkiej nie tyle podłości, ale nawet cienia niedelikatności w uczuciach. Ale będąc młody, żywych namiętności, a nie znajdując pola, na którym mógł się wyburzyć, na czele młodzieży, można powiedzieć: najpierwszej, pędził życie w lasach, polowaniem zajęty, konno przebiegał kilkakrotnie całą Litwę, szukając, gdzie by dawać mógł dowody swojego męstwa, a jeżeli czasem jakiemu obywatelowi dom podpalili lub było przez swawolę porznięli, o to nigdy nie było procederu, bo ponoszący stratę sowicie i jak sam żądał, bywał nadgrodzony. A na ludziach nigdy żadnego okrucieństwa nie dopuszczali się, ile że przy wielkiej porywczosci książę miał serce tak czułe, że znieść nie mógł cudzego cierpienia.

Towarzysze księcia Karola, których partia króla Poniatowskiego, prowadzona na Litwie przez księcia biskupa wileńskiego, hajdamakami nazywała, byli ludzie świetni, nieskazitelni w wierze dla ojczyzny: ani krwi, ani trudów dla niej nie żalowali i wszyscy są godni być umieszczonymi w dziejach polskich. Był pan Wołodkowicz, którego odwaga i nadludzka siła dziś za bajeczkę uchodzić by mogły; ten był największym ulubieńcem księcia, który nigdy nie przestał oplakiwać jego niefortunnego końca w kwiecie młodości. Był JW. Pac, starosta ziołowski, później marszałek generalny konfederacji barskiej na Litwie, który wołał dni zakończyć w tułactwie niżeli od niej się recesować. Był JW. Rzewuski, wówczas podstoli litewski, księcia Karola szwagier, a świetny regimentarz tejże konfederacji. On to w nocy przez lochy ciemne prowadził nas do Krakowa, gdzie garnizon liczny moskiewski został wyrznięty, a stolica Polski zdobyta. Był JW. Ogiński, wojewodzie Witebski, co gdyby nie był zginął w pojedynku z rąk jakiegoś

węgierskiego magnata, do najpierwszych w Rzeczypospolitej doszedłby zaszczytów. Był J.W. Zaba, co został potem wyniesiony na województwo połockie wolą jednogłówną Połotyńców, bo to jedno było województwo, w którym szlachta do końca zachowała przywilej wyboru wolnego swojego wojewody. Był pan Slizień, sędzię ziemski słońimski, który z morowego powietrza umarł w Stambule, dzieląc wygnanie księcia Karola. Był kniaz Lubecki, co później został marszałkiem pińskim i był wielkim statystą. On to w czasie konfederacji barskiej, kiedy jeszcze były wielkie podobieństwa, że Rzeczpospolita się ocali, podał był projekt, aby w czasie ona została podzieloną na cztery prowincje: wielkopolską, małopolską, litewską i ruską, żeby każda miała swojego metropolite, kanclerza, hetmana, podskarbiego, wojsko, uniwersytet i sejm, żeby unicki obrządek został rządowym, żeby pija-

rom i bazylianom wyłącznie wszystkie szkoły powiatowe powierzyć, a uniwersyteta i gimnazja świeckim, a przy królu żeby był do rady senat ogólny narodu, z którego połowa członków byli [by] wybrani przez sejmy prowincjonalne, a połowa przez króla mianowani, krzesłami uposażeni, starostwa-mi, przy których zostawałaby władza wykonawcza wraz z królem i sądzenie obwinionych we wszystkich materiach *status* [państwowych]. A z tymi warunkami zabezpieczającymi wolność, żeby ustanowić dziedzictwo tronu dla rodziny saskiej i znieść *liberum veto*, żeby uregulować byt duchowieństwa, aby jeden nie nadto, a drugi zbyt mało nic posiadał, a z przewyżki funduszków kościelnych uposażyć uniwersytety i szkoły. Chciał także zniesienia starostw grodowych, żeby grody tak jak ziemstwa od wyboru szlachty zależały, a przychodem miast grodowych wzbogacić skarb Rzeczypospolitej; jako i większą część starostw do niego chciał dołączyć, które to przychody, z *monopolium* soli i tytoniu, z opłaty podniesionej czopowego z podymnym, z wpływem ceł i stempla i z podatkiem konsumpcyjnym, byłyby dostateczne, aby dwakroć sto tysięcy regularnego wojska utrzymać. Może to były tylko marzenia, jednak w tym wszystkim nie widzę nic złego. Ten projekt u pana Świętorzeckiego, byłego sekretarza sejmu 1784, obaczywszy przepisałem go i u siebie starannie zachowuję. - Był JW. Chomiński, co później został wojewodą mścisławskim, a który marzałkowal po sejmach i trybunałach, zawsze świetnie, zawsze przykładowie, a był wielkim wierszopisem i w Rzymie nawet uchodził za mądrego. Był JW. Szczyt, co umarł kasztelanem połockim, mąż w prawie narodowym wielki, i nieodżałowaną jest dla publiczności szkoda, że jego pisma w tym przedmiocie zatraconymi zostały. Byli Janusz Górecki i Maciej Dereas, co później w konfederacji barskiej ani panu Demulierowi nawet nie ustępywali w nauce wytykania obozów, i wiele jeszcze innych, których synowie i wnuki żyją, składali bandę albeńską nazwaną. Zdaje się, że kto takiej młodzieży przewodniczył i od niej ku sobie ślepe przywiązanie uzyskał, sam nie musiał być bez wielkich przymiotów. A każdy z nich się sposobił do rycerskiego rzemiosła i im kto wymyślił zapamiętały czyn odwagi, tym większy szacunek kolegów uzyskiwał. Raz pan Wołodkowicz z oszczepem w rękę poszedł pojedynczo na niedźwiedzia, którego lekki postrzał do ostatniego stopnia rozdrażnił. Niedźwiedź na niego poszedł, on śmiało czekając oszczepem go ugodził; ale oszczep się złamał między żebrami, a niedźwiedź, jeszcze więcej zawzięty, rzucił się na niego. On drzewcem, w rękę zostającym, jak uderzył go po łbie, niedźwiedź upadł przygłuszony, a pan Wołodkowicz, nie dawszy mu czasu przyjść do siebie, kordelas w sercu mu utopił. - Pan Kostrowicki, strażnikowski piński, w Łachwie na koniu przesadził rów półtora sążnia szerokości, a tyleż głębokości. Raz cała banda albeńska na koniu z naczelnikiem swoim nadeszła blisko karczmy słomą pokrytej, która się była zajęła. Ogień był straszny, a wrota otwarte. Aż tu pan starosta ziołowski z panem podstolim litewskim odzywają się do ratujących:

„Idźcie precz! a my za spaloną karczmę wynagrodzimy; wpadnięm do sieni i bić się będziemy na ostre, a nikt niech się nie waży ratować, póki jeden z nas rannym nie będzie.” To wyrzekłszy, wlecieli do sieni i bić się zaczęli; a że obydwaj byli równej z sobą siły, długo trwała potyczka. Snopki zapalone na nich z dachu padały, wokoło nich się paliło; nie wiedzieć, jak już oddychali; aż nareszcie JW. Pac, obciawszy JW. Rzewuskiego, na swoich rękach

go wyniósł spośród ognia, tak że i suknie popalone były, i sami popieczeni, i ich czupry- nom się dostało. A któż by naliczył, ile oni dowodów odwagi dali? Nikt by temu już dziś i nie uwierzył.

Otóż kiedy bezkrólewie nastąpiło, książę już był wojewodą wileńskim i prowadził królewicza Sasa; ale partia przeciwna, poparta przez Moskwę, najechałszy sejmiki, wszędzie swoje sądy kapturowe zaprowadziła gwałtem, pomimo manifestów większości uciśnionej, a JW. Chreptowicz został, Boże mu przebac, sędzią kapturowym nowogródzkim. Wiadomo jest, jak wielka powaga była tych sądów: w czasie bezkrólewia jurysdykcje sądownicze ustawały, a władza trybunalska, ziemska i grodzka była w ręku kapturów. Otóż pan Chreptowicz, co był wielkim znawcą monet starożytnych, ale lubił zbierać do kolekcji i moskiewskie ruble, chcąc

zastraszyć partię Moskwie i panu stolnikowi Poniatowskiemu przeciwną, wydał inotescencją, aby wszyscy nowogródzianie należący do bandy albeńskiej stawili się przed sądem kapturowym, by się tłumaczyć z zarzutów, jakoby wraz z księciem wojewodą wileńskim rabunków i gwałtów się dopuścili po niektórych domach szlacheckich. A że ta inotescencja samemu księciu nie była wydana, to dlatego, że jako senator tylko przez sąd sejmowy mógł być sądzonym, ile że nie tylko szło o uczynki gwałtówne, ale o nielegalny przechód zbrojny po kraju bez żadnego na to upoważnienia. Młodzież nowogródzka hulala sobie w Nieświeżu, i księżę do czego innego ich gotował, jak do stawienia się na wezwanie kapturów. Ale pan Wołodkowicz, przymusiwszy woźnego, co mu inotescencja położył, iż ją zjeść musiał, przez niego napisał do pana Chreptowicza, że na terminie naznaczonym stawić się będzie z patronem swoim, którego pokazał woźnemu. A ten był nahaj rzemienny z boćkowskiej fabryki. Bo on miał trzy nahaje: rzemienny dla pana Chreptowicza, jedwabny, którego przeznaczał panu stolnikowi Poniatowskiemu, co już jawnie szedł do korony, a trzeci z nici złotych pleciony, którego gotował na księcia biskupa wileńskiego, kniazia Massalskiego. I dobrawszy sobie sześciu najteższych rębaczów milicji nieświeskiej i dwóch z bandy albeńskiej: Więclawowicza i Wazgirda, którzy byli jedyni tam, gdzie trzeba było łba nadstawić, stanął na termin w izbie sądowej, chociaż rota piechoty moskiewskiej była w mieście. Jak go pan Chreptowicz obaczył przez okno, tylnymi drzwiami uciekł, aż w klasztorze dominikanów się oparł i tam dopiero miał siebie za ubezpieczonego. Pan Wołodkowicz, co go nie spostrzegł, zapytał się po kilkakrotnie:

- A gdzie pan sędzia kapturowy, co ma mnie sądzić? Pisarz kapturowy Matusiewicz chciał miną nadrobić i odezwał się:

- Waćpan z impozycją na jurysdykcją, co ma *ius gladii* w ręku, nie napadaj! A pan Wołodkowicz:

- A to piękny sędzia kapturowy, co inotescencje stronom posyła, a sam w dzień terminu się chowa! W niebytności sędziego jurysdykcja przy panu pisarzu; więc mój patron przed waćpanem mnie bronić będzie.

Dopiero pan Więclawowicz i pan Wazgird porwali pisarza, położyli go na stole czerwonym suknem pokrytym, a pan Wołodkowicz swoją ręką pięćdziesiąt nahajów odliczył panu Matusiewiczowi w obliczu całej palestry, która obojętnie na to patrzała, bo prawie całkowita była złożoną z stronników księcia Radziwiłła. Oćwiczwszy więc pisarza, pobrał wszystkie papiery na stole leżące i kazał regentowi wszystkie czynności sądu kapturowego od rozpoczęcia jego jurysdykcji sobie wydać i te wszystkie papiery z sobą zabrał, z sobą to wszystko przywiózł do Nieświeża.

Wkrótce potem pan stolnik litewski ogłoszony był królem, więc kaptury ustały: sądom ziemskim i grodzkim czynność została wróconą i brano się do urzędu trybunału. Ale szlachcie nie można było zjechać na deputackie sejmiki: kto nie był z partii króla, tego nie dopuszczano, a że mało kto na Litwie do niej należał, więc w większej części województw po kilku obywatelów tylko sejmikowało. A tym sposobem zebrał się w Nowogródku trybunał pod laską JW. Przędzieckiego, co umarł pisarzem wielkim litewskim, a [był] głównym nieprzyjacielem księcia wojewody wileńskiego, jakoż prawie wszyscy deputaci. A księżę biskup wileński postarał się, że po kapturach wybrano deputatów łekliwych, o których był pewny, że to

tylko napiszą, co im każe - i sam zjechał na reasumpcję trybunału dla uciśnienia księcia i jego przyjaciół. Po wszystkich grodach były na to manifesta zanesione od dziewięć dziesiątych części szlachty, uzalające się, iż dziesiąta część ich oprymuje. Książę już nie miał nadziei, tylko w orężu; i podniosła się konfederacja nieświeska, do której się wiazało, co było pocziwego na Litwie.

Dla asekuracji trybunału stał w Nowogródku pułk imienia Massalskich, na który mógł rachować książę biskup, a majorem tego pułku był niejaki Roźniecki, który miał ściślej przyjaźni związki z panem Ignacym Wołodkowiczem. Księciu biskupowi i marszałkowi trybunału

szło o to najwięcej, aby przestraszyć Radziwiłłowską partią; a pałając zemstą na pana Wołodkowicza, chcieli koniecznie jego dostać, aby do egzekucji przywieść kontumacjalny dekret na niego zapadły za zbrojne najście kapturu. Układają się więc z panem Roźnieckim, aby on dostał żywcem Wołodkowicza, a podły jurgieltnik takiego ima się sposobu: przebrawszy się za markietana, przybiega do Nieświeża dla widzenia się z panem Wołodkowiczem i wmawia w niego, że jest szczerze poświęconym dla Rzeczypospolitej i księcia wojewody, że większą część oficerów przekabacił, i przysięga mu, że cały regiment akces zrobi do konfederacji nie-świeskiej, oprócz może kilku oficerów i szefa, których powiążą. Trzeba więc koniecznie, ażeby pan Wołodkowicz jako konsyliarz konfederacji tajemnie zjechał do Nowogródka, aby nie dać czasu księciu biskupowi ani członkom trybunału umknąć, jak wybuchnie powstanie pułku - i żywcem ich połapie co do jednego. Wstyd powiedzieć, ale brat rodzony pana Ignacego do tak czarnego podstępu należał, aby po nim odziedziczyć znaczne spuścizny. Pan Ignacy, co od dawna ostrzył zęby na księcia biskupa, nie mógł się oprzeć mającej nadziei dostania go w swoje ręce. A że przy niesłychanym męstwie był bardzo zarozumiały, nikomu się o tym nie zwierza, a pewny swego, puszcza się sam jeden do Nowogródka i przed samym świtem za-jeżdża na kwaterę pana Roźnieckiego. Ale wszystko już było przygotowane do jego zguby. W kilka chwil po jego przybyciu cały regiment otoczył dom majora. Poznał pan Wołodkowicz zdradę, ale już poniewczasie; dobywa szabli i próbuje przedrzeć się przez wojsko. Żołnierzom zabroniono było do niego strzelać, bo trzeba było koniecznie sędownie jego zamordować. Pan Ignacy po kilkakrotnie łamał szeregi, ale nowe się formułowały, bo obiecano żołnierzom sto czerwonych złotych, jeżeli go wezmą. Cofnął się do domu pan Ignacy, a stamtąd wleciał w ogród, próbując gęstwina z niego wysunąć się aż do farnego kościoła, skąd może nie odważono by się go porwać. Ale wszelkie drogi do niego już były przeciętymi, a płoty od ogrodu wywrócono, by go coraz w ciasniejszym ostępie ściskając, na koniec znużonego porwać. Więcej dwudziestu ludzi obznaczył i kilku nawet ubił, ale widocznie na siłach upadał. Był stary loch warzywny w ogrodzie, do niego się dostał i nową walkę rozpoczął, jakby w jakiej niedobytej twierdzy. Chował się w lochu dla odpoczynku, a gdy widział, że żołnierze po schodach zaczynają się spuszczać, do góry biegł, szabłą ich kaleczył i do odwrotu zmuszał. Rady by jemu tam nie dali, a trzeba było najprędzej go uchwycić, bo książe wojewoda wileński mógł mu przyjść na odsiecz. Ale Żyd, faktor marszałka trybunału, podał sposób, którym go dostali. Kazano wszystkie bety żydowskie poznosić i rzucać w loch, a za nimi szli żołnierze, popychając je przed sobą; coraz więcej betów rzucając, tak go obrzucili, że już ruszać się nie mógł, i dopiero żołnierze go wzięli; w ich rękę będąc, jeszcze jednego z nich zabił uderzeniem pięści w skronie. Ale już nic nie pomogło: związanego zanieśli do sali trybunalskiej, tam mu przeczytano dekret sądu kapturowego, który natychmiast, bez dania mu czasu tłomaczenia, bez słuchania go nawet, trybunał potwierdził. Było to *horrendum*. W dekreście same były potwarze; między innymi rzeczami było w nim, że pan Wołodkowicz szabłą krucyfiks na stole będący przeciął, a on nie tylko że takiego świętokradztwa się nie dopuścił, ale nawet nie wyjął z pochwy pałasza. A że nahajem wybił pisarza Matusiewicza, tego się nie zapierał, ale to, lubo było przestąpieniem, śmiercią karane być nie mogło, bo jurysdykcja kapturowa, będąc nadzwyczajną, nie do

miejsca, ale do osoby więcej przywiązana. I zawsze mógł się tłumaczyć pan Ignacy, że w niebytności sędziego nie uznawał jurysdykcji; za skrzywdzenie więc pisarza grzywny i wieza po sprawiedliwemu, a nic więcej nie powinno go było czekać. Ale tu już nie chodziło o sprawiedliwość, tylko o dogodzenie zemście. Pan Wołodkiewicz został zaprowadzony do sądu, wybadany, osądzony, dekretowany i dysponowany na śmierć, a nareszcie rozstrzelany: to wszystko w przeciągu niespełna godziny! Zaraz po dopełnieniu wyroku i trybunał, i książę biskup rozjechali się, i w porę, bo książę wojewoda wileński, do- wiedziawszy się, że pan Wołodkiewicz puścił się do Nowogródka, zaraz przeczuł jego niebez- pieczeństwo i na czele sześciu tysięcy milicji swojej, którą zebrał naprędce, i bandy albeńskiej ruszył za nim i w ośm godzin po rozstrzelaniu przyjaciela stanął przed miastem. Pułk imienia

Massalskich próbował rogatek bronić, ale w puch został rozbitym. Tam się dopiero dowiedział książę o nieszczęściu swoim. Bo zawsze później mawiał: „Dwa tylko nieszczęścia prawdziwe w życiu doświadczyłem: pierwsze - podział kraju, drugie - rozstrzelanie Wołodkowicza.” I nigdy nie przestał opłakiwać tej straty.

Otóż w lat około dwudziestu po tym wypadku jako zwykle książę wojewoda obchodził dzień świętego Karola, na który można powiedzieć, że cała Litwa zjeżdżała się do Nieświeża. Książę, wedle swego zwyczaju, siedział w ogromnych sieniach swojego zamku, otoczony sługami i domownikami; przyjmował gości, naprzeciw każdego wychodząc do drzwi, i wznovu siadał w swoje głębokie krzesło, póki dla innego przybywającego nie wstanie. A że każdy gość stał w sieniach z nim razem, póki się wszyscy nie zjadą, można powiedzieć, że cały ranek się przebywał w sieniach, które powoli się napełniały. Otóż razu pewnego wszedł jakiś jegomość, w wieku bliżej starym niż młodym, to jest średnim. Był w kontuszu mundurowym granatowym, z pomarańczowym kołnierzem i takimi obszlegami i czapką, a żupanie białym. Skłonił się nisko przed księciem, jakoby żądając ośmielenia, by mógł za sobą o jakąś łaskę się przemówić. Książę to widząc odezwał się:

- Panie bracie, czego waszeć żadasz?

- Jestem abszytowanym oficjerem wojsk Rzeczypospolitej i życzyłbym sobie w milicji waszej książęcej mości być umieszczonym.

- Gdzie wasze służył?

- W pułku imienia Massalskich. I oto mój abszyt i świadectwo mojej konduity, które śmiem składać waszej książęcej mości.

Książę, rzuciwszy okiem na papiery, raptownie zasepił się i wyrzekł:

- Wołodkowicza rozstrzelali!

Wtem spostrześliśmy, że starający się o służbę na twarzy okazał nadzwyczajne pomieszanie, a potem przerwał milczenie i śmiałym głosem odezwał się:

- Nie zapieram się, że w Nowogródku wyprowadzałem na śmierć pana Wołodkowicza; ale w tym nie mam sobie nic do wyrzucenia. Jako żołnierz, moja rzecz była służyć naczelników i dopełniać ich rozkazy, a nie wchodzić w sprawiedliwość ich rozporządzeń. Jeżeli otrzymam służbę waszej książęcej mości, z równą wiernością będę spełniał jej rozkazy, jakem spełniał rozkazy królowi i Rzeczypospolitej.

Na to książę:

- Wołodkowicza rozstrzelali! - i obróciwszy się do swojego sztabsoficjera deżurnego, którym na ten dzień był pan Tyszkiewicz, później starosta wilatycki, a natenczas podpułkownik milicji księcia: - Każ waćpan, aby natychmiast tu przyszło trzech żołnierzy z mojej warty, z bronią i ostrymi ładunkami: Wołodkowicza rozstrzelali!

Wszedł natychmiast pan Tyszkiewicz, a my w największym podziwieniu czekamy, co z tego będzie. Oficjer o służbę starający się stał jak skamieniały i bładny gdyby trup. Ponure milczenie panowało, przerywane tylko słowami: „Wołodkowicza rozstrzelali”, które to słowa książę co chwil kilka powtarzał coraz w mocniejszym poruszeniu. Nadeszli żołnierze. Książę zakomenderował:

- Nabij broń!

My na siebie ze strachem spoglądali. Nikt z nas odezwać się nie śmiał; a tu widocznie gotował się kryminał, który nie mógł nas wszystkich nie gorszyć, bo lubośmy z duszą i z sercem byli poświęceni

księciu, byliśmy szlachcą polską, i żaden z nas nie był rad być świadkiem, jak się depcze prawa Rzeczypospolitej.

- Wołodkowicza rozstrzelali! - odezwał się książę. ~ Weźcie serce z papieru czerwonego i przyspilcie go! -Oficer od warty przyskoczył do oficera abszytowanego imienia Massalskich i zabierał się jemu serce przyłożyć. A książę: - Gdzie to serce kładziesz? Nie tu, ale przyłóż go waść temu jeleniowi, co jest na tym kobiercu.

Trzeba wiedzieć, że cała ściana sieni była zakrytą ogromnym kobiercem gobelinem, wyrażającym polowanie na jelenia. Oficer więc serce wyżej łopatki jeleniowi przyspilił, ksiązę zakomenderował: „Ognia!” - i trzy kule przybiły serce. Potem wstał z wypogodzonym obliczem, prosząc nas z sobą na pokoje. Massalczyk stał jak śnieg majowy, ani się można było dowiedzieć, gdzie się on podział. A my z księciem cały dzień wesoło przepędziliśmy, ani on, ani żaden z nas nie wspominając o tym zdarzeniu, co nam był tyle strachu nabawił.

PAN BOROWSKI

Pisałem o bandzie albeńskiej, a przyszło mnie na myśl, że może już nikt dziś nie wie, co znaczyła ta banda, do której tak się starano należeć i co miano sobie za bardzo wielki zaszczyt być jej członkiem. Ksiązę Karol Radziwiłł będąc miecznikiem litewskim ją utworzył w Albie, ogrodzie i domu wiejskim pod Nieświeżem, a jej przepisy, trafiając w myśl księcia, ułożył pan Piszczalo, jego niegdyś nauczyciel. Patenta podpisywał ksiązę, jako naczelnik towarzystwa, którego kanclerzem był pan Ignacy Wołodkiewicz do śmierci, a sekretarzem pan Michał Rejten. Każdy członek w listach podpisywał się: „Radziwiłłowski przyjaciel”, a ksiązę go nazywał „panie kochanku”; a że z nimi zawsze obcował, to nazywanie „panie kochanku” zamieniło się u niego w przysłowie, że je co momentu powtarzał. Mundur był barwy Radziwiłłowskiej: kontusz słomianego koloru, żupan błękitny, pas, umyślnie na to w Słucku robiony, srebrny, w orły czarne z trąbkami, szpinka z emalii błękitnej, na której z brylancików była cyfra z trzech liter: K. X. R. I w tym mundurze trzeba było chodzić zawsze w Nieświeżu; a gdyby kto, nie mając na to patentu, ważył się ten mundur gdziekolwiek wdziać na siebie, był pewny, że zostanie przymuszony go zrzucić. I tak pan Skirmunt, co był u księcia ekonomem generalnym w Birzach, nie będąc do tego upoważnionym, ale zaufany w to, iż służył w skarbie ksiązęcym, pokazał się raz w tym mundurze u pana Burby, cześnika rosieńskiego a rządcy ekonomii królewskiej w Szawlach, na balu. Ale na swoje nieszczęście znalazł tam dwóch prawdziwych albeńczyków: pana Bonifacego Sołohuba, koniuszego nowogródzkiego, i pana Jana Wierzejskiego, regenta sądów za-dwornych. Ci na niego napadli, mundur z niego zdarli i jeszcze wyszturchali, chociaż to było w uczciwym domu. Pan Skirmunt o to się żalił księciu, ale ksiązę nie tylko że przyznał słuszność panu Sołohubowi i Wierzejskiemu, ale nawet oddał pana Skirmunta, bo sam ściśle przestrzegał ustaw zgromadzenia, którego był stwórcą.

Zeby być przypuszczonym do tego grona, trzeba było być: szlachcicem karmazynowym, osiadłego obywatela synem, w kordy, w dosiadywaniu koni najdzikszych, w sztuce łowieckiej doświadczonym i niepospolitej odwagi. A ksiązę nie mógł nikogo patentować, tylko za wstawieniem się dwóch [trzech] części całego towarzystwa. Ich obowiązki były: na każde wezwanie księcia stawić się konno w całym rynsztunku i iść z nim, gdzie mu się podoba, a nie zważając na nijakie niebezpieczeństwo, w każdym wypadku łba nadstawiać za honor Najświętszej Panny, księcia wojewody, swój własny i

każdego z członków towarzystwa. Były rozmaite przepisy dla tej prawdziwie szkoły bohaterskiej, a między innymi, że dwóch albeńczyków, mając z sobą zajście, nie powinni byli się ciągnąć po jurysdykcjach krajowych, ale rzecz skończyć między sobą szablą albo zdać się na jakiego kolegi, co by ich rozsądził. Z tego powodu zabawna scena nastąpiła w Nieświeżu.

Razu jednego w Samuelowie, u JW. Mikołaja Morawskiego, generała, zjechało się kilku Radziwiłłowskich przyjaciół, między nimi pan Leon Borowski i pan Bonifacy Sołohub. Pan Bonifacy nicpotem strzelał, bo miał krótki wzrok, ale z oszczepem na niedźwiedzia tego cho- dził, bo

był silny i nieustraszony. A miał strzelbę dwururną, angielską, jakiej u samego księcia lepszej nie było. Pan Leon, co nadzwyczajnie miał oko, chciał jej koniecznie dostać i różne proponował facjendy, by ją nabyć. Ofiarował swoje cztery konie siwosrokate, którymi przyjechał do Samuelowa, a do których pan Bonifacy dość się palił; ale ten był twardy i zawsze mówił:

- Prędeż z skórą moją się rozstanę niż z moją dubeltówką.

- Na co ci się ona zda, kiedy strzelać nie umiesz?

- Czy umiem, czy nie umiem, to nie twój interes, a fuzji ci nie dam.

- Słuchaj! tu dobra knieja i niewielka pod Samuelowem. Obrzućmy ją siecią. Jeżeli ubijesz zwierza, ja ci oddam moje cztery konie, a jeżeli nie, to mnie oddasz strzelbę.

- Zgoda! - odpowiedział pan Bonifacy. - Ale zrobmy opis na piśmie i wręczmy go panu generałowi. Bo jak ubiję zwierza, to ty żarcikami gotów mnie zbyć: my się nie od wczorajszego dnia znamy.

- Pisz, jak ci się podoba, ja podpiszę, bo wiem, że chyba zwierz na nosie ci siedzie, to go ubijesz.

Wziął tedy papier i pióro pan Bonifacy i napisał: „Między W. Leonem Borowskim, kornikiem słonimskim, a W. Bonifacym Sołohubem, koniuszym nowogródzkim, zawiera się następująca umowa: Dnia N. N. do kniei samuelowskiej, sieciami obrzuconej, o piątej godzinie przed południem, z trzema sforami gończych psów, z których jedna jest W. Leona Borowskiego, a dwie drugich JW. Mikołaja Morawskiego, generała-majora W. Ks. Litewskiego, gospodarza domu, i z jednym dojeżdżaczem na koniu, pójdą W. Bonifacy Sołohub, W. Leon Borowski i sam JW. gospodarz, i inni wymienieni goście, którzy pójdą do kniei, aby w czasie mogli dać świadectwo. Nikt strzelby z sobą mieć nie będzie oprócz W. Sołohuba, a ten w przeciągu najdalej godzin trzech winien będzie przynajmniej jednego zwierza ubitego okazać. Jeżeli go okaże, cztery konie siwosrokate wraz z uprzężą, którymi przyjechał do Samuelowa W. Borowski, będą temuż wyż wzmiankowanemu W. Sołohubowi wydane - i do nich żadnej pretensji ani prawa własności rościć nie będzie W. Borowski; jeżeli zaś po upłynieniu trzech godzin, to jest o samej ósmej z rana, żadnego zwierza ubitego W. Sołohub nie okaże, natenczas strzelba angielska dwururna z napisem: Segalas London, a która jest złożoną u JW. generała Morawskiego, zostanie wydana W. Borowskiemu. W. Sołohub, że do niej równie żadnego prawa sobie rościć nie będzie, zapewnia. A za zezwoleniem stron niżej podpisanych JW. Mikołaj Morawski, generał-major W. Ks. Litewskiego, bierze na siebie obowiązek przyprzewadzić ten dobrowolny opis do egzekucji.”

Podpisali się strony i świadkowie. A pan generał natychmiast wszelkie przygotowania rozporządził do jutrzejszego polowania.

Cały dzień napastował pan Leon pana Bonifacego różnymi żarcikami, a pan Bonifacy fantazji nie tracił, mówiąc tylko:

- Obaczmy, kto wygra zakład!

Nazajutrz przed piątą jeszcze już wszyscy byli w kniei. Usłyszano strzał po jakimś czasie, wprzód, nim się psy słyszeć dały. Wszystkich to zadziwiło, aż tu pan Bonifacy pokazuje się ciągnąc za ogon ubitego psa pana Borowskiego, mówiąc:

- Proszę o konie, ubiłem zwierza!

- Jak to! - powiedział pan Borowski - ty za psa mnie zapłacisz, a pokaż mi zająca, jeżeli chcesz, aby moje konie i twoja strzelba były

przy tobie.

- Przeczytaj opis, tam o zającu się nie pisze, tylko o zwierzu; a spodziewam się, że pies zwierzem.

- Do kogo innego waćpan idź z takimi conceptami, a ja pana generała proszę o strzelbę. Pan generał na to:

- Odczytamy w domu opis; a ponieważ do mnie przywiązano przez strony dopełnienie onego, ja do tego opisu stosować się będę.

Poszli tedy wszyscy do domu; pan Leon nie posiadający się z gniewu, a pan Bonifacy za beki trzymający się od śmiechu. Przybywszy do domu pan generał, wzięwszy okulary, zaczął czytać transakcją, a potem odezwał się:

- Nie ma napisanego rodzaju zwierza, który ma być ubity; zatem wedle opisu w istocie pan Bonifacy Sołohub wygrał zakład.

- Ja na to nigdy nie pozwolę - powiedział pan Leon. -Odwołuję się do sumienia wszystkich myśliwych, czy pies może uchodzić za zwierza.

A na to pan Bonifacy:

- A już ci nie ptak. Pożegnaj się z końmi, panie Leonie, i na dal w opisach twoich lepiej się pilnuj.

- Ty moich koni nie dostaniesz, a strzelba moją będzie, chyba Pana Boga nie ma na świecie. Jeżeli pan generał od mojej własności mnie wyzuje, mamy jurysdykcje, co mnie sprawie- dliwości nie odmówią. Wolę cały majątek stracić niż pozwolić, aby mię gubić błażństwem.

- Nie strasz jurysdykcjami, bo my obydwaj z albeńczyków grona, a tobie wiadome nasze prawa, że musimy między sobą wszelkie zatargi skończyć. Ja na twoje pozwy nie stanę, bo błażnić się nie chcę. Niech nas, kto chce z naszych sędzi, ja na każdego sąd przystaję; najwłaściwiej niech gospodarz decyduje.

- Z przeproszeniem JW. generała, żebym się na niego zapisał, tobym zasłużył, aby mnie szarą gęś przypięto. Pan generał przed wprowadzeniem sprawy już tobie moje konie przysądził; pięknie bym wskórał w jego sądzie.

Na to pan generał:

- Ja się nie ubiegam o to, abym wasze spory rozstrzygał; zapiszcie się, na kogo chcecie, a ja zatrzymuję konie i strzelbę u siebie i to wszystko oddam, komu dekret kompromisarski przysądzi.

- Ja na to przystaję - powiedział pan Bonifacy - i piszę się, na kogo chce pan Leon, byle z naszego grona. I w tym uważajcie, panowie, moją powolność, że wygrawszy sprawę moją, poddaję ją pod sąd. Bo wedle opisu naszego rzecz nasza skończona i mam już niezaprzeczone prawo posiadania koni i strzelby.

- To waćpan sobie tak tłumaczysz, ale obaczmy, co drudzy powiedzą. Jeżeli ci, co psy biją, mają się myśliwymi nazywać, to niech przepadną moje konie. Ale obaczmy.

- Ja o waćpana przycinki nie stoję. Wiemy wszyscy, że całe życie przywykły z drugich żartować, waćpanu się zdaje rzecz nieznośną, że z waćpana pożartowali. Ale tu idzie o rozstrzygnięcie interesu, kto ma nas osądzić.

- Ja na samego księcia wojewody się zdaję.

- Zgoda - odpowiedział pan Bonifacy - niech nasz naczelnik nas sędzi. JW. generał miał dziś do Nieświeża jechać, jedźmy z nim i tak kończmy; a JW. generał nie zapomni z sobą przywieźć naszej transakcji. A patrz, panie Leonie, jak ze mną łatwa sprawa: że ty już bez koni, ja ci ofiaruję miejsce na mojej bryce.

- Nie doczekasz się, abym z twojej łaski korzystał; wolę piechotą pójść niż siaść na twoją brykę. Ja, choć lubię żartować, ale bez cudzej krzywdy, a ty swoim żartem chcesz mnie konie zabrać. Wstydzilibyś się z taką sprawą przed księciem występować; śmiech tylko z siebie zrobisz. Trzymaj sobie nareszcie swoją strzelbę, ale dla Boga, nie sięgaj po moje konie.

- O, prawda, jaki ty mądry! Nie wmówisz we mnie, abym odstąpił

od tego, co moim; sam się wstydzic będziesz w Nieświeżu z twojego uporu i żeś się dał złapać. A kiedy nie przyjmiesz mojej grzeczności, to mniejsza o to, idź sobie piechotą, kiedy chcesz.

Pan Leon nic nie odpowiedział, ale że widział po wszystkich gościach, że w tym interesie sprzyjali panu Bonifacemu, tak się rozzłościł, że od nikogo miejsca nie chciał przyjąć w powozie, i wolał u arendarza podwodę nająć i samopas puścić się do Nieświeża; a co gorsza dla niego, że wszyscy się śmieli do rozpuku. I tak zjechali się do Nieświeża; opowiedziały strony

interes księciu wojewodzie prosząc, aby pozwolił, by na niego zapisali się na kompromis. Na to książę:

- Dobrze. Jedźcie więc do Nowogródka i powracajcie z przyznaną inskrypcją, a ja was roz- sądze.

Zaczął pisać inskrypcją. Pan Leon chciał, aby domieszczo, że książę wojewoda będzie sądził rzecz wyływającą z komplancji w Samuelowie zawartej wedle wyrazów tej komplancji, stosownie do ich znaczenia pospolicie przyjętego. Ale pan Bonifacy temu się oparł i sprawiedliwie wniósł, że takie informacje w inskrypcji umieszczone byłyby jakąś nauką księciu *indirecte* daną, przeciwną delikatności winnej tak wielkiemu mężowi; że kiedy książę raczy ich osądzić, wszelką ufność powinny na niego strony położyć i nie może być sędzią, jak tylko bezwarunkowym. Dał się przekonać pan Leon, bo co do tej okoliczności jednomyślnie wszyscy przytomni przyznali słuszność panu Bonifacemu. Tak więc z inskrypcją pojechali do Nowogródka dla przyznania jej przed grodem, ale każdy osobno, bo pan Leon tak był rozją- trzony na pana Bonifacego, że mówić z nim nie chciał, a cóż dopiero podróż obok niego od- bywać. Pojechali więc, przyznali inskrypcją i wrócili nazajutrz do Nieświeża z wszelką goto- wością. A książę na dzień następny zapisał akt sądu kompromisarskiego i kazał sprawę wprowadzić. A że był obytym w sądownictwie, pomiarkował, że strony na siebie nadto za- wzięte, aby same tłumacząc swoją rzecz, bez lezjów się obeszło, po których między nimi, jako ludźmi determinowanymi, skończyłoby się jeszcze na gorszym. Książę, że ich obydwóch lubił, a chciał między swoimi albeńczykami jedność, ile można, zachować, nie pozwolił żad- nemu z nich ani słowa wyrzeknąć przed ogłoszeniem dekretu i nazaczył kary na strony za każde odezwanie się po trzysta złotych na rzecz bonifratrów nowogródzkich. Z tego więc powodu obligował mnie pan Leon, abym od niego stawał, a pana Bonifacego interes prowa- dził pan Jerzy Płaskowicki, krajczy starodubowski, jeden z albeńczyków szczególnie szaco- wanych od księcia wojewody, a to z powodu, że w czasie bezkrólewia, lubo konfederacja generalna pod karą *abiudicationis ab omni activitate* zabroniła kancelariom przyjęcia wszel- kich manifestów przeciw jej czynnościom, on, zastępując miejsce regenta grodzkiego w No- wogródku, przyjął do akt sześćdziesiąt przeszło manifestów obywatelów przez konfederacją uciśnionych, za co został uwięziony i przez moskiewską komendę prowadzony Bóg wie gdzie; ale na szczęście jego, nie dochodząc do Swierznia, pan Aleksander Odyniec napadł na komendę, która go prowadziła, rozsypał ją i oswobodził jego. A dekret *abiudicationis* i bani- cji, na niego przez kaptur nowogródzki ferowany, dopiero konfederacja radomska zdjęła; a dla większego dowodu wrócenia *activitatis* król Stanisław konferował jemu przywilej na kraj- czostwo starodubowskie.

Każda strona po jednym arbitrze dodała JO. księciu *cum voce consultativa* [z głosem do- radczym], na żądanie samego księcia. Od pana Leona zasiadł pan Michał Rejten, pisarz ziem- ski nowogródzki, a pan Bonifacy uprosił W. Radziszewskiego, chorążego starodubowskiego. Wprowadzenie sprawy, *inducta*, repliki, wysłuchanie świadków trwały dni cztery, po których książę ogłosił dekret, przysądzający cztery konie wraz z uprzężą panu Bonifacemu Sołohu- bowi, a stosując się do konstytucji 1764 r., za sprzeciwienie się pana Leona Borowskiego do- browolnemu opisowi uwalniał go od więzy, ale nakazał mu zapłacić grzywien około dwóch- set złotych, z których ośmdziesiąt jednak odtrącił, bonifikując szkodę przez pana

Leona po- niesioną w gończym psie, co go pan Bonifacy był zastrzelił.

Pan Leon milczał przez czas czytania dekretu, tylko pobladł i wargi mu się trzęsły, i na- tychmiast, nie podziękowawszy księciu, wyjechał z Nieświeża w niepohamowanym gniewie i zajechawszy do Niehoryły, dzierzawy, którą z łaski księcia przez zastaw za bezcen trzymał, napisał list do księcia pełen wymówek, wyrzucając mu niesprawiedliwość i odsyłając mundur albeński z oświadczeniem, że już do tego zgromadzenia, skazonego parcjalnością jego naczelnika, należeć przestaje, że nieprawemu wyrokowi nigdy się nie podda i że jako wolny szlachcic, będzie szukał sprawiedliwości po sądach szlacheckich, nie znajdując jej w kapry-

sach pańskich, i inne podobne rzeczy. Jak książę odebrał list, kazał go głośno przy nas wszystkich sobie czytać. Myśmy struchleli nad taką zapamiętałością pana Leona przeciw swojemu dobroczyńcy; książę, natomiast co by się miał obruszyć, zaczął się śmiać do rozpu- ku, mówiąc:

- Panie kochanku, pan Leon coś się bardzo na mnie rozchimerował, ale jakoś da się prze- prosić.

Ale to nie dość na tym. Pana Leona wyraźnie coś było przystąpiło, bo zaczął ciągnąć księ- cia po sądach, wszędzie próbując zwalić kompromisarski dekret i wszędzie przegrawszy, po- dał prośbę na księcia do Rady Nieustającej. Tu już książę dopiero się obraził; bo tej jurysdyk- cji nienawidził i opierał się, o ile mógł, jej ustanowieniu, w przekonaniu, iż ona jest niezgodną z wolnością obywatelską i z niezawisłością sądownictw krajowych i władz prawodawczych. Bo jakże może być powaga sejmów w tworzeniu praw, skoro jest magistratura interpretująca też prawa? Pan Leon niczego nie wskórał, bo Rada Nieustająca odmówiła mu uchylecia de- kretu kompromisarskiego, tym więcej, że jej marszałkiem wówczas był JW. Jelski, podkomo- rzy smoleński, mąż wysokiego światła i znający, że w narodzie żadna władza nie jest w pra- wie naruszać świętości kompromisu; a książę, do najwyższego stopnia zirytowany, zaawizo- wał pana Leona o okupno Niehoryły, a złożywszy sumę, odebrał na siebie majątek, więcej dochodu rocznego przynoszący niżli kwota zastawna na nim oparta. A do tego odgrażał się, że na tym nie poprzestanie, i po kilkokrotnie, ledwo nie co dzień, przed nami odzywał się:

- Panie kochanku, nie mam ani przyjaciół, ani sług wiernych. Pan Leon mnie ukrzywdził, a nikt się za mną nie ujmuje. Kto mnie szczerze kochał, już nie żyje. Gdyby żył Zawisza lub Wazgird, lub Bohuszewicz, dawno by pan Leon Borowski poznał, co to jest Radziwiłła ukrzywdzić; a cóż dopiero, gdyby pan Ignacy Wołodkowicz zmartwychpowstał! Wszyscy albeńczykowie moje folwarki za bezcen trzymają, a słudzy moi się panoszą - i to cały dowód ich przywiązania.

A te słowa nam wnętrzości przeszywały jakby nożem, bośmy i pana Leona lubili, pomi- mo jego dziwactw. On, będąc w największych łaskach u księcia, nie tylko że nikomu z nas nie był na przeszkodzie, ale owszem, każdemu starał się pomagać, za każdym mówił i prosił, a za sobą nigdy. Ale nasze obowiązki i dla księcia były święte: my chleb jego jedli, i niesuchy; i gdyby pan Leon nie był przeprosił księcia, radzi nieradzi, pomścilibyśmy naszego księcia. Przyjaciele i słudzy księcia zrobiliśmy gatunek sejmu, aby jakoś tak wszystko pogodzić, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia ani względem przywiązania i wdzięczności dla księcia, ani przyjaźni, cośmy dochowywali panu Leonowi. A że pan krajczy Płaskowicki był między na- mi, mąż wielkiej powagi, jedyny do rady i wielki kunktator i który miał przewagę nad nami wszystkimi i nad samym panem Leonem, dawszy tyle dowodów i wielkiego światła, i wiel- kiego charakteru, uprosiliśmy go, aby do niego się udał i wmówił mu, by się upokorzył przed księciem panem, jako słuszność do tego powinna by go zniewolić sama z siebie, nie czekając, aż pomimo że go kochamy, zmuszeni zostaniemy, chociaż z boleścią serca, zadośćuczynić naszej powinności, jako już bywały tego przykłady. Bo książę z uniesienia tylko wyrzucił nam, żeśmy obojętni na szarpanie jego sławy; on w duchu dobrze znał, że tak nie było, i jesz-

cze przed upłynionym rokiem odebrał był dowód sług i przyjaciół swoich przywiązania. Bo kiedy książę Michał Radziwiłł, wówczas kasztelan wileński, mając sprawę z księciem wojewodą, sprowadził był na niego aż z Poznania sławnego piotrkowskiego mecenasa, pana Raczyńskiego, którego pamiętają dobrze w Wilnie, bo chodził po niemiecku z ogromną upudrowaną fryzurą i z kulczykiem na lewym uchu - a ten przeciw naszemu księciu wystąpił w swoim indukcie z lezjami w przytomności kilku albeńczyków, ci to na pozór obojętnie przyjeśli; ale dwu dni nie upłynęło, kiedy książę kasztelan z panem Raczyńskim wyjechali szpacjerem na kawę wiejską do Pohulanki, gdzie już nie dochodziła jurysdykcja marszałkowska, pan Paweł Siemieradzki i pan Bazyli Czeczot, obydwaj albeńczykowie i Nowogródzanie, z kilku sługami księcia wojewody tam wpadli i w obliczu księcia kasztelana jego umocowanemu sto

batogów odliczyli po niemieckich pludrach. Książę kasztelan tak się przeląkł z obawy, by i jemu samemu się nie dostało, że potem w Wilnie kilka niedziel obłożnie chorował; a pan Raczynski, wyleżawszy się parę dni, że go świat nie widział, wrócił do swojej Wielkopolski, oberwawszy nadspodziewane honorarium. I książę nasz, chociaż umiał ocenić dowód przywiązania, ale był z tego nieco markotny, z powodu iż się chybiło prawidłom gościnności: Wielkopolanina w Litwie obić. Jeszcze to pan ciwun Rupejko nas wszystkich rozśmieszył, a najwięcej samego księcia, mówiąc, że wedle praw naszych *in loco delicti* każdy powinien być karany. To kiedy oni nie oglądali się na JO. księcia kasztelana, wysokiego senatora i kuzyna księcia naszego, czego by się na dal mógł spodziewać pan Leon? A widać było, że książę taki w duchu tęsknił za nim; bo choć na niego odgrażał się póki trzeźwy, to jak się dobrze podochoć, często go wspomina przez zapomnienie, ale jako przyjaciela; a nazajutrz wznovu się odgraża.

Pan Płaskowicki w Słonimiu znalazł pana Leona; on tam był komornikiem. I zastał go prawie w czarnej melancholii.

- Patrz, panie krajczy dobrodzieju - powiedział mu po przywitaniu - gdzie mnie czort za- pędził! I dwudziestoletnie zasługi diabli wzięli, i piękny majątek utraciłem, i jeszcze wcześniej czy później po skórce dostanę. Nic nie brakuje, tylko tego. Wybaczej, ale jeszcze mam pół garnca wódki starej i tym cię traktować będę, bo nie ma z czego. Patrz! - dodał mu, wytrząsnawszy sakiewkę, z której wypadła złotówka i kilka srebrnych groszów. - Oto cały mój majątek, a wszystkie moje pasy już po Żydach zastawione. Dało mi się w znaki polowanie samuelowskie! Ale sam znam, że się nie popisałem. Wstyd mi, a było jeszcze gorzej, bo w Warszawie, chodząc jak chłystek koło Rady Nieustającej za moim głupim interesem, którego nie mogłem nie przegrać, chociażbym był królewskim bratem, takem się odłużył, że z miasta by mnie nie wypuszczono, gdyby poczciwy Sołohub nie był przysłał przez Tatara trzech tysięcy złotych z listem, w którym wyraża, że nigdy nie przestanie ubolewać, iż jest przyczyną moich dolegliwości. On nic nie winien, ale ja jak ostatni błazen postąpiłem. Jakem wpadł w niełaskę księcia, to ode mnie stronią jak od zapowietrzonego. Bóg ci odpłaci, żeś o mnie nie zapomni.

I nalawszy kielich wódki, wypił do krajczego. Wypił i krajczy.

- Cóż myślisz z sobą robić, panie komorniku?

- Albo ja wiem? Przecież przyjacielski oblicz mi się pokazał; tego już dawno nie bywało, więc zmartwieniom zrobi się przerwa. Jest przynajmniej z kim wypić: na frasunek dobry trunk, bis *repetita placet*. Do waćpana, panie krajczy!

- A cóż to, panie Leonie, czy już z desperacji nie rozpiłeś się gorzałką?

- Kto? Ja? Jakem sodalis, że tylko wodę piję jak kaczką. Albo to mam z kim pić? Tydzień dziś się kończy, jak tu do mnie przybył szlachcic Rac. Wszak musisz znać pod Nowogródkiem okolice Raców, mości krajczy?

- A dla Boga!

- Nieborakowi parę koni ukradziono. Szukając ich, opytem trafił do Słonima, gdzie ich znalazł u Fejbisza, pierwszego kupca tutejszego. A nie mając tu, jeno mnie znajomego, garniec wódki starej mnie przywiózł prosząc o pomoc. To z nim część wódki jego wypilem, a potem biedakowi wykierowałem interes, bo Fejbisza nastraszyłem grodem, że zaraz konie odda, choć je w dobrej wierze

kupił. A oto reszta tej wódki. To, panie Jerzy, nie pozwalasz, bym do ciebie wypić?

- Ale, kochany panie Leonie, ja truciznę ledwo z tobą bym nie wypić; ale wolałbym wina kieliszek.

- Ehe, to wyraźnie już mi przymawiasz. Gadać o winie takiemu, co dwa złote niespełna ma przy duszy! Minęły te czasy, kiedy w niehorylskiej piwnicy pan Leon swoich przyjaciół częstował. Teraz, czym bogat, tym rad.

- Ja ci pieniądze pożyczę.

- Dziękuję ci, łaskawy przyjacielu. A gdzie *pignus responsionis* [zastaw]? Wszak wiesz, że sumka, co ja miałem na Niehoryle, jest nieboszczki mojej żony; i ona leży w aktach nowo- gródzkich bez pożytku dla mnie; a czterdzieści tysięcy moich własnych, co mi się zostały z krwawej pracy mojej, a które są u pana Łopota, od trzech lat ani kapitału, ani procentu nie widzę. Ja to mam za przepadło.

- Co za nowa desperacja!

- Abo to ja pozywać się będę kiedykolwiek? Już mi się dał proceder we znaki tak, że teraz, gdyby mnie nawet kto *imparitatem* zadał, to bronić się nie będę. Dziękuję ci więc, panie Jerzy, ale twojej ofiary nie przyjmę.

- Panie Leonie, porzuć bluźnić. Wszak wiesz, że ja nigdy nie uchodził za takiego, co swoje pracę w błoto rzuca. Kiedy ci chcę pieniędzy powierzyć, to widać, że muszę upatrywać jakąś pewność. Oto masz sto czerwonych złotych: wykup, coś pozastawiał, potraktuj mnie dobrym winem, jeśliś mnie rad, a wrócisz mnie pieniądze w Nieświeżu.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! Ja w Nieświeżu! Wątpię, panie krajczy, żebyś za dobrą ewikcją swoich sto czerwonych złotych przyjął monetą, która dla mnie przygotowana w Nie- świeżu, a która - dodał z głębokim westchnieniem - wcześniej czy później i tu mnie znajdzie.

- Co mamy na sucho rozprawiać! Bierz pieniądze, poszlij po wino, napisz mnie dokumen- cik, a przy kielichu i uradzim, i uradujem się.

- Tać to i Bóg, i ludzie wiedzą, że masz więcej ode mnie rozumu.

Robię, co każesz. Odliczył pieniądze pan Leon, a swego chłopca posłał do winiarza, dając mu czerwony złoty jeden, mówiąc:

- Ruszaj do Małgosi, połóż jej w rękę, co ci daję, i powiedz, żeby mi przysłała garniec tego wina, co po oficjale Świętochowskim dostała.

Sama nadzieja, że będzie traktował gościa, i jeszcze tak dobrym winem, rozweseliła pana Leona - on, co jest najgościnniejszym z ludzi - że taki sam humor wrócił do niego, jakiego miał, kiedy był jeszcze wyrocznią nieświeską.

Przyniesli wino. Siadli obaj przyjaciele. Pan Leon dokument napisał, odczytał go z uwagą pan krajczy, porządnie go złożywszy włożył za nadrę i kielichem zaczęli się bawić. Opowia- dał różne dychteryjki pan Leon, ale tak dowcipne, że nie tyle garniec, ale i dziesięć ich by się wypróżniło i aniby się spostrzeżono, tak miło czas schodził. Ale gdy przyszło do interesu, to jest, jaką furtką trafić do księcia, tu nad tym zaczęły się suszyć umysły. Rozmaite podawał sposoby pan Jerzy, ale pan Leon zawsze odpowiadał:

- Ja na to się nie odważę. Znam ja księcia pierwszy impet: każe mnie na śmierć obatożyć, jak mu się pokażę, i nie jeleń weźmie w skórę, ale pan Leon *personaliter*. I między nami, wart tego. Sam sobie nieraz po skórze chcę dać, a on by mnie miał żałować? Nadto mu się narazi- łem! On poczciwe ma serce, ale mój postępek był tak niewdzięczny, tak zapamiętały, że i nieboszczykowi Sierotce nawet bym się naprzykrzył; a dopiero jemu. Nie ma rady, on wszel- kie do mnie przywiązanie utracił.

- Oto wiesz co, panie Leonie? On ciebie kocha. Kiedy trzeźwy, to na twoim łbie szyby że- lazne łomie; ale jak tylko się podchmieli, ciebie szuka i przymrużając oczy, mruczy nalewając kielich: „Do ciebie, panie Leonie!”

- Co powiadasz?

- Bóg świadek, że kilka razy byłem przy tym. A cały dwór za tobą tęskni, bo nie ma komu za kim do księcia w interesie się wstawić. Książę Kantembryng, co tylko sumienia książęcego nie tyczy, do tego się nie miesza, i za rodzonym ojcem słówka nie powie. Pan Mikołaj Morawski, kontent, że mu się udaje księcia z błotem zmieszać nieraz, jak książę go znecierpliwi, na tym poprzestaje i ani za sobą, ani za nikim, jak wiesz, się nie wstawia i rad by księcia więcej do oszczędności niż do wspaniałości nakłonić. Ile razy książę czym grubym kogo obdarzy, to on mówi: „Za-za-za-płać twoje dłu-dłu-długi a do-do- a dopiero bądź wspaniałym.” Pan Michał Rejten, co by u niego, co by chciał, wyprosił, a pięciu diabłów by się nie zląkł, przed

nim boi się usta otworzyć; a zresztą oprócz tych trzech nikomu by i nie bardzo uszło być z księciem zbyt śmiałym. Po tobie tęskno wszystkim i jeżeli ci prawdę mam powiedzieć, bo ty wiesz, że *in vino veritas*, cała Alba mnie do ciebie, panie Leonie, wysłała w delegacji, abym ciebie jakoś przywabił do przeproszenia księcia; bo wszyscy radzi by mieć po dawnemu twoje plecy za sobą w Nieświeżu niż być zmuszonymi gdzieś tobie drogę poniewolnie zastąpić.

- Tam do diabła! Otóż kiedy tak się rzeczy mają, będę w Nieświeżu.

- Kiedy?

- Najdalej za tydzień. Żeni się JW. Plater, kasztelan trocki, z panną Rzewuską, chorążanką Wielkiego Księstwa Litewskiego, siostrzanką księcia; ja pójdę do Nieświeża na wesele.

- Takóż ci przystąpiło co nowego do głowy taki dzień wybierać! Nieproszonemu na wesele się pokazać?

- Albo ja sam nie potrafię się zaprosić?

- Porzuć, lepiej po weselu, jak się goście porozjeżdżają, a księżę zacznie się nudzić, to z księdzem Kantembryngiem do niego pójdz i powiedz, że...

- A co to ja na szubienicę dekretowany, żebym w asystencji księdza chodził? Ja wolny szlachcic! *Audaces Fortuna iuvat, timidosque repellit*. Panie Jerzy dobrodzieju, dość o tym! Co mnie Pan Bóg natchnie, to się zrobi. A teraz cały frasunek, że już dno u garnca się poka- zuje. Pozwolisz po drugi posłać?

- Nie, nie, jakem sodalis, ani kropli więcej. Będzie ze mnie! Już konie moje popaśły i ko- niecznie muszę dziś jeszcze przed zachodem być u JW. Bliźnia, podkomorzego słonimskiego, a stamtąd ze świtem ruszyć opowiedzieć się z mojego poselstwa na sejmiku relacyjnym dwo- ru nieświeskiego. Bywajże zdrów, kochany panie Leonie, niech Pan Bóg tobie instynktuje i nie dopuszcza na ciebie nowej wariacji. Żegnam cię. Tylko bez ceremonii. Trafię do moich koni.

- Bywaj zdrów, łaskawco. Niech ci Bóg odplaca dobroć twojego serca. A wszystkim kła- niaj się ode mnie. Kiedy mi wszyscy dobrze życzą, to już widno, że Bóg ze mną. Upadam do nóg twoich, panie krajczy, a westchnij no za mną czasem do Pana Boga, aby mi się udało; wszak my obadwa sodalisy.

I tak pożegnawszy się czule, pan krajczy siadł w swoje brykę, a pan Leon już w dobrej na- dziei i wesołym humorze został. Opowiedział nam krajczy za powrotem swoim do Nieświeża to wszystko, com opisał. Aleśmy się nigdy nie spodziewali, żeby pan Leon odważył się bez przygotowania wpaść do Nieświeża, jeszcze w czasie wesela siostrzanki księcia, kiedy listy zapraszające po całej Litwie biegały. Żeby nieproszonemu przyjechać do zirytowanego na siebie gospodarza? Ale kto mógł pana Leona przeniknąć?

W dzień wesela - pamiętam jak dziś - księżę o samej dziewiątej z rana, po mszy świętej, siedział w sieniach, gdzie mu przynieśli w kobiałce szczenięta po Nencie. Był w złym humo- rze, bo sapał, nic nie mówił, tylko szczenięta głaskał, a na koniec odezwał się:

- Panie kochanku, kazałem, aby kilka łosiów i dzików przywieziono na wesele chorążanki; nie ma ich dotąd. I wstydzić się trzeba przed kasztelanem trockim, że u Radziwiłła kapcań- ski obiad. Nikt mnie nie słucha, drwią ze mnie; odkąd mnie pan Leon skrzywdził bezkarnie, za Boże stworzenie mnie nie mają. Trzeba uciekać z Litwy, bo doczekam się tego, że w wła- snym domu pan Leon da mnie w skórę, a moi przyjaciele jeszcze mu do tego pomogą, pojedą do Ołyki. Tam może znajdę między koroniarzami łaskawych przyjaciół, co z

panem Leonem za mnie się porachują, a Litwy i znać nie chcę.

I coraz mocniej zaczął sapać, a my, co go otaczali, nie wiedzieli już, co z sobą robić. Aż tu drzwi od sieni się otwierają i wchodzi - kto? - pan Leon Borowski! z miną gęstą, w kontuszu nowogródzkim pasowym i niziutko skłonił się księciu. Książę tak się zmieszał, że aż wstał z krzesła, potem siadł wznovu i odezwał się jakby w roztargnieniu:

- Co tam słyhać, panie Leonie?

- A tak słyhać, książę panie, że jest dwóch wielkich głupców na Litwie.

- Jacy?

- Jeden ksiązę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, a drugi Leon Borowski, komornik sło- nimski.

- Jak to? - odezwał się ksiązę mocno zasapawszy.

- Radziwiłł, że się porwał na carowę, a Borowski, że się porwał na Radziwiłła.

Cóż powiecie? Ksiązę, natomiast co by się miał rozgniewać, zaczął się śmiać z całego ser- ca, a potem powiedział:

- Panie Leonie, waćpana całe życie tylko błazeństwa się trzymają. Kto waćpana zaprosił do Nieświeża na wesele?

- Zateśknilem się w Słonimiu. Wykroczyłem, to bij, ksiązę, ale ostrzegam, że i kijem z Nieświeża mnie nie wypędzisz - i klął przed księciem.

Ksiązę się rozczulił, ucałował go, a ten mu do nóg padł i rozplakał się i my wszyscy się rozplakali. Potem już ksiązę ciągle był wesoly, bo pan Leon zawsze go umiał rozweselić, jako i wszystkich. I wrócono mu Niehoryłę i mundur albeński, przy dawnej łasce, i odtąd już nigdy pan Leon księciu się nie naraził.

I takiego pana, któremu równego nigdy nie będzie, śmia nazywać barbarzyńcem Francuzy!

SAWA

Bez najmniejszej przysady wyznać można, że nie tylko doświadczeniem, ale pożyciem nawet nie można objąć większego zaszczytu, jak było szlachectwo polskie. Bo szlachcic, choć najuboższy, był równym magnatowi i przy pomocy boskiej mógł sam zostać magnatem (jak tego było tyle przykładów), a tej równości z magnatem nie tracił nawet służąc u niego. Pan Radziszewski, chorąży starodubowski, służył u księcia wojewody wileńskiego, był u niego paziem, potem dworzaniem, potem dowódcą jego milicji, a przecie urzędował Rzeczy- spolitej, posłował po sejmach i został orderowym panem, i ożenił się z siostrzenicą księcia, panną Brzostowską, z tak wysokiego domu, i nikt się temu nie dziwował, że sam ksiązę spra- wował wesele, bośmy wszyscy byli równi między sobą. U nas pan był szlachcicem bogatym, a szlachcic był panem ubogim; a że pan był zawsze wysokim sługą Rzeczypospolitej, szlach- cic u niego służyć służył razem i ojczyźnie. Już dziś panów nie ma w Polsce ani na Litwie, a za to namnożyło się podpanków, co nie służyć ojczyźnie, nie z tego, co boli, i często nawet nie z soli ani z roli, ale z jakichś podradów, z nabyciów nieuczciwych, z handelków, lichw i podobnych szachrajstw ponabylali sobie majątków znacznych; a że ci i dziadów swoich nie mogą okazać, tylko albo pod cudze szlachectwa podszywają się, albo wymyślają takie, o których ani Paprocki, ani Okolski, ani nawet Niesiecki nie wiedzieli - więc krzyczą na moż- nowładców dawnych, do których pewnie żaden z nich za naszych czasów aniby dostąpił, wy- noszą postęp terażniejszego czasu. Nie wiem, kto z tego postępu w narodzie korzysta. Miesz- czan, co nam wyrzucano, żeśmy ich nie mieli, i teraz nie widzę, tylko po dawnemu handlują sami Żydzi lub gdzieniegdzie jaki Niemiec przybyły; a włościaninowi nierównie gorzej. Na Litwie

już bojarów zmusili do robocizny, a na Rusi zamiast dawnych dni letnich, co je chłop po dwanaście na rok odrabiał, pędzą go od Nowego Roku aż do świętego Sylwestra na pańsz- czynę. Pletą o prawach człowieka to, co pochwytili z zagranicznych ksiązek, a nie wiedzą, że co tam się pisze, u nas było w doświadczeniu - i dokładniej: bo nasi przodkowie lepiej two- rzyli, niż zagraniczni potrafią wymyślać. Ale czy zaszczyty i szczęście naszego szlachectwa jedynie na równości się zasadzały? Szlachcic nie mógł być ani rządzonym, ani sądzonym, tylko przez tego, kogo sam wybierał; a sam z zagrodu swojego mógł się przenieść i na ławicę poselską, i na krzesło senatorskie -i na tron nawet. Toteż nasi przodkowie krwią swoją tego

zaszczytu dokupili się dla potomków. Hetmani podawali do klejnotu szlacheckiego żołnierzy, co się w bitwach wsławiali, a sejmy ich za szlachtę przyznawali - i takich nazywano *ex charta belli*. Stąd w ostatnich czasach, kiedy król Poniatowski otrzymał pozwolenie co roku po kilku nobilitować - pozwolenie, z którego do zbytku nadużył, że były co sejm skargi i domagania się, choć daremne, posłów, aby metryki koronne im składać, bo król zamiast kilku kilkuset może nobilitował - zawsze jednak były dodawane w nobilitacjach te wyrazy: *praeciso scarta- bellatu*, chociaż to nie było za zasługi wojenne. Była nawet czas jakiś konstytucja ubezpieczająca szlachectwo każdemu Żydowi przyjmującemu. wiarę katolicką, prawo pobożne, przeciw któremu nie można było sarkać, bo stworzone było do gorliwości narodowej, chcące wszelkimi środkami rozprzestrzeniać królestwo Boże na ziemi. Ale takowe szlachectwa nie były u nas poważane, bo zdawało się nam, iż stan rycerski w rycerskich tylko zasługach powinien szukać swojego początku. A szlachectwo *ex charta belli*, choć świeże, było na równi z najdawniejszym poważane. Nie podszywano się dawniej do cudzych szlachectw, ale prawnie do nich przystępowano. Kiedy hetman Żółkiewski podał do szlachectwa czterdziestu mężów włościan, co się odznaczyli pod Kłuszynem, sejm im wszystkim nadał nazwisko Żółkiewskich, tylko im kazał pieczętować się nie Lubiczem Żółkiewskich, ale jakimś innym herbem, dla uniknięcia familijnego zamieszania. Toż i hetman Rewera Potocki do klejnotu szlacheckiego podał wielu chłopów ukraińskich, co nie tylko że do buntu Chmielnickiego należeć nie chcieli, ale z nim razem krew za ojczyznę przelewali, i sejm potwierdził jego sprawiedliwe żądanie: stąd na Rusi powstałi Sabatynowie, Ułaszyny, Jaroszyńscy, Santamany i inni, co bez niczyjego zgorszenia przystąpili do udzielnosci szlacheckiej, a z których ojczyzna miała potem pociechę. Dlatego bardzo nam było przykro, kiedy przybysz, przywłaszczwszy sobie szlachectwo, nieprawnie za jednego z naszych chciał uchodzić, bez innych zasług, tylko że ma pieniądze. Na takiego zawsze się znachodził potomek zasłużonego przodka, nierad, aby czy mieszczanin, czy chłop zbiegły mógł zostać jego sędzią lub prawodawcą, a może i królem. Ten mu zadawał *imparitatem*, a gdy mu je dowiódł, samozwaniec cały majątek utracił, który najczęściej *iure caduco* dostawał się temu, co go przekonał o nieprawie posiadanie zaszczytu jemu nienależnego i tym uwolnił obywatelstwo swojego województwa od wielkiego zgorszenia; ile że gdy by mu tego nie dowiódł, podpadał *poena talionis*. Młodzieży teraz o tym gadać, to słucha jakby o żelaznym wilku jej pleciono; albo ona rozumie, czym było nasze szlachectwo? Wie ona z historii, że Jan Zamojski podpisał się: *Nobilis Polonus omnibus* par - a może o tym nie wie, że na Litwie jest kilkadziesiąt domów, co książęcego tytułu nosić nie chcą, a mają do niego prawo. Nie tylko Ogińscy, ale Puzynowie Mickiewicz, Swirscy, Wańkiewiczowie, Mirscy noszą mitry na herbach i są prawdziwymi książętami, do czego nigdy przyznawać się nie chcieli przez miłość równości szlacheckiej i po wtóre, co księstwo prawdziwemu szlachcicowi dodawało? Jeszcze to nie najdawniej, kiedy książę de Ligne, panujący w Niemczech, ożeniwszy syna swojego z naszą księżniczką Massalską, starał się o indygenat dla siebie na sejmie 1786 roku; otrzymał ten zaszczyt, ale z takimi trudnościami, że powiedział publicznie: „Łatwiej w Niemczech o udzielnosc niż w Polsce o szlachectwo.” I dziwi się młodzież, że ci sami, co długo trutynowali, czy tak wielkiego męża, hetmana rzymskiego cesarza i

księcia udzielnego, przyjąć szlachcicem lub nie, obruszali się na jakiego rzeźnika lub bandurzystę, co sam siebie nobilitując, deptał najkardynalniejsze prawo narodu! A potem, doświadczenie przekonywa, że z ludzi podejrzanego szlachectwa niewielka pociecha. W podróży swojej do Ukrainy pan Sakowicz pisze, że w okolicach Machnówki dziedzice tak bezczelni, że jeden drugiemu psy i konie kradnie wśród białego dnia. Taka rzecz, niesłychana dawniej po szlachcie, mocno mnie była zastanowiła i temu wierzyć nie mogłem, jakoż i teraz myślę, że trochę przysadził pan Sakowicz. Ale już teraz miarkuję, skąd coś podobnego wyjść mogło. Dowiedziałem się, że JW. Potocki, wojewoda kijowski, został handlarzem i do swojego miasteczka Machnówki pościagał do tych różnych buchalterii, do których szlachta nasza niezdatna, różnych przekrztów a popowiczów, a mieszczuków: tego do pióra, tego do kaszy,

tego do transportów. A oni, nazbierawszy grosza, szlachtą się porobili i między sobą poroz- bierali część dziedzictwa wojewody, a że zabór zaraz nastąpił, to im uszło i *via facti* [drogą faktu dokonanego] utrzymali się przy szlachectwie; i teraz urzędują, i nosy do góry zadzierają ich synowie I cóż może być dobrego z takich? Nie lepiejże było za naszych czasów kadukiem pozbyć się takiego śmiecia niż lak dziś być nim obsypanym? I chwała niech będzie Bogu, że jeszcze na Litwie szlachta się trzyma i od dziadów i naddziadów na dziedzicznej roli pracuje. Toteż takich paskudztw o nas nie piszą. Tłumaczę jasnie, dlaczego my tak nasze szlachectwo cenili. Nie była to pycha, ale natura naszych ustaw, naszej Rzeczypospolitej; a kto jej był za- służonym, tym samym mieliśmy go nie tylko za szlachcica, ale za magnata, choćby się uro- dził chłopem. I na dowód tego przytoczę przykład pana Sawy, co się urodził prostym Kozą- kiem, nobilitacji nie miał, a był marszałkiem zakroczymskim w czasie konfederacji barskiej. Znał mnie on, bo prawie na moim ręku skonał; a chociaż, nie chwając się, z dawnego rodu jestem szlachcicem (bo każdemu w metrykach koronnych wolno odczytać, jak sześciu Sopli- ców podpisało się na elekcją króla Stefana), byłem mu posłuszny. A nie tylko ja i mnie po- dobni, ale JW. Potoccy, wojewodzice wołyńscy, byli pod nim regimentarzami, a choć magna- ci całą gębą, drżeli przed nim. Razu jednego za to, że jeden z wojewodzców nie dość prędko dopełnił jego rozkazu, czym Drewiczowi udało się wyjść prawie z naszych rąk, to pan Sawa jak zaczął lajać wojewodzica i grozić mu, że jeżeli kiedykolwiek dopuści się podobnej niepil- ności, to każe mu w łeb wypalić. To było w obliczu wielkich panów, zapewne spokrewnio- nych z wojewodzicem, a nikt nie powiedział: „A co to ma Kozak gnębić senatorskiego syna?”

- bo wszyscy mieli Sawę za równego siebie. Jakoż on poświęceniem dla ojczyzny wyrównał te zasługi, które magnaci po przodkach swoich odziedziczyli, a którymi jedynie są magnata- mi.

Sawa urodził się w czechryńskim starostwie, skąd był ów przeklęty zbrodzień Chmielnicki (tak to z jednego drzewa może być i krzyż, i motyka!), a że od dzieciństwa umiał śpiewać dumki i grać na bandurce, pan Woronicz, wówczas starosta czechryński, przywiózł go małego do Warszawy, a gdy go odumarł, a Sawa podrośł, po dworach służył za kozaka; bandurkę zarzucił, a nawykł do innych zabaw i spisy, i szablą tego robił, i na polowaniach zające z pi- stoletu bił, i naszego języka się wyuczył, i nasz obrządek przyjął, chociaż i pierwaj był katoli- kiem, jeno obrządki ruskiego, ale mając szlachetne serce, jak najmniej się chciał różnić od szlachty. On to w czasie siedmioletniej wojny w pułku Szybilskiego - prostego, jak on, wło- ścianina - Fryderykowi pruskiemu służył i niepospolitą sławę zjednał; i mógłby tam los sobie zapewnić, ale zateśkniwszy się za ojczyzną do niej powrócił, a jako nieszlachcic, nie mógł się w komputowym wojsku umieścić, i musiał na nowo po panach służyć. Otóż kiedy się zaczęła konfederacja barska, był wielki zjazd w Piotrkowie na reasumpcji trybunału i mnóstwo było panów z licznymi dworami; a że wielcy panowie, co prawie wszyscy mieli dobra na Rusi, utrzymywali Kozaków zbrojnych na koniach, w Piotrkowie było ich kilkuset. A Sawa, co się znajdował pod tę porę w Piotrkowie i wisiał przy dworze JW. Działyńskiego, marszałka try- bunału, że był sam Kozakiem, łatwo się z nimi porozumiał i tak koło nich pochodził, że mógł na nich liczyć, jak na cztery tuze. I kiedy pan Kwilecki, starosta kościański, marszałek konfe- deracji, po podniesieniu konfederacji w Poznaniu

poszedł ku Piotrkowowi, rozbiwszy księcia Sołtykowa pod Rozrażowem, Sawa, zebrawszy do półtrzecia sta Kozaków na dobrych koniach, wśród dnia wyszedł z Piotrkowa, spotkawszy rejterującego się Sołtykowa, na niego napadł niespodziewanie, rozbił go do reszty, zabrał mu harmaty, jego samego wziął w niewolę, złączył się z panem Kwileckim i z nim razem wszedł do Piotrkowa. Ten wypadek rozszerzył konfederacją po całej Wielkopolsce. Pan Kwilecki oddał Sawie dowództwo swojej przedniej straży i zaczęli maszerować ku Warszawie, jako Sawa upewniał, że stolica dostanie się w ich rękę, że gwardia koronna z nimi się złączy i że nie ma czego się obawiać stojących tam Moskali. Gdyby posłuchano pana Sawy, inny kierunek rzeczy by wzięły. Ale doszedłszy do Bolimowa, pan Kwilecki odebrał wiadomość, że całe Kujawy i Płockie powstaną, aby tyl-

ko jeden zbrojny konfederat im się ukazał. I to go zdecydowało zaniechać Warszawę, której się prawie dotykał, aby dostać się na prawy brzeg Wisły. „Nuż nam się nie uda opanować Warszawy - mówił Sawa - bo ten tchórz Poniatowski, co mógł, to zebrał na swoją obronę? Jeżeli porażeni zostaniem, cała konfederacja wielkopolska przepadnie, której i trzecia część jeszcze nie powstała. Lepiej nam się wzmocnić w Płockiem, otworzyć związki z Litwą, a dopiero na pewno pójść do Warszawy.” Na próżno Sawa ofiarował mu z swoją awangardą samemu napaść na stolicę, tak był pewny swojego, na próżno cały szwadron pułku Mirowskich, prowadzony przez swojego porucznika Franciszka Dzierżanowskiego, przeszedł na naszą stronę pod samym Bolimowem, który doniesieniem świeżym potwierdzał wszystkie wnioski Sawy - nic nie mogło przekonać pana Kwileckiego, który sam był dobrym żołnierzem, w wojsku francuskim w młodości swojej służył, ale na nieszczęście więcej wierzył w naukowe zagraniczne prawidła wojskowości niżeli w instynkta polskie, tym więcej że popierał go w zdaniu inżynier francuski przy nim będący, a któremu mocno wierzył. Ten, uzyskawszy dość wziętości, iż przyczynił się do zwycięstwa pod Rozrażowem, nie mógł pojąć, jak można we trzy tysiące ludzi dobywać miasto wielkie, obronione przez ośm tysięcy żołnierzy. Z boleścią więc serca Sawa musiał prowadzić awangardę ku Wyszogrodowi, gdzie się przez Wisłę przeprawili szczęśliwie.

W istocie pod pewnym względem nie pomylił się pan Kwilecki, bo jak tylko gruchnęła wiadomość, że nasi opanowali Wyszogród, całe Kujawy i Płockie podniosły konfederacją. Tam oddzielił od siebie Sawę pan Kwilecki, sam poszedł do Płocka dla poparcia konfederacji, a Sawę we trzysta koni posłał ku Zakroczymowi, aby rozszerzać powstanie po Mazowszu. Pan Franciszek Dzierżanowski z częścią Mirowskich, których jemu zostawił, z rozporządzenia pana Kwileckiego poszedł pod komendę Sawy. Z początku chciał z nim kota drzeć, jak szlachcic i oficer gwardii z Kozakiem, ale pan Sawa tak mu się dał poznać, że chociaż pan Dzierżanowski przy nadzwyczajnym męstwie był dość burzliwym, tak go słuchał jak dziecię piastunki. W Zakroczymiu stał batalion moskiewski i kilkuset Dońców, ale mnóstwo tamecznej młodzieży szlacheckiej do naszych umknęło i zaciągnęło się pod znaki Sawy. Moskale widząc, że dąży ku Zakroczymowi, wyszli naprzeciw niemu, tym pewniejsi zwycięstwa, że silny oddział karabinierów przyszedł był do nich z Warszawy. Rozwinęli się Moskale przed Zakroczymem i na widok naszych zaczęli strzelać z armat, kiedy jeszcze niepodobieństwo było nikogo trafić. Pan Sawa zalecił panu Dzierżanowskiemu cofać się przed kawalerią moskiewską, a sam, zakryty jego obrotem, rzucił się w lewo, by napaść na piechotę, jak się jazda oddali. Udało się doskonale. Pan Dzierżanowski, uciekając przed karabinierami i Dońcami, tak ich za sobą wyprowadził, że pan Sawa jak piorun pokazał się pod samym Zakroczymem. Piechota moskiewska uszykowała się w czworobok i dała ognia; ale pan Sawa nie dał im się poprawić, czworobok złamał, cztery armat zabrał i cały batalion co do nogi wyciął. Opamiętała się jazda moskiewska, że się oddaliła, wzięła się więc do odwrotu. Ale tu pan Dzierżanowski zaczął ją gnębić; jednak w największym porządku szła, pokąd myśląc, że do swojej piechoty się cofa. Pan Sawa ją przywitał kartaczami z armat przez siebie zdobytych; natenczas wszystko się rozsypało: ten do Łasa, ten do Sasa, a pan Dzierżanowski tego nachwytał, ile sam chciał.

I tak wszedł pan Sawa do Zakroczymia, gdzie mnóstwo było obywatelów po klasztorach uwięzionych, którym natychmiast wrota otworzono. Liczne magazyny wpadły w jego ręce, a czego pan Sawa dla wojska nie użył, rozdał między mieszkańcami i nie tracąc czasu, zebrał szlachtę będącą w mieście, aby natychmiast sporządziła akt powstania. Tak się podniosła konfederacja w Zakroczymiu; marszałkiem jednomyślnie ogłoszonym został Sawa, a regimentarzami panowie Lelewel i Kiciński.

- Bójcie się Boga, panowie! Ja prosty Kozak; jak ja mam nad wami marszałkować?

- Innego marszałka nie chcemy! - krzyknęła szlachta. - Pan Bóg i twoje zasługi zrobiły ciebie polskim szlachcicem, nim sejm ciebie takim uzna.

Przy tym nie byłem, ale świadom jestem, jakbym temu wszystkiemu [był] przytomny; bo wiem to i od samego pana marszałka Sawy, i od pana Dzierżanowskiego, i od pana Lelewela, regimentarza zakroczymskiego, i od wielu innych, z którymi później służyłem, a wszystkich relacje na jedno godzą się. Dość że ta sama szlachta, co nie tylko urzędziku, ale wioski dzierżać by nie pozwoliła nieszlachcicowi, marszałkiem swoim ogłosiła Kozaka; bo nasza дума szlachecka nie była *ad destruendum, sed ad aedificandum patriae* [na zniszczenie, ale na budowanie ojczyzny]. A sam widziałem, jak inni marszałkowie i sam JW. Pac, co był nad nimi wszystkimi, obcowali z nim jak z równym i szanowali go tak, że gdyby go wyniesiono i na kasztelana krakowskiego, nikt by się ani skrzywił, taki z niego był wielki wojownik i godny obywatel. - Ciągłe się wstawiał marszałek zakroczymski; gdzie było największe niebezpieczeństwo, można było zakład trzymać, że się jego znajdzie. A że ludzie przy nim i za nim padali, że kule ustawicznie mu dziury robiły w odzieniu, tak że zawsze łątany chodził, a sam nigdy plejzerowany nie był, a Rusini że są zabobonni, między jego Kozakami było przekonanie, że on był charakternikiem, jak mówią na Ukrainie, to jest, że umiał kule zamawiać, iż go żadna trafić nie mogła. Więc to od nich i po nas rozeszło się; przyznaję, że sam temu wierzyłem, a to mniemanie bardzo jego obrażało: raz, że był dobrym katolikiem, po wtóre, że jako rycerza miał siebie za zhańbionego, iż o nim myślano, że na pewno w niebezpieczeństwo idzie; i nieraz świadkiem byłem, jak przeklinał swoje szczęście, że rany dostać nie może. Ale na moje i ojczyzny nieszczęście przekonałem się, że on nie był charakternikiem. Bo już kiedy nasze zaczęły się interesa płatać, pan Sawa przedsięwziął próbować, czy mu się uda wziąć Warszawę, zebrał z różnych komend do tysiąca jazdy, między którymi i ja mu się dostałem; szliśmy więc lasami powiatu radomskiego; często udawało się nam gromić oddziały moskiewskie, nawet pod Jedlińskiem Drewiczaśmy zbili i może byśmy go samego wzięli, gdyby pan regimentarz Potocki nie był się o jedną godzinę spóźnił; ale taki wzięliśmy przeszło pięćdziesiąt jego huzarów, których wszystkich kazał pan marszałek zakłuć i pastwiono się nad nimi. Pan Sawa był ludzki i z niewolnikami moskiewskimi łagodnie się obchodził; ale że Drewicz wielkie okrucieństwa popełniał, żonom konfederatów piersi odrzynał i niewolnikom skóry z ramion zdierał, by im wyloty wiszące robić - więc równym okrucieństwem się odpłacał niewolnikom jego komendy. Po tym zwycięstwie poszliśmy dalej, zawsze dążąc ku Warszawie; Suwarow, natenczas brygadier, we cztery tysiące ludzi oddzielił się, by nas ścigać, i zastąpił nam drogę pod Mszczonowem. Sawa, choć nierównej siły, odważył się pójść wstępnym bojem. Mszczonów był w ręku Moskali; staw wielki przedzielał ich od nas, a grobla długa prowadziła do miasteczka. Już jazda moskiewska przeszła była groblę i piechota zaczynała przez nią przechodzić. Pan marszałek chciał napaść na jazdę, nim piechota przejdzie, i skrzydłem ją atakując, od grobli oderznąć. Na to uszykował do boju prawie cały swój korpus, pana wojewodzica wołyńskiego zostawiwszy w odwodzie z półtorastą końmi. Dobrze się udało było, bo zaraz uderzył na nich, że zaczęli uciekać w nieporządku, i już ich był oderznął, ale nad samą groblą na wzgórzu stały harmaty moskiewskie, które jak dały ognia, od pierwszego wystrzału pan Sawa dostał kartaczem w udo, że spadł z konia. Była to jego rana pierwsza i ostatnia. Kozacy, co byli do niego jak do ojca przywiązani, widząc go rannym, okropnie się pomieszały

(oni to mieli go za charakternika), podnieśli go, a on z największą przytomnością oddał komendę regimentarzowi zakroczymskiemu Lelewelowi, zlecając mu, by ścigał pierzchającą jazdę moskiewską, a sam się kazał zanieść do karczmy, pod którą stał wojewodzie wołyński z odwodem, gdzie i ja się znajdowałem.

Zaczęliśmy obwiązywać, jak umieli, ranę pana Sawy. Cierpiał mocno, jak widać było po twarzy, ale najmniejszego jęku nie wydał, tylko wszystko patrzył na komendę swoją, którą panu Lelewelowi był oddał. Ale ten jej rady dać nie mógł; bo jak się spostrzegli, że nie Sawa ich prowadzi, pierzchnęli tak, że uciekający Moskale opatrzyli się i na nowo zaczęli się szykować. Pan Sawa widząc, że dobrowolnie nasi na zgubę idą, choć udręczony boleściami, kazał wynieść kołyskę z karczmy i ją przywiązać do dwóch koni swoich najlepszych, na których

posadził doświadczonych Kozaków, a samego siebie kazał włożyć w kołyskę, tak że między dwoma Kozakami na powietrzu wisiał, i kazał sobie podać porzecz. Tak niebezpiecznie i niewygodnie siedząc, uszykował nasz odwód i zakomenderował naprzód, aby do powrotu zmusić uciekających żołnierzy. Jakoż oni na widok wodza opamiętali się, który wisząc między końmi na powietrzu, przy najokropniejszych bólach do ataku nas wszystkich prowadził, złamał sztyk moskiewski i zmusił ich do ucieczki. Ale wszystko było za późno. Już i piechota moskiewska, i armaty przeprowadziły się były przez groblę. Jak zaczęli więc dawać ognia na nas, sam pan Sawa pomiarkował, że nie ma nic do czynienia, tylko albo uciekać, albo doczekać się, aż co do jednego nas wszystkich ubiją. A że boleści jego coraz więcej się wzmagaly, że od rozumu aż odchodził, tyle tylko że korpus odprowadził poza Mszczonowską Wolę, a przedzieliwszy się wsią od ścigającej nas kawalerii moskiewskiej, która, dwa razy rozsypana, po trzeci raz na karku nam siedziała, z dwóch stron kazał wioskę podpalić. A wiatr był tak wielki, iż wkrótce cała objęta została płomieniem; to wstrzymało czas jakiś Moskalów. Dopiero pan Sawa na dwie części podzielił swój korpus. Dowództwo jednej oddał wojewodzie wołyńskiemu, a drugiej poruczył panu Lelewelowi, zalecając im najmocniej, aby każdy inną drogą się cofał ku krakowskiemu województwu i nigdy nie łączyli się z sobą; a sam z dwoma Kozakami i ze mną, co nie chciałem jego odstąpić, został, żegnając się z swoimi, których pocieszył przyrzeczeniem, że jak tylko się wyleczy, ich znajdzie, gdzie by oni nie byli. Myśmy wszystkie konie zostawili przy komendzie, a jego na rękach w las piechotaśmy unieśli i pierwszą noc przepędziliśmy między krzewinami pod gołym niebem, ratując, jak można było, pana marszałka, który coraz był słabszy, że aż ustawicznie omdlewał. Nazajutrz z rana bląkając się po lesie natrafiliśmy na chałupę jednego z podleśniczych mszczonowskiej puszczy i tam oddawszy się Bogu, na oślep do chałupy weszli; bo trzeba koniecznie było w spokojnym miejscu złożyć pana Sawę, inaczej byłby nam skonał w rękach. A podleśniczy pokazał się poczciwym szlachcicem i ojczyźnie wiernym, a choć ubogi i obciążony dziećmi, ostatkiem z nami się podzielił. Poprzebierał mnie i Kozaków za gajowych, pościel swoją w zamkniętej komorze posłał i na niej marszałka złożył, gdzie podleśniczyna jego pilnowała; a sam w nocy wózkiem udał się do Mszczonowa, skąd Żyda cerulika przywiózł. Ten opatrzył rany pana Sawy, którego udo tak było spuchnięte, że wszystko trzeba było na nim pokrajać. Boleści tak się odnowiły za pierwszym opatrzaniem, że nie mógł wytrzymać i jęknął kilka razy, a potem zemgł, żeśmy go ledwie ocucili. A przyszedłszy do siebie, powiedział nam:

- A co? Wszak przekonaliście się, że nie charakternik. Umówił się cerulik, żeby co nocy po niego przyjeżdżano; a w dzień szanowna nasza gospodyni, pani Kleczkowska, któreśmy powierzyli, jako jej mężowi, jakiego wielkiego człowieka mają w swym domu, cały dzień jego pielęgnowała jak rodzzonego ojca. I dobrze nam szło przez tydzień, bo pan marszałek już zaczynał przychodzić do siebie i na jednej nodze skacząc przenosił się już z łóżka do kufra pani Kleczkowskiej, na którym siadywał, aby nie nadto zaleniwieć. I robił nam cerulik nadzieję, że za parę tygodni będzie mógł na koniu siedzieć. Ale w Mszczonowie stała komenda moskiewska; bo przed Suwarowem pan wojewodzie wołyński nie umknął i w kilkanaście godzin po rozstaniu się naszym rozbity, dostał się w niewolę z mnóstwem naszym, bo z około trzechset ludzi, co ich miał jeszcze,

ledwo pięćdziesiąt się wyratowało, a wszystko albo ubite, albo zabrali Moskale. Otóż od niewolników Suwarow się dowiedział, że Sawa ranny zaraz po mszczonowskiej potyczce opuścił komendę; wnioskował, że koniecznie musi się ukrywać gdzieś w okolicach Mszczonowa. A że jemu bardzo szło, aby go dostać, raz, że to był jeden z najdzielniejszych wodzów konfederacji, po wtóre, że chciał na nim pomścić wielu Drewiczowskich huzarów, którym ręce i nosy kazał poodrzynać pan Sawa odwetując się ich okrucieństw, o których nadmieniałem, oddzielił więc od siebie pułkownika z znacznym oddziałem i kazał mu stanąć w Mszczonowie i koniecznie dostać Sawy.

Gdzie diabelska robota, zawsze sam diabeł pomaga. A że wojsko moskiewskie na dwie części się dzieli: połowa oficerów żołnierze, a połowa szpiegi i tych ostatnich większa wię-

tość i prędzysze postąpienie niż pierwszych (szpiegowskie rzemiosło u nich przyszło do wysokiego stopnia doskonałości), dośledzili więc, że cerulik mszczonowski tajemnie co nocy gdzieś wyjeżdża. Łapią jego i dopóty biją, aż się przyznaje; więc sadowią go na koniu, aby był ich przewodnikiem, i w czterdziestu jeźdźców zbrojnych za nim idą do leśnej chałupy. Otaczają ją, a w kilku wpadają w środek. Gospodyni im grzeczności robi, rada ich potraktować, ale oni, obtrząsnawszy chatę, widzą izbę zamkniętą, wysadzają drzwi i zastają pana Sawę siedzącego z pistoletem w ręku.

- Pierwszy z was, co do mnie przystąpi, w łeb mu wystrzele.

Cofnął się oficer, ale natychmiast kazał chałupę zapalić.

Wpadliśmy ja i dwaj Kozacy i wynieśliśmy pana marszałka. Jak go zobaczył oficer za domem, odezwał się:

- A co, kapitulujesz waćpan?

- Oto moja kapitulacja! - odpowiedział marszałek i wystrzeliwszy, pierś mu przeszył. Drugi oficer krzyknął:

- *Zakoli jego!*

My, choć bezbronni, rzuciliśmy się, by go ciałem naszym zasłonić; ale jak mnie jeden Moskal szabłą dał po łbie, krew mnie oblała i przygłuszony zostałem, a kilku na mnie wpadło z postronkami i związali mnie, żem ruszyć się nie mógł. A pana marszałka, bezbronnego, zaczął jeden oficer, jak się pokazało, Polak w służbie moskiewskiej, bić go po łbie drzewcem od spisy; naszych dwóch Kozaków, to widząc, z gołymi rękami odepchnęli oficera; ale on ich obydwóch zakłuć kazał, i ci przy mnie skonali mając oczy obrócone na JW. marszałka. Oficer od Dońców zgorszył się postępkim Polaka i sam zaczął zasłaniać naszego wodza, mówiąc:

„*Leżaszczaho nie bit' „* - i dopiero się zreflektował [ów Polak], że jak go żywego przyprowadzi do generała, prędzej dostanie krzyż, niż gdy trupa przyniesie.

I na jednym wozie nas obydwóch przywieziono do Mszczonowa: mnie z głową obwiązaną i związanego, żem ruszyć [się] nie mógł, a pana Sawy kilkakrotnie pokłutego; z głową spuchniętą, z bandażem od rany oderwanym, że do człowieka nie był podobny. Każde ruszenie ciasnego wożą, którego cwałem konie ciągnęły, było dla mnie istną torturą, a cóż dopiero pana marszałka, który całą drogę odprawiał psalmy pokutne i taką mnie głos jego impresją zrobił, że chociaż już pięćdziesiąt lat i więcej minęło, ile razy mówię lub słyszę: *Miserere mei, Domine, secundum magnam misericordiam tuam*, zaraz mi staje przed oczyma marszałek zakroczymski i łzami się zalewam. I teraz to pisząc płacę.

Przywieźli nas do Mszczonowa, gdzie miał komendę generał Potapow, Moskal rodowity, człowiek godny i tkliwy. On bardzo się z nami ludzko obchodził: do pana Sawy mówił z szacunkiem i łagodnością i jemu dał izbę w własnej swojej kwaterze, którą z nim podzielałem wedle woli jego. Z błotem zmieszał generał oficera za barbarzyńskie jego z nami obydwoma, a szczególnie z marszałkiem obejście; swojemu cerulikowi kazał nasze rany opatrywać i zapytał pana Sawy, czego on pragnie, a że wszelkie jego rozkazy dopełniać starać się będzie.

- Niedługo panu generałowi naprzykrzę się - odpowiedział mąż - bo czuję, że wszystko się kończy; ale prosilibym o księdza.

Jakoż natychmiast proboszcza sprowadzono, który go wypowiadał i dał mu ciało Pańskie, potem zaczął odprawiać pacierze, które za nim powtarzał pan Sawa bardzo przytomnie, że nie mogłem do głowy

sobie przypuścić, aby był tak bliskim śmierci. A potem niby zasnął cokolwiek, ale wkrótce się ocknął i powiedział mnie:

- Oto mam na sobie szkaplerz, w którym zaszyte są relikwie świętego Wojciecha; jak skończę, zdejmiesz go i zaklinam waćpana, byś go oddał panu Kazmierzowi Puławskiemu, staroście wareckiemu. Jeśli ci się uda z nim się obaczyć, powiedz mu, że do śmierci był jego przyjacielem, a poproś go, by ten szkaplerz nosił, jako ostatnią ode mnie pamiątkę.

Potem zażądał wody, wziął jej do ust, ale już przełknąć nie mógł, i coś mówił niewyraźnie, ale można było dosłyszeć: „Jezus, Maria, Józef” - i zaczął konać. Nie pamiętam, co się ze mną działo, ale jednak jego rozkaz dopełniłem, bo szkaplerz zjąłem i ciągle go nosiłem, aż

dopóki się obaczyłem z panem starostą, co nieprędko nastąpiło. A potem mnie wraz z innymi niewolnikami, między którymi był i JW. Potocki, wojewodzie wołyński, wyprawili aż do Kazania; a Bóg świadek, że mniej czułem utratę wolności, jak że ojczyzna już nie będzie się cieszyć tak dzielnym i poczciwym synem, jakim był pan Sawa.

PAN LESZCZYC

Chociażbym miał za zrzedę i dziwaka uchodzić, wszelako wypowiadam myśl moją, że już dziś nigdzie nie ma praw między ludźmi. Są rozkazy, rozporządzenia, ustawy, mądre i zbawienne, ale nie prawa. Bo żeby prawo było prawem, trzeba mu czegoś więcej przyznać, jak że jest mądre i zbawienne: trzeba mieć wiarę w nie i miłość i żeby do wykonania onego, kiedy niesmaczne, nie kruki ani inna cudza siła, ale przekonanie wewnętrzne i sumienie ciągnęło. I dlatego prawodawca nie tyle mądrym, ile świętobliwym być powinien, bo prawdziwe prawo nie jest rzeczą jedynie ludzką, ale boską, i bez jakiegoś boskiego natchnienia obejść się nie może. Stąd władza prawodawcza nie była, jak dziś, rzemiosłem, ale powołaniem, jakby życie zakonne, a prawnictwo nie było nauką, ale jakimś obyczajem. I my nie znali, jakich teraz widzimy w Wilnie profesorów prawa, co za roczne postanowienie pieniężne, opał i kwatere, uczą prawa krajowego od deszczki do deszczki i tłumaczą go. Nasi profesorowie byli: doświadczenie, obcowanie z ludźmi, przypatrywanie się sądom, chodzenie koło spraw, historia naszych familiów, a na koniec gospodarstwo. A bez tego wszystkiego niech i dziesięć lat siedzi w Wilnie pod profesorem, niech wszystkie prawa na pamięć ponaucza się, dlatego prawnikiem nie będzie. Bo żeby być prawnikiem, trzeba być obywatelem. Jakoż u nas każdy obywatel prawie był prawnikiem i kiedy na kompromis zapiszą się, bywało, na jakiego pana, chociaż on nigdy w palestrze nie był, nikogo nie prosił, by mu dekret napisał. A kto był prawdziwym obywatelem, to nie na tym się kończyło, że miał dobra, ale miał wiarę, nałogi, myśli obywatelskie, dlatego był prawnikiem, a czasem prawodawcą, bo takiemu Pan Bóg instynktu nie odmawiał. Stąd to, kiedy czytamy statut albo dawne konstytucje, to człowiek tego jakby jaką modlitwę czyta: taką upatruje pobożność i duch Boży. I tu sprawdza się obietnica naszego Zbawiciela: „Gdzie kilku was zbierze się w moim imieniu, będę z wami.” A nasi prawodawcy, że zawsze w imię Zbawiciela się zbierali, dlatego też ich prawa były częścią religii naszej, bo i one od Boga pochodziły. Czytałem ja, i z uwagą, Kodeks Napoleona. Jest to rzecz bardzo mądra; wszystko objęte, wszystko przewidziane; ale ci, co to pisali, w imię mądrości, w imię konieczności, ale nie w imię Boga się zbierali. I dlatego do wykonania onego trzeba naglić mnóstwem urzędników a siepaczów, a wart, a więzien, a kosztu, że za niego drugie tyle woj-ska mogliby utrzymać. Bo każdy wie, że to wszystko jest rzecz ludzka, a każdy sobie samemu przynajmniej tyle rozumu i światła przyznaje, co innym ludziom; dlatego siły potrzeba. Więc już nie prawo, ale siła rządzi, i tak wszędzie. A u nas nie tak było.

W Nowogródku w grodzie było dwóch pachołków do zmiatania izby sądowej - to cała siła, a przecie ludzie bardzo możni z rozkazu

grodu wieże odsiadywali; bo jak ksiądz, kiedy u spowiedzi pokutę naznaczy, warty grzesznikowi nie dodaje, tak i gród dekret tylko ogłaszał, a sama strona go spełniała. Przyjeżdżał do grodu osadzony, przed nim oświadczał swoje gotowość, sam szedł na wieżę, a termin odbywszy, przed tymże grodem manifestował się, iż wysiedział wieżę, i powracał do domu z sumieniem czystym; bo kto karę odbył, już nie miał sobie nic do wyrzucenia względem ojczyzny, szacunek publiczny mu się wracał i mógł spać spokojnie. Wielkie było zamiłowanie dla naszych praw, a nie słuchać prawa była to u nas hańba, że bywało, na kim publikata albo dekret nakazujący wieżę, a on się ociąga, to oczu nie śmie podnieść między ludźmi. Dlatego, kiedy szlachcic został skrzywdzony, obity na przy-

kład, większy to jemu zaszczyt przynosiło, skoro za to do prawa się udawał, niż kiedy szukał sprawiedliwości w szabli, jakby gardząc prawem pospolitym i jakby u nas zwierzchności nie było; a grzywny, co je skrzywdzony za dekretem pobierał, jego nie hańbiły: dopełnienie woli prawa nie hańbę, ale sławę przynosi. I kiedy JW. Kalinowski, starosta grodowy winnicki, skrzywdzony został na publicznym gościńcu przez pana Potockiego, starostę kaniowskiego, który go wyciągnąć kazał z pojazdu i obatożyć, pan Kalinowski, chociaż był możny i do kor- da tęgi, nie wyzwiał na rękę pana kaniowskiego, ale szukał sprawiedliwości u prawa i znalazł ją, bo go osadził przez dwanaście niedziel na wieży, a tak wielkie basarunki na nim zyskał, że nie potrzebując z nich się bogacić, obrócił je na chwałę Pana Boga i za nie wymurował ko- ściół i klasztor obszerny i piękny, gdzie ojców kapucynów wprowadził, a ci i dotąd w nim siedzą. Jak kiedy człowiek - że nie jest aniołem - przeciw Panu Bogu zgrzeszy, spowiada się, pokutę odbędzie i tym powstaje, tak kiedy obywatel przeciw prawu wykroczył, w tymże sa- mym prawie znachodził środki do powstania, pokutę prawną znosząc. I najwięksi panowie wieżę siedzieli, kiedy który z nich nabroił, chociaż za łeb nikt go [nie] ciągnął. I nie tylko wieżę siedział, ale i gorsze rzeczy: bo kiedy kto był osadzony prawnie na gardło, to familia wskazanego, bywało, sama pomoże, aby dekret się wyegzekwował, bo obywatel ścięty z woli prawa rodziny swojej nie kaził. I kiedy panu Samuelowi Zborowskiemu głowę ucięto w Kra- kowie, panowie Zborowscy najpierwsze urzęda piastowali i z tego powodu żaden z nich na sławie nie cierpiał. Byli, prawda, niektórzy bracia pana Samuela skazani później na banicję, ale bo sami niemało złego nabroili powstając na zwierzchność, ale pan Jan Zborowski, kasz- telan gnieźnieński, brat rodzony pana Samuela, że był stateczny obywatel i wielki senator, umarł w starości pełen sławy i szacunku publicznego - i nikt jemu nie wymówił, że miał braci łotrów.

A bywały przykłady, że bez pomocy nawet familijnej sam winowajca podawał dobrowol- nie głowę pod miecz woląc umrzeć obywatelem niż ochraniając nędznego żywota, który i tak wiecznie trwać nie będzie - żyć w niesławie. W czasie konfederacji barskiej pan Baworowski, podstarosta trembowelski, jeden z konsyliarzy tej konfe- deracji, mąż ojczyźnie zasłużony i który z nami Częstochowy bronił, gdzie z bliska miałem zaszczyt go poznać, razu jednego na obiedzie u pana Puławskiego, starosty wareckiego, na którym i ja na szarym końcu siedziałem

(gdzieś-my pieczeń z konia zajadali, bo nie była pora wymyślać), opowiadał, że jego ojciec był także podstarosta trembowelskim do śmierci i że w czasie jego urzędowania musiał fero- wać dekret śmierci na obywatela majątnego, jakiegoś pana Leszczy ca, z którym był kiedyś w szkołach i długo z nim żył w przyjaźni. Ten pan Leszczyc zakochał się był w rodzonej swojej siostrzenicy i chciał się z nią ożenić; jakoż i ona nie była od tego. Kiedy to jeszcze mało ludzi było na świecie, to bracia rodzone siostry brali i to nie było a grzechem, bo inaczej być nie mogło, ale jak się ludzie rozrodzili i można już było znaleźć żonkę i za domem, braciom nie pozwolono żenić się z siostrami, a prawodawca z ramienia Bożego, Mojżesz, obwarował, aby ludzie i opodal od siebie mieszkający robili między sobą związki, ażeby z tych zalotów braci do siostr nie wynikały paskudztwa. A potem, jak się ludzie zaczęli garnać do wiary, którą nam przyniósł nasz boski Zbawiciel, a którą krwią swoją przy okupie naszym zapieczętował, to papież postanowili, aby do czwartego

stopnia pokrewieństwa nie wiążano się małżeństwem, czego dotąd Kościół wschodni przestrzega, ale nie wiem, jak w nim dalej będzie; bo że nie mają papieża, który by w przypadku wielkiej potrzeby im to prawo zwolnił, sami po zwierzęcemu chyba będą się rozgrzeszać ci, którym wypadnie z krewnymi się żenić. U nas przez długi czas monarchowie nawet od krewnych unikać musieli, bo za takie kazirodztwa papieże ich wyklinali, chcąc, aby oni z siebie dawali przykład posłuszeństwa prawu kościelnemu poddanym, a nie gorszyli ich. Ale jak potem wymyślono, słusznie czy niesłusznie, że monarcha nie może mieć żony, tylko córkę innego monarchy - i mniej się gorszono, kiedy który z nich żył z poddanką po bydłecemu, jak kiedy by ją wziął za żonę, więc wkrótce, że wszystkich monarchów na palcach łatwo policzyć, nie sposób było znaleźć królewiczowi

królowej, co by z nim jakiegoś pokrewieństwa nie miała, zwłaszcza że oprócz nas i Węgrzy- nów wszędzie nie wybieralni, ale spadkowi królowie panowali. Więc się udawano do papieża, aby temu poradził, bo taki królowi spadkowemu potrzeba żony; a że *cuius est condere, eius est tollere*, więc papież na szczególne wypadki dawali dispensa, a królowie tak się między sobą zaczęli wiązać, że królewska żona nie raz ani dwa, ale kilkadziesiąt razy jest krewną mężowską, aż na koniec zwiodyły się rody królewskie. Zamiast tych rośłych, pięknych i wa- lecznych monarchów, co to ich posągi widujęm, a o których tyle wielkich rzeczy czytamy, jakieś nikłe, chorowite, bojaźliwe, do szewców podobniejsze niż do królów, że już ludy za- czynają wstydić się swojego posłuszeństwa i jeden naród po drugim pozbywają się naprzy- krzonych a paskudnych rodów. A na czym to wszystko się skończy, tego nie wiemy; jeno co nam do tego: niech każdy o sobie myśli. Dość że po świcie i magnaci zaczęli iść za przykła- dem królów i między sobą się wiązać, i papieżom naprzykrzać się o dispensa, dlatego i oni ród swój zwiodyli, choć nie tyle.

Jeżeli się oni na ciele jeszcze cokolwiek utrzymują, może dlatego, że ich matkom łatwiej było na to poradzić niż królewskim żonom; na umyśle zupełnie upadli. Już za granicą tylko mieszczuki książki piszą i uczą rozumu narodu. Oni po jurysdykcjach mecenasują, ba, nawet prawa piszą i naród im wierzy, a szlachta poszła tam w poniewierkę, bo ledwo czytać umie. To kiedy napłynęło szlachty francuskiej do nas, co tu umknęli w czasie koliszczyzny francu- skiej, że cudze zawsze się podoba, znaleźli oni wstęp do panów i pań naszych - i bardzo ich z wielkiego rozumu chwalono. Wielu z nich widziałem, a żadnego nie znalazł, co by umiał po łacinie. Z przeproszeniem panów naszych, poznałem, że to byli głupce, i nie dziwiłem się, że ich przepędzono; bo rządzący powinien mieć więcej światła niż rządzony, a kiedy go ma mniej, to musi ustąpić, a jeśli się upiera, to gorszego się doczeka. U nas magnaci nie składali stanu oddzielnego; byli szlachtą, byli narodem, na przestronnym polu dobierali żon dla sy- nów; dlatego też wysoki rozum ich się trzymał. A który magnat czy francuski, czy niemiecki prawo napisał lub wreszcie książkę porządną ułożył? Niech go pokażą! Z korzennych i z bła- watnych sklepów wychodzą tam prawodawce, statyści, rymotwórcy, dziejopisarze. Nie tak jak u nas, co to Lwy Sapiehy, Piotry Herburty, Maksymilianowie Fredry, Waclawy Rzewu- scy, Ignacowie Krasiccy, Ignacowie Potoccy, Tadeusze Czaccy, Rejowie z Nagłowic, wszy- scy byli jaśnie wielmożni i siedzieli na przodków urzędach.

I u nas zdarzało się, że magnat żenił się z krewną; z tego bywała nawet pociecha dla kraju, bo *nulla regula sine exceptione*; tylko wtedy źle, kiedy to się zagęszcza, jak po zagranicach. Ale u nas, chwała Panu Bogu, niełatwo było o dyspensę nawet magnatowi, a szlachcicowi tak trudno, że i myśli podobnej do głowy nie przypuścił.

Ale że pan Leszczyc bardzo był zakochany, wyrabiał się, jak mógł, w nuncjaturze i nie- mało kosztu poniósł, a taki dyspensy nie wskórał. Bo trzeba było dowieść, że się dom na pan- nie kończy, że z domu majątek wyjdzie i inne jakieś przyczyny kanoniczne. A że nie umiano jeszcze konsystorzom podawać fałszywych inkwizycjów, na krzywoprzysięstwach opartych, trzeba było panu Leszczycowi z kwitkiem powrócić. Ale że się już zapamiętał w namiętności, przywabił synowicę do swojego domu, sam siebie dyspensując, i zaczął z nią mieszkać po bydłecemu, z wielkim zgorszeniem całej ziemi trembowelskiej. Krewni perswadowali, aby się opamiętał, ale że

on na wszystko był głuchym, więc o takowe porubstwo zapozwali go do urzędu i sprawa się wytoczyła przed grodem, gdzie pan Baworowski był podstarostą. Po odbytych inkwizycjach, po wysłuchaniu świadków, po roztrząśnieniu dowodów i odwodów, zbrodnia okazała się tak jasna, że nie było sposobu mitygować ostrości prawa. Pan Baworowski osądził pana Leszczyca na gardło. Ale po ogłoszeniu dekretu pan Leszczyca umknął, jak się potem okazało, na Węgry i śladu o sobie nie zostawił. A gród, swoje odbywszy a sumieniowi zadość uczyniwszy, nie troszczył się o pana Leszczyca, gdzie on się obraca. I lat wiele minęło, i o tym już nikt nie pamiętał; i nikomu wchodzić w to nie przyszło, że dekret nieegzekwowany leży w grodzie na takiego, co może już dawno umarł. Dość że majątek pana Lesz-

czyca spadkobiercy owładali, a pan starosta synowi kiedyś o tym wspomniał z dyskursu, jako o rzeczy potocznej. Umarł pan podstarosta, jego miejsce ktoś inny zastąpił, ale niedługo urzędował, a pan Baworowski, co u nas był konsyliarzem, otrzymał podstarostowski urząd, którego ojciec piastował. Wkrótce po wstąpieniu swoim na urząd pokazuje się człowiek już w wieku podeszłym i stawi się przed nim, przyznając się, iż jest tym samym Leszczycem na śmierć przez Jego ojca dekretowanym, że nigdy mól serca gryźć mu nie przestał, że gardził prawem ojczystym i ód wyroku się uchylał, że nie mogąc dłużej znieść swojego stanu, przychodzi dopełnić wyrok, że prosi tylko, aby o duszy jego nie zapomnieli. Jakoż najprzykładniej wyśpowiadał się po kilkakrotnie, bo nikt jego, jak za granicą, do śmierci nie naglił, ciało i krew Pańską przyjąwszy i cały tydzień jedynie z Bogiem za pośrednictwem kapłana obcując, a to w dworku otwartym, z którego mógłby wyjść, gdzie by mu się podobało, bo warty nie było - przyszedł do grodu, oświadczając się, że jest gotowym, i w asystencji księdza poszedł na rynek, na którym kat już go czekał. Tam, wzięwszy ostatnie błogosławieństwo od księdza, przemówił do narodu, zalecając mu bojaźń Boga i posłuszeństwo prawu, że to był sądny dzień, takiego było płaczu po całej Trembowli. Potem ukląkł, wprzód kątą przez pokorę w rękę pocałował, prosząc go, aby swoją rzecz robił, podczas gdy się modlił będzie. Jakoż zwywał Jezusa, Marii i Józefa, kiedy mu głowa na rusztowanie spadła.

PAN CZAPSKI

Nigdy dobry uczynek nie przepadnie, nawet na tym świecie. Rozumie się uczynek, do którego łączy się jakaś ofiara: jako nasz Zbawiciel, widząc kilku rozdających jałmużny, i znaczne, powiedział, że biedna wdowa, co dała jeden szeląg, najmilszą mu była, bo dała więcej niż każdy inny; był taki, co i garść złota mógł dać bez uszczerbku swoich wygód, a ta wdowa może bez omasty musiała pożyc swoje wieczerzę, ostatni szeląg uboższemu oddawszy.

Dobrze sobie na dal tuszę o moim narodzie, że kiedyś Pan Bóg nad nim się zmiłuje, bo w nim jest wielki duch poświęcenia. Pomijam, że nigdzie magnaci nie byli tak datni jak u nas i że mieli sobie za największe szczęście, kiedy z nich szlachta powstawała; ale między nami, szlachtą nawet, zawziętości mało, a chęci przysłużenia się wiele, i ta forma, która zakończy listy wyznaniem służebnictwa, jest rzetelną prawdą. Polacy wzajemnie sobie służą codosłownie. Ten za przyjaciela interesem kłopotczy się po jurysdykcjach; ten się stara o pożyczanie pieniędzy dla sąsiada; ten krewnemu swojemu urządza gospodarstwo; ten, że kilka razy za stołem siedział z drugim, za pierwszym poproszeniem jedzie mil kilkadziesiąt, żeby mu syna wyswatał; a wszystko bez korzyści dla siebie innej, tylko iż ma to za wywiązanie siebie z obowiązku obywatelskiego. Są zapewne wady narodowe; ale że ten duch ofiary i poświęcenia siebie (którego cała nasza historia, tak dokładna, jak ta, którą lekkomyślnie bajeczną nazywają, objawia) trwa w narodzie, i tylko w naszym, to jest rzecz niezaprzeczoną i nie dość nad tym nasi uczeni się zastanowili.

W tym właśnie roku, w którym się rodziłem, Moskwa pomagała

Augustowi III przeciwko Leszczyńskiemu; i z tego powodu po całej Wielkopolsce stały ich komendy. JW. pan Czap- ski, wojewoda malborski, pan znaczne dobra posiadający, a przychylny Augustowi, miał u siebie oddział artylerii, a chorąży, co nad tym oddziałem miał starszeństwo, będąc kawalerem w swoim narodzie zacnie urodzonym i dobrego wychowania, zaprzyjaźnił się był z synem jedynakiem wojewody, którego znałem w konfederacji barskiej starostą grodowym chełmiń- skim, a którego niewolę w Kazaniu podzielałem. Ze między młodzieżą związki są łatwe, wkrótce do wielkiej przyszli z sobą zażyłości. Razu jednego wojewodziec zauważał, że chorą- ży wesołość swoją utracił i okazywał jakoby głębokie zmartwienie. Zaczął go więc pocieszać

i nalegać na mego, aby mu się powierzył z powodu widocznego jego udręczenia Wzbraniał się chorąży, aż na koniec, na silne prośby przyjaciela, zwierza mu się, że jest zmuszonym życie sobie odebrać, z powodu iż jego podkomendny, któremu się powierzył, umknął ukradłszy pieniądze rządowe, które się u niego znajdowały. A nie mając czym je zastąpić i będąc oddalonym od rodziców, czasu nawet nie ma, aby swoimi zasłonić się od kary, która na niego czeka; że za cztery dni generał przybędzie, a jak rządowych pieniędzy nie znajdzie, odda go pod sąd, który go zdegraduje; że tym matkę w grób wpędzi; a nie mogąc znieść takich nie-szczęść, postanowił w łeb sobie wypalić w dniu, w którym do niego generał przybędzie. Wojewodzie zapytał go, jak wielka była kwota ukradzionych pieniędzy.

- Dwa tysiące czerwonych złotych - odpowiedział chorąży.

Na to wojewodzie zaklął go, aby dopóki z nim się nie obaczy, niczego nie przedsiębrał, i na to słowo oficerskie otrzymał; a natychmiast udawszy się do ojca, jak długi padł mu do nóg, zmyśliwszy, że się ograł w karty, że na słowo przegrał dwa tysiące czerwonych złotych, które musi oddać pod utratą honoru natychmiast, i że nie wstanie, pokąd ojciec go nie wyratuje. Ojciec, co był senator wielce roztropny a miłował syna, wystrofował go i dał mu te pieniądze, ale pod warunkiem, że syn musiał mu przysiąc na Ewangelii, że przez całe życie swoje karty w rękę nie weźmie (którą to przysięgę najwierniej dochował), a wzięwszy pieniądze, poleciał do przyjaciela i powiedział mu:

- Życia sobie nie odbieraj, żyj dla matki i przyjaciół.

Oto masz pieniądze. Wzbraniał się oficer, na końcu, rozczulony, przyjął ofiarę.

Potem wrócili Moskale do kraju swojego. Aż po upłynionym roku na ręce wojewody przyszedł list do jego syna z pieniędzmi, który go oświecił oraz przekonał i o dobroci serca syna, a razem, iż przyjaźni swojej nie z płochym człowiekiem, ale z kawalerem ze wszech miar godnym zawiązał. Bo trzeba wiedzieć, że rodowici Moskale, zwłaszcza potomkowie dawnych bojarów, są ludzie częstokroć uczciwi i moralni; ale ten naród jest zhańbiony przez natłok przybyszów różnych krajów, co go obsiadli, w nim do znaczenia przyszli, a że są ludzie podli, dopuszczają się rozmaitych łajdactw, które spadają na naród, tyle tylko winny, że ich znosi. Ale to jest *poena peccati* [kara za grzech]. Moskale są narzędziem ucisku innych narodów: z cudzą krzywdą rozszerzyli swoje granice, a za to są zawojowani przez garstkę cudzoziemców, co ich za innych uciskają, nimi pogardzając.

Po wielu leciech, ranny i więzien, zostawszy świadkiem, jak zamordowano bezbronno pana Sawy, powieźli mnie do Kazania z panem Moszczeńskim, kasztelanem inowrocławskim, i z innymi pocziwymi; a w Kazaniu my naszych zastali, że po ulicach tyle się snuło, że gdyby kto z księżycy spadł, mógłby myśleć, że w polskim mieście się znajduje, póki by się nie opatrzył, że tam same tylko cerkwie. Tam był natenczas gubernatorem pan generał Wojejkow, który był nad nami ojcem, a nie zwierzchnikiem. Do tego misernego lenungu, co nam rząd płacił, własne swoje dodawał wsparcie i ile można było, nędzę nam osładzał; a to z powodu pana starosty chełmińskiego, któregośmy tam zastali. Bo kiedy go przyprowadzono do Kazania, nazajutrz kazano mu się stawić przed wojennym gubernatorem. Przybywszy, wprowadzają go na pokoje, gdzie zastaje jego z żoną i dwóch kawalerów, i trzy dam, o których się

dowiedział, że to było potomstwo gubernatora; a ten do niego:

- Czy poznajesz mnie waćpan, panie Czapski? On mu:

- Bóg świadek, że nie przypominam sobie, gdzie panu miałem szczęście być znanym. A

gubernator:

- Ja to jestem ten sam, któremuś wrócił sławę i życie. Żono i dzieci moje, padnijcie do nóg temu więźniowi! -i sam do nóg mu padł.

Dopiero poznał JW. Czapski tego samego chorążego, którego był wyratował swoją czynnością. Rzucili się w swoje objęcia i popłakali się z czułości. Zaraz w domu swoim go umieścił i kilku jego kolegów i tyle jemu i wszystkim nam się wywiązywał, że aż pan starosta jego

przestrzegł, że zanadto jest dobrym i tym na siebie podejrzenie swojego rządu ściągnąć może. Ale on:

- Moja carowa jest wielką monarchinią i patrzy na potęgę swoją i rozszerzenie swojej władzy, ale zanadto ma wysoką mądrość, aby małości i plotki wiernemu słudze przed nią uszkodzić miały; a gdyby było nawet inaczej, wolę stracić łaskę u carowej za to, żem poczciwy, niżeli stracić łaskę u Boga, jako niewdzięcznik.

I dlatego było nam wszystkim tak dobrze, że gdyby nasza ojczyzna nie była tak słodką, że do niej Polak nigdy wzdychać nie przestanie, byłibyśmy o każdej innej zapomnieli. Bo Moskale umieją obowiązać, kiedy chcą, i dlatego cudzoziemcy do nich się gromadzą, którzy przynajmniej tyle krzywdy narodowi, ile pociechy rządowi przynoszą. Opływaliśmy we wszystkim, bo prócz generała gubernatora wieleśmy znaleźli ludzkości i w innych rodowitych Moskalach w Kazaniu zamieszkałych, którzy nam świadczyli nawet niemało. I było tego kilka miesięcy, ale Puhaczew jak podniósł rokosz, wmawiając, iż on jest tym carem Piotrem, którego przed laty zamordowano, a któremu duchowieństwo pomagało, rozjątrzone, iż zamiast nieruchomości wielkich majątków, których posiadało, a których mu rząd zabrał, musiało kontentować się nędznym żołdem - poszedł z siłą ku Kazaniowi. Wojejkow bronił mu się z garstką swoich, ale utrzymać Kazania nie mógł i ustąpił, dopełniwszy cudów waleczności, bośmy na to patrzali. A tak Kazań dostał się Puhaczewowi, który dowiedziawszy się, że w nim kilkuset konfederatów barskich znachodzi się, większą ich część swobodnie puścił i tym sposobem wielu, korzystając z zamieszania, co było po całej Moskwie, szczęśliwie przedarli się do ojczyzny. I między nimi byli obydwaj bracia Ciemniwscy, pan Szumlański, wojski halicki, pan Moszczeński, kasztelan, pan Suffczyński, co go później widziałem podkomorzym czerskim, i sam pan Czapski, starosta chełmiński, jakoż wielu innych; a drugich, między którymi się znajdowałem, jakoż i pan Potocki, wojewodzie wołyński, pan Chomętowski, podczaszy lubelski, pan Staniewicz, chorąży pancerny, pan Grużewski, wojszczyk rosieński, umieścił w wojsku swoim. Sam nasz przegląd robił Puhaczew, a kto z nas był rostry, tego brał do służby; a kto był mały, tego wypuszczał na wolę, mając go za niezdatnego. Jednak już nie wiem, z jakiej chimery, pana Zabłockiego, co później był konsulem Rzeczypospolitej w Krementczuku, wziął do swojego boku, lubo on był wzrostu tak nikłego, że z tyłu na niego patrząc można by go wziąć za trzynastoletniego chłopięcia. I ten pan Zabłocki do wielkiej wziętości przyszedł u niego, iż go nieraz umitygował. Puhaczew, że był prosty Kozak, nieokrzesany, bo ani pisać, ani czytać nie umiał, to kiedy się zapije, każe rżnąć i palić; a że pan Zabłocki był jego, jak u nich nazywają, generałem deżurnym, czasem rozkazu nie dopuści spełnić; a potem jak się tamten wytrzeźwi, a taki pamięta, że dał rozkaz, którego nie spełniono, i o to wrzeszczy, to mu w żywe oczy przeczy, jako nigdy tego nie odbierał; a że mu Puhaczew wierzył, kiedy niekiedy i poprzestaje na jego zaparcie się. A z czego on do takiej wziętości u niego przyszedł? - to był winien swojej przytomności.

Bo raz w początkach swojej służby, że Puhaczew wstydził się, iż pisać nie umie, a chciał taki za uczonego uchodzić, zawołał pana Zabłockiego, swojego już adiutanta, który pisywał rozkazy, jakie tamten wymyślał - i wzięwszy krejdę na giwerze swoim pomazał czort wie co i kazał swojemu diakowi przeczytać, mówiąc mu:

- Ja ciebie do mojej służby przyjąłem na hramotnego; jeśliś nim jest, przeczytaj głośno, com napisał. A diak:
 - Ja tego nie umiem przeczytać.
 - A to ty taki hramotny, że mój chleb chcesz darmo jeść? Zaraz mi czytaj! Aten:
 - Kiedy car ze mnie żartuje, bo to nie jest pismo. Tak Puhaczew:
 - Co? Ty mnie kłamstwo zadajesz? Ja, car, bym pisać nie umiał? I natychmiast rozkazał go na śmierć zaknutować. A potem obrócił się do Zabłockiego:
 - Ty czytaj moje pismo.
- Położenie pana Zabłockiego nie było do zazdrości, a patrzcie, jak on zgrabnie się wywinał:

- Najjaśniejszy carze! Kiedy Bóg Ojciec co napisze, to chyba Bóg Syn lub Duch Święty go przeczyta, bo tylko równy równego zrozumie. Żeby waszą carską mość pojąć, drugiego wielkiego cara sprowadzić trzeba; ten chyba będzie tak mądrym, iż ciebie przeniknie, a my, nędzny proch, tylko równych sobie pisma odczytać zdolni jesteśmy.

To się tak podobało Puhaczewowi, że go zaraz mianował generałem deżurnym i sam mu swoje niby pismo zaczął tłumaczyć, w którym miało być: że Polska kosztem Niemców się powiększy i że on z nią wieczny sojusz zawiera. Byliśmy świadkami różnych podobnych jego dziwactw i przewidywaliśmy, że to wszystko źle się skończy, bo chociaż byli panowie nieżyczliwi carowej, ale który z nich zbliżył się do Puhaczewa, odstręczał się od niego, widząc, że to bałwan i więcej nic. Motłoch tylko do niego się wiązał i hultajstwo, a z tym daleko zejść nie można, nie mając kogo, co by tym poruszeniem kierował. A lubo wojewodzie Potocki i pan Zabłocki, i pan Staniewicz, i inni nasi mogliby dobrze poradzić, niczyjej rady nie słuchał i co godzina inny wiatr mu po mózgu dmuchał. Wszyscy mu radzili, żeby na miasto Moskwę prosto szedł, a on bez potrzeby na Uralskie Góry się rzucił, gdzie go wzięto i nas. Jego podobno na pal wbito, a nas do Smoleńska zapędzono, gdzie z nas inkwizycją ciągniono, czy my w Polsce wprzód wiedzieli, że ma być Puhaczew, czyli przypadkiem już po gotowej rzeczy dowiedzieliśmy się. A były rozkazy z góry, aby jak najcierpliwiej inkwizycję ciągnąć. Jakoż gubernator smoleński z innymi dość ludzko się obchodził, jeno do mnie i do pana Gruzewskiego się przyczepił, dlatego że był tam pop dość uczony, z którym po łacinie, bywało, rozmawiamy, a który nas uprzejmie przyjmował; stąd gubernator, co nie był Wojejkowem, ale w policji służąc, z poczty furmana syna wyszedł na człowieka, [wniósł sobie], że ponieważ my po łacinie mówimy, musimy być bardzo uczonymi, więc cała rzecz na nas musi się opierać, i że nas trzeba wybadywać wszelkimi sposobami. Nim mnie o tej okoliczności oświecił później JW. wojewodzie wołyński, który dłużej ode mnie bawił w Smoleńsku, już i sam domyślałem się nieco o niej, bo gubernator, ciągnąc inkwizycję, wszystko nam powtórzył:

- Oj, wy mądre ludzie, hramotni; chociaż po łacinie mówicie, i my mamy rozum na was. Szczególne to były inkwizycje. Na przykład pytał mnie: jak śmiałem wojować przeciwko carowej i czy znam, jaka w żółtej jakiejś księdze kara na buntowników jest przeznaczona? Jam mu odpowiedział, że nie będąc carowej poddanym, nie czuję się być buntownikiem. Na

co on skoczył z krzesła i zaczął wrzeszczyć:

- Jak ty śmiesz mówić, żeś nie poddany carowej? Kto nie jest poddany carowej? Feldmarszałkowie, urzędnicy pierwszej klasy, mający błękitne wstęgi, są poddani carowej; a ty, co żadnego czynu nie masz, śmiesz mówić, żeś nie jej poddany!

I nie poprzestawszy na grubiańskich wyrazach, zaczął mnie bić kulakami po twarzy, że ażem opuchł, wszystko dodając:

- A co, czy ty nie poddany carowej? - A potem: - Gadaj, jakoś wiedział będąc w Polsce, że

Puhaczew ma bunt w Moskwie zrobić i Kazań zająć? I kto o tym tobie mówił? A ja mu na to:

- Przysięgam, że póki z Polskiej mnie nie wzięli, nie tylko, że nie wiedziałem o Puhaczewie i że ma zająć Kazań, ale że egzystuje Kazań, nie wiedziałem.

- Oj, ty nic nie wiedziałeś! Ty, hramotny człowiek, co po łacinie

umiesz z popami gadać, że ma być bunt Puhaczewa nie wiedziałeś?
A dlaczegoś ty tak prędko przystał do niego w Kazaniu?

Na to ja:

- Miałem nadzieję, że za pomocą jego wrócę do mojej ojczyzny; a na koniec, jak wszedł Puhaczew do Kazania, on miał tam zwierzchność i musiałem być mu posłusznym, jak pana tu muszę słuchać.

Dopiero kazał mnie bić, abym się przyznał o związkach, jakie Polacy mieli z Puhaczewem. A ja tylko Boga brałem za świadka, że o niczym nie wiem. I tego było kilka razy, toż i z pa-

nem Gruzewskim; i trzymano mnie w więzieniu, gdzie prócz chleba suchego i wody nic nie miałem; i kiedy drudzy po mieście chodzili, mnie i pana Gruzewskiego trzymano w jamie. Pięknie nam posłużyło, żeśmy się z łaciną popisali.

Aż w nocy kwartalny wpada do naszej ciemnicy i z niej mnie, jakoż i pana Gruzewskiego, wyprowadził aż za miasto, gdzieśmy zastali sanki parokonne, na których kazał nam siąść, a każdemu z nas dawszy po dwadzieścia pięć rubli, powiedział nam:

- Jedźcie sobie do Polski i uciekajcie co prędzej.

Jakoż my nazajutrz do województwa witebskiego przybyli i moglibyśmy do naszych gniazd trafić, ale natura wilka ciągnie do lasu, a Polaka do służenia ojczyźnie. Dostaliśmy się w krakowskie województwo, gdzieśmy się złączyli z konfederacją barską, która się jeszcze trzymała, i tam uściskaliśmy naszych kolegów, co już mieli nas za przypadłych.

A aż potem dowiedziałem się, co to był za powód, że wyprowadzono nas z więzienia. Carowa dowiedziała się, że gubernator smoleński nieludzko się obchodził z niektórymi więźniami; bo byli Polacy, co mieli u niej więźność, a chociaż to samo dowodziło, że nie najpoczciwiej szli, jednakże byli Polakami i za nami obstawali. Więc carowa bardzo godnego jakiegoś senatora wysłała do Smoleńska, aby w to wejść i donieść jej natychmiast, czy to jest tak lub nie. Otóż gubernator nam dwóm, nad którymi się pastwił (bo z innymi dość ludzko się obchodził), ułatwił ucieczkę, ażeby się jego postęпки nie wykryły. Niech mu Bóg nadgrodzi! Dobrze, że nie kazał nas podusić, boby jeszcze lepiej zatarł, co nabroił.

Tak to z najgorszego złego bywa najlepsze dobro. Myśmy byli katowani, a nasi koledzy nie - aleśmy za to ojczyźnie naszej blisko dwóch lat służyli, a oni na wygnaniu jeszcze musieli siedzieć.

PALESTRA STAROPOLSKA

Zdaje mi się, że odkąd świat światem, nigdy nie było takich przemian we wszystkim jak przez przeciąg życia mojego. Wszystko się bowiem odmieniło: stan, obyczaje, religia, ludzie, tak że gdyby człowiek nie sięgający pamięcią naszych dawnych czasów mógł mieć przed oczyma, co było dawniej, nie poznałby swojej ojczyzny, a jeszcze mniej by ją poznał wskrzeszony starzec, co przeżywszy panowanie dwóch Sasów, w początkach Stanisława Augusta rozstał się z tym światem. Czy więcej było rozumu dawniej, czy teraz? I to jest wielka zagadka. A ja bym ją tak rozwiązał: więcej teraz rozumnych ludzi niż dawniej, i nierównie więcej; ale dawniej, kto był rozumnym, rozumniejszym był od takiego, co mu dziś największy rozum przyznają. Jakoś to dawniej nie było tych rozumnych ludzi ogólnie. Ten był teolog, ten prawnik, ten wierszopis, ten mówca. I swego pilnował, i w nim się kształcił. A większa część nie przywłaszczała sobie prawa do rozumu. Szlachcic bez wstydu powtarzał: „Ja sobie prosty człowiek, w tym objaśnienia dać nie umiem; ale mój sąsiad te rzeczy dobrze zna, i panu je opowie.” A teraz pełno jest ludzi, o których mówią: „Oto rozumny człowiek.” Ale zapytaj, czy prawnik: nie, czy teolog: nie, czy mówca: i to nie, czy nareszcie rolnik wykwinny: i o nie. Cóż on takiego? -Oto on

rozumny człowiek, i kwita. Jakiś to rozum drażkowy, na kształt tych województw odpadłych, a których krzesła się zachowywały, a których urzędnicy jurys- dykcji nie mieli. Sparzyłem się ja raz porządnie na jednym rozumnym człowieku, co miał z Wilna patent na rozumnego. On to był chemik wielki. Jak zaczął mnie tumanić jakimiś kwasorodami a wodorodami, dowodzić, jak sztuka browarna w kolebce u nas, tak mnie zbałamu- cił, że go użył na przestrojenie mojego browaru w Litorowiczach. Wydawała mnie beczka żyta 27 garncy wódki - miał mnie podwoić wydatek i tym mnie złapał. Jak zaczął psuć a nisz- czyć, a przestrajac - kosztu mnie narobił co niemiara, a beczka ledwo 15 garncy wydawała. Ja

mu się żalę, a on na to takie doskonale tłumaczenie daje, że gębę zamyka innym: tak dobitnie przekonywa. Dawaj wznovu reperować i poprawiać, a wydatek coraz gorszy, mnie wódki potrzeba, a ten mnie argumenta i rozprawy sypie. Naprzykrzyło mi się na koniec; pozbyłem się mędrca i po dawnemu Zydek majster uregulował mnie browarek, że na nim wychodzę jak przedtem. A tyle straciwszy, to miałem w zysku, że wstydić się trzeba było, że starzec, dałem się ułowić przez młokosa. A prawnicy terażniejsi! Panie Boże, odpuść profesorom wileńskim, co ich uczą! Użyj którego z nich do interesu, to jak zacznie rozprawiać, nie tylko że całą historią polską przebiegnie, ale ledwo nie potopowych czasów sięga w tłumaczeniu prawa; a kiedy napisze, to jeszcze trzeba drugiego jurysty sprowadzić, aby wytłumaczył, czego on chce. A jakie tony, a jakie rozumienie o sobie, a jakie lekceważenie nas, dawnych jurystów, a jakich nadgród domaganie się! Dawniej połowę palestry łatwiej było zaspokoić niż terażniejszego jednego prawnika. Dawniej to jurysta, kiedy nad interesami zęby zjadł i dobrze osiwił, a miał wieś w dożywociu i kilkadziesiąt tysięcy na procencie, to miał siebie za szczęśliwego, a teraz popatronuje parę lat w ziemstwie lub trybunale terażniejszym, potem pojedzie do Petersburga za czyjś interesem, tam równie parę lat posiedzi, powraca i już krocie ra-chuje. A Bóg świadek, że prawa naszego nie rozumie, tylko szczebiotliwością nas zaciera. A my, starzy, widząc, że nas za nic mają, ręce opuszczamy. I prawdę powiedziawszy, mają oni słuszność, bo na taki skład rzeczy, jaki po zaborze nastąpił, ich rozum lepszy od naszego. Szczerze się wypowiadam, że ani jurysdykcjów, ani procedury terażniejszej nie rozumiem. Ten sam sąd w tej samej sprawie raz powie czarno, raz biało, jak mu wypadnie. „Takie moje przekonanie” - oto cała odpowiedź sędziego. Krzyczą na niego, krzyczą, że to jest prewarykator, że bez sumienia, że sikorki lubi. Nadchodzi sejmik. Myślisz, że się ani pokaże przed ludźmi. Aż tu cudem jakimś prosi szlachta, aby na następne trygenium raczył się podjąć urzędowania. Kto terażniejszy czas zrozumie?

Przed dwoma laty JW. Zabiełło, którego ojca na rękę kiedyś nosiłem, i szczególną mnie zaszczyca przyjaźnią, na kontraktach nowogródzkich widząc się ze mną, mówi mnie:

- Mój cześniku, byłeś przyjacielem ojca mego: oto mam sprawę, bądź łaskaw należeć do konferencji. A ja mu na to:

- A na co ja się zdam panu z moim starym doświadczeniem i co panu pomoże konferencja, kiedy teraz ani żadna sprawa tak dobra, aby ją nie można przegrać, ani tak zła, aby jej nie wygrać. Najlepsza konferencja rzucić na stół kilka brzęczących: jeżeli cet, to wygra się, jeżeli liszka, to się przegra. Oto cały rozum terażniejszych prawników.

- A i dawniej bywała po sądach prepotencja magnatów - powtarza do sytości pokolenie terażniejsze.

Ja na to tak odpowiem: Była czasem forsa mieszająca bieg sprawiedliwości; ale i w tym złym było jakieś sumienie. Słaby sędzia, dogadzając panu, czasem zwlekał, jak mógł, nękał szlachcica przewłokami, niszczył go tym, ale go nie zarzywał jak dziś. *Exspecta cadaver* - było to źle zapewne, ale krzywego dekretu nie podpisał. A dziś - może za śmiało się odezwę - ale gdyby przed jakim terażniejszym -trybunałem lub ziemstwem wytoczyła się ta sprawa, od której Piłat ręce umywał, a Żydzi położyli jeden i drugi pakiecik bomażek, a gubernator, nie-życzący Chrystusowi Panu, zrobił sędziemu nadzieję, że mu wyrobi ćwierć łokcia wstążki czerwonej z

czarnymi lub żółtymi brzegami - przekonany jestem, że nasz Zbawiciel drugi raz byłby umęczony. Jakoż go nie przestają krzyżować u nas rozpustą, oszukaństwem, obojętnością dla Jego praw, sobkostwem, zażyłością z nieprzyjaciółmi wiary i ojczyzny - i tak dalej, A że jednak, pomimo tych niegodziwości, nie można przeczyć, iżby miłość ojczyzny nie prze- ważyła we wszystkich sercach, skarżą się na Boga i szemrzą, że już jej nie wraca, co by mógł skutecznym skinieniem swojej wszechwładnej woli. Abo my zasługujemy na to? Pa- nowie bracia, kto chce gmach wystawić, powinien najprzód się opatrzyć w cegły i wapno! Ojczyzna jest gmachem, a my cegłami. Jeżeli cegły są kruche, że aż pod ręką się rozsypują, możeż być gmach? Wypalmy siebie w cegielni wiary i cnoty, a potem weźmiemy się do bu-

dowy, i w samej budowie nie będą ściany się walić. Zapewnię, że to niesmaczne! Łatwiej być męczennikiem niż pokutnikiem, łatwiej walczyć za ojczyznę i ginąć za nią niż całe życie mieć siebie w straży, chronić się od sprośnych zysków, kiełznać swoje chuci i zamiast uciskania poddanych, podnosić ich do godności człowieka. Ale męczeństwem po rozbrykanym żywocie można duszę zbawić, a ojczyznę męczeństwo samo jedno nie zbawi. Trzeba być dla niej jeszcze pokutnikiem, wyznawcą, pustelnikiem, dziewicą, a dopiero się ona zbawi. Bo tak drogą rzecz lada czym się nie okupi, a każdy grzech zapłatę swoje weźmie. Niech no kto przepatrzy wszystkie domy pańskie i szlacheckie; jeżeli który z nich upadł, zawsze się znajduje gotowa temu przyczyna w postępowaniu jakiegoś przodka; bo jeżeli kto od jakiegoś (wedle swojego wyobrażenia) złego chroni się grzechem, to pewnie większe zło nastąpi niżeli to, które chciał uniknąć. Był wielki bohater w dziejach naszych, ale tyle dumny, że nie mógł znieść spadkowego pana nad sobą. Zniweczył zamiar króla chcącego sukcesją tronu do nas wprowadzić, zbrojnie na niego najechawszy. Otóż za to potomkowie jego walają się po sieniach gubernatorów Rosji i Austrii. Był na Litwie dom nienasycony w domaganiu się starostw; ciągle burzył się, pokąd nowym udziałem skarbu Rzeczypospolitej królowie go nie zaspokoili, pokąd na nowo łakomstwo nowego nie wznieciło zaburzenia: za to jego potomkowie do ubóstwa przyszli. Był jeden wojewoda, co czuł swój dom być poniżonym, że syn jego do niego wprowadził pannę z starożytnego domu, ale którego wówczas blask z jego się nie równał. Kazał ją porwać, aby ją zmusić do rozwodu, bo taka była myśl jego; jeno słudzy, chcąc lepiej usłużyć swojemu panu, utopili niebogę. I to się działo w królestwie chrześcijańskim! Ale co z tego wynikło? Oto pan wojewoda nie mógł znieść, że jedynak jego skojarzył się z ubogą szlachcianką, a później tenże syn ożenił się z nierządnicą, którą wydobyli spomiędzy jatek carogrodzkich i która goryczą i hańbą jego żywota schyłek napiętnowała. A wiele to mamy przed oczyma przypadków, że dziad nie pozwalał na sejmach, aby ustanawiano podatki i pomnażano wojsko, aby się oprzeć Moskwie; a teraz też sama Moskwa cały majątek zabrała, z którego małej części nie chciał poświęcić; a wnuki na całe życie są wskazani flintę dźwigać w szeregach moskiewskich za to, że dziad nie chciał pozwolić, aby kilku jego poddanych lat kilka służyli Rzeczypospolitej. Tak to za zbrodnie dziadów i ojców niewinne syny i wnuki pokutują. To, co szczególne domy, to i ogólna ojczyzna doświadcza. Kiedy opiekując się naszą ojczyzną Pan Bóg tyle narodów ruskich nam poddał, jakże my się z nimi obchodzili! Wstyd wspomnieć! Toteż Pan Bóg i nas samych poddał pod jarzmo ruskie; a jakkolwiek ono jest ciężące, nie tyle, ile nasze nad nimi kiedyś było, bo my się opamiętali na koniec i za polskich czasów poddaństwo ruskie bardzo łagodnie było rządzone; ale po zaborze, jak ogarnęło łakomstwo serca obywatelskie, takiej nieludzkości zaczęto się dopuszczać z poddaństwem ruskim, o jakiej nasi przodkowie najtwardsi wyobrażenia nawet nie mieli. Bo nie tylko, że całkowitą pracę poddanego przywłaszczyli sobie, ale cokolwiek czy kieszeni, czy zmysłem idzie na korzyść, samolubny i bezbożny obywatel nie waha się pożerać. I to zło coraz się powiększa, a chcą, aby Pan Bóg, wszelkie prawa sprawiedliwości krusząc, pozwolił, aby uciskający bez litości sam ucisku nie doświadczał. Za moich czasów wielkie były cnoty, a jeżeli winy naddiadów trzeba było odpłacić, dawno bylibyśmy się oczyścili i wrócili do nieodżałowanej szkody, gdyby terażniejsze pokolenie nowymi

zdrożnościami nie przedłużyło gniew boski. Tac to historia świadczy, że wielkie występki poprzedzają zawsze upadek narodów. Nie chcieli Grecy uznawać zwierzchności duchowej chrześcijańskich papieżów i woleli jedność kościelną rozerwać niż ofiarę z dumy uczynić, za to wpadli nie w zwierzchność, ale w kajdany bisurmańskiego papieża. A Rzym, pokąd był cnotliwy, jak jemu los dopisywał, że aż jeden wielki i uczony święty napisał, że Pan Bóg nie mógł tak wielkich cnót nie nadgrodzić zwierzchnością nad światem. Największe, najpotężniejsze narody oddały się w poddaństwo rzymskie. Horacy zachowując wiarę, iż świat jest Rzymu udziałem, pisał:

*Horrenda late nomen in
ultimas, Extendat oras.*

A trochę niżej:
*Quicumque mundo
terminus obstitit, Hunc tangat
armis, visere gestiens
Qua parte
debacchentur ignes,
Qua nebulae, pluviique
rores.*

A potem, jak zaczęli Rzymianie zapominać o wstrzeźliwości przodków i wodze pusz- czać wszelkiemu wszeteczeństwu, najprzód wolność utracili, później sami wpadli w poddań- stwo ludów barbarzyńskich, nieokrzesanych i których mieli w pogardzie. A potem, jak przy- jęli wiarę chrześcijańską i cnoty przez nią nakazane w sobie rozwinęli, powtórnie uzyskali przewagę na świecie. Jak pierwaj przez senatorów i żołnierzy swoich, tak później przez bi- skupów i kapłanów swoich panowali nad światem, pokąd łakomstwo, sobkostwo i rozpusta nie przynęciły się do nich na nowo i nie obkroili im panowania, którego jednak w zupełności utracić już nie mogą.

I ja patrzyłem na upadek obyczajów, nim nastąpił upadek ojczyzny. Już od dawna magnaci psować się zaczęli, idąc za dworem, ale szlachta jakoś się trzymała. Pamiętam, że po woje- wódzkich naszych miastach o domach nierządnych nie było słyhu; a gdy jaka zwodnica pró- bowała frymarczyć dziewczętami, niedługa jej była pociecha: byle się gród o niej dowiedział, rozdział XIV artykuł XXXI zaraz temu dał radę. Jeszcze w szkołach będąc, pamiętam, jak pan Obuchowicz, podwojewodzy nowogródzki, osądził na oberżnięcie nosa i wargi jedną starą szlachciankę, która otworzywszy traktiernię w Nowogródku, panienkami wabiła młodzież do siebie. A chociaż w tym czasie królewicz Karol, książę kurlandzki, przejeżdżając przez No- wogródek, pobudzony litością, instancję wnosil do pana podwojewodzego, aby ułagodził ka- rę, nie dał się zmiękczyć; klęcząc i płacząc przepraszał najjaśniejszego królewicza, że sumie- niowi swojemu szwanku zadać nie może -a dekret na rynku egzekwowany został. Kilka lat przed zaborem kraju książę Radziwiłł, wojewoda trocki, będąc w Nowogródku na sprawie z JW. Niesiołowskim, wojewodą nowogródzkim, wpadła mu była w oko córka niejakiej Nikle- wiczowej, wdowy, co ją wszyscy pamiętają w Nowogródku, jak pod farnym kościołem kieł- basy i bryndzy przedawała. Ale była szlachcianką, i poczciwą, a jej córka była jak pączek róży. A że książę wojewoda trocki nie był skrupulat, użył swojego kamerdynera, Niemca czy Francuza. by mu koło dziewczyny patronował: jakoż on miał być majstrem do tego, w czym go w Warszawie i w Wilnie nieraz książę doświadczył. Ale że Nowogródek nie stolica, po- szkapił się fircyk, bo stara, nasadziwszy ukrytych świadków, zapozwała kusiciela do grodu, gdzie wówczas prezydował pan Dominik Wierzejski, sędzia grodzki, którego brat rodzony był regentem sądów zadwornych i jednym z filarów bandy albeńskiej, a on sam był urzędnikiem nieskażonej sprawiedliwości i gorliwości w dopełnieniu najściślejszym prawa. To, choć ksią- że był wielkim panem, takiego mu strachu napędzili, że dwadzieścia tysięcy musiał dać Ni- klewiczowej na posag córki, aby go z pozwu wypuściła. A pomimo prósb i grózb pan Wie- rzejski kamerdynera na dwanaście tygodni do turmy zaparł; a spodziewam się, że po takiej rekolekcji poznał, że co stolica, to nie prowincja. Nasza młodzież, widząc, że i panom nie uchodzi broić wszeteczeństwa, w wielkiej obyczajności się chowała, bo i Boga się bała obra- zać, i taki urzęda były straszne. Ale powoli

zaczęło złe od panów i do szlachty przychodzić, ale bardzo powoli. Za moich czasów byli w Nowogródku juryści, starzy kawalerowie z białym wąsem, a skromni i niewinni jak panienki. To my, młodsi, nie mówię z innych powodów, ale z samej obawy oburzenia ich na siebie, dobrze musieliśmy się wiarować od złego. A rzadki był przykład widzieć młodzika nie szanującego starego jak ojca.

Był pan Andrzej Jelec, urodzony z rodzonej siostry JW. Żaby, wojewody połockiego, którego JW. wuj jako opiekun oddał był do palestry nowogródzkiej, chcąc, aby doświadczeniem nabywszy nauk prawnych, mógł kiedyś tą drogą i do wyższych przyjść dostojęństw. Jakoż wkrótce, lubo młody, zjednął sobie - i nie bez słuszności - odgłos jednego z pierwszych prawników i nawykł do tego chleba, że przestając na jurysterii, z którą mu się dobrze działo, nie

piął się do urzędów, lubo i te go nie omijały, bo wziętością wuja swojego, który wyprosił u księcia wojewody wileńskiego, pana mojego, iż mu wyrobił Order Złotego Lwa, został patronem królewskim i szambelanem JKMości, i tak jedynym był w palestrze nowogródzkiej między nami, co go tytułowano jasnie wielmożnym, jako orderowego. A że i w rozum własny, i w pokrewieństwie swoim z senatorami, i w przeszło tysiąca czerwonych złotych, co mu rokrocznie przynajmniej jurysteria wnosila, był zaufany, wiele sobie pozwalał i choć młody, na żadnego starszego się nie oglądał. On to i po francusku trochę mówił, i z wielkim światem stolicy był obeznany, i z królem kilka razy rozmawiał, i nachwytał też pańskich narowów. On to by rad był i po niemiecku się przebrać i tyle tylko mu nie dostawało. Ale jakoś to u nas nie uchodziło i taki, rad nierad, musiał się trzpiotać w długiej naszej sukni. Otóż razu jednego, że lubił figle płatać, zastawszy mnie u pana Fabiana Wojniłowicza, regenta ziemskiego, sędziwego starca, ale kawalera, u którego ja kiedyś dependowałem, a który między skrupulatami mógłby za skrupulata uchodzić, zaczął obojdwóch nas prosić, abyśmy go wyręczyli, że przyjechała jakaś obywatelka z dwoma córkami, wcale dorzecznymi, że ma jakąś ważną sprawę rozpocząć w Nowogródku i że jego prosiła, by raczył się jej interesu podjąć. Jeno że w natłoku spraw, jaki się na barkach jego opiera, nie może już nowego ciężaru przyjąć, więc tedy nas prosi, byśmy raczyli naszych usług jej nie odmawiać, ile że pomagać wdowom i sierotom wielkie za to odpusta, i dodał:

- A kto wie, może, szperając dokumenta matki, córki doszperają się do waszych serc; wszakżeście oba kawalerowie. Ja was do niej zaprowadzę i do konferencji chętnie należeć będę.

My, jakby przeczuwali, co z tego wyniknie, długośmy się wypraszali; ale jak zaczął nas prosić a zaklinać, raz, że był z nami w zażyłości, po wtóre, że taki nie bardzo się godzi odmawiać fatygi swojej wdowom, więc pan regent zezwolił i za panem szambelanem poszliśmy

- już to było pod wieczór. Wiedzie nas, wiedzie aż na przedmieście. Tam dopiero do jakiegoś dworeczku zaprowadził i przedstawił nas jakiejś pani w podeszłym wieku i jej jakoby dwom córkom, urodziwym pannom, mówiąc, że my jego przyjaciele, patronowie tutejsi, i że bierzemy na siebie kierunek jej procedury. Na to jejmość, uprzejmie nas przywitawszy i dziękując nam za naszego czasu poświęcenie, my czekamy, by o interesie zaczęto; a jejmość nagli nas, byśmy pozwolili się traktować ponczem, a pan Andrzej w naszym imieniu oświadcza, że chętnie pić będziemy i że po szklaneczce lepsze koncepta na konferencji się udadzą. Pan Fabian - świeć mu, Panie, na duszy! - lubił szklaneczką się bawić; jakoż ani pan Jelec, ani ja nie byliśmy od tego, aby w towarzystwie się nie pobawić. Przynieś! i owoż tedy wazę ponczu, a jak się potem odkryło, zamiast wody czysty arak był kipiący, ale tak osłodzony, żeśmy się nie spostrzegli i jedna szklanka spełniona wszelką przytomność nam odjęła; a pan Jelec, co całą tę zdradę wymyślił, umknął, nas zostawiwszy na boską opiekę. Już świtać zaczęło, kiedyśmy się rozpoznali, że ani mniej, ani więcej, tylko żeśmy w podejrzanym domu noc przepędzili. W ponurym i gorzkim milczeniu wyszliśmy z tej Sodomy, złorzecząc panu Jelcowi za jego nieuczciwy żart, i poszliśmy do dworku pana regenta. Tam usiadłszy zaczęliśmy rzewnie płakać. Serce by się rozkroiło samemu panu Jelcowi, gdyby na to patrzył, zwłaszcza na frasunek sędziwego regenta. Ten przerwał

milczenie, odzywając się:

- Panie Sewerynie, a gdzie to nas ten łotr zaprowadził? Siedmdziesiąt lat i kilka żyję, a nigdy przed dniem wczorajszym moja noga nie powstała, tylko w takim miejscu, z którego publicznie szczyć się mogłem; a już dziś moja starość zhańbiona. Co my za to zasłużyli?

A ja mu:

- Jużci, gdzie nie ma woli, tam nie ma grzechu. Niech się pan Andrzej kruszy, co z nami tak podłego żartu się dopuścił, a nie my, na których niewinność Bóg patrzy.

- Nie, panie Sewerynie! My winni. Wszak to nas w szkołach uczono: *Cum bonis bonus eris, cum malis perverteris*. A po co my z tym farmazonem, co się Pana Boga nie boi, przystawali, a nawet zaprzyjaźnili się? Skarżmy siebie, aby nas Pan Bóg nie skarał!

Dopiero kazał mi się położyć i pięćdziesiąt batogów mnie odliczył; a potem sam się położył, oddawszy mi batog, i musiałem jemu takąż samą liczbą batogów wy-wzajemnić się, ile że mnie na rany Chrystusowe zaklął, abym go szczerze bił, równie jakom doświadczył był, że i on mojej nie oszczędzał skóry. Potem pobiegł do sędziego Wierzejskiego z doniesieniem, że na przedmieściu osiadły ladaszczyce. Szukano ich tam, ale złap wiatra w polu! Tak się ta śmieć prędko po tym kawałku wyniosła, że śladu nie można było dopytać. Dopiero pan regent na pana Jelca! Ledwo go ludzie odwiedli, że go nie zapozwał do grodu; ale jednak tak cała palestra uczuła krzywdę swojego regenta, że pan Jelec musiał się wynieść z Nowogródka i w Wilnie szukać nowego szczęścia, ze starym rozbratawszy się przez pustotę. Jakoż go ono tam nie ominęło; bo z taką wymową i praw znajomością, jaką miał, wszędzie mu w Polsce nie-trudno by było o kawałek chleba. A potem wkrótce ożenił się i zupełnie ustatkował, że potem z przyjemnością widywałem go nieraz. Ale pan regent do śmierci mu nie odpuścił i raz przy-padkiem w Wilnie spotkawszy go na obiedzie proszonym u pana Jana Wierzejskiego, regenta sądów zadwornych, wysunął się gładko, ażeby z panem Jelcem za stołem nie siedzieć, z czego się nazajutrz przed gospodarzem wytłomaczył. Tak to za naszych czasów umieli czuć, co jest godność i powaga chrześcijańskiego szlachectwa, nim zaczęto puszczać w pośmiewisko starożytne obyczaje, mianując je fanatyzmem i ciemnotą. Bo łatwiej sztydzić i potwarzać cnoty niż je naśladować.

OŻENIENIE SIĘ MOJE

Od lat kilku jurystowałem w Nowogródku, a lubo jeszcze nie byłem umocowanym księcia wojewody wileńskiego, jednak miałem już uczciwy kawał chleba, bo zawsze było coś do roboty; i chociaż o nadgrode nigdy się nie przymawiałem, gęsto grosz kapał w kieszeń i można by było co roku coś sobie oszczędzić. Jednakże lubo żyłem przyzwoicie i każdego przyjąłem, jak się należy, żadnej wykwinności nie było, tylko zwyczajnie jak u szlachcica w dorobku; a przecie grosz grosza nie dopędzał, a żeby coś schować, ani myśleć o tym nie było sposobu. Razu jednego, gdym zaczął rozpamiętywać, że pókim czerstwy, praca mnie żywi, ale jak star-gam siły a robić nie zdążę, w cóż się obróćę - takem się zadumał, że ani się spostrzegłem, jak pan Fabian Wojniłowicz wszedł do mojej izby, i dopierom się opamiętał, jak on się odezwał:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
- Na wieki wieków - odpowiedziałem zerwawszy się ze stołka i idąc na powitanie szanownego męża, pod którym dependowałem i któremu byłem winien i los, jakiego doświadczałem, i możliwość robienia sobie na dal obszerniejszych nadziei.
- A nad czym to waćpan tak się zamyślił, że nie uważasz, że tu od dwóch Zdrowaś Maria jestem?
- Przepraszam pana regenta dobrodzieja za moją pomimowolną nieobyczajność; ale kiedy to człowiek nad sobą zacznie dumać, a go smutek kole, to oprócz swojej biedy o wszystkim zapomina.
- A jakaż waćpanu bieda siedzi za kołnierzem?

- Bój się Boga, panie regencie! Czyż to nie mam nad czym myśleć? Rachowałem się przed chwilą z całego roku. Sam widzisz, jak pracuję. Niejedną noc przesiedzę nad papierem, cały ranek w ziemstwie, a podłogę u grodu wydeptałem; nie mogę też się skarżyć, że darmo pracuję, a z rachunku pokazuje się, że mi na rok drugi i pięćdziesiąt złotych nie zostaje. A przecież zbytków nie robię: jem po szlachecku, piję to, co ludzie piją, a po ścianach nie zawiesiłem majątku. Sam widzisz, panie regencie, że tu tylko cztery kąty a pięć piątą. Innym się lepiej udaje. Pan Eliaszkorbut, nasz kolega, dopiero wziął w dzierżawę ekonomię nowogródz-

ka, a i synów w konwikcie wychowuje, i żonę utrzymuje przyzwoicie, i nigdy bez kilku gości swojej sztukamięsy nie zaczepi, lubo z każdego szeląga swojego może się przed Panem Bogiem śmiało tłumaczyć. Ja podobnych wydatków nie mam, na siebie jednego pracując, a nie tylko o folwarkach nie myślę, ale kiedy za najęcie dworku zapłacę, to już mi się zdaje, że wielki ciężar z serca spadł, a przecie do ludzi nie mniej od niego mam szczęścia. Teraz toć wszystko nic, ale przyszłość mnie trwoży.

- Bardzo dobrze rozumiem, skąd to pochodzi, panie Sewerynie. Ty zawsze będziesz goły, pokaż się nie ożenisz.

- Pan regent dobrodziej robisz po księżemu: drugim żony dajesz, a sobie nie bierzesz.

- Toteż z własnego doświadczenia czerпам rady dla przyjaciół. Żebym był się ożenił, pokaż była pora, nie tak bym wyglądał jak dziś. Dependowałaś u mnie, to już ci nie powiem, jak do mnie pieniążki płynęły: daj ci Boże przez pół mieć moje szczęście! Najmożniejszych ludzi w województwie interesa przez moje ręce przechodziły. A plenipotencja panien benedyktynek nieświeskich (com ją wyrobił panu Krysztofowi Mickiewiczowi, zostawszy regentem ziemskim) mało mnie wносиła? Ptasiego mleka chyba nie dostawało. A akta co dają, czy to mała rzecz? Byłeś przy tym, jak tenże sam pan Eliasza ofiarował mi dziesięć tysięcy rocznie za przychód kancelarii, a przecie cóż mój synowiec znajdzie po mojej śmierci? Dworek w Nowogrodzku i trochę sprzętów, co je człowiek przez całe życie zbierał: oto cała parada! Abo to jedno i jedno nie naprzykrzyło się? Dawno już bym próżnował, gdyby było na czym. Ale całe życie tak było ze mną. Ja za kratami stoję, a o tym nie wiem, co się w domu dzieje. Ten urwie, ten uchwyci, tamten wykpi, a człowiek dla drugich ma rozum, a dla siebie głupi. Ja na kondescensji, a słudzy hulają; tam weźmiesz złoty, a w domu szkody na dwa. Oj, bieda, jak majątku słudzy tylko pilnują. A jak się domem zająć, kiedy czasu nie ma? Człowiek by rad wchodzić w przychód i rozchód; ale natuptawszy się dobrze część dnia, a drugą zapisawszy się, że ledwo palce nie puchną, a w aktach fałdów przesiedziawszy, to jeśli godzinę znajdzie dla siebie, rad w niej rozrywkę znaleźć, bo już i zdrowia nie staje; a cóż dopiero w rachunki się wdawać! A i o duszy trzeba pomyśleć. Aż wstyd, że o Statucie Litewskim cały dzień się myśli, a dziesięcioro Bożego przykazania i kwadransu nie rozpamiętywa. Ba, nie tylko wstyd, ale i strach, żeby za to kiedyś nie oberwać cięgi. Gdyby była żonka, człowiek by pracował, a imość grosz do grosza zbierała; a i wygodą w domu byłaby lepsza, i aniby się spostrzegł, jak się majątek zrobił. Panie Sewerynie, u nas w Polsce księdzu i żołnierzowi dobrze w bezżeństwie; a szlachcic, czy to rolnik, czy to prawnik, jeśli się nie żeni, to piątej klepki mu nie dostaje. Posłuchaj mnie, starego. Wszak, choć nie dla siebie, ale dla drugich, nieraz się na coś przydał mój rozum. Już dość światu podeptał, panie Sewerynie, żeń się, pókiś czerstwy.

- Tać to bym nie był od tego, ale trzeba umieć brać się, a ja przez całe życie z żadną białogłową kwadransu nie rozmawiał. Już piąty krzyżyk mi wschodzi, a czy już pora uczyć się podobać pannom? Już szpakowacieć zaczynam, a ludzie mówią, że do panny z siwym włossem to jak do psa z jeżem. Będę po domach konkurował, czy się uda, czy nie, a chleb, jaki jest, się straci.

- Ja waćpana wyswatam.

- A z kim?

- Pani Rejtenowa, podkomorzyna nowogrodzka, ma w domu swoim

krewną, pannę Mag- dalenę Bohuszewiczówną, na opiece. Panna uboga, ale zacnej krwi, poczciwa z kośćcami, nieszpętna: będzie z niej ale gospodyni! Wszak znasz ją?

- Widziałem ją parę razy w kościele z JW. podkomorzyna.

Przystojna panna; ale czy ze- chce pójść za mnie?

- O to pokój. Pani podkomorzyna moja siostra stryjeczna; moje słowo coś tam waży. Do Gruszówki niedaleko, ja tam za ciebie się oświadczę, mnie nie odmówią; a tak spokrewnim się z sobą. Jakoż odkąd cię poznałem, panie Sewerynie, pragnąłem z tak poczciwym szlachci- cem naszą przyjaźń ściślej- szym skojarzyć węzłem; a panna Magdalena tak zacnie urodzona,

że jak ją weźmiesz, kto tylko w Nowogródzkiem karmazynowy, będzie twoim dalszym lub bliższym koligatem.

- Kiedy pan regent dobrodziej tak łaskaw na mnie, bądź mi ojcem. Ale żeby to się nie roz- głosiło przed czasem;

bo jak się nie uda, co mnie ludzkie języki nafrasują, to mi będzie w zarobku. Niech się wtenczas dowiedzą, jak co będzie pewnego.

- Ze mną jak z księdzem po spowiedzi. Tylko żebyś mnie nie zawiódł, panie Sewerynie; bo jak mnie zaryzykujesz, a potem placu nie dotrzymasz, pamiętaj, że to rzecz z domem uczci- wym.

- A, panie regencie dobrodzieju, czym zasłużył, byś mnie trzymał bałamutem? Prędzej bym się śmierci spodziewał niż taką mieć u niego opinią.

- To tak się mówi. Jako juryście, wybac, że zbyt ostrożny. Mam twoje słowo, spodzie- wam się, że i tam go odbiorę; ani spostrzeżesz się, jak ciebie ożeni,

I tak zostawił mnie samego, ale w dobrej myśli, a to z tego powodu, że kilka dni przedtem, na świętego Joachima, był odpust zupełny u ojców dominikanów nowogródzkich, z którego i ja, nędzny grzesznik, między tylu pobożnymi chciałem korzystać. Modliłem się do tego wiel- kiego świętego, a mojego patrona (jakoż jego imię przybrałem,

kiedy mnie, już pod wąsem będącego, bierzmował ksiądz Panczerzyński, biskup laodycej- ski, sufragan nowogródzki). Otóż modliłem się serdecznie do tego potężnego szafarza łask Bożych, aby mną kierował w wyborze stanu, ofiarując mu i ten mój, jaki był, chętnie porzu- cić, jeżeli mnie coś przeciw niemu zainstynktuje.

A przenajświętszym sakramentem uzbroiłem się na tę intencję. Kiedy więc pan Fabian, co mnie znał od tylu lat i który zrobił mnie jurystą, a nigdy do mnie nic podobnego nie mówił, a tu i żonę wynalazł dla mnie, i jesz- cze brał na siebie o nią się starać, i tak mnie namawiał, bym wziął jego krewną, do wygod w domu możliwym przywykłą, jak gdybym sam był możliwym - on, któremu się był wypowiedział, że bym był chudym pacholkiem, o czym i bez tego wyznania mógł być pewnym -wziąłem te jego słowa za głos Boży i nie wątpiłem, ani że otrzymam pannę, ani że z nią będę szczęśli- wym. Szło mi tylko, żeby mieć czym odbyć niezbędne wydatki żeniącego się. Bo i za szlub trzeba zapłacić, i mieć w czym żonę wozić, i taki czymkolwiek domek, dotąd kawalerski, opatrzyć, by w nim i żonę, i ją nawiedzające obywatelki przyjąć. Zdarzała mi się wprawdzie grzanka. Kahał nowogródzki miał sprawę ważną z JW. wojewodą Niesiołowskim. Grubo mnie ofiarowano, bym jechał do Wilna ją atentować przed sądem zadwornym; ale choć byłem potrzebny, nie odważyłem się jej podjąć, bo Panu Bogu szlubiowałem, że nigdy Żydom moich usług nie poświęcę, mając to za ubliżenie i mojej wierze, i mojemu stanowi. Ale jakoś Pan Bóg temu poradził. Tego samego dnia albowiem, w którym pan regent raczył zająć się moim losem, W. Jabłoński, wojski nowogródzki, zaprosił mnie na odbycie kondescensji na gruncie z ojcami dominikanami nowogródzkimi; a że zgodnym sposobem skończyła się ta sprawa, na której dzwoniłem, ba, sam komplancją napisałem, pan wojski dał mnie brykę na pasach, któ- rą sobie był przed rokiem z Warszawy sprowadził, a której równej nie było w całym Nowo- gródzku, a ksiądz prowincjał ofiarował mnie tysiąc złotych. Kiedy więc w kilka dni potem mój łaskawca, pan Fabian Wojniłowicz, wpadł do mnie z doniesieniem, że już wszystko się ukar- towało i że trzeba mi z nim jechać do Gruszówki dla podziękowania JW. podkomorzynie,

śmiej z nim puściłem się w drogę, nie turbując się, by gdzieś chyba zapożyczysz się wy- datki opędzić- A jednak, lubo byłem rad temu, co się robiło, cała podróż nie obeszła się bez wielkiej niespokojności, a nawet strachu. Coś to było na kształt świsłockiej potyczki, kiedy pierwszy raz szedłem na nieprzyjaciela, ale gorzej jeszcze: bo tam człowiek z kolegami nie- bezpieczeństwo podzielał, a tu samemu wystąpić trzeba było; tam człowiek był pewny, że się tchórzem nie pokaże, a tu obawa, żeby się głupcem z wielkiego pomieszania nie wydać. A im więcej zbliżaliśmy się do Gruszówki, tym większy strach, tak że kiedyśmy wjeżdżali na dzie- dziniec, to żeby się ziemia otworzyła, może bym w nią skoczył. Ośmielał mnie, jak mógł,

towarzysz podróży i szczerze się litował nade mną. Jakoś się to odbyło przed JW. podkomo- rzną, która była pani wielkiej powagi i wyrozumiałości. To prawda, że pan Fabian wszystko za mnie mówił, mrucałem, sam nie wiem co, tylko tyle pamiętam, że dziękując do nóg jej padłem - i odbyły się zaręczyny. A ja i moja narzeczona wyglądaliśmy jak delikwenci na śmierć dekretowani. To wiem od pana Fabiana, bom siebie nie widział, a na moją narzeczoną oczu nie podniosłem. Zamieniwszy pierścionki, po oznaczeniu dnia szluby opuściliśmy Gru- szówkę. Ze już było późno, w karczmie nocowaliśmy; tam dopiero przyszedłem do siebie. Potem jak się rozeszła wieść o moich zaręczynach, a zaczęli na sądach kosmato mnie witać i sędziowie, i koledzy, i pacjenty łaskawi, to była nowa przeprawa. Ale byłem śmielszy, bo było wielu takich, co już przez to przeszli. Jeżeli czasem mnie nadokuczano tymi winszowa- niami, gdzie bez jakiego siakiego żarciku się nie obeszło, z drugiej strony miałem też i wiel- kie pociechy, odbierając dowody uczynności polskiej od obywatelów, którym służyłem. Jak zaczęły do mojego dworku chodzić fury, to ze zbożem, to z legominą, to z omastą, żebym miał hrabstwo dziedziczne, moja żona porządniejszej spiżarni znaleźć by nie mogła. A na wiktuałach się nie skończyła niektórych łaska. Wielmożny strażnik Łęski dał mnie dwie krów na nowe gospodarstwo; wielmożna Bemowiczowa, cześnikowa nowogródzka, dała dwa obru- sy i dwa tuziny serwet swojej roboty, a JW. chorąży Rdułtowski, chociaż nie miałem czasu jemu się zasłużyć, beczką wina mnie obdarzył - tak że było i na czym, i czym przyjąć, czyja łaska mnie nawiedzić. I dnia 25 listopada, w dzień św. Katarzyny, panna Magdalena Bohu- szewiczówna została panią Soplicową. Lubo przed szlubem do niej pięciu słów nie byłem wyrzekł i oprócz je; urody, która mi była wdzięczną, sam z siebie nie mogłem wiedzieć ani o jej roztropności, ani o jej cnotach chrześcijanki i szlachcianki, a przecież wziąłem ją, bom jak najlepiej o niej trzymał spuszczać się na instykt Boży i na charakter sędziwego jej krewne- go, a mojego najszczególniejszego łaskawcy, na którego zdaniu i radzie śmiało mogłem pole- gać. Jeszcze to przy oddawaniu wieńca miał mowę pan Jakub Wereszczaka, wicesgerent no- wogródzki, w której jak to zwykle bywało, wynurzywszy życzenia wszelkich boskich błogo- sławieństw i dobrą onych wieszczbę zwiastując w wybraniu na dzień szluby święto świętej Katarzyny, patronki szczęśliwych małżeństw, wyliczył procedencje panny i jej koligacje z domami Rejtenów, Wańkowiczów, Kiersnowskich, Jeśmanów, Rdułtowskich i innych staro- żytnych a zasłużonych ojczyźnie w naszym województwie. A za mnie odpowiadał niezmor- dowany dla mnie w życzliwości szanowny mój niegdyś mecenas, pan Fabian Wojniłowicz, regent ziemski nowogródzki, w której [oracji] tłumacząc powody mojej wdzięczności Panu Bogu i Najświętszej Pannie, że mnie obdarzają tak pocziwą małżonką, niemniej otuchy w dalsze ich błogosławieństwo, rozpatrując i jej cnoty, i związki, których zabieram z tak za- cnymi domami -nadmienił on, że lubo podobnymi urzędami mój ród nie był zaszczycony, jednak iż jestem starożytnym szlachcicem, że zaścianek rozrodzonych Sopliców jest założony na ziemi od wielkiego księcia Witolda nadanej mojemu przodkowi za wzięcie w niewolę pod Orszą murzy Ułan Murudyna, że sześciu z mojego domu są podpisani na elekcją króla Stefa- na. A na koniec podał za rękojmią przyszłego szczęścia mojej żony pocziwość moją, za któ- rą dał świadectwo, co mógł dać z wiadomością niepiłonną, znając mnie od lat kilkunastu, a doświadczywszy mnie lat

dwoje w swoim domu. Po odbytych szlubię panu regentowi do nóg padłem, choć tą powierzchowną oznaką dając mu dowód uszanowania i prawdziwie synowskiej wdzięczności za tyle łask jego, których uwieńczył tą mową swoją. Umiałem czuć, o ile pochwała mojego charakteru z ust tak szanownego męża była dla mnie zaszczytną, a i nie- mniej byłem mu wdzięczny, że publicznie o mojej prozapii odezwał się; bo biorąc familiantkę, byłem rad, iżby wiadano, że i ja sroce spod ogona, jak to mówią, nie wypadłem. Potem, że JW. podkomorzyna sprawiła wesele, był wielki zjazd; kielichy krążyły gęsto, bo pan Fabian był gospodarzem, i wszyscy się ubawili, jak potrzeba.

Takie było moje ożenienie. Oprócz pary sukienek i cukiernicy srebrnej nie wziąłem nic po żonie; ale wielki odebrałem posag w jej cnotach i w szczęściu, którego do mnie przyniosła.

Przez cały przeciąg trzydziestoletniego pożycia w moim domowym pożyciu najmniejszego zmartwienia nie doświadczyłem. Ośmnastu laty byłem od niej starszy, a przecie ją przeżyłem. Taka była wola Pana Boga. I tęsknię czasem za chwilą, która mnie złączy z moją Magdusią. Nasza intercyza mogła być bardzo krótka, mogliśmy sobie wspólnie zapisać dożywocie na wspólnych nadziejach, bo nadzieja była całym naszym funduszem. Ale jakem ją zaprowadził do mojego dworku, wszystko zaczęło iść jak z kłębka. Dwa lata nie upłynęły, a już i dworek, któregoś najmywał, był naszą własnością, i parę tysięcy leżało na procencie. Potem zaraz ksiązę wojewoda wileński powierzył mi swoje interesa i Doktorowicze dostały mi się w dzierzawę. Ja siedzę przy sprawach, a Magdusią pilnuje gospodarstwa. Dobrze to mawiał pan Fabian, że dobrze z żonką. W percepcie złoty, a w ekspensie srebrny grosz, a przecie lepiej się żyło, niż kiedy byłem kawalerem, bo taki co dzień ktoś był, a na świętą Magdalenę co roku, nim nawet na wsi osiadłem, to w naszym dworku i sędziowie, i koledzy, i nawet umyśl- nie ze wsiów łaskawi przybywają, i cały dzień nas swoją bytnością zaszczycają, a przecie majątek się robił. Coś się już dało, a po śmierci i folwarki, i trochę po ludziach pieniądze znajdują wnukowie. A co po eksdywizjach pracy przepadło! Bóg i ludzie wiedzą. Ciągłe doświadczałem błogosławieństw Bożych: mam co jeść z jego łaski - i dom. i świeronek we wszystko opatrzone. Raj byłby na ziemi, gdyby nie jedna rzecz. - Żeby choć na starość ten wiatr północny przestał mnie wiać w uszy! Żeby przynajmniej moi wnukowie moje zwłoki mogli złożyć obok żoninych na swojej ziemi, ale zupełnie na swojej! Niech się stanie jednak wszystko tak, jak Bóg, a nie jak my chcemy.

TADEUSZ REJTEN

Śmieją się z nas, starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych czasach i o dawnych lu- dziach. Ale kiedy bo i czasy, i ludzie byli lepsi niż teraz! Wielkie sądy Boże... Pan Bóg So- domie był gotów odpuścić, gdyby się w niej przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych znała- zło; czyż już i tak małej liczby u nas nie było, aby ojczyznę ocalić? Na to nigdy nie pozwolę. Widać, że nasz upadek tylko chwilowy, że to jest zawieszenie bytu, ale nie zagładzenie, omdlenie, a nie śmierć; po czym życie silniejsze i świetniejsze wrócić się koniecznie musi, jako ziarno w ziemię rzucone przegniwa i zamiera, aby ożywić potem dziesięć razy na sób obfitszy plon. Nędza i ucisk częstokroć bywały zwiastunami wielkich pomyślności. Dlatego ludzie mądrzy w naukach boskich, których zgłębić nie można, jeno przez wielką niewinność serca, w wielkiej są obawie, kiedy wszystko im się wiedzie; jęczą, że tak powiem, pod nie- zmordowaną pomyślnością i radzi, kiedy jaki frasunek niespodziany cokolwiek przerwie im pasmo snute przeznaczeniem ciągle przyjaznym. Takim był JW. Rejten, podkomorzy nowo- gródzki, którego w młodości mojej często miałem szczęście oglądać, chodząc do szkół ze wszystkimi jego synami, oprócz pana Michała, co się wychowywał w Nieświeżu z księciem Karolem Radziwiłłem, hetmanowiczem wielkim litewskim. JW. podkomorzy był urzędnik, jakich i dawniej

nawet mało było mu podobnych; bo i rozum nadzwyczajny, i sprawiedliwość ledwo nie wyrównywająca tej, jakiej wzór nam zostawili święci sędziowie ludu Bożego. A pobożność i wiara, że gdyby nie jego pokora, umarłych by wskrzeszał! On to był szczególnym dobrodziejem ojców jezuitów w Nowogródku, a tameczny ubogi klasztor dominikański jego szczodrocią został jednym z bogatych na Litwie. Bywało, co miesiąc sprowadza zakonników do Gruszówki, by z nimi rekolekcje odprawiać, i wtedy dyscypliną się chłoszcze jakby jaki winowajca; nie tylko on, ale i cała czeladź. „Mój chleb jecie -prawi -pokutujcie więc ze mną.” Strach w całym dworze, kiedy się jaki dominikanin lub jezuita pokaże! A żaden sługa go nie opuścił: starzeli się i umierali u niego, a byli przywiązani, że w ogień za niego by

wskoczyli, chociaż był groźny, że nie tylko oni, ale i dzieci, i żona nawet czuj duch byli przed nim. Nadzwyczajne było jego szczęście. Z rodziców już bogaty; majątek ciągle wzrastał, a zdawało się, że o niego nie dbał. Ani się spyta, co się na jego poletkach dzieje, dyspozytory, jak chcą, rządzą, a on mawiał: „U mnie Pan Jezus gospodarz, a Najświętsza Panna gospody- ni” - i na nich się zdawał tak dalece, że miał dobra Berezdów w województwie połockim, niedaleko Wielkich Łuk, do których przez całe życie swoje raz tylko zawitał i parę tygodni przesiedział; a przecie kiedy je objął po ojcu, sześć folwarków tam było, a tyle ich przykupił, że zostawił dzieciom piętnaście. Miał on po nim jeszcze Gruszówkę, w której mieszkał, i trzysta chat w Mozyrskiem z własnego nabycia, i Rubieżewicze miał w dożywociu od księż- nej kanclerzyny Radziwiłłowej, która za jego dobrymi radami miliony ocaliła, a nie znał za- biegów, o nic nie prosił i nad własnymi interesami się nie troszczył. Na zaszczyty równie był obojętny. Dwa razy był deputatem, raz posłem, potem sędzią ziemskim, na koniec na naj- pierwszy urząd województwa wyniesiony, a na żadnym z tych sejmików się nie znajdował. Każdy laudum i przywilej szukały go w Gruszówce, a nie on ich w Nowogródku ani w War- szawie. Frasował się nieraz, że mu tak ciągle pomyślność się nie przerywa. Razu jednego zgo- rzał nm magazyn wódczany, w którym kilkoletni zapas był złożony. Nic z niego nie wyrato- wano, na trzydzieści tysięcy przeszło poniósł szkody, cały dom był w smutku, on jeden wesół.

„Przecie aby raz się nie powiodło - wyrzekł - sobiem rad, bo Pan Bóg pamięta o mnie.” A to był jakby żarcik Opatrzności, bo doby nie minęło, aż odbiera przywilej na starostwo krzy- czowskie w Mścisławskiem, co na rok więcej przynosiło niż to, co dopiero utracił, z czego prócz niego wszyscy się w domu weselili. To mu upadło jak kamień z nieba, bo ani się starał o to, ani stosunków nawet nie miał u dworu. A w pożyciu domowym jaki szczęśliwy. Żona to był anioł w ludzkim ciele: tak cnotliwa i piękna; syny kawalerowie wzięci, że każdy ojciec ich mu zazdrościł; a córek było trzy: piękne panny, co wyglądały jak młodsze siostry matki. Za życia powydawał ich za potomków pierwszych domów naszego województwa. Jedne wziął pan Paweł Jeśman, chorąży słonimski, którego przodek był wojewodą smoleńskim; drugą wydał za pana Kazimierza Haraburdy, starosty wiladymowskiego, którego ród w całej Litwie nad sobą nie ma starożytniejszego; a trzecia poszła za pana Joachima Rdułtowskiego, kasztelanica nowogródzkiego, co po śmierci teścia został podkomorzym naszym. - A do tego taki był zdrów, że już mu było niedaleko ośmiudziesiąt lat, a lekarstwa nie znał. To kiedy zapadł na słabość, która go przez cztery lata do łóżka przykuła, a na koniec życia pozbawiła, był okryty ranami i wielkie boleści cierpiał (jako lekarze mówili, bo po nim tego domyśleć się nie można było, tak mężnie wszystko znosił), wszyscy płakali, a on był weselszy niż kiedy- kolwiek i powtarzał: „Oto mi teraz dobrze, że Bóg przecie do żywego mnie dotknął. Dopiero zaczynam dobrze tuszyć o przyszłym moim losie, kiedy mnie tu boli; dawniej sam siebie, teraz mój Pan łaskaw mnie chłószcze.” Toteż Pan Bóg, jako zapewnię duszę jego zabrał do chwały swojej i na ziemi pamięć jego pobłogosławił, między tylu godnymi dziećmi dawszy mu Tadeusza, jednego z największych mężów naszej ojczyzny.

Gdyby najznakomitsza cnota ludzka mogła przeważać wyroki Najwyższego, pan Tadeusz jeden ojczyznę by ocalił. A jakkolwiek pozornie biorąc rzeczy, jemu się nie powiodło, co jest niezawodnym,

to, [że] pokąd ostatniego Polaka serce bić będzie, pamięć jego nie zginie. On to nas postawił w tym stopniu, że ani Grekom Arystydesów, ani Rzymianom Katonów za- zdrościć nie mamy powodu. A my szczególnie, Nowogródzanie, cieszymy się naszym ziemia- ninem, którego imię naród konający kazał złotymi literami napisać w miejscu obrad swoich prawodawców. Starzec, puszcze wodze nadziei, wszak mówią, że przed śmiercią czasem duch wieszcy ogarnia: nasi wnukowie doczekają się, że w Nowogródku Rejten ze spiżu posąg otrzyma. Rocznicę jego zgonu urząd miejscowy, rycerstwo i naród święcić będą. Co wiara ma najświętszego w swoich obrządkach, co rozsądek narodu może wynaleźć najokazalszego w wyświadczeniu ogólnych uczuć, złączą się, by uwiecznić pamięć naszego bohatera. Ubogich kilka panien, wyposażonych szczodrotą publiczną, corocznie u nóg tego posągu za-

wierać będą szluby z żołnierzami, co już swe lata odbywszy, na wysłużonym kawałku ziemi osiedą. Matki, synkom swoim pokazując jego rysy, będą im tłumaczyć, jakim sposobem w narodach wolnych zapory grobowe się zwyciężają. Nieraz pomimowolna pycha rozszerza piersi moje, że pierwiastki mojego żywota z nim przepędziłem, że od jednych mistrzów z nim nauki brałem, że obok niego na ławach szkolnych siadywałem, że podzielałem jego zabawy. Jest jakaś dziwna potęga cnoty. W szkołach panu Tadeuszowi wszyscyśmy nad sobą wyższość przyznawali, lubo do nauk był dość tępy, a w zabawach najczęściej zamyślony, a nawet ponury; nie miał tej giętkości towarzyskiej, innym niezbędnej dla otrzymania popularności. Jeżeli jakiś obywatel nawiedzający ojców jezuitów o dawnych rzeczach polskich mówił, pan Tadeusz wszelkie zabawy nasze opuszczał i w głębokim milczeniu przysłuchiwał się tym opowiadaniom, i już nic z zadumania rozerwać go nie mogło. Ze klasztor był fundacji Jana Karola Chodkiewicza, jego obraz w kościele wisiał, to on, bywało, jak oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a profesor musi go dobrze potrząść, nim się opamięta, że w kościele na ołtarz, a nie na co innego patrząc trzeba. A czy tylko obraz mu takie roztargnienia dawał? Na korytarzu klasztornym wisiała mapa Polskiej, to idąc na zabawę jak na nią okiem rzuci, stanie przy niej jak wryty i w nią się wpatruje tak zamyślony, że już nic koło siebie nie słyszy, choć studenci wrzeszczą, że ledwo umarłego by nie zbudzili; i nieraz rekreacja się skończy, a jego przy mapie zastają, jak go zostawili. Ojcowie jezuiti długo usiłowali, by jego oduczyć od tego ustawicznego zamyślania się, ale przekonawszy się, że to było na próżno, zostawili go, ile że w postępach swoich był bardzo łagodny i pokorny dla zwierzchności szkolnej. Chociaż jezuiti dość surowymi byli w prowadzeniu młodzieży, kilka lat minęło, a pan Tadeusz ani razu nie był sztrofowany. Raz tylko był karany, i silnie, z następnego powodu: między konwiktorami był już w czwartej klasie pan Władysław Oskierko, kasztelan nowogródzki, którego ojca gdy rodzica ostatnia z domu Gosiewskich, znaczną swoją ojcowizną Oskierkom wniosła. Był to chłopiec wielkiej roztropności i dziwnych postępów w naukach. Otóż na majowej rekreacji zaczęto mówić o hetmanie Gosiewskim, o jego sławie i zasługach. Jeden z uczniów odezwał się, że zrobiwszy akces do konfederacji tyszowieckiej od tej pory zmazał plamę swojego związku ze Szwedami. Kasztelanie i w tym względzie bronił swojego przodka, a pan Tadeusz, co temu dyskursowi się przysłuchiwał, przerwał swoje milczenie mówiąc: „Panie Władysławie, wstydź się bronić złej sprawy, chociaż swego naddziada. Hetman późniejszymi zasługami zmazał swoją zdradę, to mu przyznaję; ale pokąd trzymał z najeźdnikami, któż śmie przeczyć, że był zdrajcą ojczyzny?” Pan Władysław dowodził, że uleganie okolicznościom nie jest zdradą i że człowiek widząc, że siebie zgubi, a ojczyzny nie zbawi - sama roztropność każe w układy wchodzić z nieprzyjacielem, aby się zachować ojczyźnie na czas sposobniejszy. Na to pan Tadeusz tak się oburzył, że porwawszy kamień, cisnął nim na kasztelanicę głowę, że aż krwią się oblał. Wielki się z tego zrobił rozruch w całym klasztorze. Postępek pana Tadeusza tym gwałtowniejszym widzieli, że kasztelanie z łagodnością się tłumaczył. Sam rektor oćwiczył pana Tadeusza - który ani jednej łzy nie puścił - a potem kazał mu kłęcząc przeproszać skrzywdzonego kolegi. Ale pan Tadeusz powiedział: „Com zrobił, tego nie żałuję, i nie przeproszę, choćby mnie zabić miano; a każdego uderzę, co mnie powie, że godzi się w zмовy wchodzić z najeźdnikami ojczyzny.”

Kilkakrotnie był bity, a nic go przemóc nie mogło. Jak się uparł, stał jak opoka nieporuszony. Przestał go bić ksiądz rektor, by mu zdrowia nie nadwątlił, ale go do kozy zaparł, skąd tylko na naukę wychodził, chcąc go tym sposobem zmusić do upokorzenia siebie. Cztery tygodnie wytrzymał wszystko w statecznym wytrwaniu, aż JW. Oskierko, kasztelan nowogródzki, przyjechawszy do szkoły a o wszystkim dowiedziawszy się, sam go wyprosił.- A gdy mu go przedstawili, zaczął go całować mówiąc:

„Niech ci Bóg nie pamięta, żeś mi chłopca taką blizną obznaczył; ale szczęśliwa matka, co ciebie na świat wydała. Nie masz czego przeproszać mojego syna, ale proszę cię, bądź mu odtąd przyjacielem, jako nim jestem twojego ojca.” Dopiero się zmiękczył pan Tadeusz i rzucił się w objęcia kasztelanica, przyrzekając mu przyjaźń, którą mu odtąd dochował.

W szkołach księży jezuitów byli zaprowadzili różne zabawy, stosowne do obyczajów polskich, i one nam wielce smakowały - między innymi potykanie się na palcaty. Za klasztorem było miejsce obszerne, a na każdej połowie przy końcu przestrzeni była mogiłka usypana, którą nazywano tabor. Szkoła na dwie części się dzieliła, jako dwa wojska z sobą potykające się. Cała wygrana była, aby opanować tabor, przeciwny; i zażarcie biliśmy się, aby swego obronić, a nieprzyjacielski zdobyć. Zwyczajnie dzielono się na Polaków i Moskalów, a losy ciągnione stanowiły, do których każdy z nas miał należeć. To pan Tadeusz, co był jeden z najtęższych w palcaty i niemiłosiernie w tych niby bojach częstował na niego nacierających, ile razy mu wypadało być Moskalem, choć od najsłabszych bić się dawał, że aż mu guzy występowały. Kiedyśmy podziwiali, że guzy, bywało, nosi od takich, co ledwo palcat w rękę trzymać umieją, on, co słynie z siły i wprawy: „Cóż chcecie - odpowiadał - kiedy ja i żartem znieść nie mogę, aby Polaków Moskale bili. Ile razy ja, niby Moskał, a buchańca oberwę, zdaje mi się, że ojczyzna coś wskórała, a ta myśl tak mnie jakoś opanuje, że bronić się nie umiem.” Bywały częste zatargi między studentami a przekupkami i Żydami i o to tak gęste skargi do profesorów, że rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Jezuitów wpadli na myśl szczęśliwą, której uskutecznienie wyrobili u JW. Jabłonowskiego, wojewody wówczas nowogródzkiego, o to, aby był sąd szkolny przez studentów spomiędzy siebie wybranych, co by wszelkie ich sprawy z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki być w sprawach swoich na dyskrekcji studentów, ale wkrótce błogosławiły tej ustawie, bo większej sprawiedliwości pod słońcem znaleźć by nie mogły. Popołudnia czwartkowe były przeznaczone na sądy, składające się z prezydenta, czterech sędziów, dwóch pisarzy i regenta. Studenci indukowali sprawy, a nawet żalącej się strone sąd dodawał obrońcę, studenta. Wszystko tak szło porządnie jakby w grodzie; a tym sposobem młodzież wprawiała się do znajomości prawa i do mówienia w publiczności. Co roku sejmikowaliśmy dla wyboru urzędników, ale jakśmy raz wybrali prezydentem pana Tadeusza, nie przestał nim być aż do wyjścia swojego ze szkół. Raz nawet przekryskował księcia Radziwiłła, marszałkowie nadwornego, co potem był koniuszym litewskim, lubo za nim sami księży jezuitów forsowali. To pan Tadeusz, bywało, aż mu książki z rąk wydzierają profesorowie, tak się prawa uczy, aby do niego dekreta swoje stosował. Razu jednego brat jego, pan Józef, przez swawolę jakiejś przekupce garnki porozbijał, i o to się sprawa, wytoczyła. Pan Tadeusz wstał, a przekupka tyle ufała w jego sprawiedliwość, że się upierała, aby koniecznie sądził, ale on tego nie przyjął mówiąc: „To nie idzie o ufność, ale żeby robić, jak prawo każe, a prawo nie pozwala, aby powinny powinnego sądził. Wolę prawa pilnować niż się cieszyć chlubą, że w sądzie na rodzony brata nie oglądałem się.” A że jak co wyrzekł, od tego i przed hakami by nie odstąpił, więc taki się usunął.

Jak w szkołach był zapalonym Polakiem, tak z nich wyszedłszy gorliwym był obywatelem; i można powiedzieć, że nie tylko każda myśl jego, ale nawet każde tchnienie było dla ojczyzny. On to będąc jeszcze towarzyszem w chorągwi księcia Karola Radziwiłła, mając ledwo lat dwadzieścia, miał chętkę do stanu małżeńskiego, ale prędko tego zaniechał. Była mu wpadła w oko panna Jewłaszewska, wojszczanka wołkowyska, co potem wyszła za pana Prota Chmarny,

marszałka oszmiańskiego. Panna urodziwa, z domu karmazynowego, bo przed stoma laty jej przodek był wojewodą brzeskim, a jako jedynaczka, krocie były w nadziei. Otóż poznawszy ją w domu jej ciotki, W. cześnikowej Bemowiczowej, z którą i dom Rejtenów był w swojactwie, zaczął się jej nieco zalecać (czemu jego matka była rada, bo już ojciec nie żył) i ze szwagrem swoim, panem chorążycem Jeśmanem, pojechał do domu W. Wojskiego, niby dla oddania mu uwagi, ale w istocie, aby lepiej poznać pannę, nim Pan Bóg i ściślejsze związki przeznaczy. Ale tam przyjechawszy obaczył w bawialnym pokoju wiszący konterfekt Piotra Wielkiego: to go tak zniechęciło, iż zaraz od swojego zamiaru odstąpił. Co się potem pan chorążyc nie namęczył, aby go zwrócić do dawnego przedsięwzięcia. Wszystko było na próżno.

- Piotr - mówił - to był największy nasz wróg. On to nieboszczyka króla wciągnął w wojnę ze Szwedami, przyrzekł mu Inflanty, które są nasze wedle praw boskich i ludzkich, a potem, jak wylazł z kłopotu, nie tylko że nie dotrzymał słowa, ale jeszcze z jego łaski zwinięto nasze wojsko, to wojsko, postrach bisurmanów, a które pod Wiedniem całe chrześcijaństwo z ostatniej wydzwignęło toni. Wolę całe życie być kawalerem niż brać żonę z takiego domu, gdzie pamięć nieprzyjaciela Polskiej jest w poważaniu, że aż obraz jego zdoła pokój, w którym ro- daków przyjmują.

Są rozmaite losy, których Opatrzność szafuje: jego było męczeństwo za ojczyznę; jakoż w istocie on tylko wtedy się cieszył, kiedy za nią cierpiał, i tyle rozumiał swoje przeznaczenie, że zawsze był skwapliwym poświęcać siebie dla niej. Kiedy po śmierci Augusta III Moskwa bez żadnego hamulca rozprzestrzeniła gwałty po Polsce, upoważniona poniekąd ku temu przez kilku obywatelów zwiedzionych, którym się zdało, że bezprawiem można ojczyznę pokrzepić i że najeźdnik, przez nich sprowadzony, będzie w ich ręku ślepym narzędziem ich może zamiarów zbawiennych - księżę Karol Radziwiłł, nie zapuszczając tak daleko swojej wyobraźności, ale pamiętny senatorskiej przysięgi, jako wojewoda wileński, porozsyłał wici powołujące do pospolitego ruszenia obywatelów, by się z nim łączyli w obronie praw zdepta- nych, aby oswobodzić grunt ojczysty, skalany najeźdniczym przechodem. Pan Tadeusz, wówczas towarzysz, pierwszy zrozumiał, jakie są obowiązki żołnierza i ziemianina, i zaczął naglić kolegów, aby się nie wahali w powinności swojej. Dowódca chorągwi, człowiek po- czciwy, ale podeszły w wieku, ojciec dzieciom i lękliwy, przekładał mu, że w tych rzeczach pierwsi, co zaczynają, na siebie odpowiedzialność ściągają, że bezpieczniej doczekać się ja- kiejs siły, do której by się przyłączyć można, niż się na oślep wyrwać, że jakkolwiek zapał jest szlachetny, roztropność ma swoje prawa, którymi gardzić się nie godzi. Ta przekłeta roztropność jeszcze wtenczas odurzała flakowate umysły. Ale pan Tadeusz odpowiedział mu:

„Co mnie waćpan rozumowania naprzeciw powinności stawisz! Bądź co bądź, róbmy to, co nam prawo i sumienie każe, a spuśćmy się na Tego, co nas nie będzie pytać, czy my majątki lub zdrowie ocalili, ale czy my naszej powinności dopełnili. Silni, zwycięstwem zbawim oj- czyznę; stali, cierpieniem za nią wysłużym ją u Boga.” I pomimo oporu porucznika chorągiew całą przekonał i ze Słucka przyprowadził ją do Nieświeża.

Zostawszy regimentarzem nowogródzkim, wszędzie w potyczkach i niezachwianą wy- trwałość, i nieustraszone męstwo okazał. Pod Klockiem, widząc leżącego pod koniem pana Aleksandra Odyńca, rannego, który pod nim służył, a poznawszy jego nadzwyczajną zdat- ność, wiemy swojemu powołaniu, z siebie za niego zrobił ofiarę: swojego konia mu podał i tym go ocalił, a sam siebie oddał w niewolę, w której dwa lata przebył, istny męczennik, i z niej nie wyszedł, aż kiedy Moskwa, wszelki opór przygnięta, utwierdziła na tronie Stani- sława. Po rozwiązaniu się konfederacji nieświeskiej wszystkim do czasu dano pokój, przyw- dziane barwę umiarkowania; skrupiło się tylko na księciu Karolu Radziwille, którego odsą- dzono od urzędów i majątku i który jeden tułać się musiał, nie mając innych przychodów, tylko sumy, które z krwawej pracy przyjaciela z Litwy mu dosyłali. Jak to u nas zwykle, po wybuchnięciu wielkiego zapału następuje obojętność dla rzeczy publicznych, okraszona niby pobożną maksymą, że trzeba się zgodzić

z wolą Pana Boga, a więc czuć przestać - zaczęto oswajać się z narzuconym rządem i sobą tylko się zajmować. Ale pan Tadeusz był z małej liczby tych, co ani chwili nie stracili pamięci obelg Rzeczypospolitej. Od wszystkiego się uchylił, wymówił się od ofiarowanego mu imieniem króla stołka w Radzie Nieustającej ani się nawet na sejmikach nie chciał znajdywać. Siedział w Gruszówce, z początku obcował z nawiedzającymi, ale ta wesołość, którą oni chcieli rozerwać jego ponurość, zniechęciła go, iż potem rzadko kiedy samotność swoją przerywał, i to chyba, aby się nie omijać z prawidłami gościnności. Powtarzał tylko braciom: „Ja mam się weselić, kiedy nasz wódz na wygnaniu?” I to wyrzekłszy, od nichże samych stronił. Ale nie miał to być jeszcze kres jego zawodu. Moskwa, co więcej jeszcze pragnęła naszej czci niż naszych dzierżaw, niedługo zasypiała. Już

była zhańbiła część narodu, trzeba jej było jeszcze ohydzić to, co u nas było najślachetniejsze, trzeba było pasmem nieprawości uwikłać najcnotliwszych mężów. Ułudziwszy ich obietnicami zwodniczymi, przywabiła ich, aby podnieśli konfederacją dla zrzucenia z tronu tego Stanisława, którego z wzdumą całego narodu przemocnie była usadowiła. Tak się podniosła konfederacja radomska, której marszałkiem chciała mieć nawet tegoż tułającego się księcia Radziwiłła, ciągle przez nią dotąd prześladowanego za nieugięte przywiązanie do swobód ojczystych i nieubłaganą ku niej nienawiść. Zdjęto z niego banicję, wrócono mu nieprawnie odjęte urząd, zrobiono go naczelnikiem, że tak powiem, narodu. Nawet nad wojskiem moskiewskim poruczono mu dowództwo. Konfederacja zamieniła się w sejm, wszystko na siebie brało postać, jakoby głos sumienia dał się słyszeć zastarzałym naszym wrogom, jakoby dla nas sprawiedliwymi być chcieli. Komu dziś tajno, na czym się skończyły te nadzieje? Trzech senatorów i posła na Sybir porwani oświecili świat, jakie są zasady rządu moskiewskiego, jak tam rozumieją prawa narodów i czym jest w istocie pozorne ukształcenie tego państwa. Ale ta obelga obudziła otrętwiały naród, jakby z jakiego letargu. W wielu województwach chwycyło się oręża; konfederacja barska się podniosła.

Pan Tadeusz natenczas znajdował się w Berezdowie, gdzie mógł się oddać samotności więcej niż w Gruszówce. Tam jedyna jego rozrywka było polowanie w niebotycznych puszcach. Ale ledwo wieść go doszła o usiłowaniach narodu, chciał być z liczby pierwszych powstańców. Zawiązawszy stosunki z sąsiadami, ożywiwszy w nich tlejącą miłość ojczyzny, usiłował w lasach białoruskich zaprowadzić wojnę zażartą. Ale nie mógł przelać siły swojego ducha między tamecznymi mieszkańcami. Większa ich część sprzyjała wprawdzie sprawie publicznej, aleby rada widziała rzeczy pewniejsze, a byli i tacy, co taki Moskwie sprzyjali. Dość że na siłę kilkaset ludzi uzbroił, i to po wielkiej części z jego dóbr. A co się tyczy obywatelów, choć było tego cokolwiek, co dało mu słowo, a nawet przyłączyło się do niego - na wstępie jak jednemu z nich Moskale wieść z dworem zapalili, wnet ostygła miłość ojczyzny, że ledwo kilkudziesiąt szlachty przy nim zostało. Trzymał się on jednak w puszczy, ale jak Moskale puścili na niego obławę swoich jegrów, a znaleźli się tacy, co im drogę pokazali, aby tą usługą dobrze się wystawić przed carową i tym zatrzeć pamięć pierwszych dowodów niechęci, trudna była sprawa dla pana Tadeusza. A jednak robił, co mógł: ze łzami błagał swoich, aby się bronili do upadłego, a nie hańbili imienia polskiego. Mówił im:

- W lesie jeden za dziesięciu stanie; abo oni wiedzą ilość naszych?

- Ale, nie wiedzą? - odpowiadali mu obywatele z nim będący. - My, to prawda, że nie wiemy, wiele ich jest, ale oni co do jednego policzyć nas mogą; abo ten i ten ich już nie nauczyli na pamięć?

A pan Tadeusz, zmęczony, jakby się żywymi gadzinami nakarmił:

- Pozwólcie, niech ja ich policzę; może ich tylko garść, dla postrachu, a wy na oślepie się trwożycie. Nie rozpierzchajcie się tylko, pokąd się nie dowiem.

I na nikogo nie spuszczać się, że był zęczny, liziwem na ogromną sosnę wlaź, jakby siabr jaki, i jak potem nam nieraz powtarzał, w samej rzeczy nie było tego tyle, aby im się nie oprzeć; ale tameczna plugawa szlachta, jak on przestał im bechtać nad uszami o powinności, rozpierzchła się, że tylko gajowi doczekali się, że

przynajmniej widzieli Moskalów, ale i ci przed nimi w nogi, widząc siebie opuszczonych. Tak Moskale w lesie, a pan Tadeusz na so- śnie. Szczęście, że jego nie spostrzegli, boby go jak głuszca byli położyli. To on dopiero póź- ną nocą z sosny zlazł, a do Berezdowa nie było mu czego iść, bo tam już byli goście, co mu dom zrabowali do szczętu, a potem zapalili: magazyny, stodoły, wszystkie zabudowania, co jeszcze za nieboszczyka przez dwadzieścia lat może się stawały, w jednej godzinie w popiół się zamieniły. Pan Tadeusz, jak mógł, do Gruszówki się przedarł, jak zwierz błądząc po łą- sach, i Pan Bóg, co go do większych rzeczy gotował, nie dopuścił mu wpaść w ręce Moska- łów, bo oni niezawodnie byliby go zamęczyli. - To w Gruszówce dokazał, że kilkuset Koza- ków swoim kosztem uzbroił, a najwięcej z dworskich, bo każdy nowogródzki szlachcic, co

mógł, mu swoich ludzi oddawał, i z swoim dawnym [towarzyszem] Aleksandrem Odyńcem wystąpił w pole. Znajdywał się on w nieszczęśliwej stołowieckiej potyczce, gdzie hetmana Ogińskiego rozbito przez zdradę pana Giełguda. Tam kartacz zgruchotał głowę Odyńcowi, że pan Tadeusz jego mózgiem obryzany został. Ta śmierć była mu krzyżem do dźwigania, bo w niej upatrywał wielką klęskę dla kraju - i nie bez słuszności. I czy to w jednej bitwie walczył aż do końca! Nareszcie rozwiązała się konfederacja barska: zbrodnia i przemoc jeszcze raz zgniotły niewinność i prawość.

Zbierał się sejm, ale już było wiadomo, że się gotował przez niego okropny, a w dziejach naszych niesłychany zamach na ojczyznę. Pan Tadeusz, co nigdy o żaden urząd nie prosił i unikał nawet dotąd sejmików, podał się na posła, aby na ostatnim szancku prawa bronić sławy narodu. Polski Fawoniusz, Michał Korsak, został kolegą tego polskiego Katona. Zbierają się zatwardziałe lub przelekłe prawodawcę w Warszawie. O dniu najhaniebniejszy, a razem naj- chlubniejszy dla Polski, w którym nasze nowogródzkie poselstwo usłyszało głos znieważonej i konającej ojczyzny! Wszystkie ulice miasta zalegli uzbrojeni Moskale: harmaty wystawiono naprzeciw izby poselskiej, lonty zapalone grożą śmiercią każdemu, co jeszcze ostatki sumienia nie przydusił; zniewieściały monarcha idących do sali posłów ze łzami błaga, aby darem- nym oporem nie gubili ojczyzny i siebie. Zbierają się posłowie: jedni jakimś dzikim uśmie- chem chcą pokryć wewnętrzne pomieszanie, drudzy, zalani łzami, zdradzają i pocziwe uczu- cia, i słabość duszy; kilku tylko, z obliczem wypogodzonym, okazują, że wszystko oprócz Boga poświęcą, że za progami izby zostawili, co tylko do żywota przywiązać ich mogło, i że są przygotowani do wszelkiej walki i ofiary. Haniebnej pamięci kanclerz ogłasza propozycją królewską, aby zawiązać sejm pod konfederacją, i zaprasza Ponińskiego na marszałka.

- Zgodą! - odpowiedzieli (jednak głosem drżącym) zaprzędani posłowie.

- Zgodą! - jeszcze słabiej powtórzyli posłowie przelekli.

- Nie ma zgody! - odezwał się Rejten. - Na sejm walny jesteśmy zebrani, a nie na konfede- racją; przystąpmy do wyboru marszałka walnego sejmu.

- Tadeusza Rejtena obieramy marszałkiem! - odezwał się Korsak, Bohuszewicz i trzech innych posłów, kupiących się przy Rejtenie. Zdumieli się wszyscy. Rejten porywa łaskę i sesję zagaja. Przez chwil kilka kanclerz, Poniński i inni jurgieltnicy moskiewscy zamilkli; już większa część izby poczuła chęć do powinności wrócić; ale z jednej strony zatwardziałe zdrajcę, z drugiej - przybliżające się lonty do panewek, przydusiły ten słaby płomyk. Okropny . szmer powstaje, jakby na zborzyszczu piekielnych duchów.

- Nie damy się owładać przez pięciu posłów, konfederacji chcemy i Ponińskiego za jej marszałka!

Wyrodki wydzierają łaskę Rejtenowi; pięciu wszystkim się opierają.

- Nie ma zgody na konfederacją! - krzyczy Rejten. - Na Boga, na rany Chrystusa, zaklinam was, bracia, nie plamcie imienia polskiego! Pamiętajcie na waszą przysięgę! Pamiętajcie, że podział kraju zaraz po zawiązaniu konfederacji nastąpi!

Świętokradzkie ręce biją Rejtena i jego kolegów, a Po- niński, ośmielony, już z łaską w rę- ku, śmie sejm zagajać. Korsak i Bohuszewicz, szamocąc się między oprawcami, krzyczą:

- Nie wyjdziem z tej izby, chyba trupami, a na zdradę ojczyzny nie

pozwolim! Ostatniego środka legalnego chwyta się Rejten:

- *Sisto activitatem!* - mówi. - Sejm zerwany, nie ma sejmu!

- Nie ma sejmu! - powtarzają wierne męczennik!.

- Panowie bracia - odzywa się Poniński - widać, że ci panowie zmysły mają pomieszane. Nie oglądajmy się na nich, a postępujmy w obradach naszych. Zapraszam panów do zapisania aktu konfederacji.

- Zdrajco! - krzyknął Rejten - jak ty śmiesz marszałkiem się ogłaszać, kiedy nie ma sejmu! Poniński, zapisawszy akt, solwował sesję na dzień pojutrzejszy, a posłowie się porozcho- dzili, oprócz wiernych tych sześciu, którzy się zostali dla zanieśienia manifestu. Tam
trzy

doby siedzieli zamknięci o głodzie, a potem nareszcie osłabionych wypuszczono. Nie było ofiar, którymi by ich nie kuszone, aby od manifestu odstąpili, a zrobili akces do konfederacji. Rejtenowi łaskę mniejszą litewską i starostwo borysowskie, Korsakowi i Bohuszewiczowi kasztelanie i intratne królewskiej ofiarowano; toż innych trzech wiernych posłów kuszone. Niecnota Poniński śmiał z nim o tym mówić i mógł znieść jego oblicze.

- Podły człowieku - odpowiedział Rejten - mam z sobą trzy tysiące czerwonych złotych i te ci oddam, a opamiętaj się.

Straszono ich odsądzeniem od czci i konfiskatą majątków; ale ci mężowie milczeniem pełnym pogardy odpowiedzieli. Wywieziono ich na koniec za miasto, a pan Gurowski, któremu zlecono było ich wywieźć do pierwszej poczty, dodając szyderstwo do innych pocisków, tam im powiedział:

- Bywajcie, waćpanowie, zdrowi i próbujcie nową konfederacją przeciw nam podnieść, jeśli znajdziecie równych sobie półgłówków. Ale pamiętajcie, że Najświętsza Panna tego zmażyć nie potrafi, co carowa jejmość o nas napisała.

Pan Tadeusz osiadł w Gruszówce, ale to pasowanie się ciągle a świeżo odbyte, to zranienie na j drażliwszych uczuciów znacznie mu zdrowie osłabiło; tym więcej że w czasie tej rozbójniczej sesji jeden z tych potworów, wydzierając mu łaskę, silnie pięścią w ciemność go ugodził. Zawrót głowy częsty przy innych boleściach cierpiał, a w ciągłych zadumaniach nocy bezsenne przepędzał, jednak śladu nie było nadwątlenia umysłu. Ale jak doszła do niego wieść o pierwszym podziale ojczyzny za zezwoleniem jednomyślnym skonfederowanych stanów, tego ciosu wytrzymać nie mógł - i rozum jego rozbił się przywalony sromotą publiczną. Nikomu do siebie przystępu nie dawał, każdego nazywając zdrajcą i nikczemnikiem, że nie biegnie do Warszawy ojczyzny ratować. Gdy dał się słyszeć, że sławy narodu swojego przeżyć nie chce, zaczęli bracia mieć go w pilnej straży. Całe obywatelstwo nowogródzkie biegło do Gruszówki oglądać swojego nieśmiertelnego posła na łożu boleści, z umysłem nadwężonym w usługach ojczyzny, a pogrążonego w ostatniej rozpacz. Ale nie dał się widzieć, mówiąc:

- Ja ich nie znam. Obywatele nowogródzcy są w Warszawie, oni zdrajców ojczyzny myślą rozsiekać, a nie z chorym gawędzić.

Kiedy ośmieliłem się go nawiedzić, gdy mnie jemu oznajmiono, przypomniał mi sobie:

- Seweryn Soplica to kolega szkolny i wojskowy; a dobrze, niech wnijdzie.

Uprzejmie mnie powitał i z początku spokojnie rozmawiał, ale zamyśliwszy się, zaczął z ruska przebąkiwać:

- A co, panie Sewerynie, nie wiesz mi szczęścia, że postąpił na Moskale? Tak, Bezdów w guberni białoruskiej, ja już carowej poddany. Proszę mnie mojego zaszczytu nie odejmować: mnie sejm oddał. Jestem mu wdzięczny, bo tam Ponińskich nie ma.

I zaczął drzeć na sobie wszystko i porywać się, że gdyby służył nie przytrzymali, na mnie by się rzucił. Ze łzami go pożegnałem. Matka jego, JW. podkomorzyna, z wielkiego żalu opuściła była Gruszówkę i aż w Mozyrskie się przeniosła nie mogąc znieść cierpienia syna. Jakoż wkrótce skończył swoją pielgrzymkę na tym padole płaczu. Przez okno obaczył wysiadającego z powozu generała moskiewskiego, który stał w Nowogródku, a przyjechał rewizytę oddać panu Michałowi, natenczas gospodarzowi Gruszówki. Pan Tadeusz chciał koniecznie iść na pokoje i odgrażał się na generała, ale ludzie go nie

puścili i jego zamknęli. Wtenczas wpadł w jakieś zapamiętanie i szybę u okna rozbiwszy, szkłem uraził sobie jelita. Dwa dni po tym przypadku życie Panu Bogu oddał. Mówię: Panu Bogu, bo w kilka godzin przed skonaniem zupełna przytomność mu wróciła i najprzykładniej gotował się na śmierć, której tyle razy nieustraszony szukał. Panu Michałowi różne jakoby przepowiednie o dalszych naszych losach robił, których nie chciał ten szanowny jego brat przed ludźmi odkrywać, mówiąc:

- Nie chcę was zasmucać, bo co ma być dobrego, tak dalekie, że żaden z nas się [nie] do- czeka, a bieda na karku siedzi.

Potem tylko Zbawicielem naszym i Jego Najświętszą Matką był zajęty, ofiarując im i te nowe cierpienia, których w nieprzytomności sobie zadał.

- Rozmyślnie nigdy mojego Stwórcy nie obraziłem i najmniejszego powątpiewania nie miałem o wierze. Tuszę, że mnie miłosierdzie i zasługi Jego najdroższego Syna nie ominą; a cierpienia mnie, nędznego, ofiaruję Tobie, o Panie, za moją nieszczęśliwą ojczyznę.

To były jego ostatnie słowa.

KLASZTOR CZŁUCHOWSKI

Niechaj mędrkowie, jak chcą, rozumują, zaprzeczeniu podpaść nie może, że wiara ze wszystkich uczuć jest najsilniejsza i najwięcej twórcza. Sława, potęga, duma, męstwo, rozum wielkich rzeczy na świecie dokazały; ale co jest największego, co przetrwało czasy, to było owocem wiary. Wiele to starożytnych narodów upadło, że ledwo ich pamięć zachowuje się między ludźmi, a jeżeli coś się zostało, co by dotykalnie świadczyło o ich niegdyś bycie, to tylko pomniki ich wiary. Te trwają dotąd, a pomniki ich potęgi, lubo bardzo starownie musiały być wzniesione, w kurzawę już się zamieniły, jak zwłoki tych, co je wystawili. A jeżeli wiary, choć błędne, ale istotne, tak były silnymi, czegoż by nie dokazała nasza wiara, jedynie prawdziwa, którą sam Bóg wcielony nauczył? Jakoż, co tylko jest teraz na świecie trwałego, szlachetnego, potężnego nawet godziwie, wszystko to natchnęła wiara naszym ojcom. Nawet nie pojmuję, czym się człowiek podnieść może, kiedy wielkich dopuściwszy się zbrodni, nie- zupełnie przecie zagładził pewną szlachetność duszy, jeżeli w fałszywej zostaje wierze albo, co gorzej, żadnej nie ma. Bo człowiek w sobie nie posiada siły, którą by mógł siebie w nie- których okolicznościach oczyścić, musi ją koniecznie otrzymać od potężniejszego. Toć i u pogan były jakieś obrzędy oczyszczające sumienie. Być może nawet, że Pan Bóg i tam, widząc szczerze korzącego się zbrodniarza, używał mu środków, którymi do cnoty powracał, i błogosławił jego pokutę. Bo nikt Panu Bogu nad możność ofiary nie robi, a niewiedomość nie jest występkiem; a na koniec, co tylko jest dobrego, czy uczynek, czy myśl, bez Boga nie będzie. Ale to jest rzecz głęboka, którą nie tylko świecki, ale kapłan nawet jasnie nie rozbie- rze, bo co się nas tyczy, to jest pewne i niezawodne - i tego pilnujemy; a co będzie z innymi, tego nigdy nie dojdziem. Jest to zagadka, której słowa nasz Pan nam nie objawił. Wiemy tyl- ko, że o ile jest lekkomyślnie im dotuszać, o tyle jest okrutnie ich potępiać. Dziękujemy na- szemu Zbawicielowi, że nas oświecił i że wprost dał nam środki, którymi umiemy jego łaskę, że tak powiem, zniewalać, że prawodawstwo naszej chrześcijańskiej pokuty jest tak jasne, tak dokładne, tak skutkiem usprawiedliwione, że niczym się nie wymówimy, jeżeli z niego ko- rzystać nie będziemy. W tym wielka wyższość dawnych czasów nad terażniejszymi, że chociaż z jednej strony, bywały zbrodnie większe niż te, na które patrzymy (bo żywotność naszych przodków była silniejszą niżeli zniewieściałych ich potomków, którzy nie są nawet zdolni podnieść się do namiętnościów gwałtownych, jedynie w podłych gnuśnić), z drugiej -

wiel- kie było wyobrażenie o cnocie i o pokutach, którymi się wykupywały przeciw jej wykrocze- nia. Bywały czyny gwałtu, bywały czyny i podłości; obadwa czasem się łączyły, by zaślepiw- szy człowieka, w potwór go zamienić. I w to się do zbytku wpatrują miłośnicy istniejącej po- ry, a nie chcą widzieć, co się obok działo. Jak się wznaszały przytułki dla nędzy i rozpaczy, jak się po gościńcach gęścili pielgrzymy, jak jaskinie drapieżne bestie ustępowały różnego rodzaju pokutnikom, jak się nimi puszcze napępiały. Więc były głęboko wryte w sercach wyobrażenia obowiązków, a pokąd one się [nie] zatrą, nie ma nic rozpaczającego dla społe- czeństwa. Bo ten tylko w niewinności wielkie rzeczy może działać, który w występku może znieść dobrowolnie wielkie pokuty. W owym ogólnym duchu czasu niepoślednie trzymała

miejsce nasza ojczyzna. Między rozlicznymi dowodami jeden szczególnie utkwiał mi w pamięci, lubo przeszło pięćdziesiąt lat, jakem się o nim dowiedział z największą dokładnością, a to z przypadku.

Uciekając z więzienia smoleńskiego, ciężko zapadłem na zdrowiu w Człuchach, w powiecie orszańskim. Byłbym niezawodnie w gospodzie żydowskiej skonał, gdyby Opatrzność do niej nie była zaprowadziła dwóch ojców karmelitów bosych, wracających z kapituły do klasztoru swego, pod pieczęią świętego Erazma nad puszcza człuchowską wznoszącego się. Ci miłosierni zakonnicy zawieźli mnie z sobą, ledwo przytomnego, i tam przy ich staraniu odzyskałem zdrowie po kilkutygodniowej niemocy. Kiedym ich pożegnał, tak mnie opatrzyli, że mogę wyznać, że ich groszem trafiłem w Krakowskie, gdzie się złączyłem znowu z konfederacją, w której że do końca walczyć będę, uroczyście przysiągłem, i to była przyczyna, że zakonikiem nie zostałem, bo dziwnie podobał mi się tryb tego zgromadzenia, złożonego z ludzi świętobliwych i pracowitych, a między którymi było nawet kilku uczonych. Dowiedziałem się tam o wszystkich szczegółach ich fundacji i to teraz z przypomnienia zapisuję sobie.

Był za panowania Jana Kazimierza w województwie witebskim możny obywatel Ciechanowiecki, mający jedynaka syna. Lubo posiadał znaczne dobra, że miał wielkie obowiązki dla księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego, wywdzięczając się podupadłemu zupełnie na majątku naślednikowi jego, księciu Michałowi, oddał mu tego syna w służbę - dość że młody Ciechanowiecki, ze swojego się utrzymując, składał cały dwór tego księcia. Ale jak tylko wdzięczność narodu wyniosła na tron polski Michała Wiśniowieckiego, jedną z pierwszych czynności nowego króla było wywiązanie się panu Ciechanowieckiemu za dobrowolne z nim podzielenie nędznego losu. Zrobił go krajczym litewskim i dał mu kilka królewszczyzn, a między tymi starostwo grodowe orszańskie. Tak więc w młodym wieku już pierwsze dostojenstwa piastował. Wkrótce potem odumarł mu ojciec, co go zmusiło opuścić Warszawę, aby ostatnie posługi oddać zwłokom rodzicielskim i objąć szerokie dziedzictwa. W województwie swoim mieszkając, zaprzyjaźnił się ze stolnikiem witebskim, z zacnego domu Łopacińskich, i o rękę jego córki się zgłosił. Już był go sobie zobowiązał ustąpiwszy mu starostwo orszańskie za konsensem królewskim; a zresztą będąc odpowiednim pannie zacnością rodu, a do tego będąc najbogatszym obywatelem w powiecie, otrzymał obietnicę - i w przytomności ledwo nie całego województwa odbyły się okazałe zaręczyny. Ale cóż jest trwałego w pomysłnościach ludzkich! Wszelkie, zdaje się, posiadał rękojmię statecznego losu, a największe nie-szczęście mu się gotowało. Mamka pana krajczego staje przed grodem (w asystencji już nie pamiętam jakiego obywatela, co od nieboszczyka Ciechanowieckiego nabył wieś, w której ona mieszkała) i zeznaje, że pan krajczy jest jej synem, że go zamieniła, a prawdziwy Ciechanowiecki jeszcze w dzieciństwie u niej umarł, że ciągle sumienie ten postępek jej wyrzucało, a na koniec, że to wyznanie robi za radą księdza, któremu się spowiadała, jako jedyny środek, aby go uspokoić. Zagrożony taką sromotą (bo już inni Ciechanowieccy brali się do korzystania z takowego wyznania), pan krajczy broni się, jak może, chwyta się wszelkich środków ratunku, pozywa mamkę jako kalumniatorkę i wedle prawa fołduje na jej gardło. A pan Łopaciński, w którego jurysdykcji to się działo, sam dotknięty do

żywego, pomaga mu potajem- nie, ile tylko w możności jego. Nareszcie pozorną mamkę, a w samej *rzeczy* matkę, bądź na- mową duchownych, których na nią nasadził, aby jej tłumaczyli, że wyznanie burzące spokoj- ność ledwo nie publiczną nie może z dobrego ducha pochodzić, bądź wzruszywszy w jej ser- cu afekt macierzyński, wystawiając jej, że syna od czci, majątku i życia pozbawia, gdyż on tego przeżyć nie może-przekonywa ją, aby przed grodem oświadczyła, że to tylko ze złości poprzednie zeznanie zrobiła, chcąc się pomścić, iż domagając się o jakieś znaczne wywdzię- czenie się za staranie swoje około jego niemowlęstwa, zbytą została przez krajczego z ofuk- nieniem, co jej serce goryczą i zemstą nappełniło. A z panem starostą orszańskim się umawia, że z porządku rzeczy potwarzy podobnej dochodząc, będzie się domagał w jego sądzie o ska-

zanie jej na gardle, czego on, zapatrując się na jej własne wyznanie, odmówić nie może - ale że natychmiast jedzie do Warszawy, wyrobić dla niej od króla list żelazny, którego na placu kaźni otworzy, a potem przeniosą ją w oddalone województwo, opatrzwszy losem wygodnym do końca jej żywota.

Tak umówiwszy się z starostą a przyszłym teściem, niemniej z matką, której to wszystko wytłomaczyli, a która na wszystko się zgodziła, jedzie do Warszawy i powraca z listem żelaznym. A w niebytności jego, interes zwykłym porządkiem a bez przerwy się tocząc, sąd wyrok śmierci ferował. Pan starosta go potwierdza w pewności, że przyszły zięć idącą na śmierć zasłoni - jakoż i sama o tym nie wątpiła. Ale pan krajczy, chcąc się ubezpieczyć, aby w następność nic się podobnego nie odnowiło, nie użył listu - i dopuścił ścięcia swojej matki wedle natury.

Pan starosta, co jeden o wszystkim wiedział (bo inni sędziowie w dobrej wierze sądzili), jak mu wicesgerent doniósł spełnienie wyroku, padł bez duszy, jakby piorunem przeszyty. A pan krajczy w rok potem ożenił się z starościanką i z nią spłodził sześciu synów, których w wielkiej pobożności wychowywał. Wszystko mu się powodziło i żył w dobrej sławie i szacunku publicznym. Można mu było zazdrościć szczęścia, bo nikt nie widział, co się w jego sercu działo. Na koniec, po lecjach niemało, odumarła mu żona, kiedy najmłodszy z jego synów już był dorosły. Dopiero, zwoławszy wszystkich sześciu synów, wyznał przed nimi zbrodnię i oświadczył im, że klasztor z funduszem chce na puszczy człuchowskiej wystawić i w nim swe życie zakończyć. Na to synowie, rozmówiwszy się z sobą:

- Ojczy - odpowiedzieli - jeżeli tak jest, żaden z nas nie ma prawa do tego majątku, coś go posiadał. Wystaw klasztor, oddaj twoje dostatki, którychżeś znacznie pomnożył, prawym właścicielom, a my wszyscy z tobą opuścimy świat i Panu Bogu służyć będziemy.

Jakoż ten piękny klasztor pustelniczny wystawił i do niego karmelitów zaprowadził; a zwoławszy Ciechanowieckich, już podupadłych, a wedle Boga istotnych dziedziców jego włości, przeprasząc ich za krzywdę im uczynioną i przed nimi wyspowiadawszy swoją zbrodnię - z sześciu synami wstąpił do nowicjatu i we dwa lata potem profesją z nimi uczynił, i umarł bractwem w bardzo podeszłym wieku. A wszyscy synowie zostali kapłanami i z nich miał zakon wielką pociechę, bo i wielce byli pobożni, i ozdobieni wysokim światłem, i nawet urzęda pierwsze w zgromadzeniu piastowali.

KSIĄDZ MAREK

Co też to się dzieje na świecie! Prawdziwie już i cierpliwości nie staje - patrzeć na czyny a słyszeć gadania ludzkie. Takie zapomnienie o Bogu, taka obojętność dla Jego praw! Jakby Jego nauka była tylko dowcipnym wymysłem, bynajmniej nie obowiązującym. Oj, rozumni ludzie, rozumni ludzie! Ciężko przed Panem Bogiem odpowiecie, że tak świetne dary, coście z Jego łaski otrzymali, naprzeciw Niemu obracacie i że gorszycie tyłu półgłówków, co bałamucąc się waszym rozumkowaniem, najczęściej z obawy, by za głupców nie uchodzić, wołają potakiwać waszej nieroztropności niż

się trzymać tego, co ich wiara nauczyła i co ludzie istotnie wielcy i rozumni miłowali, że wszystko zań gotowi byli poświęcać. Tac to szaleńców, co by istności Bogu zaprzeczali, niewiele; ale mnóstwo takich, a szczególnie między niby mędrkami, co lubo dowodzą Jego bytu, tak Mu działalność i potęgę okrajają, że na jedno wychodzi, jakby mówili, że Jego nie ma.

Wedle ich, cuda są urojenia ciemnoty. Bóg porządku przez siebie ustanowionego nie odmieni; módl się sto razy na dzień, czego swoim rozumem i pracą nie zrobisz, tego nie wymodlisz. Święci to byli poczciwi mężowie, stosowali się do ducha czasu, do ówczesnych wy-

obrażeń; ludzie im coś nadzwyczajnego przyznawali, ale ich postęпки rozsądnego badania nie wytrzymają. Obrządki, sakramenta są to mądre i zbawienne ustawy dla gminu, których człowiek świątły powinien szanować i nic więcej! Tak plotą o rządach Boga, jakby przy Nim była Rada Nieustająca, w której oni zasiadają, a ja, człowiek poczciwy, mam już tyle się dać owładnąć, abym odstąpił od tego, co tyle wieków, tyle podań, tyle mądrych a cudownych mężów, tyle cnót nadzwyczajnych, tyle na koniec niewinnej krwi utwierdziło? O, to bym zasłużył, aby mnie do bonifratrów zaparto!

To, bywało, kiedy pan August Siedlnicki, wojewodzie podlaski, co był wiernym ojczyźnie obywatelem, a naszym kolegą, ale któremu podróże po zagranicznych krajach ocmuciły były rozum, że bez potrzeby wszystko nim świdrzył i wszystko po swojemu chciał tłumaczyć - to my nieraz uszy sobie zatykamy, tak nam dokuczy, a czasem i oberwie za to. Za takowe gadańia raz ofuknął go porządnie JW. Krasieński, marszałek generalny konfederacji:

- A co to waćpan za prorok - prawi - abyś nowej wiary nauczał? My się naszej trzymamy i za nią się bijem, a jeśli waćpan jej nierad, to wracaj sobie do Poniatowskiego; tam znajdziesz dość farmazonów i przekrztów, co ci potakiwać będą.

A i ów pan Siedlnicki, że te swoje nedorzeczy plótł więcej, aby tym za rozumnego ucho- dził, niż z przekonania gruntownego, o tym się przeświadczyłem. On to zaczepiał księdza Marka, który go, bywało, z wielką cierpliwością zbija, ale na koniec i cierpliwości mu nie stanie, zawsze jedno i jedno odpierać - ile że w każdej rzeczy świadomemu trudna sprawa wdać się w *certamen* [spór] z takim, co coś nachwytawszy, nic nie zgłębił. Razu jednego wy- zwał go był wedle swego zwyczaju na dysputę i dowodził mu po swojemu, że tylko w Boga wierzyć trzeba, a więcej w nic. Ksiądz Marek z początku tłumaczył mu wszystko, jak potrze- ba, ale widząc, że tamten się upiera, raptem go zapytał:

- A dawno waćpan się spowiadał?

Coś mu na to odpowiedział ni siak, ni tak, a ksiądz Marek:

- Jutro rano przyjdiesz do kościoła, ja waćpana wypowiadam, a teraz idź do siebie i gotuj się na jutro; to lepiej niż fatalaszkami trąbić w uszy tym, co te rzeczy lepiej od waćpana rozumieją.

Zmieszał się wojewodzie; my byli ciekawi, co z tego będzie, i rano poszliśmy do kościoła, i zastaliśmy go klęczącym przy konfesjonale i spowiadającego się księdzu Markowi. Nie roz- pierał się z nim, ale bił się w piersi. A jaki z niego się zdawał bezbożnik! Ale jak mawiał ksiądz Marek: czy to wszystkiemu wierzyć, co człowiek o sobie mówi? Dobrze, że trafił na boskiego męża, co go zwrócił na właściwą drogę, ale czy jest roztropnie na tak wielkie nara- żać się niebezpieczeństwo, jedynie dla dogodzenia swojemu wielomówstwu, aby żartować około swojego zbawienia? Co do mnie, gdyby nie tyle innych, nierównie gruntowniejszych jeszcze pobudek, samo obcowanie z księdzem Markiem i patrzanie własnymi oczyma na to, co on robił, już byłoby mnie przekonało, że są ludzie, którym Bóg użycza władzę nadzwy- czajną, i cuda robią. A to, co pisać będę, wiadome było wszystkim w czasie konfederacji bar- skiej i dziś jeszcze wielu takich, co to słyszeli od ojców swoich, naocznych tego świadków. Już w tym był cudownym mężem, że najdumniejszych magnatów, jak i najburzliwszych szlachciców w tej konfederacji tak był radom swoim zhołdował, taką ufność w nich dla siebie zyskał, że chyba tam, gdzie nie był, jedność się przerywała; a co dziwniejsze, że

w stateczności i wytrwałości wszystkich zachowywał, bynajmniej płonnych nie robiąc im nadziei. Owszem, nieraz sam słyszałem, jak on powtarzał, że Pan Bóg nie da nam szczęścia, że wielkie klęski spadną na ojczyznę, ale że trzeba swoją powinność robić: „Niewielka to rzecz iść za sprawą pomyślną, co z wiatrem nie popłynie. Ale kto się poświęca za sprawę świętą, choć nieszczęśliwą, tego Pan Bóg lubi i te usiłowania nie przypadną, bo on je pobłogosławił.”

- Człowiecze, Pan Bóg bez ciebie ciebie stworzył, a bez ciebie ciebie nie zbawi - mówił on w jednym swoim kazaniu po odebraniu wiadomości o klęsce stołowickiej, którą już wielu ostygąć zaczęli. - Toż samo z ojczyzną. A wiele to świętych, co żywot swój na pokucie

trawili i oprócz Boga o niczym nie myśleli, a spokoju znaleźć nie mogli? owszem, niczym Bóg oschłości wewnętrznej nie raczył odwilżyć. A czyż oni wtedy mówili: „Nie ma ratunku, wszelka nasza praca daremna; wolimy się z czartem pogodzić.” Nie, nie, bracia moi! Jeszcze więcej podejmowali tych na pozór bezowocnych trudów i Pan Bóg w porze przez siebie postanowionej sownie za wszystko nadgrodził. Toż z ojczyzną, co z jednym człowiekiem. Niech jej syny dla niej znoszą przeciwności, niech pracują a pracują nie zrażając się, że po- ciechy Bóg nie daje, aby się z czartem nie godzili! Pan Bóg znajdzie czas na wszystko. A po- wiedzieć, że On zapomni o ofierze czystej dla ojczyzny zrobionej jest to bluźnierstwo ledwo nie takie, jakby mówić, że Jego nie ma.

I takimi słowy rozżarzył już gasnący związek.

- Ojcowie - kazał, już nie pamiętam, w jakiej okoliczności - ledwo kęsa jadła sobie nie za- łujecie, aby wnuków dostatki rozszerzyć; ani tego śmiem wam naganić, bo i bogactwo jest darem Bożym; byle uczciwie, zbierajcie je dla potomków, a godziwe w tym celu wasze ofiary Bóg pobłogosławi. Miejcież równą cierpliwość i w ważniejszych rzeczach. Cieszycie się na- dzieją, że dzieci i wnuki używać będą przyjemności, z których siebie dla nich pozbawiacie; cieszyć się więc, że choć trudy i klęski znosicie, dzieci i wnuki będą wolnymi; bo bez ojczy- zny, bez wolności na co się im zdadzą dostatki? Nie jest bogatym, kto posiada to, co może mu być co chwila przemocą wydartym.

Razu jednego staliśmy obozem pod Jędrychowem, gdzie mieszkał JW. Ankwicz, kasztelan sandecki, pan godny i nam sprzyjający. Pan Bóg jego w synie nie pobłogosławił:

on w ślady ojca nie wstępował; ale pokój umarłym. Otóż ten zasłużony senator starszyzną naszą zaprosił na wielki obiad, a dla nas, niższych, na dziedzińcu były zastawione jadła. Cie- szyliśmy się wszyscy w Bogu; a na pokojach za stołem z panami siedział ksiądz Marek, o którym wiedział JW. kasztelan, co to był za człowiek. Spełniano tam rozmaite zdrowia wo- dzów dobrej sprawy; za każdym zdrowiem wiwatówki się odzywały, aż ksiądz Marek, po- wstawszy a nalawszy kielich wina:

- JJWW. panowie, pozwólcie mnie jedno wnieść zdrowie, po którym spodziewam się, że nie mniej huczne dadzą się słyszeć wiwaty. Proszę panów za sobą na ganek.

Z całym zgromadzeniem wyszedłszy na dziedziniec, na cośmy wszyscy patrzeli, podniósł oczy do góry i chwil kilka był jakby w jakim zachwyceniu, a potem odezwał się:

- Zdrowie Przenajświętszej Trójcy - i spełniwszy kielich, nim przeżegnał małą chmurkę, nad nami wiszącą.

W tym momencie jak zaczęło błyskać a grzmieć, raz po raz siedm razy piorun uderzył, że wszyscy tulić się zaczęli do księdza, prosząc, by dał pokój, a wyznając, iż są bardzo przelękli. Ksiądz Marek powiedział:

- Nie bójcie się, dzieci! Pan Bóg błogosławi zabawom waszym. - A krzyżem drewnianym, co go nosił z paciorkami u boku wedle obyczaju karmelitańskiego, przeżegnawszy chmurę, ona się natychmiast rozeszła i najpiękniejsza wróciła pogoda.

A jeszcze lepiej mu się udało pod Rzeszowem. Nasz obóz przytykał Rozwadowa, a Mo- skwa pokusiła się stamtąd nas wykurzyć i była o to perepałka, ale my ją wytlukli, że ze wsty- dem musiała się cofnąć do swoich szańców pod Przeworskiem; my tedy więcej stu

ludzi za- brali w niewolę, nie licząc, cośmy nabili. Ksiądz Marek na koniu, z krzyżem w ręku, wszę- dzie się znajdował, pokaż potyczka trwała. i kilka razy był obkoczony Dońcami. On był dla nich łapczywą zdobyczą, bo wiedzieli o nim, co to był za człowiek i jak on dla nas był lepszy niż sto armat. Tak na niego ostrzyli zęby, że gdyby on i jakikolwiek z naszych wodzów, led- wo nie sam pan Kazmierz Puławski, uciekali przed nimi, a każdy inną drogą, nie wiem, za którym by z nich prędzej Dony poszli w pogoń; jeno że jako lud niewierny, nie znali się na jego świętobliwości, ale myśleli, że on sobie czarta zhołdował, który za jego rozkazem czynił te wielkie dziwy, co im były wiadomymi. Obskaczali go, my też dzielnie jego bronili, a on nam: „Nie uważajcie na mnie, a swoje róbcie; oni dziś mnie rady nie dadzą.” My go usłucha-

li: a jak takiego nie słuchać? I to nam posłużyło, bo wielu się za nim cietrzewiło, a my innych dusili. Otóż co zaczęli nacierać na księdza, by go na spisy uchwycić, a on ich przeżegna drewnianym krzyżem, to spisy powietrze kołają, mimo habitu idąc, a ksiądz się tylko uśmiecha, że Dońce ze złości aż z rozumu odchodzą; a na koniec kilku z nich, widząc, że lubo bezbronny, ani żelazo, ani ołów jego nie chwyta, próbowali rękoma go porwać i z sobą zataskać, ile że koń księdza Marka nie był zwinny, a on sam, jako mnich, po łacinie siedział i zresztą nie uciekał. Ale co który przybliży się do niego, to jak go przeżegna, Kozak na ziemię bęc jak długi, a koń jego w cwał nie nazad, ale do naszych - i tak kilku położył, że każdy, lubo bez szwanku wstał, ale już utraciwszy konia swojego. Jak to zobaczyli Kozacy, dopiero sami zaczęli się żegnać, uciekając do swoich i krzycząc, że czort Lachów broni; a my za nimi, że gdyby nie ich armaty, byłibyśmy cały ich obóz zdobyli.

Ale nie na tym koniec. My ze sławą i ze zdobyczą wrócili do swego obozu, a pan Kaźmierz Puławski wydał wedle zwyczaju rozkaz, aby nikt po capstrzyku nie śmiał z niego wychodzić, i natychmiast kazał go otrąbić. My więc do spoczynku, a ksiądz Marek do brewiarza. A kiedy już dobrze ciemno się zrobiło, poszedł do namiotu pana Puławskiego i mówi mu:

- Bóg z tobą, panie starosto dobrodzieju; śmiem pana prosić o wielką łaskę.

- Rozkaż, księże. Co mogę i co mamy, na twoje zawołanie.

- Oto proszę mnie pozwolić wyjść z obozu.

- A dokąd?

- Muszę być koniecznie tej nocy w obozie moskiewskim.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, czy żartujesz, księże? A jakież tam mieć możesz interes?

- I wielki interes, bo Pan Bóg mnie tam woła, ale z klasztoru bez wiedzy przeora ani z obozu bez wiedzy naczelnika nie pozwala wychodzić. Pan Bóg mnie objawił, że we wczorajszej potyczce jeden ich pułkownik śmiertelnie rannym został i przede dniem skona. On z naszej wiary, choć między nimi się rozpaskudził, a Bóg łaskaw mu pozwolił pragnąć księdza. Trzeba mnie go na śmierć dysponować.

- Mój księże, ty lepiej znasz swoją rzecz ode mnie, ale pozwól sobie powiedzieć, że więcej dwóch mil do ich obozu a jeśli przede dniem skona, jemu nie pomożesz, a wpadniesz w ręce, co cię zamęczą. Patrz, która godzina; żebyś i w cwał leciał, to już jego żywym nie zastaniesz. Jak ciebie Moskwa uchwyci, zaraz na nasz obóz pójdzie, a jak moi spostrzegą, że ciebie nie ma, to ja rady nie dam. Czart zjedz Moskala, a idź spać.

- A nie godzi się tak mówić, panie starosto. Pan Jezus się dał umęczyć za tych łotrów jak i za nas. A że czasu mało, o to pokój. Kiedy Bóg każe mnie z sobą tam iść, poradzi On, abym w porę trafił; a ja dlatego jutro będę mówił mszę świętą w naszym obozie.

- Ale czy tylko wrócisz?

- Na którą godzinę pan starosta każeś wrócić - wrócę.

Nieposłuszeństwa nigdy przykładu nie dałem, ale trzeba, żebyś mnie pan rozkazał.

- Kiedy tak, to każe ci, księże, przed ósmą z rana zameldować mi twój powrót. Ruszaj więc z Bogiem, gdzie On tobie każe, ale pamiętaj, że mnie w największej niespokojności zostawiesz. Weźże przynajmniej jakiego mego konia, bo daleko nie zajedziesz z swoim.

- Ja piechotą trafię, byle mię tylko odprawiono za forpoczt.

Pan Puławski kazał panu Januszowi Góreckiemu, komendantowi obozowemu, który zawsze stał w jego namiocie, jako rada naczelnego wodza, zatem był przy całej tej rozmowie, aby go kazał za obóz wyprowadzić. Ale pan Janusz, co nic na nikogo nie zdawał, sam go przeprowadził, aby przy tym opatrzyć, czy straż swoje powinność robi. A ksiądz Marek, ostatecznie go szyldwacha ominąwszy, pożegnał godnego przewodnika, a że było ciemno jak w worku, wkrótce zniknął przed jego oczyma.

Jak on tę drogę przebył, to tylko Panu Bogu i jemu było wiadome, dość że chociaż w obozie nieprzyjacielskim były straże, z wielkim podziwieniem przychodzący nawiedzać pułkow-

nika widzieli go przy chorym, który go słuchał z wielką pobożnością i wiarą, i przez pomowolne uszanowanie stali przy wnijsciu do namiotu i żaden z nich nie śmiał przeszkadzać. Tak ksiądz Marek, wedle woli Pana Boga, którego z sobą przywiózł, a którego chory pożył, ocalił mu duszę i nie opuścił go, aż po rozłączeniu się ducha z ciałem, co rychło nastąpiło po przyjęciu najświętszej tajemnicy. Dopiero starszyzna moskiewska, która z podwładnymi otaczała namiot, do niego, bo go poznano, gdyż byli tam tacy, co dnia wczorajszego widzieli go na koniu, i tacy, których przeżegnaniem pozrzucał z koni, a pomimo tego głośny był między Moskalami:

- A to ty, co czarami czartów na nas zwabiasz? -i zbliżali się do niego, by go porwać, z wielką jednak obawą; ale że nie zniknął im z oczu, a żadnemu nic złego się nie stawało, ośmielili się więc i wzięli go w swoje ręce. Oto była pociecha, że się im udało!

- Przecie - mówili - nie zawsze czort na twoje zawołanie. Wielki Bóg ruski starszy czy- nem. W Sybirze dowiesz się, jak płacą tym, co kule i spisy carowej zamawiają.

A radość była w całym obozie, że dostali takiego brańca. Wyprawiono go natychmiast do Lwowa, gdzie był książę Replin, zwiąawszy mu ręce i nogi, posadzili go na wozie z dwoma setnikami dońskimi najdoświadczeńszymi, a dwadzieścia koni całą drogę otaczało wóz, by go nikt nie widział i żeby nikt go nie odbił, chociaż między Przeworskiem a Lwowem żadnego z naszych nie było - ale strach ma wielkie oczy. Jada więc. Ksiądz Marek nierad był rozmawiać z towarzyszami podróży, ale oni ciągle go gabali; a że była między Moskalami wieść, że jak się zamyśli, z czartem rozmawia i że w ptaszka się przerzuci, ile razy się zamyślał, szamotali go setnicy, aby im nie uleciał, i oba go rękami ściskali ciągle, że aż sińców podostawał.

Jadą, jadą ku Lwowu, aż ledwo siódma wybiła, i komenda, i wóz wjeżdżają prosto do naszego obozu, gdzie tego dnia straż trzymali ludzie pana Franciszka Dzierżanowskiego. Dopiero się Kozacy opamiętali, kiedy sam pułkownik przybliżył się witać księdza i piorunującym głosem krzyknął pokazując na setników:

- A ściągnąć mi zaraz tych łotrów z woza! Kozacy konni nazad w cwał. Pułkownik, co nigdy z swoim sztucem się nie rozstawał, dał ognia, ale spudłował; kazał iść za nimi w po- goń, ale nim się zbrali nasi, Dońce sprzed oczu zniknęli: chyba wiatr ich by dopędził; ale setników kazał zaprowadzić do pana Kaźmierza Puławskiego, który sam wkrótce przybiegł z sztabem swoim na hałas strzału, by się przekonać, co to jest - i my wszyscy za nim. Tam o wszystkim my się dowiedzieli i obaczyli setników kozackich powiązanych i ponuro milczących; tylko w prawo i lewo spoglądali oczyma obłąkanymi, że do zwierząt byli podobniejszymi niż do ludzi. Ksiądz Marek powiedział naczelnemu wodzu:

- Proszę pana starosty kazać odwiązać moich przewodników i swobodnie ich puścić: oni mnie tu zawieźli; na moją wdzięczność zasługują.

A że nikt się księdzu Marku u nas nie opierał, pan starosta kazał ich puścić, z wielkim żalem pułkownika Dzierżanowskiego, który był rad popastwić się nad nimi i przekładał, że to były jego brance. Ale z panem starostą krótka była sprawa; puszczone ich na wolność wedle żądania księdza Marka, a oni wszystkim do nóg, a najwięcej jemu, przepraszając, iż ważyli się gnębić cudotwórcy. A potem ze łzami zaczęli go błagać, by im swój mucet podarował, że oni ją między sobą

podziela, a tym zasłonią się od kary, która na nich czeka w ich obozie, że rozkazu nie dopełnili. Nie mógł się im oprzeć ksiądz Marek i oddał im, co żądali; ale ledwo odszedł, by się do mszy gotować, pan Dzierżanowski kazał im muckę odebrać i przy sobie zatrzymał: „A co to - mówił - mamy na siebie broń im dawać?” Odebrał on im także raport do księcia Repnina, przy nich będący, a ich samych puścił, zadość czyniąc woli naczelnika. Jakżeśmy potem się dowiedzieli, i ich, i całą eskortę kauczukami cały dzień bito i na tym się skończyło. A jakie dziwolągi były w raporcie, co go nam przelożył jeden bazylian, będący z nami! Nikt by temu nie uwierzył, z jaką to ciemnotą i barbarzyństwem mieli i do czynienia.

Taki to był cudowny człowiek ksiądz Marek, którego proroctwa dotąd po ludziach krążą, a którego imię już z dziejami ówczesnymi tak związane, że sumienny dziejopis opuścić go nie

może. Znajdą się tacy, co to czytając, ramionami ruszą i ubolewać będą nad ciemnotą naszą, że śmiemy takowe nadprzyrodzone rzeczy powtarzać. Czegóż ludzie nie zaprzeczą? Trudno jednak nie wierzyć temu, na co się patrzyło, nie samopas, nie w gorączce, ale jawnie, przy tylu świadkach, przy umyśle i ciele zdrowym. Mniejszać mnie o zdanie niedowiarków, nad których nędznym rozumem szczerze się lituję - a niech będzie błogosławiony Pan nad pany, co przez swojego sługi Marka tak wielkie sprawił rzeczy.

STANISŁAW RZEWUSKI

Powszechnie wszyscy o nas mówią, że jesteśmy lekkomyślni, że się nam nic nie wiecie, dlatego że wielomówstwem ciągle ostrzegamy naszych nieprzyjaciół, i że żadna tajemnica między nami się nie utrzyma. W każdej bajce jest prawdy połowa, ale połowa tylko, więc wszystkiego wierzyć nie trzeba. Towarzystwo naszych obyczajów zapewne naraża języki na wielkie niebezpieczeństwo, bo po prawdzie powiedziawszy, gawędka całą naszą rozrywką w chwilach wolnych od zatrudnień. Szlachcic zajmuje się gospodarstwem, bo taki Pan Bóg przykazał, aby o dzieciach pamiętać, żeby bosy nie chodziły. Ale jak się namozoli, natupta, nadrypci - czymże się rozerwie? U nas bibliotek nie ma, a choćby i były - czytać to i rozrywka, i trud; a człowiek potrzebuje czystej rozrywki. Ogród? To pańska rzecz; nie szlachcicowi w tym się kochać.

Jakem był na Szląsku, kiedy raz mnie wzięła chętka popróbować, czy się nie uda na wółach zarobić - jakoż, po prawdzie powiedziawszy, nie straciło się, bo taki koszt podróży się wrócił, i wywiozło się coś do oporządzenia domu, i żonie się dało kilka niemieckich fraszek, i z niezgorszym procentem pieniędzy tam powrócił, skąd wyszedł, ale to nie warto tego, co się człowiek za tym namęczył. A poprzestawszy, że trochę świata obaczył, drugi raz już się nie chwycił tak niespokojnych zysków.

Otóż w Namysłowie poznałem się był z jednym tamtych stron obywatelem, który mnie widząc w kontuszu, sam ze mną szukał znajomości, a to z powodu, iż prozapią swoją z Polski prowadził i chciał się dowiedzieć o swoich imiennikach w niej pozostałych, A na moje szczęście mogłem mu dać objaśnienie, jakiego żądał. Bo on wyprowadzał się z domu Putkamerów, osiadłego w Nowogródzkim i z którym od tego czasu jeszcze, kiedy kratek pilnowałem, ścisłe miałem stosunki. Mówił trochę po polsku, jako zwyczajnie Szlązak, a po łacinie, jak się należy. Ucieszył się, iż jego krwi u nas się powodziło, i zaprosił mnie do zamku swego, o letnią milę od Namysłowa, bo to był obywatel możny -i tydzień u niego przesiedziałem. A lubo jego gościnność nie była zupełnie taka [jak] u nas, co to gospodarz rad by siebie upiec, aby dogodzić gościowi, nie mogę się skarżyć, iżby wedle obyczajów już na pół zniemczających nie był dla mnie wylany. Nie od tego byłem, by trochę wypocząć, ile że mnie konie były się rozchorowały.

Oprowadzał on mnie po swoim gospodarstwie, bo wedle ich zwyczajów to był dobry gospodarz. I podobało mi się, że jakoś dawna polska natura ich się trzyma, że roli pilnują, nie tak jak Niemcy, co ziemię swoją puszczają w dzierzawę, a sami w

kamienicach siedzą i rynku pilnują.

- Jeszcze, widząc mnie porządnie ubranego, z pasem litym, a szczyjąc się, iż z polskiej krwi pochodzi, oświadczył mnie, z wielką jednak delikatnością, że bardzo byłby szczęśliwy mieć całkowity strój polski na pamiątkę, i jakby się przemówił do mego kontusza i pasa. Mnie ruszyła ambicja, że nie tandetnik, abym handlował odzieniem, i prosiłem go, by raczył ode mnie przyjąć ofiarę z mojego ubioru, gdyż do domu wracając, nowych znajomości robić nie będę, tylko o takie domy kołem zaczepię, którzy mnie i w kapocie radzi będą. Jakoż nazajutrz

z rana, przeprasząc go, że w kapocie go nawiedzam, oddałem mu, co tylko dnia poprzednie- go miałem na sobie. A chociaż pas słucki do tysiąca złotych mnie kosztował, rad byłem go przekonać, że kiedy potrzeba, to my się nie rachujem i że darmo jego chleba nie jadłem. A lubo była to z mojej strony ofiara, a zatem nie bez jakiejś przykrości, takem go widział uszczęśliwionym z mojego upominku, że ażem się ucieszył z myśli przysłużenia się jemu. Że był podobnej mnie tuszy, ubrał się zaraz za moją pomocą i wyuczyłem jego sługi, jak mu pas zawiązywać. I cały dzień [chodził] w mundurze województwa nowogródzkiego, jakby nasz obywatel, chociaż był u Niemców baronem. Ale tego samego dnia, oprowadzając mnie po swoim gospodarstwie, zaszedł ze mną do obory, która jak pałac jaki wyglądała, tam wybraw- szy najpiękniejszych dwanaście krów i buhaja, prosił mnie, bym to przyjął. Ja mu się wyma- wiałem, że nie w pretensji żadnego oddarowania ustąpiłem mu moją starzyznę, ale on mnie tłumaczył, że jako od koligata jego krwi, nie wahał się przyjąć ode mnie to, co mu tak jest szacownym, więc sama słuszość każe mi uprzejmie przyjąć to, co mi z dobrego serca ofia- ruje. Jakoż przekonał mnie, iż nie było na swoim miejscu pokazać się zbyt trudnym. Czule podziękowawszy odesłałem bydelko z moimi ludźmi i tak szczęśliwie doszło do domu, co wielką pociechą było dla mojej Magduśi, która i kochała się w bydle, i na nim się dobrze znała. A sam jeszcze zostałem dni kilka, póki moich koni konował nie wykurował.

Otóż więcej tygodnia, com bawił w zamku okazałym, u możnego obywatela, prócz do- mowników żywego ducha nie widziałem, choć sąsiadów miał mnóstwo, bo tam żaden magnat nawet takich obszernych włości jak u nas nie posiada. To mnie mocno zadziwiło: jak można takie życie prowadzić, wszystko mieć do przyjęcia ludzi, a nie widzieć ich u siebie. U nas by obywatel zwędził się z nudów, a on się nie nudził, bo miał wielką bibliotekę i różnego gatun- ku zbiory. To jakieś kwiatki zasuszone w papierze, to robaczki szpilkami pokłute, to muszle rozmaitego kształtu, to kruszce wszystkie, jakie tylko są na świecie, a których nazwiska tak recytuje, jakby litanie do Najświętszej Panny, że ani się zatnie, bo on to wszystko mnie poka- zywał i tłumaczył. To kiedy się napracuje w polu, to te swoje drobiazgi przepatrzy, przeczy- ści, przekłada - i tak mu czas schodzi. A jak mnie mówił, to każdy u nich obywatel ma po- dobne rupiecie i nimi się bawi, że mu gawędy nie potrzeba. My, szlachta, tego u siebie nie mamy ni się na tym znamy, a cała nasza zabawa z ludźmi obcować. Kiedy szlachcic przyjdzie do wioszczyzny, jako zwykle w niej domu nie zastanie, zaraz go stawi nad folwarkiem, a tak, żeby gościniec było widać, aby przez okno wyglądać, czy kto nie łaskaw nawiedzić. To jeśli się spostrzeże, że z daleka kurzawa się podnosi, ledwo serce nie wyskoczy z radości, że może ktoś o nim nie zapomniał. A kiedy nadzieja nie zawiedzie, to dopiero szczęście! Ugaszcza się łaskawcy, oprowadza się go do tajni, popisuje się przed nim pracą swoją, wypije się z nim, a nagawędzi się, że ledwo nie płacze przy pożegnaniu. Kiedy dusza się wylewa, trudno czasem, żeby się coś i nie wymówiło, bo serce do ust się przedziera. Ale było na to lekarstwo. Za dawnych czasów, kiedy się ważna rzecz powierzała, wymagano przysięgi na dochowanie jej w tajemnicy. Jak kto się zwiąże przysięgą, to choć mu czasem język zaświerzbi, zaraz mu staje straszny sąd Boży przed oczyma; a jak człowiek zastanowi się, jak tam i piecze, i kole, zaraz mu język świerzbić przestanie. Kiedy się ukartowało w Częstochowie, aby króla porwać z

Warszawy, czego potem pan pułkownik Łukawski gardłem swoim przypłacił, to więcej trzechset było nas w zмовie; ale żeśmy przysięgli sobie wieczne milczenie, tak się ono do- chowało, że dotąd nawet całkowity ten wypadek tajemnicą jest pokryty. Panom Łukawskiemu i Strawińskiemu życie obiecano, jeżeli[by] wydali, kto do tego należał: woleli być straconymi niż kogokolwiek pociągnąć, bo przysięga nie fraszka. Dawno to wszystko minęło; już i ojczy- znę przeżyliśmy, a przecie pomimo tylu, co w to wchodzili, nic się nie objaśniło; co piszą, to tylko domysły. I ja bym milczał, ale będąc ostatnim żyjącym, co do tego dzieła należał, może się kiedyś o tym i wypiszę, raz, że nie mamy się czego wstydzic, bośmy w niczym nie prze- stąpili obowiązków obywatelskich, a po wtóre, żeby pana Kazmierza Puławskiego oczyścić

od krzywdzącego podejrzenia, jakoby on chciał królowi życie odebrać. Teraz wspomnę tylko o pierwszej myśli tego przedsięwzięcia, gdzie i skąd ona się wylęła.

Jakby rozbójnicy jacy tułaliśmy się w Niepołomickiej Puszczy po przegranej pod Oboma, gdzie pan Szyć odbił pana Puławskiego, już w rękach Dońców będącego. Zaszliśmy aż w głąb puszczy. Było nas przeszło tysiąca ludzi niedobitków, ale to był rdzeń barskiej konfederacji. Porozpálaliśmy ognie, że było widno jak wśród dnia, chociaż noc była ciemna; ale późna jesień i taka wilgoć, że ognie nas dosuszyć ledwo mogły. Byliśmy zmęczeni; duch nas tylko pocrzepiał, ale członki ledwo się ruszały. Nam nie żal cierpieć, ale, mój Boże, serce się rozdzierało, widząc naszych panów, do zbytku i miękkości nawykłych, leżących na błocie.

Ksiądz Marek siedział na kłodzie i pacierze swoje odprawiał, a na drugiej kłodzie siedział pan Puławski, zamyślony, i dłuwał drążkiem w ognisku, jakby się nim bawił. A obok księdza Marka na łokciu oparty leżał na wpół JW. Rzewuski, chorąży litewskie i stękał, bo rana, którą był dostał w nogę przy dobytciu Krakowa; a która się nigdy nie była zupełnie zagoiła, odnawiała mu się i wielkie mu czuć dawała boleści, rozdrażniona niewygoda. A każdy z nas by mu rad swojego zdrowia udzielić, bo to był pan z rzadkim sercem, z wielkim dowcipem i skromnością. Ksiądz Marek obwinał był mu nogi w swoją opończę, którą z siebie zdjął, a sam w jednym habicie siedział. Ale to wszystko jego bólów nie zmniejszało, stękał a stękał. Na koniec się odezwał:

- Oj, boli, boli! Kto w Boga wierzy, dobij mnie, bo dłużej nie wytrzymam! Księżę Marku, ja patrzył na twoje cuda: zrób tak, żeby mnie noga nie bolała; większą u Boga mieć będziesz zasługę, niż że brewiarz odmawiasz.

- Panie chorąży, ja ci nie poradzę. Wola Pana Boga, byś cierpiał.

- Otoś mnie dopiero pocieszył, księżę Marku. A co ja winien, żeby nade mną, nędznym, Pan Bóg się pastwi

- Nie bluźń, panie chorąży, i nie wchodź w rozporządzenia Boże, a ufaj, że one są sprawiedliwe. Oj, żebyście wiedzieli, jaka jest potęga w cierpieniach, wszyscy byście radzi byli cierpieć. Kiedy bydlę cierpi, żal mnie, bo ono doświadcza nienagrodzonej krzywdy, ale człowiekowi kiedy Pan Bóg cierpienie posyła, daje mu wielki skarb, byle z niego chciał korzystać. Uderz się w piersi, panie chorąży, a wyznaj, że chociaż z takich, co, daj Boże, aby wszyscy nie gorszymi byli, masz z Panem Bogiem rachunek do zmazania. Teraz cierpisz na ciebie, a bywało, żeś mu nadto dawał rozkoszować; to twój spowiednik lepiej wie ode mnie, a coś nabroił, to diabeł na swojej karcie napisał; a jak cierpisz, to mu rachunek mażesz, jak będziesz umierał, będzie papier biały i już nie będziesz nigdy cierpiał. Chorąży dobrodzieju, żebyśmy tu tylko mieli żyć z sobą, tobym na pazury brał, by tobie ulżyć, ale że ufam, że zawsze będziemy gdzieś z sobą mieszkać, to mniej się o tobie frasuję, bo wiem, że niezadługo będziesz mnie przypominać, jak dobrze wyszedłeś na tym, żeś się trochę umęczył.

- Oj, trochę! Nie daj ci, Boże, tego „trochę” doświadczyć, co ciebie ni kula, ni kartacz nie chwyta; bo sam widziałem nieraz, że tam leziesz, gdzie łatwo innemu dostać po kościach. Ja wiem, że za grzechy pokutować trzeba, ale czyż tak konieczne, żeby od pięty do golenia szymbami rozpalonymi mnie głaskali? Niech mnie bolić przestanie, a ja wolę pokutować jak święty: pacierze posty, a wreszcie dyscypliny.

- Każdą pokutę zniesiesz, byle nie tę, którą Pan Bóg zsyła. A czyś pomyśliwszy się odezwał, panie chorąży? Jak sam wybierzesz pokutę, to jeszcze zadanie, czy Pan Bóg ją przyjmie, czy nie. A ta, którą On sam posyła, pewnie jest Mu miłą. Panie chorąży, dotąd mówiłem z tobą jako z chrześcijaninem, z człowiekiem; a teraz pozwól, niech się odezwę do regimentarza generalnego naszej konfederacji. Kochasz ojczyznę, służysz jej z takim poświęceniem, a cierpieć dla niej nie chcesz?

- To już nadto, księżu Marku! Ja za ojczyznę cierpieć nie chcę? A byłże kiedy dla niej większy ode mnie męczennik? Ojciec i brat jęczą w Sybirze, moja żona ode mnie rozłączona, moje dzieci porozproszane, mój majątek złupiony. A ja jakież życie prowadzę? Konfederacja

nieświeska - biję się; ona rozwiązana, a ja po dżumach tułam się w Turecczyźnie; wracam do ojczyzny i moskiewskie więzienie w niej znachodzę. Radomska konfederacja mnie uwalnia, a tu mnie ojca w kajdanach wlecza. Konfederacja barska nastaje - szósty rok się biję. A ty, księże, co wszystko wiesz, wiesz, ile łez i krwi dla ojczyzny wylałem; czterdziestu lat nie mam, a jużem zgrzybiał, tyłem cierpiał dla niej; tylko się żyje, aby jej się wywiązać. Żebym wiedział, że jej pomogę, toby nie żał cierpieć, nie żał i za moje grzechy cierpieć, których tak wiele jest, ale pozwól na biedę popłakać, bo już ci ja nie z żelaza. Ja do ciebie, mój księże Marku, szczęścia nie mam.

- Panie chorąży, przepraszam, żem cię nieco obraził; ale ile mnie to pociechy robi, żeś się tak obruszył na samo wspomnienie, że nie chcesz dla ojczyzny cierpieć. Tak dzielni mężowie dla prawnuków swoich wyrobią pomyślnie czasy, choć ani oni sami, ani ich dzieci nawet ich się nie doczekają. Ale co to za dziwne pokolenie będzie to, dla którego pracujem! To będą olbrzymy. A gdybym nie wiedzieć jak wam tłumaczył, nie zrozumiecie, do jakich dzieł Pan Bóg ich przeznacza i dlaczego to wszystko jest tak związane, że ojczyzna musi skonać i po drugi raz się odrodzić, ażeby oni swojego powołania dopełnić mogli. Oni będą więksi od was, a przecie wy będziecie wzorem dla nich i uwieńczoną będzie pamięć wasza, bo Pan Bóg wzbudzi wieszczów, którzy wygrzebają was z zapomnienia i wystawią was, jakimi jesteście. Na tych wieszczach nie poznają się zrazu, a oni będą zwiastunami rozwiązania długo brzemennego czasu. Ale wielcy potomkowie wasi będą ich czytać z uniesieniem w odnowionej ojczyźnie, bo już stara, ta, w którą patrzam, będzie tylko w wieszczów tworach - a tak pamięć wasza nie zaginie ani ich wdzięczność. Panie chorąży dobrodzieju, nie wążp o moim przywiązaniu; żrzenicy oka mojego tyle nie miłuję, ile ciebie.

Oto widzisz w mojej rubryceli zapisane imię Stanisława Ferdynanda, bo co dzień za tobą się modlę. A oprócz twojego imienia i innych znajdziesz, jeszcze żyjących, za których powołanie Boga proszę, obok umarłych, dla których spoczynku błagam, a patrz, jak wielkie nie-które nazwiska. A tu jeszcze znajdziesz mianowanych tych, co dopiero za lat kilkadziesiąt się narodzą, a których mnie Pan Bóg objawił. Co to będą za ludzie, jak się pokażą! A ja już zawczasu za nimi się modlę, bo im kto większy między ludźmi, tym więcej modlitw potrzebuje. A prawda, panie chorąży, że jak podniosłem myśl twoją do następnych czasów, to i ból ci już znośniejszy - a przecie...

Tu wpadł ksiądz Marek w jakieś zachwycenie, a my tylko milcząc patrzali na niego, bo coś było w nim, że nie można było wątpić, iż on, święty człowiek, z Bogiem rozmawiał. Zapominaliśmy o nędzy naszej, kiedy on mówił, a nie tylko my, cokolwiek więcej ukrzesani, ale nawet i prostaczkowie, co dzielali nasze trudy, leżąc na przemoczonej ziemi, głowy podnosili, by go słuchać; i mówilby do jutra, a żaden by nie zasnął. Skrzepłe dopiero członki rzeźwiły się jakąś siłą nieznaną; radzi byśmy odnawiać boje, by naszą odwetować przegranę, albo twardsze jeszcze pociski znościć dla szczęścia tych prawnuków, którycheśmy, nie znając, miłowali; bo to będą nasi mściciele, krew krwi i kości kości naszych. Ten sam duch, to samo czucie i ich będzie ożywiać. Jako obywatel nie samoistnym życiem, ale wspólnym wszystkim obywatelom, tym nawet, co się jeszcze nie narodzili, oddycham. Tego wspólnego życia umierając żaden z nas nie straci, rozszerzywszy go w sobie ofiarami, pracą, krwi

przelewem, cierpieniami, choćby nawet tylko ciągłym o ojczyźnie myśleniem, złoży go do coraz zwiększającej się skarbnicy. A jeżeli niektórzy z nas haniebnie odstepują - im ściślej się kojarzą z zabójcami, im zupełnie siebie zaprzędają, tym więcej wyrabiajmy w sobie to uczucie, które nam Pan Bóg powierzył, byśmy go wypiąstowali, a z którego trzeba Mu będzie złożyć rachunek.

Po kilkogodzinnym spoczynku obóz na nowo przybierał postać ruchu i czynności. Pieśń *Bogurodzicy* już powitała była nadchodzące zorze, słyszeć się dawały rżenia koni, rozweselające obozy, z troków obdzielaliśmy strawę tym wiernym towarzyszom, bo kiedy jeździec swojego konia nakarmi, to jemu samemu bieda znośniejsza.

Zowiesz się polską królową
-śpiewali pancerni,

Bądź nam obroną gotową -

odpowiadali husarze. A wodzowie, siedząc na kłodach, przy ognisku jeszcze z sobą rozmawiali.

- Panie Kaźmierzu - mówił pan chorąży litewski, już nieco uspokojony, ale jednak jeszcze cierpiący (blisko ich zjadłem chleb ze schabem, co go mnie był udzielił pan Korsak, porucznik piatyhorców, nieustraszony w boju starzec, a mój szczególny dobrodziej. Nigdy nie traciłem ani słówka z tego, co mówiła starszyzna, i dobrze to zachowałem w pamięci, że na starość powoli wszystko wydobywam.). Patrz, panie Kaźmierzu - mówił nasz regimentarz do pana Puławskiego - co to my cierpieć musimy z łaski tego czartów pomazańca, który swoje go dziada pokazać nie potrafi, a któremu się uroiło nad starożytną szlachtą panować. My tu leżym, tam gdzie by myśliwy poczciwego psa nie położył, a ten pieczeniarski syn wylega się na puchach podobnych jemu panów rady, co mu za chleb Rzeczypospolitej swoje żony zadzierżawiają. Anie łatwiejszego jak tego babiarka na nasze gody zaprosić.

- Diabła tam, panie Stanisławie! On, słyszę, w Warszawie tak otoczony jak obraz cudowny w czasie odpustu.

- Nie wierz waćpan temu, panie Kaźmierzu! Ja wszystko własnymi oczami namacał; nie jest to lis tak ostrożny, by go z jadźwiny nie przywabić. Wiesz, że nie na j dawniej byłem w Warszawie.

- Ale, ale! Dobrze, że mnie o tym wspominasz, panie regimentarzu, bo bijąc się ciągle, nie miałeś czasu o tej podróży twojej mówić. Teraz ku temu pora. Jakże to było?

- Oto wiesz, że najstarszy mój syn w konwikcie warszawskim u jezuitów. Stojąc tedy pod Kozienicami, nimeś przybył nad nami objąć dowództwo, byliśmy w zupełnej nieczynności. Ja się bić chciałem i o to się kłóciłem z panem Zarebą, ale ten mnie pokazał wyraźny rozkaz od Generalności, by nic nie rozpoczynać, póki generał Demulier nie przybędzie. Jegośmy się nie doczekali, a tylko czasu nakwasili. Aż tu mi się przyśniło, że mój chłopiec obłożnie zachorował; takem się nafrasował, że bądź co bądź, postanowiłem sobie go nawiedzić. Przebrałem się w opończę jako szlachcic na zagrodzie o służbę starający się i puściłem się samopas do Grójca. Tam zaszedłem na przedmieście do czynszowego szlachcica prosząc, by mnie dla miłości Pana Boga przyjął. Był mnie rad gospodarz, gorzałeczką mnie poczęstował, prążuchami ze słoniną nakarmił i dał mi się wyspać na słomie w swojej izbie. A jak by nie było, sześć mil piętami gościnniec nabawiwszy w jednym dniu, jego przyjęcie było mi miłsze nad wszystkie biesiady nieświeskie. Ale gdyśmy i gorzałeczką, i gawędką jeszcze się bawili (szlachcic miał o czym mówić, bo i po klasztorach kiedyś służywał, i lat kilka furmanką się bawił), wymówił się, że nazajutrz z żoną i z podkarmionymi gęsiami na parokonnej fornalce puszcza się do Warszawy. A ja, mu przerywając: „Ach, tatku, ach, dobrodzieju, zabierz mnie z sobą, azaliż przy asędzieja szczęściu służby nie znajdę dla siebie.” - „Panie bracie - odpowiedział mnie - to trudna sprawa; moje chabety mizerne, a jak na furę trzy kojce pełne nałożę, a do tego moją imość, co ją, jak widzisz, mospanie, porządnyimi połciami Bóg obdarzył, to ja piechotą iść muszę, bo i beze mnie tego aż nadto, że fornałka idzie noga za nogą. A gdzież waćpana umieścić? Ja bym

rad dogodzić, ale jest nad czym myśleć, jak by to zrobić.” Poczciwą miał twarz stary, że można mu było się powierzyć, i miałem pokusę dobrać z za nadra parę czerwonych brzęczaczek i prosić go, by Żydka najął dla mnie. Ale wstrzymałem się, bo taki diabeł nie śpi, a coś imość przebąkiwała, że król przez Grójec przejeżdżał, że bardzo piękny, że jej chłopca głaskał i że nie wie, czego chcą od niego konfederaci. Już to wiesz, panie Kaźmierzu, że wszystkie baby dusze za niego by oddały. „Zeby cię pomsta wzięła, przebrzydła czarownico!”

- pomyśliłem sobie - tu trzeba być ostrożnym, bo chociaż gospodarz dobry szlachcic i o nas

inaczej trzymał, jakoż bo nawet był ofuknął żonę: „Co waspani znasz, to nie gęsi karmić; że- by tam było nic potem, toby do tego nie należał JW. Krasiński, nasz starosta, z którego łaski my grzędy ryjem” - ale widać było pomimo tego, że był osiodłany. Nie chciałem wpaść w podejrzenie, po pańsku występując; trzeba się było chudopacholstwa jeszcze trzymać. Tak ja mu: „Wiesz, panie ojczy, że łatwa rada: imość z gęsiami na fornalce, a ja z waćpanem pie- chotą przy koniach.”

„Tać by to było niezłe, ale moją imość znają na rogatkach, bo co dwie niedziele popod ni- mi przejeżdża z drobiem albo ze mną, albo z sąsiadem. Ale jak nas dwóch zobaczą przy ko- niach, żeby czasem nie zatrzymali, by opytać, skąd, dokąd i po co? Żeby to waćpan miał o czym czas tracić, toby parę dni o swoim chlebie się tłumaczyć byłaby mniejsza. Ale jak wi- dzę, panie bracie, niewiele mieć musisz grosiwa przy duszy - niech cię to nie obraża, bo nie taisz się z tym, że szukasz kawałka chleba, a twoja opończa nieosobliwsza. A i my, jak wi- dzisz, niewieleśmy od waćpana bogatsi nie swoim, ale kupnym owsem gęsi karmimy, bo całe nasze gospodarstwo - nasz ogród, a cały majątek - dwa podjezdki. Zestarzeliśmy się, krwawo pracując, a nie możemy przyjść do cynowego naczynia, jak to po szlachcie bywa, ale na glinie z drewnianych łyżek jemy jak chłopci. A czy się zarobi, czy się straci, co roku trzeba i czynsz zapłacić, i dyrektorowi, co chłopców uczy, żeby kiedyś na ludzi wyszli. A Bóg świa- dek, że chciałbym waćpanu pomóc.”

Potem naradziwszy się z swoją babą, która lubo zawojowana przez Poniatowskiego, nie- zgorse miała serce, powrócił do mnie z tym, co uradzili: „Panie bracie, chyba tak zrobimy: ja, choćbym rad być w Warszawie, w domu zostanę, a jutro skoro świt żona z kojcami na for- nalce. a waćpan piechotą z batogiem; tylko na koni krzycz, a nie zacinaj, bo żona takiego wrzasku narobi, że odrzekniesz się podróży, i na fornalce nie siadaj jak piecuch. A jak ci Pan Bóg dopisze, że się w jakim dworze umieszysz, a dobrze, nie zapominaj o Małużeńskim, her- bu Lis, co ci przysługę robi. Bo to tak u nas z dawien dawna: waćpan się dziś mnie kłaniasz, choć nie ma komu, a ja za rok waćpanu. A jak się kiedy wzmożesz, bo wszystko u nas być może, a mnie już nie będzie, pomagaj moim synom. A teraz żonkę ci powierzam, byś mi ją szczęśliwie do Warszawy zawiózł.”

I tak, mój panie Kaźmierzu, pan chorąży wielki litewski, regimentarz konfederacji bar- skiej, Orła Białego kawaler, pani Małużeńkiej służył za furmana. Ale była szlachcianką, i zacną, choć ubogą - równy równemu służyć może. I szczęśliwie trafiliśmy, gdzie nam było potrzeba, a przy rogatkach nas nie zatrzymano; zostawiłem imość przy Żelaznej Bramie, obiecując jej, że kupca jej przyprowadzę, a sam poszedłem do kapucynów, moich dobrych znajomych, a co są dla mnie wylani; raz, że ich klasztor w Olesku naszej fundacji, po wtóre, że jak wiesz, wszystkie u nas klasztory zawsze za dobrą sprawą. Ale przez drogę nieraz my- śliłem sobie: „Oj, żeby jaki brys z Poniatowskiego psiarni mnie poznał, lepsza byłaby dola gęsi, com ich przywiózł, niż moja.”

To ja, obwitawszy się z naszymi podściwcami, poszedłem z ich kanalarzem, który mnie od razu poznał, bo bywał w Podhorcach na kweście u ojca mojego, do Żelaznej Bramy i pani Małużeńkiej przyprowadziłem kupca. Brat kanafarz zaprowadził ją ze wszystkimi gęsiami do blichu, gdzie blicharz, na dewocji mieszkając, co ułatwiał wydatki klasztorne i przez, któ- rego ręce pieniądze przechodziły - za wszystko bez targu zapłacił, co zacenila, bo ja już

był to ukartował. I pożegnałem ją, prosząc, by się mężowi ode mnie kłaniała. Cały dzień u gwardia- na siedziałem, a wieczorem poszedłem do jezuitów, których nie miałem powodu się obawiać, bo ich miłość ojczyzny nie mniejsza niż u kapucynów. Jakoż tam kilkadziesiąt zakonników, z których większa połowa wiedziała, kim jestem, a przecie byłem bez obawy.

Mojego Adasia uściskałem; przebył on wprawdzie febrę, ale już był zdrow, znacznie pod- rósł. Co to za piękny chłopczyk, panie Kaźmierzu, a jak się uczy! Będzie kiedyś z niego po- ciecha dla Rzeczypospolitej. To ja pięć dni przebyłem między kapucynami a jezuitami i po mieście się szastałem, a kto był mi niepotrzebny, ten mnie nie poznał. Otóż późno nocą, wra-

cając do kapucynów, u których stałem, zawsze napotykałem Poniatowskiego, bez straży, że gdybym miał czym, w łeb bym mu wypalił jak psu, a nikt by się i nie dowiedział, kto mu się przysłużył. I przyznam ci się, panie Kaźmierzu, i wam kolegom, że tak tego człowieka nie- nawidzę, że ile razy go spotkałem, jakby jaka pokusa do mnie przystępowała, że żalowałem, iżem się nie opatrzył pistoletem pod opończę. Może, gdyby jego nie stało, pokój byłby w Rzeczypospolitej.

- *Deus avertat!* - wykrzyknął pan Puławski. - A to byśmy dopiero wskórali. Ze wszystkich stron króle nas przypierają, daliby nam, żebyśmy jednego z ich braci zamordowali.

- To się też z uniesieniem tylko mówi, my pany i szlachta, a nie zbójce, a co się nie godzi, to nie godzi.

Aż tu pan Cyriak Potocki, starosta żydaczewski, który z królem miał osobiste zajście od tej pory, kiedy to jeszcze on, będąc w stanie rycerskim, sejm był zerwał, dla uciśnienia synów ministra Bruhla, któremu pan Cyriak był mocno obowiązany i za którego wstawieniem znaczne starostwo otrzymał. I o to wyzwał go był na pojedynek, a jego się nie doczekawszy, plac ostrzelał; a był dzięki odwagi. I przysłuchiwał się tej rozmowie jako i my, i cały czas chędożył broń swoje; zerwał się z swojego miejsca:

- Panie regimentarzu, nie cofaj tego, coś pierwej powiedział, święte były twoje słowa. Jak tego tchórza, tego niewieściucha się pozbedziem, z Polski zrobi się raj. On nam potrzebny jak piąte koło w bryce. Ja panu służę do Warszawy, bo już doświadczył, jak teraz do niej trafić; ja panu do chorążycą będę asystował, a powraca jać do kapucynów, jak tylko spotkamy tego, co go pan starosta augustowski, szanowny wódz. nazywa bratem królów, co nas przypierają, moją ręką jego ubiję i z tego będę się chlubił przed całym światem.

- Dobrze mówi pan żydaczewski - odezwał się pan Korsak.

- I ja z nim trzymam! - krzyknął pan Franciszek Dzierżanowski - z jego łaski zginął pan Sawa i pan Pstrokoński, i dwóch braci rodzonych naszego naczelnego wodza, i tylu mężów, co ich i naliczyć nie można, i cały mój pułk w onegdajszej potyczce, co w nim ledwo półtora- sta koni zostaje - a my byśmy go mieli żałować, a zasię!

- Zgoda, zgoda! i Litwą trzyma z Koroną - odezwał się pan Kiernowski i pan Staniewicz.

- Zgoda! zgoda! - zaczęto krzyczeć. - Poniatowskiego zabić, i kwita! Jak się trochę uci- szyło:

- Panowie bracia - odezwał się pan Puławski - z woli waszej odebrałem nad wami do- wództwo i chociaż, jak to mówią, bywaliśmy pod wozem, czasem siedzieliśmy na wozie, podchlebiam sobie, że waszego zaufania nigdy [nie] zawiodłem. Ale jeżeliście ufność we mnie stracili i chcecie po swojemu robić, odbierzcie mi władzę, a ja jako prosty żołnierz z wami służyć będę; ale do takiej roboty, by królowi życie odbierać, należeć nie chcę. Czy wy nie widzicie, że tylko pozoru szukają? Dziś Poniatowski ubity, a za tydzień i Prusacy, i kró- lowa węgierska do nas przyjdą, a tu z jednymi Moskalami ciężka sprawa. A potem, bądź co bądź, a poczciwie róbmy. Czy to była rzecz słyszana, żeby Polak krwią królewską ręce swoje mazał?

Na to pan Cyriak:

- Co to mnie za król, co go ktoś tam narzucił! Pan starosta nadto na rozum bierzesz, a jeżeli niefaska tak działać, jak my sobie życzym, to niech pan nas nie straszy, że od nas odstąpi. Strachy na Lachy!

Szanujemy pana, daj Boże, byś zawsze nas prowadził, ale kiedy pana nie stanie, znajdzie się taki, co konfederacją zaprowadzi, gdzie potrzeba, a nie będzie się oglądał ani na króla, ani jego jakichś braci.

- Hola! Hola! - powstał ksiądz Marek - a co to za wiatr waćpanu do głowy zawinął, panie Cyriaku? Czy nie waćpan chcesz nas prowadzić zamiast pana Puławskiego? Tłómacz się waćpan: jak króla Poniatowskiego sprzątniecie, co uradzicie? czy nie waćpana na jego miejscu ogłosić? I dla tej nadziei bunt podniecać w obozie i na naczelnego wodza powstawać?

- Ja na pana starosty nie powstaję i umiem mu być posłusznym, kiedy trzeba, ale jako kon- syliarz konfederacji radę daję; będzie ją wola przyjąć lub nie. Ja nie teolog ani minister, tylko zwyczajnie szlachcic i żołnierz, ale co się myśli, to szczerze się przed swoimi mówi; mnie to nie o starostwo moje chodzi, co z łaski tego bękarta mnie odsadzili - mniejsza o to: mam ja swój kawałek ziemi, a nie potrzebuję baki świecić jak on u Niemców albo porubstwem się bawić dla pieczeni. A potem, księże Marku, jeśli go bym ubił, to mam słuszość za sobą: on mnie nie stanął, gdzie go po rycersku zaprosił; mam prawo w łeb mu strzelić. A potem... żartuj sobie ze mnie, jak chcesz, księże Marku, a taki, choć mówi pan starosta, nasz wódz, że jak Poniatowskiego sprzątniem, to wszyscy się na nas rzucają, ja mówię, że nikt nie ruszy, a Moskale, jak obaczą, że nie ma za kim się bić, do siebie powrócą, a dopiero urządzim siebie, jak sami zechcemy.

- Ciekawy jestem wiedzieć, jak ty byś nas urządził, panie Cyriaku?

- Łatwiej, niż się spodziewasz, księże Marku. Ja za piecem nie wychowany i przypatry- łem się, jak się po ludziach dzieje. Byłem z księdzem Sierakowskim, moim wujem, w Rzymie i papieżam widział, i mówił do mnie - a ksiądz Marek tam nie był - i jechałem na Wenecję, gdzie króla nie ma, tylko waszeci patron panuje, a przecie dobrze wszystkim się dzieje. A za cóż u nas Najświętsza Panna nie miałaby sama panować i jej zawsze ma być dodany jakiś król, to Sas, to Piast!

Ale my mu wszyscy przerwali mowę:

- Wybaczaj, panie, ale na to nie ma zgody: ani w domu bez gospodarza, ani w Rzeczy- spolitej bez króla. Trzeba nam króla, ale Sasa. A ksiądz Marek na nas z góry:

- A cicho, dzieci, a w nie swoje rzeczy nie wdawajcie się. Bijcie się, a starsi uradzą. A pa- na Puławskiego słuchajcie, bo Pan Bóg chce, aby do końca on wami dowodził. Już dzień za- czyną, zapewne pan Puławski na koń sięść wam wkrótce każe, a najlepiej Rzeczypospolitej zaradzimy, jak będziemy posłuszni.

A pan Puławski:

- Panowie bracia, teraz na koń, a o panu Poniatowskim w swoim czasie pomyśl, jak go dostać.

I kazał trębaczom zatrąbić marsz, a my wszyscy na koń -i doszliśmy aż do Częstochowy. Ale pan chorąży litewski z księdzem Markiem od nas się odłączyli zaraz po wyjściu naszym z Niepołomickiej Puszczy. Pan chorąży dostał się do Preszowa i widziałem go później w Nie- świeżu, kiedy już było po wszystkim. A księdza Marka już odtąd nigdy nie widziałem.

Otóż tak rzucona była myśl pierwsza, która wyszła od pana chorążego litewskiego, myśl wielka, ale która dlatego tylko skutku nie otrzymała, bo pan pułkownik Łukawski -daj mu Boże wieczne odpocznienie - podrwił głową, jako się może kiedy o tym wspomni.

BŁOGOSŁAWIONA ANNA Z OMIECIŃSKICH

Nic lepszego, jak we wszystkim spuszczać się na Opatrzność, bo bez jej pomocy na co się zda najprzenikliwszy rozum? Pan Bóg stworzył człowieka, więc o nim zapomnieć nie może i tak mu

wszystkie okoliczności skieruje, aby w nich zbawienie swoje najwłaściwiej mógł skutecznie. Dobrze się dzieje, Panu Bogu dziękuj; źle, zgadzaj się z Jego wolą. A jak szemrać będziesz, coż zyskasz? Jego nie nastraszy ani zmusisz. Jeżeli nie uważa [na] twoje szemrania, jako na głupstwo, więc one ci się na nic nie przydadzą; jeżeli uważa, to że wszystkim zginiesz. Kogo nie zmożesz, temu ulegaj. A módl się w złych przygodach, płacz przed Nim, proś, błagaj, póki Go nie zmiękczysz, bo On jest Pan dobry, miłosierny, kochający swoje stworzenie. On nie tylko stwórcą i zbawicielem; sam jest człowiekiem, sam cierpiał i

jest wyrozumiałym na nędze ludzkości. - Jako błogosławiona Anna z Omiecińskich miała dziwne objawienie, które czytałem w rękopiśmie w Supraślu u ojców bazylianów, wkrótce po jej śmierci napisanym, pod tytułem *Łaska Boga w Trójcy jedyne go nad obywatelami Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego*, a który, że z wielką szkodą naszą nie był drukiem ogłoszony, to z tego powodu, iż byliśmy już pod gwarancją carowej, a że w tych objawie- niach były przepowiednie, które by Moskwie do smaku nie przyszły, więc książę biskup Mas- salski postanowił, aby utaić, co Bóg powiedział, aby się nie narazić aliantce naszej. Tak to wszystko się z czasem odmienia. Pierwszy papież i pierwsi biskupi wyrzekli przed urzędem, że lepiej Panu Bogu niż jemu być posłusznym; terażniejsi uczą, że posłuszeństwo Panu Bogu na tym się zasadza, aby urzędowi być posłusznym we wszystkim. Dotąd głośne na Litwie misje ojca Atanazego Nowochackiego, bazylianina w Słuczyźnie, że nawet mnóstwo popów skłaniali się do unii, a cóż dopiero świeckich; aż ambasador moskiewski na to uzalił się przed księciem biskupem Massalskim, że to jest przeciwko aliansowi - poddanych duchownych carowej do odszczepieństwa namawiać. Książę biskup zabronił ojcu Nowochackiemu misjo- narzować i ustnie go strofował, iż on naraża bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, dodając, iż roztropność ludzka zniewala go być uległym ambasadorowi. A biedny bazylian, co był sobie niby prostaczkowaty, na to:

- Przewielebny panie! A w takich okolicznościach, a może niebezpieczniejszych, aposto- łowie odpowiedzieli:

„*Si justum est in conspectu Dei vos potius audire quam Deum?*”

Książę biskup obruszył się jako każdy obrońca złej sprawy i zdobył się na koncept:

- Zrób, książę, by jak powiem: „*Surge et ambula*”, chromi wstawali, to ja jak apostołowie na wszystkich się porwę.

Ale bazyliana w ciemię nie bito.

- JO. panie, będą chromi wstawać na twoje słowa, byle były zupełnie w tym porządku jak i apostołskie, bo święty Piotr nim wyrzekł: „*Surge et ambula*”, powiedział: „*Argentum et au- run non est mihi*”

Zmieszał się książę biskup, ale nic nie mógł odpowiedzieć ani go ofuknąć, raz, że było wielu przytomnych, przed którymi nierad był źle się wystawić, po wtóre, że było wszystkim wiadomo, iż ojciec Atanazy od blisko pięćdziesięciu lat, co był zakonikiem, ręką nie dotknął się kruszcu, oprócz chyba kielicha przy ołtarzu, i miał za wielkie ubliżenie świętobliwości kapłańskiej zajmowanie się interesami świeckimi i posiadanie złota i srebra. I temu łakom- stwu całego duchowieństwa przypisywał upadek wiary w owczarni, którą paśli niegodni pa- sterze. On to omal na całe życie nie był zamknięty za to, że w Wilnie, na konsekracji biskupa każąc, śmiało powiedzieć:

- Teraz duchowieństwo dary Ducha Świętego poświęca za pieniądze; a na tym skończy, że ani Ducha Świętego, ani pieniędzy mieć nie będzie, bo Pan Bóg swoje, a diabeł swoje odbie- rze.

Duchowieństwo obrządku łacińskiego bardzo się było na niego oburzyło; nawet ksiądz Witoga, teolog biskupa wileńskiego, wydał był naprzeciw niemu książeczkę, w której usiło- wał dowodzić, iż kacerstwo husytów wznawia. Ale mu nic to nie zaszkodziło, bo duchowień- stwo obrządku ruskiego, mniej pieniądze od łacińskiego, jego poparło, po wtóre, szlachta i pospólstwo za nim bardzo

obstawiały, ile że on niczego nie pragnął, żadnego urzędu zakonne- go nie sprawiał, misje o zebranych chlebie odbywał, od ludzi możliwych uciekał, tylko z chłop- kami i nędzarzami przystawał. A na koniec niechętni mu pasterze i kapłani nie bardzo śmieli naprzeciw niemu za daleko się posuwać, bo chodziły wieści, że czasem Pan Bóg jego święto- bliwość błogosławił cudami. Jakoż w Lidzie w czasie głodu, który prawie całą Litwę trapił w roku 1748, stos kamieni w stos bochenków chleba przemienił znakiem krzyża świętego, co więcej tysiąca ludzi stwierdziło swoim świadectwem, a kilkadziesiąt szlachty swoim podpi- sem.

Otóż błogosławiona Anna Omiecińska nie tyle mądrością słynęła, ile miłością pałała dla Chrystusa Pana; ale ona tą miłością i do najwyższej mądrości doszła. Na próżno diabeł chciał jej tę miłość uszkodzić, zawsze ze wstydem był odparty; ale przecie dokazał, iż w jej umyśle niespokojność wzniecił następną pokusą: że jest jedno piekło dla wszystkich, a przecie Pan Bóg nie jednaki los wszystkim przeznacza. Nędzarz kradnie, na koniec rozbija - umiera nie opamiętawszy się. Sprawiedliwość boska jego do piekła odsyła. A gdyby on był się urodził jak ów drugi bogatym, nie miałby potrzeby kraść i byłby może uszedł wiecznego zatracenia. Toż i inni, do których zguby szczególnie wpływały okoliczności, w których się znajdowali. Ta myśl ciągle ją dręczyła i ze łzami błagała Zbawiciela, aby ją od tej myśli oswobodził, że niczego wiedzieć nie pragnie, tylko żeby nic ją nie odrywało od Jego miłości I na modlitwach nie poprzestając, takimi pokutami się umęczyła, że wyszła była do kości; aż zwierzchność klasztoru, w którym mieszkała, zabroniła jej postów i innych umartwień cielesnych, czemu się poddała z największą pokorą, a to poddanie się było dla niej większym nad wszystkie dawniejsze umartwieniem. Otóż Pan Bóg zlitował się nad nią i zachwycił jej duszę przed swoje oblicze, aby przed nią odkryć tajemnice swojej sprawiedliwości. Wszystkich jej znajomych żyjących dusze stały przed Bogiem: byli kapłani, co w domu jej rodziców uczęszczali, i samiż rodzice, i krewni, i słudzy, i poddani, i żebracy, których znała; było też kilku magnatów, zaszczycających swymi względami jej rodziców, i sam król August Wtóry, szczęśliwie wówczas panujący, a którego przed rokiem widziała w Warszawie, kiedy jej ojciec, będąc jednym z delegatów wysłanych do króla dla powinszowania mu szczęśliwie zawartego karłowickiego traktatu, przedstawił mu żonę i dzieci. Jeszcze w dniu tym król mocno zmieszał świętobliwą i skromną panienkę, zbytnie chwając jej piękność; a będąc żartobliwym i nieco za poufałym z kobietami, kiedy rękę pańską do ust przybliżała, chciał ją król w twarz pocałować, co za granicą jest uważane jako grzeszność królewska poddane okazana. Ale panna Anna Omiecińska tak się przelekła, że zemdląca, czym i króla, i cały dwór, i szczególnie rodziców swoich nafrasowała. Otóż tedy te wszystkie dusze stały przed sądem Bożym, tak jak później po zupełnym rozstaniu się z ciałem stały. I każda dusza z zupełną mądrością o wszystkich swoich grzechach wiedziała i o wszystkich grzechowych okolicznościach, bo to wszystko było na tychże duszach wyrażone, że i błogosławiona Anna to wszystko widziała, jakby na swojej dłoni. A już i Pan Bóg nie miałby potrzeby te dusze sądzić, bo każda sama siebie by osądziła najsprawiedliwiej. Strach był tam wielki, bo póki z ciałem, dusza sama siebie niby oszukuje, ale bez niego nie ma rady, wszystko przed sobą na wierzch wychodzi. A bardzo było mało dusz, wedle relacji naszej świętej, które by sobie przyznały prawo do nieba; niewiele też było wprawdzie, co by na wieczne potępienie zasłużyły, ale najwięcej takich, którym trzeba było oczyszczać się pokutą. Nam się zdaje, że czyścić niestraszną rzecz, ale dusza okrutnie się go boi, bo tam takie cierpienia, że wszystkie nasze są fraszki, a nad wszystkie cierpienia wstyd, że aż poniewolnie pokutować trzeba, a tak łatwo było za żywota od tego się ustrzec. Truchlały więc dusze, że i błogosławionej Anny rozbiłaby się na sam widok ich udręczeń, by jej łaska boska nie dodała siły do zniesienia tego, na co patrzyła. Otóż nasz Zbawiciel powiedział tym wszystkim duszom:

- Jeszcze na was ostateczny koniec nie przyszedł, wróćcie do ciał,

które na was czekają. A jeżeli stan, w którym was postawiłem, myślicie, że jest na przeszkodzie waszemu zbawieniu, wybierzcie sobie dogodniejszy, a który wybierzecie, tego ja wam dam.

A wszystkie dusze zaczęły prosić, aby im pozwolił do końca być w tym stanie, którego im przeznaczył, bo w żadnym innym się nie zbawią. Król chciał być królem, pan panem, nędzarz nędzarzem, i wszyscy błogosławili Pana nad pany, że żadnemu z nich nie dał to, co by mu szkodzić mogło; a tylko to mu uszkodziło, co z woli swojej nabył. A dopiero każdą duszę odesłał do jej ciała na naszym padole płaczu i każdy obudził się jak ze snu, nie pamiętając, co się z nim działo. Tylko błogosławionej Annie Pan Bóg zachował w pamięci, jak On swoje rządy usprawiedliwił przed swoim stworzeniem. I za Jego pozwoleniem to wszystko zeznała

przed swoim spowiednikiem dla większego zbudowania Kościoła, a ów kapłan to zeznanie między wielu innymi zapisał, aby nas przekonać, że najlepsza modlitwa jest ta, której sam Bóg nas nauczył: „Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi”, bo On nam zawsze da, co nam potrzebnego. Luboć i o doczesne rzeczy dobrze prosić, bo z Niego i doczesne korzyści, ale nie mamy szemrać, kiedy On nam ich nie daje - może dla naszego dobra dar odwlecze, może go zupełnie odmówi, a i w takim razie dziękować Mu trzeba, że Jego mądrość i miłosierdzie ochroniły nas od zguby, za którą nasza wola łaknęła. A wieleż to razy pragnęliśmy otrzymać to, co później sami przekonał się, że bardzo dobrze, iż my tego nie otrzymaliśmy. Chwała Bogu i Najświętszej Pannie, szczególnej protektorce mojej jako szlachcica polskiego, bo ona jest królową polską i wielką księżną litewską i naszym zaborem równie jak my jest ukrzywdzoną, i kiedyś odda za swoje, byleśmy się do niej tulili, bo ona, co zechce, u syna swojego otrzyma. Niech, kto chce, głosi się moim panem, niech mnie łupi i dręczy, ja wiem, że moja królowa żyje i że tylko jej jestem poddanym, a więcej niczym - dwom panom służyć nie będę. Jakoż odkąd cudze bogi weszły na naszą ziemię, nigdy im nie kłaniałem się ani podatku dobrowolnie nie zapłaciłem, pokąd egzekucją mnie nie zmusili. Ani na żadnym sejmiku noga moja nie powstała, namawiano mnie do urzędów, szlachta gwałtem chciała, bym sędzią ziemskim zostałem; ale na to nigdy odważyć się nie mogłem, abym dobrowolnie akceptował porządek nieprawy. Tac to mówią, że tym obywatelom, a nie rządowi się służy; jest to podły wybieg. Odwołuję się do sumienia, do zdrowego rozsądku nawet, czy jeden był taki, co poszedł na urząd jedynie, aby obywatelom usługi zrobić? Jakaż usługa być może dla obywateli oprócz skruszenia ich kajdan, a czy urzędnik wybrany może się o to pokusić? „Jak nie będą obywatele dobrze myślący iść na urzędy, od korony będą na nie narzucać.” I cóż to złego, skoro rząd nie nasz; niechże urzędniki będą do niego stosowni. Zadnej my korzyści nie mamy z urzędników naszych: jeżeli są poczciwi, i Moskale bywają poczciwi, jeżeli między nimi są podli - a mało między naszymi takich - *ceteris paribus* Moskal zawsze będzie lepszym, bo mniej bojaźliwym w tym, o co prawo pozwala mu się upomnieć. A co się tyczy narodowości naszej, cóż jej pomoże nasz rodak? W zaciszu domowym, a nie w urzędach zachowuje się narodowość. Żydzi ją zachowali w niewoli babilońskiej i teraz ją zachowują, bo odsunięci byli i są od urzędów, które by im styczność dały z ustawami obcymi ich obyczajom. Żyje się z urzędnikami naszymi, zna się ich na pamięć: krzyżyki, stopnie - oto jest bodziec, który ich napędza do urzędów. A to poświęcenie się dla ziomków jest tylko okrasa retoryczna, która ani ich samych, ani nikogo nie zwodzi. Wybaczam młodzikowi, że się uludzać daje, ale dojrzałemu rzecz nie do odpuszczenia. Była chwila, w której zdawało się, iż narodowość naszą rząd najezdniczy miał zamiar dźwignąć. Wtedy gubernatorowie nawet byli Polacy! Cieszyły się niektóre podściwe dusze, że może dojdziem do dobrego, ale jam zawsze w duchu myślał: „*Timeo Danaos et dona ferentes.*” Diabeł wielki lichwiarz: da on niby coś, ale z wielkim procentem odbierze. Jakoż od lat pięciu, co u nas gubernatorowie Polacy, więcej niesprawiedliwości, więcej ucisków, więcej przysług rządowi nagromadzili niż Moskale przez lat dwadzieścia. A sądy nasze? Mój Boże, one są szlachetniejsze od moskiewskich w tym, iż szlachetniejszym kruszcem kupić się dają; różnica sumienia w taksie, ale zaprzędalność ta sama. Za ile rubli kupisz Moskala, tyle dukatów trzeba dać Polakowi. „Obydwaście

lepsi” -

jak mówi Mazur.

O, młodzi rodacy moi, ja już nie będę widział Polskiej, bom stary, ale wy, jeżeli jej się do- czekacie, pamiętajcie, co wam mówię: żadnemu takiemu, który by choć rok jeden Moskalowi służył, nie wierzcie; czy to marszałek, czy to sędzia, czy to profesor, wypędźcie jego z waszej ziemi, bo nigdy z niego prawy Polak nie będzie, a jeżeli go zostawicie, bądźcie pewni, że furtkę gotową otworzycie nieprzyjacielowi. Jak się ojczyzna wasza odrodzi, żadnych układów nie róbcie z nieprawością: kto tylko u nas urzęduje, dobrowolną, a nie wymuszoną przysięgą zawiązał się z rządem najezdniczym - do waszego sumienia należeć będzie osądzić, na co zasługuje niegodny syn ojczyzny, co dobrowolnie śmiał poddać się takowej przysiędze. Jeżeli

ją szczerze wyrzekł, jest zdrajcą, jeżeli w zamiarze, aby ją zgwałcił, jest bluźniercą, depcą- cym wszystkie prawa boskie i ludzkie. Czy w pierwszym, czy w drugim względzie jest on równie winnym i nie może być wspólnego między nim a wami. Nikomu nie przebaczajcie, pobłażanie bywa korzystnym dla samowładców, bo nim upadają ludzie niepodległych, a na podłości ich władza się opiera - ale dla narodów wolnych jest zgubną. Jeżeli między wami znajdują się tacy, co was do umiarkowania nakłamać będą, bądźcie pewni, że to będą ludzie obojętni dla waszej sprawy i radzi mieć środki gotowe dla skarwienia sobie na wszelki przypadek względy u nieprzyjaciela. Zatykajcie sobie uszy, jak ci bezbożnicy usta otworzą; wszystko przebaczcie, oprócz najmniejszej obojętności względem świętej sprawy waszej.

PAWLIK

Za naszych czasów wychowanie młodzieży nie było co do nauk tak wykwiłtne jak teraz, ale pożyteczniejszych wydawało obywateli. Polak z dawnych szkół wyszedłszy był prawdziwym Polakiem; między tysiącem cudzoziemców można było poznać, z jakiego on narodu. Dzisiaj, czy to na Śląsku, czy na Litwie, czy w głębokiej Niemczyźnie, szkoła szkole podobna: jedne nauki, jedne zabawy, jeden rozkład czasu. Wychodzą z nich jacyś obywatele świata, którym zarówno mieszkać, czy to w Rzymie, czy w Krymie. I to ma być wielki postęp, ażeby coraz więcej zacierać cechy szczególne narodowości, a utworzyć jakiś naród ogólny, światły, mądry, bez przesądów. Piękna myśl, ale chwała Panu Bogu, nic z tego nie będzie, a wszystkie wielkości mędrków nie zmienią wyroku, który Duch Święty nam objawił tymi słowami: „*Et separavit Deus gentes, secundum linguas earum.*” Bo jak nie ludzi to była rzecz zrobić, aby ten naród nie był innym, tak też nie dokażą, aby nim być przestał. Nadwątlą dzieło boskie, nadpsują, ale go nie zniszczą. Pan Bóg po czasie na swoim postawi, a ludzie przewrotni sami się zawstydzą, że na przekór Opatrzności tyle zaufali nędznemu rozumowi. Dobre były nasze szkoły, chociaż oprócz łaciny obcych języków w nich szlachcic się nie uczył i chociaż młodzież pod wężem mniej umiała niż dziatwa dzisiejsza. Tacy to szeroko rozprawiają, że ciemnota nasza robiła nas niesposobnymi do postawienia mocnego rządu, że moralność publiczna zniknęła była w zabobonach i klasztornych dziwactwach, że brak oświaty tak przytłumił uczucia uczciwości, iż u nas miano za zaszczyt brać jurgielta zagraniczne, że dopiero wtedy naród okazał się szlachetnym i godnym bytu, kiedy król Stanisław zaprowadził reformę w nauczaniu publicznym, i inne podobne zdania, którymi poruszają popioły naddziadów, a które tak często się powtarzają, że już im wierzyć trzeba. Ja przyznam się, że moim prostym rozumem nie pojmuję, jaki być może stosunek między rządem silnym a tym, co nazywają oświatą publiczną. Chyba że Moskwa i Turcja są narodami bardzo światłymi, bo jużci też tam rządy nie są słabe. A co się tyczy jurgielców zagranicznych, mój Boże! czarne na białym widzą, a przekonać się nie chcą. Niewiele rubli i talarów weszło w kieszeń tych, co z Alwara wzięli swój rozum i głowy sobie podgali. Między fraczkowymi to, między tymi,

co po pol- sku z musu tylko i z biedy mówili, a po zagranicach ciągle wędrowali i pudrowali czupryny, można je było znaleźć stosami; wszak to oni przy sterze rządowym siedzieli. A czy to kontu- szowi sprowadzili Moskali przy schyłku Augusta III? Czy kontuszowi nas poddali pod gwa- rancją carowej? Czy kontuszowi podnieśli konfederację słucką, toruńską lub zawiązali targo- wicką? Czy to kontuszowi marszałkowali na sejmach podziałowych? Wszystkie spiski na ojczyznę w języku francuskim się knowały; a jeśli uwikłał się w paskudztwo jaki nieobaczny kontuszowy szlachcic, zawsze go do tego namówił fraczkowy dworak, pełen poloru i oświaty. Wszakże nawet te zabójcze wyrazy w nasz język wprowadzone, którymi sejmy podziałowe szafowały, a które my, nie rozumiejąc, powtarzali, nie ze szkół jezuickich, ale z akademii

zagranicznych do nas przywędrowały. Kiedy to my nie znali tego przebrzydłego zagranicznego rozumu, konfederacja barska sześć lat się trzymała. Bo kiedy marszałek jeneralny ogłosił pospolite ruszenie, szlachcic nie brał na rozum, czy to się uda lub nie, ale słuchał powinności, nie oglądał się na majątek ani na żonę i dzieci: siadał na konia i tam ruszał, gdzie prawo krajowe iść kazało. A kiedy nastąpiła Konstytucja 3 maja, za którą każdy z nas był gotów dać się umęczyć, że bardzo oświeceni ludzie rządzą, ani pomyśleli ogłaszać pospolitego ruszenia:

„To stara ustawa - mówili - trzeba naśladować ukształcone ludy i tylko wojsku poruczyć obronę narodu.” Toteż po kilku tygodniach wszystko się skończyło. Oj, lepszy nam był Alwar niż Towarzystwo Ksiąg Elementarnych. Po dawnych naszych szkołach wszystko tak było jak w tej Rzeczypospolitej, dla której nas hodowano. Mieliśmy nasze sejmiki, nasze sądy, biliśmy się w palcaty, robiliśmy obroty wojskowe i wprawiano nas do religii, na której się opiera polska narodowość. Wyszedszy ze szkół, czy wypadło urzędować, czy prowadzić chorągiew, człowiek nie przychodził do rzeczy obcej dla niego. A nade wszystko uczono nas, aby nie rozprawiać o powinnościach, ale ich dopełniać.

Pan Ambroży Korsak, porucznik piatyhorskiej chorągwi, a mój szczególniey dobrodziej, miał lat przeszło siedmdziesiąt, miał wnuków, już obywateli osiadłych, a przecie, jak konfederacja barska nastąpiła, wiekiem się nie wymawiał, bo pamiętał, że zostawszy towarzyszem, jeszcze pod znakiem JW. Denhofa, wojewody połockiego, co umarł hetmanem polnym, przysiągł, że na każde zawołanie gotów gardłować za ojczyznę. Czyby siebie oszczędzał, czy nie, wszelako dziś by nie żył; bo kiedy padł pod Częstochową, miał lat siedmdziesiąt ośm, a już odtąd przeszło pięćdziesiąt lat minęło - i przecie nie był to człowiek przedpotopowy. Cóż by mu był za zysk, gdyby swojej powinności nie był dopełnił? A co zyskali zdrajcy ojczyzny, co Moskałom dusze przedali? Pieniądz, jeśli nie został strwoniony, ktoś inny z niego korzysta, a najczęściej i nie potomek: „*Male parta idzie do czarta.*” Wiemy z doświadczenia, że z grosza źle nabytego *tertius haeres non gaudebit!* Toteż pan Korsak, bywało, mawiał:

- O życie nie dbaj, bo ono nie twoje. *Deus me custodiat* (takie było jego przysłowie), kiedy zostałem towarzyszem, jeszcze nie zarastałem, bo z trzeciej klasy uciekłem do chorągwi, w której będąc dzieckiem, miałem sowity poczet z łaski JW. Denhofa, wojewody połockiego, ojca nieboszczyka hetmana, na którego dworze mój ojciec się wychował. Rychło po zameldowaniu poszedłem z chorągwią w korelicką puszczyce dla łowienia rozbójników. Otóż był z nami towarzysz miękkiego serca, nazywał się Szeliga. Kiedy my hultajstwo ścisnęli w ostępie, a oni do nas dali z rusznic, pan Szeliga placu nie dotrzymał i uciekł, co koń mógł wyskoczyć, aż pfe! Nam nie zaszkodził, bo hultaje, po parę razy do nas spudłowawszy, co do nogi poddali się, a nikogo z naszych nie straciwszy, zawieźliśmy powiązanych łotrów, gdzie potrzeba, i nie lada zdobycz nam się dostała; siebie zaś nie tylko, że haniebnie spaskudził, ale życia nawet nie ocalił, bo błądząc po lesie, zmęczony, dostał się do chałupy jakiegoś gajowego, gdzie gospodyni w malignie leżała: tam się zaraził i w kilka dni umarł. A gdyby był dotrwał w powinności, byłby żył sobie zdrów. Na całe życie to dla mnie było nauką. Ja tu będę uciekał przed śmiercią, która może o mnie i nie myśli, a sam gdzieś się na nią natknę? Lepiej robić swoje powinności, a na Pana

Boga się spuścić.

Pan Korsak, człowiek stary i doświadczony, miał mnóstwo dykteryjek do opowiadania, bo niejedną książkę można było napisać z tego, co widział i doświadczał. Po zdobyciu Krakowa, kiedyśmy tam zimowali spokojnie, nim dopiero na wiosnę Moskwa odważyła się nas zaczepić, w dzień św. Ambrożego zebraliśmy się u pana Korsaka dla powinszowania mu rocznicy imienin. Było nas kilkudziesiąt z różnych województw. Gospodarz wszystkim był rad i beczka wina poszła na traktament. Nie można było nasłuchać się dość tego, co opowiadał. Opowiadał nam, jak to w początkach swojej żołnierki, będąc na służbie jeszcze u JW. Pocięja, hetmana wielkiego litewskiego w Wilnie, asystował konno przy jego kolasie; a że ten pan był wielce pobożny, kazał mu z sobą mówić różaniec. Gdy więc z kolei hetman zaczynał antyfo-

O Maryjo, cna
dziewica, Porodziłaś
królewica,
Niebieskiego
dziedzica

- właśnie w tym samym momencie obaczył pan Korsak, że z poprzecznej ulicy szła kolasa, w której siedziała pewna dama, o której córkę się starał. Puścił się tedy, damy rączkę ucałował, zawrócił konia i w samą porę trafił, by kończyć antyfonę:

Porodziłaś bez
boleści, Zbaw nas
smutku i żalości,
Zdrowaś Maryja!
Amen.

Tak to się JW. hetmanowi podobało, że nie mógł różańca nie przerwać, by powiedzieć:

- Mości towarzyszu, zgrabnyś! O waści pamiętać będę - i wkrótce dał mu chorągwo w tej- że chorągwi. Z tego powodu ośm razy rąbał się z tymi, co do tej rangi sami aspirowali. I inne podobne rzeczy mówił nam przy kielichu, że aż miło było; a nareszcie jakoś przyszło, że wziął się do opowiadania początków swojego zawodu w naszej konfederacji, bo on był z pierwszych, co się do tego związku zaciągnęli, chociaż był Litwinem, a konfederacja barska, jak wszystkim wiadomo, zawiązała się na Ukrainie.

„Moi panowie bracia, a raczej synowie, bo już, chwała Panu Bogu, nie rok i nie dwa, jak ósmy krzyżyk zapisał się na mojej metryce, a pięćdziesiąt ośm lat się skończyło, jak osobiście służę w kawalerii narodowej, nie licząc tych kilku, co będąc zapisanym, w palcaty wojowa-łem ze studentami. I z hajdamakami się ocierało, i ze Szwedami się obwachało pod Warką i Kaliszem, i siedmioletniej wojny coś się zaczepiło, i w czasie ostatniego bezkrólewia za piecem się nie siedziało, i z księciem wojewodą wileńskim po Wołoszczyźnie się tułało; a taki wystarczyło i lat, i siły, aby tu wam służyć. A niewielka była sztuka śmierci mnie znaleźć. Jakoż ukąsiła mnie ona kilka razy, ale jeszcze nic zjadła, jak widzicie, i *Deus me custodiat*, tuszę, że jeszcze niejednego tam wyprawię, dokąd i samemu wkrótce pójść trzeba. Otóż, panowie moi, rok piąty temu, że pokój był po całej Rzeczypospolitej, stałem sobie spokojnie w Krożach z chorągwią, której dowodziłem, jakby dziad do roboty niezdatny. To człowiek uczył towarzystwo iść gęsiego lub ocierać się o szachownice; to ich sprawy z Żydami sądził; to na delacje czopowe egzekwował, aż tęskno było, że się próżnuje. Cóż robić? Moskale przez Kroże idą a idą, a nie można im powiedzieć: „A zasię!”, chociaż chorągiew była dobrze pokryta, bo więcej pięćdziesiąt towarzystwa, a ledwo nie dwa razy tyle szeregowych. Aż tu przywołuje mnie JW. Giedrojc, strażnik litewski, od śmierci JW. hetmana mój rotmistrz, i mówi mi te słowa:

- Panie Ambroży, nie można wiedzieć, co będzie. *Si vis pacem, para bellum*; ja bym rad moją chorągiew powiększyć i na to mam konsens hetmana. Ruszaj więc waść na Ukrainę i kilkadziesiąt koni stamtąd przyprowadź!

- Choć dziś, JW. panie. Człowiek na tym towarze zęby zjadł.

Odliczył mnie JW. strażnik sześćset czerwonych złotych obrączkowych, jeden w drugiego, które w trzos własną ręką zaszywszy koszulę nim opasałem, a wzięwszy dwóch z towarzystwa i ty luz luzaków, ale których znałem jak mój sygnet herbowy, co go

na małym palcu noszę, że byli dziarskie chłopcy, nie czekając nazajutrz, puściłem się w podróż, zdawszy moje chorągiew na pana chorążego Mikołaja Staniewicza - i doszedłem szczęśliwie do Cudnowa, dóbr dawniej do ordynacji ostrogskiej należących, a teraz dziedzicznych JO. księcia Marcina Lubomirskiego, który z nami służy. Tam się poznałem i ściśle zaprzyjaźniłem z panem Czajkowskim. łowczym kijowskim, a gubernatorem hrabstwa cudnowskiego. To był zacny i do- brze myślący obywatel; więcej z przyjaźni niż z potrzeby księciu służył, bo jedną i drugą miał wioskę dziedziczną i nieco grosza po ludziach. Pan łowczy nie tylko, że mi ofiarował swoją pomoc do kupna koni, ale wszystkich Kozaków dworskich oddał na moje zawołanie i pozwo- lił mi w zamku założyć kwaterę i tam zbierać konie, póki z nimi nie wyruszę na Litwę. Jakoż to tu, to tam po sąsiadach w pierwszych tygodniach uzbierałem ze dwadzieścia koni, ale koni

całą gębą. Wtedy to mi się dostał ten mój siwosz, coście go wszyscy znali i co mi pięć lat wiernie służył, a który kiedy padł pod Opatowcem, ledwom nie płakał, jak po synu rodzonym. I sobie czekałem zdrów w Cudnowie na kiermasz berdyczowski, aby i resztę dokupić. Aż tu pan Puławski, starosta warecki, podnosi konfederację w Barze i zaczynają biegać po kraju uniwersały powołujące szlachtę do pospolitego ruszenia. A Moskale szastają się po okolicy jak szczury po szpichlerzu, tak że pan łowczy w obawie, by mi chudoby nie zabrali, radzi wyprawić ludzi i konie w puszcę cudnowską. Ja mu na to:

- Dobra i łaskawa rada W. pana dobrodzieja, ale na sercu mi cięży rozkaz marszałka konfederacji. Darmo; trzeba iść, gdzie każą. - A on mnie:

- Niech pan porucznik konie zbiera w lesie, gdzie bezpiecznie, a ja mu, co będę mógł, szlachty dostarczę. Lepiej w kilkadziesiąt koni służyć marszałkowi niż z dwoma towarzyszami przed nim się pokazać, choćby się cudem do niego przedarł z tak małą siłą.

Nie miałem nic do powiedzenia, tylko podziękować mu za łaskę; a on, na niej nie przestając, sam chciał mnie przeprowadzić do Szyjeckiej Budy, gdzie mi naznaczył kwaterę. Na-przód tam moje konie wyprawił z dworskimi Kozakami, a nazajutrz samiśmy wyruszyli konno: nas dwóch, syn pana łowczego, młody i piękny kawaler, i kilku dworskich. Zwyczajnie gawędziliśmy z sobą przez drogę. Opowiadał mi pan łowczy, że w puszczy cudnowskiej ma swoje siedlisko zgraja Pawlika, sławnego zbójcy, który jest postrachem szczególnie Żydów, gdyż niejedne miasteczko złupił. Jakoż przed dwoma tygodniami, zapewne dla wywiadów, Gontar, jego namiestnik, z dwoma hultajami pokazali się na targu cudnowskim z furą półdrabków, niby zwyczajnie pobereźniki. Ale szynkarz jeden, który już raz był w ręku Gontara i niezawodnie by wisiał, bo już miał stryczek na szyi, jeno że na jego szczęście Pawlik trafem nadszedł i kazał go z duszą puścić, obdarłszy do koszuli - poznał go i zaraz pobiegł dać znać dworowi.

- Jakem się o tym dowiedział - dodał pan łowczy - ruszam czym prędzej na targ z Kozakami. Udało mi się złapać dwóch hultajów, ale Gontar jak w wodę wpadł. Całe miasteczko do góry nogami przewróciłem, ani sposobu było go znaleźć. Mając przecie podkomendnych, kazałem ich w dyby zabić: cały dzień wały mi kopią około zamku, a w furdydze nocują.

Jam okazał podziwienie, że do grodu ich nie odsyła; ale pan łowczy na to:

- My nie w Litwie, u nas hajdamaczyzna ciągła. Gdybym ich do grodu odesłał, krótka by była sprawa. Tam by ich powiesili, nimby słońce zaszło, a dopiero by mnie była bieda z Pawlikiem; jednej nocy bym nie przespał spokojny. Z naszymi hajdamakami ani nadto dobrze, ani nadto źle być nie można. Wiedzą oni, że ich dwóch w moim ręku, z tego mi zysk; bo jakby szkodę zrobili, bez grodu kazałbym ich wbić na pal: radzi nieradzi muszą być spokojni.

A ja mu:

- A to piękną będę mieć kwaterę w lesie! Z deszczu pod rynnę: ja kryję konie przed Moskałem, a złodziej mi je zabierze.

- Pan porucznik nie znasz ich obyczajów: w Szyjeckiej Budzie będzie bezpieczniej niż w Cudnowie. Hajdamaka ma wilczą naturę: nigdy szkody nie robi blisko swojego gniazda. Mamy tam hutę i karczmę, przy której co niedziela pełno hajdamaków. Piją z

fabrykantami, nawet dzieci ich do chrztu trzymają; święta między nimi komitywa: ani hajdamaka fabrykanta, ani fabrykant hajdamaki nie zdradzi. W kasie bywa po kilka tysięcy złotych, a daj Boże, żeby ze strony kasjera i rachmistrza nie było więcej szkody niż od hajdamaków. Bywa często Pawlik u naszego leśniczego i ja go tam razu jednego spotkałem i mówiłem z nim, udając, że nie wiem, co on za jeden, lubo leśniczy mi szepnął, kto on taki. Nie masz co mówić, sprytny chłop a barczysty, że nie życzyłbym trzem jego spotkać; nie daliby mu rady. I pan porucznik nieraz może go widzieć będziesz.

Tak rozmawiając szliśmy dalej w las ścieżkami, po których najmniejsza fura by nie przeszła. Chociaż konno, musieliśmy iść gęsiego za przewodnikami, aby co prędzej do Szyjeckiej Budy się dostać. Wtem słyszeć się dały gwizdania... To już mi nic dobrego nie zwiastowało.

Aż tu zaraz dwóch hultajów, wyszedłszy z gęstwiny, zbliża się do nas i krzyczy: „Stój!” Każdy z nich trzymał rusznicę w ręku. Pan łowczy, koło mnie będący, dobył pistoletu z olstry, ale ja na niego:

- Schowaj mi zaraz waćpan pistolet. W lesie wara z ognistą bronią, żeby jak wystrzelisz, każde drzewo za to nie dało ognia. Abo widać, z kim sprawa?

A jeden z nich, którego poznał pan łowczy, że to był sam Pawlik, przystąpiwszy do mnie:

- Widno, że pan bywalec. Dalibyście sobie ducha, gdyby panicz był wystrzelił.

Wtem gwizdnął przeraźliwie i więcej może stu rozbójników wysypało się z prawej i lewej strony drogi. Pewnie jedna noga z naszych by nie uszła, gdybym łowczycowi był dopuścił wystrzelić.

Zbliżył się Pawlik do pana łowczego:

- A co, panie, czy mam pana zabić w dyby jak pan moich ludzi?

- Mój kochany - odpowiedział łowczy - ty wiesz, że Cudnow nie mój i że ja pańskiego do- bra pilnować muszę. A kiedy który hultaj na rynku się pokaże i o nim mnie dadzą wiedzieć, jeszcze przy ludziach, co by to powiedzieli, gdybym jego nie ścigał? Ty nie do mnie miej żal, ale do mojego pana, co w instrumencie wyraźnie zalecił, abym hajdamaczyńnię wypleniał; rozpraw się o to z nim w Warszawie lub gdzie go znajdziesz, a mnie daj czysty pokój, a nawet podziękuj mnie, że ciebie w lesie nie gabam. Niedawno pan regimentarz rekwirował, bym z całego poddaństwa zrobił w lesie na was obławę, a ja to tym, to owym go zbywam, byście pokój mieli. Ty umowy nie dotrzymujesz z leśniczym: ziemięś jadł przysięgając, że w lesie nas zaczepiać nie będziesz; my za to na was przez szpary patrzymy, a teraz na mnie napadasz. Myślałem, żeś uczciwy hajdamaka, a jak widzę, z ciebie zupełne ladaco.

- Albo ja nie szanował wielmożnego pana i jego ekonomii? Onegdaj jeszcze spotkałem pi- sarza jadącego z Budy do Cudnowa i mówiłem z nim po bożemu; niech sam powie. Jeszczem go prosił, aby mnie skątek przywiózł, anim mu macał szarawarów, chociaż w nich tysiąc zło- tych było. A wielmożny pan moich ludzi w dyby pozabijał. Czy oni szkodę jaką robili, czy nie chcieli bazarnego opłacić? Cóż to, czyż już nam nie wolno na targu półdrabek przedawać? Teraz moje na wierzchu. Oddam za swoje.

- I cóż na tym zyskasz, jak mnie ukrzywdzisz? Niech no któremu z nas włos aby jeden spadnie z głowy, a ekonom cudnowski o tym się dowie, na pal każe wbić obudwóch twoich podkomendnych, a potem, jak z Kozaków i wszystkich włościan cudnowskich wyprawi ob- ławę do puszczy, nie wiem, czy na tym zarobicie. Przyznaj, że wam nieźle się dzieje w Hała- cie. Lepiej nas puść z Bogiem i licz na moje wdzięczność.

- Ale! Niech tylko popróbuj ekonom moich parobków zamordować, ja jemu nazajutrz żo- nę i dzieci pozarzynam, a Cudnow ze czterech stron podpale, że ściany na budę nie zostanie.

- Ale, mój Pawliku, gadajmy po ludzku, czy ty zemstą swoją, choćby ci się ona i udała, swoich wskrzesisz, jak ich na pal wsadzą? Lepiej puść nas z Panem Bogiem, a ja twoich ludzi wypuścić każe.

- Ja wielmożnemu panu już nie wierzę. Wszakżeśmy obiecywali nie dokuczać sobie. Od nas ekonomia cudnowska krzywdy nie poniosła; nawet pani Sosnowskiej, posesorce Turczy- nówki, na jedno słówko pańskie konie zabrane oddałem. A wielmożny pan moich niewinnych ludzi pozabierał i dwie niedziele w dybach trzymasz, jakby jakich szkodników. Teraz wiel- możny pan w inną dudkę

dmiesz, a jak puszcę was na słowo pańskie i wielmożny pan do zamku się dostanie, zaraz powiesz: „Co to ja temu chamowi mam dotrzymać obietnicy? Abo to szlachcic, żeby ze mną w umowy wchodził; a haki, a kleszcze na zuchwałego chłopca!” Czy ja was nie znam?

- Panie Pawlik, wszak ja wam dobrze życzył. Sam przyznaj, czyś mało łask doświadczył ode mnie. Czy wam broń leszczynę palić na proch? Czy nie pozwoliłem trzem twoim parobkom ze skarbowymi podwodami iść do Krymu za rybą soloną? Czy na Filipówkę nie ka-

załem wam wydać na twój znaczek z magazynu całej kufy gorzałki?
Przyznaj, panie Pawliku, że tobie w naszym lesie jak w rajach.

- Aha! teraz „panie Pawliku”, bo strach ma wielkie oczy; będzie tego dobrego gołemu za pazuchę. Ja wielmożnemu panu krótko powiem, co być może. Niech pan zostawi mi zakład, że moich ludzi odeszło, a ja pana wypuszczę. Rozumie się, że na pamiątkę zostawicie mi, co macie pieniędzy przy sobie.

Miarkujcie, panowie bracia, co tu się działo ze mną, który kilkaset czerwonych złotych miałem przy sobie!

- Kiedyś tak niewierzący, panie Pawliku - odrzekł pan łowczy - puśćże mi syna i gościa, a ja u ciebie zostanę jako zakładnik.

- Tak nie będzie. Ja wielmożnego pana puszczyć, a syna zatrzymam; prędzej wykupi ojciec syna niż syn ojca; a paniczowi nic złego się nie stanie, że u nas przenocuje.

- Panie Pawlik, zmiłuj się waćpan nad moją żoną. Co ci ona winna, że ją w łyżce wody chcesz topić? Jak mnie bez syna obaczy, to jak Bóg na niebie, bez duszy padnie.

- Wielmożny pan znasz to, że mnie łatwo wziąć za serce. Wracajże pan zdrów z synem! Ale ja bez zakładu nie zostanę. Oto ten gość pański, co paniczowi wypalić nie dopuścił, z nami pójdzie do Hałacy i tam będzie siedział póki wola pańska, bo ja go nie wypuszczę, po- kąd ludzi nie obaczę. To wojak, on z nami tęsknić nie będzie.

- Panie Pawliku, nie rób mnie tej krzywdy, żeby mój gość miał narzekać, iż mnie zaufał. Kiedyś taki nieludzki. wolejże i mnie, i syna zatrzymać, a jego puszczaj. Niech na mnie raczej największe nieszczęście spadnie, niżby mój gość najmniejszej przykrości miał doświadczyć.

Żal mi się zrobiło poczciwego łowczego:

- Mości dobrodzieju - ozwałem się - niech pan się o mnie nie troszczy, a z godnym synem i swoim dworem rusza sobie do Cudnowa: ja panu Pawlikowi służę do jego Hałacy. Wdzięczny mu jestem, iż mnie oszacował godnym być zakładem słowa waćpana dobrodzieja, i za dobrą opinią o mnie bardzo mu dziękuję. U niego źle mi nie będzie, wszak my oba żołnierze: ja Rzeczypospolitej, on własnej swojej sprawy; jakoś się porozumiemy. A pan łowczy, jak mu ludzi odeszłe, wiem, że tyle pan Pawlik grzeczny, iż mnie sam odprowadzi do Szyjeckiej Bu- dy. Niech mnie szanowny łowczy tu zostawi, a wielmożnej łowczynie nie zapomni moje ukłony złożyć.

- Niechże Pan Bóg nadgradza szanownemu porucznikowi, żeś się zlitował nad moją babą; a ja zaręczam, że niedługo będziesz się nudził. Tylko bardzo proszę pana Pawlika, aby po ludzku obchodził się z panem porucznikiem.

- Wielmożny pan niech o to będzie spokojny: u mnie, kto na gościnie, więcej waży niż ro- dzony ojciec. Ale jeszcze pana porucznika nie mam za gościa i dlatego, com raz już powie- dział, teraz powtarzam: kto co z panów ma pieniędzy przy sobie, proszę natychmiast o nie.

Pan łowczy dobył z szarawarów sakwę, w której było kilkanaście elizawetnych rubli, i te oddał mu, dodając:

- Rozbierz mnie do koszuli, kiedy wola; jakem sodalis, i halerza nie znajdziesz.

- Teraz do waćpana. panie poruczniku! Pan łowczy przerwał z pośpiechem:

- Co waćpan chcesz, panie Pawliku, znaleźć u żołnierza? Jeżeli ma

kilka tynfów, czy i te już mu zabierzesz? Nie godzi się!

- Wielmożny pan już za sobą mówił, a panu porucznikowi Pan Bóg dał język - i do mnie obracając się: - Czy pan masz pieniądze?

- Mam kilka złotych i oto one.

- A więcej nie masz przy sobie?

- Więcej nic.

- Niechże pan da na to słowo szlacheckie i żołnierskie, a ja wierzę - i podałam mi rękę.

- Otoś mnie zagadł, panie Pawliku! To darmo. Bądź co bądź, a honoru nie splamię - i do- bywszy trzosa: - Masz go waćpan; ale piekielną wyrządzasz mi krzywdę! To nie moje pienią- dze: Rzeczypospolitej; a jakie ich było przeznaczenie, wszystko diabli porwali.

- Wybaczaj, panie poruczniku - powiedział Pawlik -każdy żyje ze swego: szlachcic z pańszczyzny, żołnierz z żołdu, Żyd z łokcia i kwaterki, a rozbójnik z tego, co mu Pan Bóg w cudzej kieszeni przyniesie. Bądź, panie, weselszej myśli, bo smutek szkody nie wróci. A wielmożny pan komisarz niech z Bogiem rusza nazad i moich ludzi tu odeszle. Tu, na tym samym miejscu, będzie ich czekał mój namiestnik; a jak była między nami przyjaźń, tak i będzie, póki mnie wielmożny pan znowu nie zaczepi, bo ja pewnie nie zacznę. Pana porucz- nika sam do Szyjeckiej Budy odprowadzę.

Tak pan łowczy ze swoim poczem nazad, a ja z hultajstwem dalej; a takimi gęszczami, że zsieść musiałem i piechotą ruszać. Pawlik obok mnie i wszystko pyta, czym nie znużony, po- wiada, że mnie nieść każe, i próbuje ze mną w dyskurs się wdać; ale mi tak było żal mojego trzosa, że sto kuglarzy by mnie nie rozerwało. Co to, panowie, cała nadzieja uzbrojenia ludzi jak kamień w wodę upadła! Toteż na koniec powiedziałem:

- Mospanie Pawliku, zostaw mnie w pokoju. Ja teraz na waszej dyskrekcji. Jak ludzie mó- wią: „wiele złego dwóch na jednego”, a ile z oka sądzić mogę, was więcej sta. Niewielka sztuka przymusić mnie, abym dał w waszą dudkę. Ale jeśli łaska, nie wymagaj, bym się ba- wił., kiedy smutek w sercu. Nie masz godziny, jakem się dowiedział, że wy na świecie jeste- ście, więc wam nic nie winienem, a przecie zabraliście mi pieniądze, które dał mnie mój rot- mistrz na kupno koni do chorągwi. Za nie byłbym może kilkadziesiąt jeźdźców uzbierał i za- prowadziłbym ich do Baru. Poprzestańże na tym; a żebyś sam miał pociechę, to waćpanu po- wiem, że jak z tym się pochwalisz przed Moskałami, na wielką u nich wdzięczność zasłużysz, boś im dogodził. Do mnie, jeśli łaska, nie gadaj. Ja łgać nie umiem i otwarcie powiem, że z tym tylko się bawię, komum rad; a do waćpana mam żal, tym większy, że to nie moja, ale ojczyzny szkoda.

- Kiedy pan się gniewa, do niego mówić nie będę; ale niech pan o mnie, jak chce, trzyma, ja pana bardzo szanuję, a jak go na swoim gospodarstwie przyjmę, to pan się przekonasz, że czart nie tak czarny, jak go popi malują.

Wszystko to było dobrze; nie mogłem narzekać, aby był nieobyčajnym, bo i z wielką grzecznością do mnie mówił, i tak czystą polszczyzną, jakby rodowity szlachcic. Ale tyle mi humoru popsuł zrabowawszy mnie do szczętu, że nie mogłem się oddać i szedłem zasepio- ny jak myśliwy, co niedźwiedzia spudłował. Nie bardzo uważałem na szczegóły naszej po- dróży, bo i nie było czego uważać. Zwyczajnie bór i las, las i bór; do tego w naszej Litwie człowiek z małego przywyknął. Aż zaszliśmy ponad Teterów, w taką gęstwinę, że słońca widzieć nie można było. Dopiero Pawlik, podawszy mi rękę, prowadził mnie, wlokąc nogę za nogą, prawdziwie z pieca na łeb, pod skałę, gdzie był otwór tak niski, że ledwo nie czołgając się weszliśmy. Ale ten otwór coraz się rozszerzał; pozapałano łuczynę i tak rozjaśniało, że było widno jak wśród dnia na podwórku. Obaczyłem ogromną przestrzeń wykutą w głazie i wrytą w ziemi: to było siedlisko rozbójników. A co za wygodne siedlisko, chociaż tam nigdy promień słońca nie doszedł. Sale, izby a

spizarnie, a kuchnie, a składy, a piwnice, zgoła jakby jakie podziemne miasteczko. Cała hałastrą wnet się roztasowała. A Pawlik taki gospodarz uprzejmy a tak mną zajęty, że gdyby nie widok spelunki i nie leśne facjaty jej mieszkańców co chwila przypominały, że u złodziejów na gościnie, mógłbym myśleć, że mnie jaki możny obywatel przyjmuje. Że to była godzina obiadowa, motłoch się rozsypał i każdy zajadał ochłapa, na jaki napadł: a pan Pawlik zapytał mnie, czy pozwolę, by ze mną siadł za stołem. Rozumie się, że nie była pora o to z nim się targować. Kazał więc stół na dwie osoby nakryć i wcale smacznym obiadem na farfurze mnie poczęstował; a dla zakropienia onego garniec wytrawionego maślaczu był na stole. Po sztukamięsie Pawlik za zdrowie moje srebrny puchar wina spełnił, a na wiwat za danym znakiem kilka samopałów dało ognia, że odgłos po całej

spelunce kilkakrotnie się powtórzył. A że obiad był smaczny, nic dziwnego, bo jakaś popadzia spod Wasilkowa, zakochawszy się w diaczką i dla niego porzuciwszy męża, z nim do Pawlika przystała. Diak do rozboju pomagał, a popadzia Pawlikowi za kucharkę służyła. Wszystko było dobrze i przyzwoicie; ale ta myśl, że człowiek krew i łzy pije, psuła wesołość; po wtóre, ciążył na sercu smutek po własnej szkodzie i więcej jeszcze wstyd, że pomimo naszego statutu i naszych konstytucji złodzieje bezkarnie gospodarują i biesiadują na Rusi, pod boki prawie urzędu (bo do Żytomierza i dwóch mil nie było), a tu nie masz siły, by takowemu bezprawiu koniec położyć. Ale cóż, kiedy Rzeczpospolita, ciągle od postronnych napa- stowana, a tylko zajęta tym, by swoją całość zachować, nie miała czasu ani do odetchnienia, nie tylko do urzędu siebie wewnątrz. Nie temu, co na łożu boleści ze śmiercią się pa- suje, myśleć, jak by sobie mieszkanie oporządził. Wszystko by się u nas dało zrobić, gdyby ościenni nam dali pokój. I tak, panowie, chociaż w plugawym towarzystwie, jakoś frasunek się topił w lampeczce, że Panie Boże przebac, gawęda dla mnie zaczęła przybierać powabu.

- Panie Pawlik - powiedziałem mu - kiedy tak się Panu Bogu podobało, że pomimo tego, iżes mnie ledwo ze skóry nie obdarł, przecie u waćpana stołu za swoje zdrowie wzajemnie kielichy spełniamy, pozwól sobie zapytać, czy i ten koń mój gniady, z którego zleźć musia- łem, aby jak wąż przedzierać się z waćpanem po zaroślach, a którego tu nie widzę, także *via facti* został waszą własnością?

- Pan porucznik go znajdziesz w Szyjeckiej Budzie; zaraz go tam odesłałem. Ze pan po- zwoliłeś mi się z sobą, to dla mnie tak wielkie szczęście, iż nie dopuszczę, aby pan ode mnie smutną wynosił pamiątkę. Na sercu mi leżało, że moich ludzi w dyby pozabijano; dlate- go pozwoliłem sobie pana komisarza cudnowskiego namęczyć - i teraz pewno nic go tyle nie frasuje, jak to, że w jego przytomności trzos panu zdarłem. Tyle tylko mojego, co go nafra- suję. A musiałem go ukarać, bo mnie niesprawiedliwość wyrządził; a przecie i moim ludziom trzeba pokazać, że o nich dbam. Ale kto ze mną je chleb i sól, do mnie żalu mieć nie będzie. Wracam panu trzos nietknięty: coś pan tam włożył, to i znajdziesz. Tym chętniej to oddaję, żeś pan przede mną odkrył przeznaczenie pieniędzy. Ja, choć nieszlachcic, przecie na tejże samej ziemi narodziłem się co i pan, i pewnie Moskałom przysługi nie zrobię.

Przyznam się wam, panowie bracia, że to mnie tak rozczuliło, że i podziękować nie umia- łem, tylko serdecznie go uściskałem. Ale aż mróz po mnie przechodzi, jak wspomnę o tym, co się z tego zrobiło. Jeden z hultajów, szastający się około naszego stołu, widząc, że mnie od- daje trzos brzęczący, odezwał się:

- Nie dość, że konia jego nie zaczepiamy, jeszcze i pieniądze temu Lachowi oddają. A Pawlik, jak się urazi a porwie topór:

- Jak ty śmiesz - mówi - sobaczy synu, wtrącać się do moich czynności!

A potem jak go palnie, na dwie części łeb się rozleciał. Dopiero Pawlik, jak krzyknie:

- Kamień u szyi przywiązać trupowi i w Teterów go rzucić, a ziemię obmyć z krwi - a po- tem z wypogodzonym obliczem, jakby zająca trafił, na nowo siadł u stołu, mówiąc mnie: - Niech pan porucznik nie uważa. Sam, panie, jesteś wodzem i wiesz dobrze, że bez posłuszeń- stwa wojsko być nie może. Przepraszam, że przerwałem mu zabawę.

Przyznam się wam, że to była rzecz tak niespodziewana, że aż trzy lampy musiałem wy- próżnić, nimem przyszedł do siebie; a potem pomyślałem sobie: kaduk was bierz; co mnie tam wasze prawa obchodzić mają! Samiście się im poddali, a jak kto sobie pościele, tak niech się i wyspi!

Zresztą, prawdę powiedziawszy, czas mile mi schodził z rozbójnikiem, bo już do niego nie miałem żalu po zwrocie szkody, a i wino było smaczne, i rozmowa przyjemna. On mnie się wyświadał z całego prawie żywota. Był poddanym śp. Woronicza, oboźnego koronnego, dziedzica Trojanowa, bo w jego zamku się urodził z rodziców dworskich, i od dzieciństwa był u niego w wielkich łaskach: lulki panu nakładał, potem do polowania mu asystował. Kazał go pan wyuczyć czytać i pisać i pewnie by go liberował z kawałkiem chleba, gdyby nagle nie był

skończył życia. A tak Pawlik osiadł jak na lodzie. Bo oboźny małoletnie dzieci tylko zostawił, których opiekunem będąc z prawa natury ich wuj pan Szczyt, podkomorzy piński, że nigdy nie mieszkał w Trojanowie, wszystko tam było na dyskrekcji rządców. Otóż Pawlik bardzo w widokach swoich upadł, zamiast u pana, u komisarza będąc na usługach. Jeszcze mu tam z początku szło siako tako; ale pokochał się z synowicą komisarską, u stryja będącą na opiece, i jakoś ich komisarz nadszedł, gdy z sobą różaniec już odprawiali: a jak nie bądź, trudno opie- kunowi być obojętnym na związki krewnej z poddanym, pannę naprędce wydał za jakiegoś oficjalistę pod ręką będącego, a łatwo zgadnąć, co Pawlika spotkało, lubo się z tym nie chwa- lił, tylko mówił, że niemiłosiernie skrzywdzonym został. Ja go nie bardzo za język ciągnąłem, ale można było domyślić się, jakiego rodzaju była ta krzywda, po zemście, jakiej się nad ko- misarzem dopuścił. Wtedy już silna zgraja hajdamaków osiadła była w puszczech cudnow- skich. Jej watażką był Bur- czak, najniegodziwszy rozbójnik, jakiego kiedykolwiek miała Ukraina. Nie było nocy, w której by jaki obywatel zrabowany nie został. Diabeł by przed nim tynfa nie uchował. Jak napadnie, bywało, na dom, porwie gospodarza, na goły brzuch żar mu kładzie i poty dmucha, póki on mu do ostatniego szeląga nie wyzna. Dopiero czasem puszc- czał, a jak najczęściej zamordowywał, i bez końca pomnażał rozmaite okrucieństwa, przed nim niestychane. Rozjątrzony Pawlik do niego się udał i pierwsza była jego wyprawa na za- mek trojanowski, który do szczytu zrabowawszy, komisarza powiesił do góry nogami, że go krew zalała. Kiedy w Zytomierzu porwano Burczaka, biesiadującego u kochanki, która po- dobno sama ostrzegła gród o jego przybyciu, rozumie się, że nie tracąc czasu, urząd ćwierto- wać go kazał. Ale już Pawlik odwagą i sprytem do takiej był wziętości przyszedł u rozbójni- ków, iż go ten motłoch na wodza jednomyślnie obrał. Równie śmiały jak poprzednik, a daleko bystrzejszy, nie plamił się podobnymi okrucieństwami, poprzestawał na łupieniu, a bezbronnym śmierci nie zadawał. Znacznie swoją komendę powiększył, bo do niego hultajstwo ze wszech stron się garnęło, aż na końcu robił trudności w przyjmowaniu, jakby jaki rotmistrz kawalerii narodowej. A była w nim jakaś żyłka uczciwości. Pewnego majątnego obywatela syn, już pod wąsem, do szkół jezuickich w Zytomierzu chodzący, za jakąś psotę w szkole obatożony, tak silnie to uczuł, że pałając zemstą, do niego chciał przystać. Ale on nie chciał korzystać z unie- sienia rozpacz, owszem, zreflektował go, przekładając, że mu, będącemu szlachcicem, a zatem ze stanu wyłącznie poważanego w kraju, nie przystoi zostać wywołańcem jak oni, co gdyby nawet i pocziwie chcieli się prowadzić, dla ich urodzenia żadnego dobra spodziewać się nie mogą. I tak ukojony chłopiec do ojca powrócił. Pawlik do takiej zuchwałości przy- szedł, że otwarcie z ekonomiami w umowy wchodził i one mu się opłacały. Niektóre corocz- nie mu haracz dawały, jakby jakiemu krymskiemu chanowi, lękając się napaści. Kahał piatęc- ki płacił mu pięćset złotych na rok, które pobierał w jego imieniu garncarz miejscowy, jego kum; a z tego nic mu się złego nie stało, bo ekonomia piatECKA nie śmiała go o to napastować.

- Panie poruczniku - mówił do mnie - nie myśl pan, bym tylko był rozbójnikiem wojen- nym; masz we mnie wielkiego sprawcę sprawiedliwości. W całej Polsce przy mnie jednym jest jurysdykcja między dziedzicem a chłopem. Jako dziedzic lub ekonom ukrzywdzi chłopą, a ten do mnie się uda ze skargą, zaraz posyłam, żeby mu sprawiedliwość zrobiono, z groźbą, że inaczej tydzień nie minie, a tok

z dymem pójdzie. Z początku ze dwa razy, dla przykładu, com przyrzekł, tom dotrzymał; ale chwała Bogu nie masz teraz potrzeby tego ponawiać, bo w całej okolicy nikt już chłopca nad inwentarz nie zażywa.

Cóż powiecie, panowie bracia! Trzy doby bawiłem u Pawlika na gościnie, nie z musu, ale z własnej ochoty; bo jeszcze tej samej nocy przybyli hultaje z Cudnowa odesłani, z listem do mnie od szanownego łowczego, w którym tysiącnie robił deprekacje, że z jego powodu tyle przykrości doświadczyłem, i prosił, bym na bonifikatę mojej szkody przyjął od niego dwa- dziesięć koni z rynsztunkiem, które mi odeszły do Budy. A lubo jam go potem zapewnił, że Pawlik wrócił mi, co był zabrał, poczciwy łowczy swojej ofiary nie cofnął i odesłał mi dwu- dziesięć jeźdźców, którychem Jeneralności przedstawił swojego czasu. Mimo siebie puszcza-

jąc wszelkie bezprawia, jakich nieraz Pawlik się dopuścił, tyle go znalazłem gościnnym i do- brze względem ojczyzny myślącym, że pomyślałem sobie, *Deus me custodiat*: Czego mi wchodzić w cudze postęпки? Wszak Duch Święty powiedział: Nie sądź, byś nie był sądo- nym.

I tak przez trzy dni ugościwszy odprowadził mnie Pawlik do Szyjeckiej Budy, gdzie po- woli zbierałem mój oddział i nowo zaciężnych uczyłem obrotów, a on ciągle o wszystkim mnie donosił, że ani patrolów, ani placówek nie potrzebowałem wysyłać.

Nie na tym koniec. Razu jednego, wzięwszy mię na stronę, mówi:

- Panie poruczniku, między swoimi więcej trzydziestu ludzi wyrozumiałem, że myślą tak jak ja: wszyscy chcemy do pana przystać i ojczyźnie służyć.

- Od Pana Boga wasza myśl natchniona; nic świętszego!

- Ale ja panu przyznam się, że na mnie w grodzie żytomierskim leży dekret. Jak do pana przystaniem i pójdziem dalej, a kto z tych stron mnie pozna, to żeby mnie czasem konfедера- cja nie kazała powiesić.

- Pluń waćpan na to! A co to ja malowany, żebym dopuścił, aby skrzywdzono takiego, co pode mną służy? Już masz zasługi, których pewnie nie zamilczę. A jeśli jest jaki dekret, ten był ferowany na Pawlika, herszta rozbójników, a nie na Pawlikowskiego, prawdziwego syna ojczyzny i jej zasłużonego dowódcy oddziału ochotników, walczącego w konferedacji za wolność i wiarę zawiązanej: bo już jesteś dla mnie Pawlikowskim i ciebie inaczej nigdy nie nazwę.

- A jeśli Pan Bóg dopisze, a pokaże się, że się zdał na coś, czy konfederacja wyrobi mnie potwierdzenie tego nazwiska i szlachectwo?

- Ani wątp o tym. Jak dobrze pójdzie, konfederacja w sejm się zamieni i wszystkim zasłu- żonym da nobilitację. Tak Pan Bóg przykazał i były takie przykłady. A nim do tego przyjdzie, kto będzie wiedział, jaki twój ród? Ja przed starszym przedstawię cię jako szlachcica z Pole- sia, który moją prawą ręką jest; a kto mi odważy się kłamstwo zadać, z tym ja się rozprawię: a porucznika piatehorskiej chorągwi w kaszy nie zjeść.

Pawlik jak długi padł mnie do nóg i nazajutrz on i przeszło trzydziestu jego ludzi przede mną przysięgę wykonali. Tak tedy, kiedy pana Puławskiego w Berdyczowie oblegano, mia- łem więcej sta młodzieży łebskiej, na dzielnych koniach, należycie uzbrojonej i odzianej. Chciałem mu iść na odsiecz, ale Pawlik mnie przekonał, że na kilka tysięcy regularnego woj- ska, opatrzonego w armaty, próżno by było z naszą garścią o jakąś korzyść się pokuszać. Czego innego wkrótceśmy potem dowiedzieli. Pan Puławski, broniąc się w Berdyczowie, tuszyl, że go wybawi ogólne powstanie z Kijowskiego i Wołynia; ale panowie: Stępkowski, regi- mentarz jeneralny wojsk królewskich, i Branicki, wówczas łowczy koronny, oba zauszni króla Poniatowskiego, zniósłszy się z Moskwą, w Kijowskim nie dopuścili powstania, a co się tyczy Wołynia, szlachta tameczna, rada, że między sobą rozchwylała ordynacją ostrogską, wcale nie życzyła sobie, by Rzeczpospolita została dość silną, aby o swoją własność mogła się upomnieć. Wolala więc, wedle swojego zwyczaju, patriotyzm przy kielichach wykrzyzczyć niż się skromnie poświęcić dla ojczyzny. Znany całej Polsce honor wołyński!

Tak więc pan Puławski siedział w forteczce karmelitańskiej jak mysz w pułapce: ni na- przód, ni nazad. Bronił się, jak mógł, ale widząc, że nie masz rady, o kapitulację prosił. I chy- ba głupi miałby

mu to za złe. Jakoś umowa z Moskalami była dobra, bo choć oddał forteczkę i broń, ludzie swobodnie mieli iść na Pokucie, gdzie konfederacja silnie się trzymała. Ale Moskał, zwyczajnie jak Moskał, słowa i podpisu nie dotrzymał - i rozbroiwszy załogę, jako jeńców wyprawił wszystkich do Kijowa. Otóż tu popisał się Pawlik. Bo jakkolwiek mnie to przypisują łaskawi przyjaciele, przed Bogiem zgrzeszyłbym przywłaszczając sobie cudzą zasługę. Z namowy jego poszedłem z nim dla odbicia naszych, chociaż ich pułk Dońców konwojował. Ale że on wszędzie miał swoje stosunki z poddaństwem, łatwo nam było przedzierać się między komendami nieprzyjacielskimi, bo każdy krok ich był nam wiadomy. Szli-

śmy więc manowcami, aby Kozakom zastąpić drogę od kijowskiego gościńca. Pod Prądkiem nie mogliśmy ominąć silnego oddziału Moskali; było tego blisko dwóch tysięcy i cztery armaty. Myślałem, że już po nas, ale przytomność Pawlika wszystkiemu zapobiegała. Bo gdy moskiewski generał kazał zapytać, co my za jedni, dokąd ruszamy i za czym rozkazem, Pawlik odpowiedział, że jesteśmy chorągiew wysłana do Lisianki przez pana regimentarza partii ukraińskiej dla ukojenia rozruchów tam wszczętych przez zbuntowane chłopstwo. W samej rzeczy już tam Zeleźniak koliszczyznę rozpoczynał; a przy tym posłużyło to nam bardzo, że nasi tak porządnie byli odziani, iż śmiało mogli uchodzić za kawalerią narodową. A że Moskała pana regimentarza mieli za swojego i nawet wyraźnie im było zalecono, aby we wszystkim z nim się znosili, jakoś nam uszło, że generał na tym poprzestał i szczęśliwej nam życzył podróży, sam w swoją stronę postępując.

My nazajutrz, kiedy już dobrze zmierzchało, o ćwierć milki od Chodorkowa spotkaliśmy Dońców prowadzących naszych braci; mnóstwo było wozów, na których wyprawiono broń w Berdyczowie zdobytą. Dopiero jak przypuścim na nich! Ani pomiarkować nie mogli, skąd ten piorun pada. Jednak bronić się zaczęli i strzelali z pistoletów. Aż tu nasi w ich rękę będący, spostrzegłszy, że o nich rzecz, dalej do wozów chwytać broń i uzbrajać się czym prędzej, zwłaszcza że chłopci przy rurach, gwałtem z wsiów pozabieranych, nie mogli dobrze życzyć tym napastliwym Kozakom i szczerze pomagali naszym dragami. Kozacy, kilkunastu swoich utraciwszy, niewiele myśląc, w nogi!

Tak odbiliśmy pana Puławskiego i cały prawie garnizon berdyczowski; a Pan Bóg nie dopuścił Moskałom, aby się cieszyli ze swojej zdrady, zatrzymując jako brańców tych, co obowiązali się swobodnie puścić. Pan Puławski, szczęśliwy, że za naszą pracą a Rzeczypospolitej szczęściem do wolności wrócił i nadal ojczyźnie mógł być pożytecznym, na moje przedstawienie mianował porucznikiem w moim szwadronie pana Pawlikowskiego - i odtąd pod tym nazwiskiem między nami kursował. Sprawiedliwie dano mu drugi stopień w szwadronie, bo on najwięcej się przyczynił do jego utworzenia.

Pan Puławski, nad nami objąwszy dowództwo, prowadził nas ze zwykłą jemu odwagą i przezornością. Po drodze u szlachty tyle koni ponadostawał, że spieszonych żołnierzy nowo w jeźdźców przekształcił i szczęśliwie złączył się z JW. Potockim, podczaszym litewskim, na Pokuciu.

A poczciwy Pawlik skończył, właśnie jakby dla usprawiedliwienia przysłowia, że kto ma wisieć, nie utonie. On utonął, bo nie miał wisieć, jak chciał lego kiedyś gród żytomierski. Kiedy uchodząc na Pokucie przed Moskałami, wpływ rzeprawialiśmy się przez Zbrucz, trzeba było takiego nieszczęścia, żeśmy jednego tylko utracili człowieka, a tym właśnie był Pawlik. Widno, że koń, w którego ufał, musiał go zawieść; bo kiedyśmy na przeciwnym brzegu stanęli, ani Pawlika, ani jego konia już nie ujrzeli; a własnymi oczami widziałem, jak był skoczył w rzekę. Szczerześmy go żalowali, ale cóż, kiedy taka była wola Boża! Wierzajcie, panowie bracia, mnie staremu, że gdyby nie był marnie zginął, wysoko by zaszedł; bo to był rodzimy żołnierz, a do tego całą gębą kawalerzysta.”

PAN RYŚ

W naszej niegdyś Polsce, jak wszędzie, ale szczególnie u nas, fortuna się na kole toczyła: raz była na wierzchu, raz na spodzie, aby nikt się nie pysznił ani rozpaczał. Zdaje mi się, że Pan Bóg tak przykazał i że to powinno być wszędzie. Stąd wedle mizernego mojego pojęcia nie chwali się owym narodom, niby od naszego kształtowniejszym, gdzie tak prawodawstwo urządzone, ażeby magnat nie obawiał się utraty kiedykolwiek swego magnactwa, a

chudy pacholek nigdy się nie cieszył nadzieją wyniesienia się na magnata. Gdyż pierwszy ma obwarowaną ordynacją, którą po nim starszy syn odziedzicza, a młodszy, na okruszynach ojcowizny zmuszeni poprzestać, albo do stanu duchownego bez istotnego powołania wstępują, albo idą do wojska, uciekając od stanu małżeńskiego; bo wedle ich wyobrażeń, ani żony utrzymać, ani dziatwy wychować stosownie do swego rodu nie mogą. A uboga szlachta, choć równa w zacności, ale nie poparta naczelnictwem możnego ordynata, wstydząc się rzemiosła i kupieckich frymarczeń, cierpi niedostatek obok stanów podlejszych, zacierających ją ciągle wzrastającymi bogactwami. U nas, jako nieraz patrzyło się na potomka magnatów zmuszonego ubóstwem cudzy a służebny chleb pożywać, tak też i chudy pacholek, bywało, na magnata wychodzi i orderzy dostaje, i do krzesła się dochrapie, i z mitrami się koligaci. Bo jak powieje wiatr szczęścia na polskiego szlachcica, Bóg wie, gdzie się on zatrzyma; potem, wzbivszy się w górę, ród jego czasem podupadnie, a podupadłego magnata potomek znowu się podniesie. I tak ciągle szło u nas, by nikt w szczęściu nie śmiał pomiatać tymi, co mniej pomyślną dolę mieli. U nas, jak wszędzie, niewiele było znacznych, ale u nas jednych wszyscy byli zacni. Stąd, kiedy minister czy senator swojego szlachetnego sługę lub okolicznego szlachcica nazywał bratem, ten czuł dobrze, że to nie było zwrotką obłudnej grzeczności, ale wyznaniem rzetelnej prawdy. Szeroko o tym bym mówił, ale na co się to przyda? Wszystko się już skończyło. A zresztą, choćbym się rozszerzył, czy mnie rozumieją? Teraźniejszy świat czegoś niby chce, do czegoś dąży, ale sam nie wie, do czego, i dojdzie tam, gdzie się nie spodziewa. Ale porzućmy o tym! Nie jestem prorokiem, by rozprawiać o przyszłości, a wolę o tym pisać, na co patrzyłem.

Moi rówiennicy, których już niewiele, pamiętają jeszcze w Nieświeżu sławnego organistę Rysia; ba, po dziś dzień w kościele Świętego Krzyża co niedziela święto dają się słyszeć organy jego roboty. Nazywano go ordynatem nieświeskim, bo on był piątym czy szóstym, syn po ojcu, organistą farnego kościoła, a ta jego funkcja niezgorszym kawałkiem chleba była uposażona. Miał i półwiecze ornego gruntu, i piękną łąkę, i sad przy porządnym dworku, i trzysta tynfów, które wedle fundacji corocznie od kahału nieświeskiego pobierał. A koledy? Wszakże opłatki, co pod koniec adwentu rozwodził po rodzinie książęcej, zaczynając od Nieświeża, a kończąc na Kojdanowie, za nie lada folwarczek stać by mogły. Ekspensy prawie żadnej, bo w domu organista żył sobie zwyczajnie jak służka kościelny: to się zjadło, co się na gruncie urodziło, a choćby urodzaj chybił, od czegoż parafianie? Synowi sam dyrektora; jeżeli miał jakiś wydatek, to jedynie na utrzymanie galowego ubioru, który w dni świąteczne wdziewał; bo co dzień i w domu chodził sobie w szaraczkowej opończy, jak okoliczny szlachcic. Ale na jego galową suknię warto było popatrzeć, kiedy na szarym końcu za stołem księcia hetmana w niej zasiadał, ile razy wypadała jaka uroczystość czy kościelna, czy rodzinna. Kontusz z aksamitu czarnego, żupan atlasowy tejże barwy, pas sakiewny srebrny, a na tym wszystkim z czarnej krepy krótki płaszcz na kształt paliusza i doktoratka; bo gdy organisci, jako ludzie kościelni, nie noszą szabli, płaszcz krepowy i doktoratka były dla nich oznaką dystynkcji. Książę hetman go lubił, a szczególnie brat jego, książę chorąży, który sam niezgorzej grywał na organach i nimi często się bawił, chwalać Boga w swojej kojdanowskiej kaplicy. Ten zawsze nazywał go żartując swoim

kolegą. A trzeba wiedzieć, że Rysowie byli z dobrego rodu, nawet tym samym herbem pieczętowali się co i Pocięje. Że o tym dobrze wiedział nasz Ryś i umiał to cenić, więc czy u książąt paradnie występował, czy w kościele Panu Bogu śpiewał z wtórem, czy koło gospodarstwa się krzątał, zgoła, czy w aksamicie, czy w szaraczkę, zawsze tak się nosił, by choć trochę przynajmniej dawały się widzieć karmazy- nowe hajdawery. A miał swoje koncepta, którymi i za uczonego, i za krotofilnego uchodził. Jakoż nie bez tego, żeby odbywszy organistowskie wychowanie, nie był więcej z książkami obeznany niż ludzie światowi- Razu jednego, kiedy JW. Rejten, podkomorzy nowogródzki, zjechał do Nieświeża dla rozgraniczenia Rudawki, majątku jezuickiego, z ordynacją, do której sprawy wchodził i Ryś, bo właśnie jego łąka była na samym pograniczu, kilkanaście osób

obiadowało u JW. podkomorzego w polowej karczmie, gdzie był założył swoją jurysdykcją. Ponieważ gospodarz kazał sobie służyć i Rysiowi, siedział on za stołem z innymi, nie omieszkawszy przywdziać swojej doktoratki. Gdy więc, jak to zwykle biesiadując, a zwłaszcza po prawniczych mozołach, szukano w dyskursie rozrywki, jakos zapytał podkomorzy, skąd to że Wielkanoc raz tego dnia, raz owego, nie tak jak Boże Narodzenie, co regularnie na dzień 25 grudnia przypada. Wszyscy przytomni brali to na rozum, a żaden nie umiał objaśnić, nawet umocowany ojców jezuitów, lubo obcując często ze swoimi pryncypałami, mógł więcej niż inni znać kalendarzowe statuta. Kiedy tak wszyscy w rozumowaniach się plątali, spostrzegł podkomorzy, że Ryś, śmiejąc się, ramionami wzruszał; ku niemu więc obrócił mowę:

- A cóż to, szukamy, jak widzę, niedźwiedzia poza lasem. To waścina rzecz, panie organisto, bo księdza nie masz między nami. Wolalbyś nas oświecić niż ramionami ruszać jak półmędrak między żakami.

- *Nemo sapiens nisi patiens*, JW. panie - odpowiedział Ryś powstawszy i nisko się skłoniwszy. - Dwa lata trzeba chodzić na teologią, żeby pojąć, co to jest kalendarz, i to jeszcze daj Boże!

- Chociaż my teologii nie umiemy, czemuż po ciwuńsku nie masz nam rzeczy tłumaczyć? Czy to raz nam wypada mówić babie o prawach, kiedy ma proceder, a choć w palestrze nie była, jakos umiemy robić je dostępnymi do jej mózgowicy. Bo kto co sam zna tak, jak potrzeba, ten łatwo objaśni nieświadomych.

- Kiedy wola JW. pana, to więc wyłuszczę moją rzecz. Kalendarz przepisuje dla pożytku ziemi to, co Pan Bóg napisał na niebie; bo każda gwiazda jest literą. Podczas oktawy przesilenia dnia z nocą kanonicy katedralni wraz z JO. pasterzem czytają na niebie, a co wyczytają, to i zapisują: z tego kalendarz i rubrycele, z tego kantyczki. Bo wszystko w kościele Bożym nakręcone jak godzinnik: kanonicy piszą, plebani czytają, organistowie śpiewają i grają, wierni wtórują, a tak wszystko się obraca na chwałę Bożą i pożytek ludzki.

- Daj go katu! - odpowiedział podkomorzy, - Wielki z waści mędrzec, jak widzę, panie organisto. Z tym wszystkim winszuję temu, kto waści zrozumie, a jeszcze więcej temu, kto z tak licznym abecadłem tyle się obezna, iż się w czytaniu nie pomyli.

- I bardzo się mylają, JW. panie. Bazylianie na przykład, że nie tak umieją czytać jak nasi, toteż kalendarz Rusinów nicpotem. Albo naszym nawet nie natrafia się, że nie wyczytawszy, jak się należy, niebieskiego pisma, obiecują na dzień ten lub owy pogodę, a tymczasem deszcz, jakby na złość? Na co daleko szukać: terażniejszego roku, jak zapewniał *Kalendarz wileński*, gryka miała nam urodzić, a posucha tak ją wysmała, że onegdaj na kiermaszu w Stołowiczach ośmię po trzy tynfy płacono. A to wszystko dlatego, że książe biskup wileński pojechał do Rzymu *ad limina Apostolorum*, a kanonicy bez pasterza lada po jakimś czytali.

Pan podkomorzy na takowe objaśnienie parsknął od śmiechu, bo był sam uczony; ale niejednemu musiał się klin w głowę zabić i ta dykteryjka o Rysiu długo powtarzała się na dworze nieświeskim. Dość, że organista Ryś, dudlając po klawiszach a jeżdząc po kołędach, uzbierał sobie kilkadziesiąt tysięcy, które spadły na jego syna. Ale ten odstąpił ojcowskiej spuścizny dalszym a ubogim krewnym, gdyż nie dawszy się namówić do rzemiosła ojcowskiego, znalazł dostatki w innym zawodzie, przez co organy nieświeskie,

blisko od półtorasta lat dziedzicznie należące do Rysiów, wyszły z ich domu, a co przewidując, stary mocno się martwił. Trzeba wiedzieć, że wszyscy Rysiowie żenili się zawsze z córkami organistów, a swoje córki za ich synów oddawali, tak iż kiedy naszemu urodził się syn, księżę chorąży, co go do chrztu trzymał, przed ceremonią słusznie żartem powiedział:

- Ten chłopczyk kantyczkową nutą kwilić będzie, bo z miecza, jako i z kądzieli samych tylko organistów w genealogii rachuje.

Ale ten żart w sprawiedliwą wróżbę nie został obrócony. Wszystkie zabiegi ojca, by z syna mieć pomocnika, a kiedyś następcę, na nic się nie przydały. Lubo od piątego roku życia już go zaczął poufalić z organami, lubo przez dwa lata może mu jakie tysiąc batogów sypnął, by

napędzić ochoty do muzyki - ani jednej nuty Karolek nauczyć się nie mógł, co tym więcej martwiło ojca, iż go Bóg dalszym potomstwem nie udarował.

Gdy Karolkowi siódmy rok się skończył, Ryś, sporządziwszy pozytywek dla księcia cho-rażego, któremu imię było Karol, pojechał z synkiem do Kojdanowa na sam dzień św. Karola, by Karolek wręczył go JO. ojcu chrzestnemu jakoby na wiązanie. Ale księcia w zamku nie zastali, bo ten krył się przed swoimi imiennikami w Starczyca, gdzie miał domek wiejski, a raczej folwark, porządnie zabudowany, gdyż będąc wielce oszczędnym, tych zjazdów u siebie nie lubił. Pojechał więc Ryś do Starczyca, zawsze z synkiem, sam w swoim paradnym ubio- rze, a synek z pozytywką w ręku i z pałasikiem u boku. Zajechawszy pod bramę, wysiedli oba z wózka i szli sobie ku folwarkowi. Książę siedział za oknem i patrzył się na dziedziniec. Kiedy chłopczyk za ojcem zbliżał się do ganku, żuraw przyłaskawiony, ale nieco napastliwy, zapędził się za nimi. A wtem Karolek, rzuciwszy pozytywek, dobył szabelki i jak palnie żu- rawia po szyi. powalił go o ziemię. Staremu aż mrowie przeszło po stawach - i nie dziw, bo jeszcze na Litwie taki się nie był narodził, co by nie drżał przed księciem chorążym, nie wyj- mując księcia hetmana, lubo ten był jego bratem, starszym i latami, i urzędem. Cóż dopiero miał czynić chudy pacholek! Ale książę wyszedł na ganek, za boki trzymając się od śmiechu:

- Zucha przywiozłeś do mnie, panie kolego. Dziękuję za pozytywek, ale do niego musisz mi dodać ptaszka, co z nim się stawi. Ja go umieszczę między moimi paziami i posunę go z czasem, że mu nigdy na kęsie chleba nie zabraknie, Sam widzisz, że on nie do klawiszów stworzony.

I tak stary odjechał jeden do nieświeskich organów, a Karolek został na dworze księżęcym. Książę miał czterech paziów, synów majątnych obywateli; ubogie Rysiątko zostało piątym. Tamci od rodziców miewali częsty i suty grosz, a Karolek, tylko ubiór z łaski księcia dosta- jąc, nie miał ani szeląga przy duszy. Ale wkrótce dał sobie radę, że kiedy niekiedy grosiwo kolegów do jego kieszeni się przenosiło, a to tym sposobem: książę chorąży po obiedzie, nie- co podochocony, miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a paziowie w przedpokoju pilnując go grywali sobie w halbecwelfa, żeby im czas schodził. Jakże Karolkowi z nimi grać bez pienie- dzy? Otóż taką grę pustaki wymyślili. Paż stawi naprzeciwko Karola pięć, dziesięć czy tam wiele tyńfów: kiedy Karolek wygra, pieniądze jego; kiedy skrewi, musi księcia pijanego i sennego kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile tyńfów szło na kartę. Czas niejaki mu się uda- wało; ale jednego razu, gdy książę, uderzony, przebudził się, sądny dzień zrobił się w Kojda-

nowie.

- Kto ciebie, hultaju, do takiej zabawy namówił? -zapytał książę Karolka.

- Ja sam siebie namówił - odpowiedział chłopiec nie zmieszawszy się.

- Kiedy mnie tak zuchwale odpowiadasz, obaczymy, czyje będzie na wierzchu.

I natychmiast kazał mu pięćset łóz odliczyć, bo wiadome były porcje księcia chorążego. Prawdziwie rysią miał naturę Karolek, że nie skonał z bólu, ale tak się zaciął, że ani jęknął. Książę, co był świadkiem egzekucji, lubo z przyrodzenia twardego serca, powiedział:

- Jednak to niepospolite chłopię.

A po skończonej kaźni zapytał go niby łagodniej, chociaż taka

łagodność u innego ucho- dziłaby za największe uniesienie:

- Z jakiego powodu, łotrze, śmiałeś twojego pana znieważać? Ten mu na to:

- Cóż miałem robić z biedy? Wszyscy paziowie mają pieniądze, a ja, będąc chrestnym synem księcia pana, od czterech lat, co mu służę wiernie, jeszcze szeląga nie dostałem.

Książę natychmiast darował mu pięćset tynfów, właśnie tyle, ile łóz dostał, i postąpił go na pokojowego, z oznaczeniem trzechset tynfów rocznej lafy, by swój nos nadal od szczutek ochronić.

Jak wyrósł Rys, został dworzaninem i coraz więcej wznosił się w łaski swojego pana dla wierności, odwagi, a szczególnie siły, bo podkowy łamał jak trzinę, a szablą tak robił, że

chyba jeden Wołodkowicz mógłby mu dotrzymać. Pojedyńki miewał częste, bo był zuchwały. Będąc dworzaninem księcia chorążego, gdy młody książę Karol Radziwiłł, później wojewoda wileński, a wówczas miecznik litewski, przy kielichu powiedział mu:

- Panie kochanku, pókiś przy ojcu siedział, nazywano ciebie Rysiem, ale odkąd przyłaska- wiono na dworze mego stryja, powinieneś nazywać się kotem, bo kot jest ryś swojski - tak się Ryś oburzył, że ani go zastanowiło, iż sprawa była z synowcem i spadkobiercą jego pa- na. Wręcz mu powiedział:

- Ja nie waszej książęcej mości chleb jem, ale jego stryja; a moja służba nie rozciąga się do tego, bym od całego domu mego pana miał przegryzki znosić. Ja taki szlachcic jak i książę, a że mój ojciec głośniej Pana Boga chwali, książę przeto nie masz prawa przekreślać mego nazwiska, ile żeś mi go nie dał, i proszę natychmiast ze mną się rozprawić.

A książę, lubo przed Bogiem i ludźmi mógłby się wymówić z nieprzyjęcia wyzwania od dworzanina swojego stryja, jednak że sam był tegim do korda, rad będąc spróbować się z gra- czem, za jakiego uchodził pan Ryś, ile że go miał za dobrego szlachcica, pomimo perswazji swoich sług i przyjaciół dotrzymał placu, z niemałą szkodą swojego zdrowia; bo takie cięcie dostał wyżej łokcia, że kilka niedziel z izby nie wychodził. Książę hetman, chociaż srogim był dla syna, tyle to uczuł, że pojechał do Kojdanowa skarżyć się przed bratem, iż jego dwo- rzanin syna mu okaleczył. Jeno książę chorąży mu odpowiedział:

- Niech książę brat da temu pokój. Nasz miecznik tak mi jest miły jak samemu księciu, bo nie mając dzieci, mam go za syna i dla niego pracuję. Ale sam się żalisz, że jest niespokojne- go umysłu; więc jak raz i drugi oberwie za swoje, to może się opamięta. Na koniec, za co mam karać Rysia, kiedy urodziwszy się szlachcicem, postąpił po szlachecku?

I tak ta burda nie zaszkodziła Rysiowi, nawet na przyszłość; bo jak książę Karol odziedzi- czył Nieśwież, jedną z pierwszych jego czynności było posłać jemu mundur albeński, a po śmierci stryja przywiązał go ściśle do swej osoby. Wkrótce po tym pojedyńku książę chorąży, jakby dla okazania, iż przeciw niemu sierdzystości w sercu nie miał, wypuścił mu dożywo- ciem Wilczyznę, wioseczkę niewielką, a pół mili od Kojdanowa, ale z dobrymi gruntami. Ta wspaniałość księcia wydawała się tym dziwniejszą, że ludzie z większymi i dawniejszymi zasługami nic u niego wskórać nie mogli, gdyż on był z małej liczby Radziwiłłów, co tylko o sobie pamiętali.

Ryś bynajmniej nie poprzestawał na dochodach swego folwarku i znaczne długi porobił, a wszystko na stroje, bo niczego nie oszczędzał na przyozdobienie swojej osoby. I była tego warta: kiedym go poznał, to już był niemłodym, a jednak jeszcze tak pięknym, że nie można się było na niego napatrzeć. Toteż, sam wiedząc o tym, lubił ozdobnie się pokazywać. Ledwo nie co dzień co innego było na nim. Nikt ani tak litych pasów, ani tak kosztownych spinek, ani tak pięknych aksamitów i lam nie miał, a wszystko z dziwnym smakiem umiał zastoso- wać. Nadzwyczajne przy tym miał szczęście do ludzi: zawsze będąc w potrzebie, ustawicznie prosił o pożyczenie pieniędzy i zawsze ich dostawał, bo każdy, jakby oczarowany prośbą, dawał, nie pytając o ewikcję. Co większa, choć ledwo dwudziesty czwarty rok mu się koń- czył, choć żadnego, by najmniejszego urzędnika nie miał w swojej koligacji, choć morga

ziemi dziedzicznej nie posiadał, a miał długów więcej niż włosów na głowie, przecie został obrany deputatem z województwa mińskiego na trybunał litewski pod laską księcia Karola Radziwiłła, właśnie jakby się urodził książątkiem lub jaśnie wielmożnym synem. A choć w urzędowaniu więcej pilnował tańców niż dokumentów, ta deputacja była powodem, iż rap- townie został możnym.

W Wilnie, gdzie w tym roku agitował się trybunał litewski, bawiła na opiece u stryja panna Kietliczówna, córka owego sławnego facjendarza Kietlicza, który prawie z niczego zaczął, ogromny majątek zostawił małoletniej swojej jedynaczce. On to w czasie siedmioletniej wojny więcej miliona zarobił dostarczając żywność wojsku moskiewskiemu, ciągnącemu przez Litwę do Prus. A ta córka była tak dobrze jak zaręczona już panu Łopotowi, któremu

szczególnie sprzyjał opiekun panny. Ale jak ją poznał nasz Ryś, wkrótce ją odkochał. I nie dziw. Bo pan Łopot, acz zacny i godny kawaler, ale jedynek, w możliwym domu wychowany, był sobie zwyczajnie papinka: wszystkiego się obawiał; lada wietrzyk, bywało, nie wyjdzie na podwórze, jeno z twarzą w pieluchy obwinietą; a kiedy w piątek ryby zje odrobinę, to już nazajutrz kilku doktorów przy łóżku. A panna - *hic mulier* i bekasy w lot biła, i zająca szczywała, co koń mógł wyskoczyć, istny dragon w spódnicy, a z tym wszystkim urodziwa. Jakżeby ją było sprząć z panem Łopotem! Ryś z nią - to dobrana para. I dlatego też rychło się tak pokochali, że pomimo najpewniejszych nadziei pan Łopot odkosza dostał i wyjechał sobie z Wilna, pomiarkowawszy, że chyba szablą wypadnie pannę zdobywać, a to z Rysiem była rzecz trochę ryzykowna. Zostawały jakie takie trudności do przełamania ze strony opiekuna; ale gdy mu pan Ryś bąknął, że czy wola stryjowska, czy nie, wcześniej lub później panna jego nie ominie, a zatem, jeżeli mu będzie niezyczliwość okazywał, potrafi to odwetować, gdy przyjdzie mówić o rachunkach z opieki, tak pana stryja zbił z tropu, że sam mu został swatem. W istocie odwdzieczył się pan Ryś po ślubie, najdelikatniej asystując żonie w zakwitowaniu opiekuna ze wszystkiego, o co prosił, gdyż i bez tego ledwo nie pańska fortuna dostała się w ich ręce.

Już księżę chorąży nie żył, a pan Ryś przeniósł swoją wierność i przywiązanie do księcia hetmana i lubo około dwudziestu folwarków posiadał, nie przestawał siebie liczyć między sługami Radziwiłłowskimi. Tytułowano go strażnikiem mińskim i był powszechnie poważany w całym powiecie, bo był gościnnym i uczynnym, choć zawsze burzliwym. Mając na przykład sprawę z księciem Radziwiłłem żyrmuńskim, starostą lidzkim, gdy umocowany księcia w indukcje przed ziemstwem lidzkim uszczypnął go wzmianką o organach nieświeskich, tak się oburzył, iż na ustępie zaczął samemu księciu cierpkie robić wymówki; a kiedy księżę, ufny w swoje imię, wyrzucił mu, że tak długo będąc wykarmiony Radziwiłłowską pieczenia, nie zachowuje winnego względu dla członka rodziny, z której powstał, pan Ryś odważył się odpowiedzieć publicznie:

- Byłem i jestem sługą Radziwiłłów, ale orłów, a nie kobuzów. Co to księżę ze swoją lada jaką mitrą występujesz, jakbyś był co lepszego ode mnie! Radziwiłłów panów to tylko w linii nieświeskiej i trochę w kleckiej znamy; a wy, żyrmuńscy, pokażcie no senatora między wami. Księżę chorąży, mój nieboszczyk pan, żadnego z was gołą ręką by nie dotknął, ażeby świerz- by nie dostać!

I podobnymi przygryzkami tak go wziął oprymować, że biedny księżę ledwo uciekł.

Z początku miał zwyczaj pan strażnik do korków żony strzelać; ale ona go od tego od- uczyła, bo trafiła kosa na kamień. Razu jednego, gdy w sypialni, porwawszy za pistolet, za- bierał się do korków jejności, ona, będąc wtedy brzemienną, powiedziała jemu:

- Jużem cię kilkakrotnie prosiła, żebyś mnie uwolnił od tych twoich popisów. Idź sobie do masztarni gwoździe kulami zabijając, a moich korków nie psuj.

- Jeszcze ten raz ostatni, kochanko. Pozwól wypróbować moich pistoletów. Ale ta porwała drugi pistolet, na skrzynce leżący, i odwiódłszy kurek:

- Słuchaj, Karolku - mówi - jeżeli mnie korek ustrzelisz, to ci natychmiast takim sposobem pas rozwiążę.

Pan strażnik myślał, że żartuje: pat! do pięty jejności i w sam

korek trafił; on z pisto- letu ubiłby muchę na nosie niedźwiedzia. A jejmość, niewiele myśląc, jak da także ognia, i rzeczywiście pas mu rozwiązała. Pan strażnik pochwalił zręczność żony i rączki jej ucałował, ale odtąd rozejm zrobił z jej kórkami. Tak dobrane małżeństwo nie mogło się nie miłować wzajemnie; ich pożycie, nawet za dawnych czasów, było do przykłądu. Toteż kiedy pani strażnikowa pożegnała męża, powiwszy mu jedyną córeczkę, on ledwo że nie zupełnie rozum utracił z żalu i gdyby nie wielka jego wiara, byłby sobie życie odebrał. Łbem tłukł się o ścia- ny, rady dać sobie nie mógł, więcej roku okrom swojego plebana nikomu się nie dał widzieć, nawet był brodę zapuścić; a tak zaniechał gospodarke, że gdyby ówczesni słuźy byli takiego

sposobu myślenia jak dzisiejsi, majątek w puch rozbitym by został. Zgoła tak zdziwaczał, że familia nieboszczki już zabierała się do odezwania się względem opieki nad dzieckiem i majątkiem, który był pański, bo, już z siebie potężny, bez wielkiej pracy sam wzrastał. Na koniec ocknął się pan strażnik ze swojej melancholii. Testament, jak się należy, sporządził, opiekunem nad sobą i majątkiem dziecka zrobił pana podkomorzego Rejtana, a zostawując sobie sto tysięcy do wolnego rozporządzenia, sam wstąpił w Wilnie do nowicjatu jezuitów. Tam, jak mu ogolili brodę a wzięli go na refleksję, jakoś się opamiętał; bo największy żal się umityguje przy prawdziwej pobożności i perswazji ludzi roztropnych. Wszakże ja sam więcej jeszcze miałem powodu rozpaczać po mojej Magdusi. Do trzydziestu lat z nią przeżywszy, nie tylko że doświadczałem doli pomyślniej, jak państwo strażnikowstwo przez te lat kilka, co z sobą mieszkali; ale doznałem z nią pospołu i niemałych bied, pokądeśmy do dobrego nie przyszli; a wiadomo, że związki serc więcej się ściskają współnictwem niedoli niż pomyślności. Przecież dusza, przepelniona goryczą, znalazła na koniec tyle siły, aby Bogu ofiarować odebrany pocisk, a tym samym bez jakiejś pociechy nie została odprawiona. Tak i pan Ryś po gwałtownym żalu tyle się opamiętał, iż nawet poznał, że nie był powołany do zakonnego żywota, ale że na świecie wedle woli boskiej miał szukać zbawienia. Jakoż sami ojcowie jezuici przekonali go, że ani zgromadzenie z niego, ani on z surowej reguły pociechy mieć nie będzie. Ba, gdyby tylko w stanie duchownym chrześcijanin mógł być zbawiony, toć by się świat za kilkadziesiąt lat skończył albo należałoby odrzucić obrządek łaciński i wszystkim uniatami zostać dla zachowania rodu ludzkiego. Ależ znowu, gdyby wtedy bisurmanie napadli, nikt by się od jasyru nie uwolnił. Bo kim tu się bronić, mając jeno popów, diaków, popowiczów, ludzi ani z powołania, ani z wychowania niesposobnych do rycerskiego rzemiosła? A na koniec, kiedy odkąd świat stoi, inaczej się dzieje, więc dowód oczewisty, że wola Pana Boga, aby inaczej się działo. Dość że pan Ryś, że był wspaniałomyślnego animuszu, stu tysiącami nadawszy nowicjat wileński, aby go na świecie modlitwy ojców nie opuszczały, wrócił sobie zdrów do obszernego majątku, a habit zakonny zawiesiwszy na kołku, *de noviter* wdział kontusz rycerskiego stanu i z dawną wykwinnością w stroju często gościł na dworze nieświeskim, którym już władał książę Karol Radziwiłł, świeżo po śmierci ojca wyniesiony na województwo wileńskie. I tego pana szczególne a spadkowe łaski uzyskał, nie tylko przyjemnością obcowania, ale dowodami niepospolitej przychylności. Gdy bowiem wkrótce śmierć króla Sasa nastąpiła, a konfederacja w czasie bezkrólewia zawiązana, karząc księcia Karola za życzliwość dla domu saskiego, odsądziła go od województwa wileńskiego i od wszelkiej własności, jako nieprzyjaciela ojczyzny -książę, po zagranicznych ziemiach tułając się, nie miał innych dostatków, oprócz kosztownych sprzętów wywiezionych naprędce i serc swoich przyjaciół, a te go nie zawiodły, bo każdy wedle swojej możliwości o jego potrzebach pamiętał. Pan Ryś był z liczby tych, co się na j szczególnie j odznaczyli: on, na swoje dobra dwakroć sto tysięcy zaciągnawszy, całkowitą kwotę odesłał księciu do Włoch, chociaż zbyt śliska była nadzieja odebrania kiedykolwiek tej należności. Toteż kiedy rzeczy jakoś się ułożyły, a książę wrócił do obszernego dziedzictwa i do ojczyzny, miłszej mu nad wszystkie dziedzictwa, najściślejszą poufałością wywiązywał się panu Rysiowi z tak sowitych dowodów przyjaźni, bo czymże innym mógł okazać wdzięczność tak możnemu

obywatelowi, któremu już wówczas rachowa- no około dwóchkroć sto tysięcy intraty. Pan strażnik, mając jedynaczkę, a nadto miłując pa- mięć żony, by w powtórne związki miał się pętać, sprowadził madam, chociaż Francuzkę, ale bardzo roztropaną; na nią zdał wychowanie panny strażnikówny, ba, nie tylko wychowanie, ale cały dom, a sam ciągle w Nieświeżu bawił i szczęśliwie trafiwszy na sługi, którym mógł za- wierzyć, kiedy niekiedy dojeżdżał do rozmaitych swoich dóbr dla dowiedzenia się naprędce, co się z gospodarką działo. Tak tedy sobie hulał z bandą albeńską, bądź towarzysząc księciu wojewodzie na łowach, bądź tańcząc na często powtarzanych balach zamkowych, bądź wszystkich zadziwiając wykwinnością ubioru. Już za mojej pamięci, bywało, czy na wiecz- ry bachusowe, czy na św. Karol, czy na inne gale, nikt się naprzód dowiedzieć nie może, jak

ma pan Ryś wystąpić; a jak wystąpi, zawsze na nim coś nowego i nieprzewidzianego. To dopiero nasładowa go wykwinisnie. Bo kto z niego nie brał wzoru, tego nasze szlachcianki i panie nie miały za gustownie odzianego. Zgoła on był twórcą mód nieświeskich. Pinduszki, cośmy wszyscy, zaczynając od samego księcia wojewody, więcej dwóch lat nosili, były jego wymysłem.

Razu jednego, z powodu bierzmowania młodego księcia Hieronima, którego księżę wojewoda był bratem i opiekunem, gdy miała być uczta z tańcami w Nieświeżu, wszyscy ciekawi byli, jak wystąpi pan Ryś; bo wiedziano, że w podobnych okolicznościach umiał zawsze coś wymyślić, a modnisie nieświescy, jako to pan Michał Rejten, pan Leon Borowski, pan Piotr Wiazewicz i inni, starali się mieć to co i on na sobie. Ale starali się na próżno, bo zachowywał sekret najściślejszy, a nie było sposobu jego szatnego podkupić: raz, że był szczerze przywiązany do swego pana, po wtóre, że się go obawiał jak ognia. Otóż nie wiem, jakim środkiem, ksiądz Krzysztof Szukiewicz, nauczyciel księcia Hieronima, dowiedział się, ale w sam dzień bierzmowania, że pan Ryś miał wystąpić na wieczorne tańce w butach z najpiękniejszego żółtego atłasu, które na sprzążeczce miały być ściśnione poniżej kolan, aby mu gładko wyglądały spod kusego kontusza. Namówić współzawodników w wykwinności, aby w podobnym obuwiu wystąpili, było już za późno, gdyż nie wystarczało czasu na sporządzenie tego stroju; ale ksiądz krotofilny robi mu następną psotę: między pokojową szlachtą księcia wojewody był pan Tadeusz Scypion, ze starożytnego domu, bo aż od dawnych konsulów rzymskich wywodził swoją procedencją, ale tak ubogi, że jego matka żyła na gruncie nieświeskim z ordynarii, którą jej wyznaczył ksiądz, zawsze protektor podupadłej szlachty. Pan Tadeusz utrzymywał się ze szczupłej lify, co ją jako pokojowy pobierał, a przy tym, że miał piękną rękę, iż jego pismo za istny sztych uchodzić mogło, pisał, bywało, supliki do księcia od poddanych, bojarów, Żydów i innych podwładnych, z czego także miał siaki taki przychód. Ale grosz grosza nie dopędzał, bo trzeba było co dzień odziewać się przyzwoicie, a ubogą matkę, czym mógł, wspierał. To był całą gębą poczciwy i szlachetny chłopiec. Od kilku miesięcy jednak szły mu interesa pomyślniej, gdy ksiądz, upodobawszy sobie jego pisanie, zlecił mu, aby księcia Hieronima uczył formować charakter, przez co też codzienne miał stosunki z księdzem Szukiewiczem. Nietrudno było nakłonić do figla dziewiętnastoletniego młodzieńca, zwłaszcza takiego, co w wesołości celował. Z namowy więc księdza, kiedy goście i domownicy zaczęli się zbierać na wieczorne asamble, pan Scypion, w przedpokoju między liberią schowany, z kwaczkim w rękę i z garnkiem pełnym dziegciu czatował na pana strażnika jak wyżeł na dubelta. Wchodzi nareszcie pan Ryś, z miną gęstą, cały lskniący się od złota i szkarłatu; jedna ręka oparta na karabeli w jaszczur oprawnej, druga przy prawym boku pieści kutas od czapki, łeb do góry zadarty. A tu przy podwojach pan Scypion kwaczkim bryzg, bryzg po butach, że aż zrobiły się pstrokate. Pan Ryś, nie wiedząc, co się z nogami dzieje, dalej sobie do sali, tak oświecone j, iż jaśniej było niż wśród dnia, wita się w prawo i w lewo i nisko skłoniwszy się księciu, dawaj koperczaki stroić do dam, zaczynając od sióstr księżych. Wtem słyszy wkoło siebie śmiech. Nie wie, co to znaczy; aż JW. generałowa Morawska, siostra księcia wojewody, do której właśnie się wdzięczył, odzywa się:

- Mój strażniku, co to koło ciebie czuć dziegieć! Czyż tobie na inne perfumy nie wystarczyło?

Pan Ryś zmieszał się, spuszcza oczy i jak spojrzy na swoje buty: desperacja! Pobladł ze złości i wstydu, bo o ubiór dbał jak o własną skórę - i tak się zaciął, że słowa, jakby skrzyple, z gardła mu wyleźć nie mogły. Na koniec zawołał:

- Kto mnie ukrzywdził?

A tu wszystkim jeszcze większy śmiech; książę aż płakał ze śmiechu patrząc na niego. Dopiero pan Ryś rozzłościł się bez miary i Bóg pamięta, co wygadywał.

- Biada temu - mówił - kto mnie obraził! Spod ziemi go wydobędę. Jeżeli to się zatai, to jakim sodalis, choćby cały Nieśwież miał przejść przez moje ręce, z każdym będę się strzelał i rąbał, póki nie trafię na diegciarza!

Te i tym podobne niedorzeczności prawił, a im więcej się gniewał, tym więcej się śmiano, że aż zaczął trząść się od stóp do głowy, jakby wpadł w niemoc świętego Wita, i zniknął z sali, zawsze odgrażając się na wszystkich, czym nie tylko nie zmieszał kompanii, owszem, w trójnasób jej wesołość powiększył. Ale nazajutrz, jak począł robić kwerendy, już nie wiem, jakim sposobem, dowiedział się jednak, że to wszystko było sprawą księdza Szukiewicza i pana Tadeusza Scypiona. Do księdza nie było sposobu czepiać się, bo ksiądz nie dobędzie korda, którego nie nosi, tylko za napaść może wystąpić z klątwą, od której krzyżową sztuką ani młynkiem się nie zasłonisz. Całkowitą więc złość ku panu Tadeuszowi obrócił i na dzie- dzińcu zamkowym napotkawszy go, w obliczu prawie całego dworu okropne wymówki jał mu robić. Pan Tadeusz z początku przyjął je pokornym sercem i powiedział:

- Ja sam to znam, że młodszy starszego, a prosty szlachcic urzędnika zbytnią konfidencją obrażając, podrwiłem głową, i za to najuniżeniej przepraszam. Bo cóż więcej mogę uczynić? Nie jest w mocy mojej cofnąć, co się już wykonało. Odpuście mnie, panie strażniku, swawo- lę, dla miłości Boga, a ja mu uszkodzone buty odśluzę i odmodłę. Ale na to pan strażnik, za- pamiętały:

- Mnie nie o buty chodzi, ale o śmiech ludzki, coś na mnie ściągnął. Ja twoich modlitw i posług nie potrzebuję; na twoją skórę mam chrapkę. A że ci jej dotąd nie wytatarowałem, to dziękuj mojemu umiarkowaniu, że pod boki pierwszego senatora naszej prowincji burdy nie chcę robić. Ale życzę ci, gałganie, jak najdłużej trzymać się klamki książęcego dworu i z Nieświeża nie wyjeżdżać, bo dzień, w którym przestaniesz być sługą księcia wojewody, bę- dzie wigilią dnia tego, w którym pięćset łóz dostaniesz.

Dopiero pan Scypion uczuł, że nie cygańska, ale stara szlachecka krew po jego żyłach krą- żyła.

- Jak ty śmiesz - odezwał się - batogami straszyć szlachcica, co nie twój chleb je? Ześ się wzmógł fartuszkowym majątkiem, to myślisz, że tobie wszystko wolno? A przypomnij no sobie, że twój ojciec karbował ci skórę przy swoich organach, kiedy mój był namiestnikiem kawalerii narodowej, gdzie by ciebie i na luzaka nie przyjęto. Otóż, żebym dowiódł, że twoje pogroźki lekce sobie ważę, to lubo kawałka chleba nie mam, zaraz księciu panu podziękuję i ciebie zmuszę, byś mi stanął, jak przystoi temu, co się mieści w stanie rycerskim. A jeżeli mi nie staniesz, zaniechawszy ostrzyć zęby na moją sławę, tedy plac ostrzelam, ogłoszę ciebie po całej Litwie za infamisa, i choć piechotą od zaścianka do zaścianka chodząc opowiem szlach- cie, że zaufany w pieniądze, coc Pan Bóg dał, lepszego od siebie szlachcica batogami stra- szysz, chleb mu odebrawszy. A wszyscy pójdą za mną, bo w mojej osobie całą ubogą szlachtę pokrzywdziłeś!

Pan strażnik porwał się i ledwośmy przegrodzili od niego pana Tadeusza. A ten w istocie poszedł do księcia, tam padłszy mu do nóg, opowiedział całą rzecz i podziękował za służbę, tłumacząc się, że dobra sława, która składa całkowitą jego ojcowiznę, nie pozwala mu służyć księciu, pokąd nie odwetuje swojej krzywdy. Nietrudno było panu Scypionowi przekonać księcia, tak ćwiczonego w szlacheckich

prawidłach. Książę się rozczulił tym uczciwym sposobem myślenia młodzieńca i na dowód, że jego usługi były mu wdzięczne i pożyteczne, najpiękniejsze świadectwo mu podpisał. Kazał potem odliczyć jemu parę tysięcy jako *deservita merces*, z zapewnieniem, iż o losie jego matki pamiętać nie przestanie. A choć przyjął na siebie postać, jakby o niczym nie słyszał, jednak panu Michałowi Rejtenowi powiedział:

- Powiedz, panie kochanku, panu Karolowi, że wiem o wszystkim i wolałbym, żeby się przeprosili; wszakże jeżeli wola spotkać się po rycersku, niech i tak będzie. Kto chce, niech wojuje orężem, a Panu Bogu zda liczbę, za jaką wojował sprawę, mnie nic do tego. Ale kto ukrzywdzi Scypiona na sławie, zapomniawszy o jego szlachectwie, ja to za moją własną

krzywdę poczytam, bo sam jestem szlachcicem; a kiedy kto się odgraża do nahajów, dufając, że mocny, to i ja niesłaby!

Posławszy potem po księdza Szukiewicza, powiedział mu:

- Waszeć biedy narobił, panie kochanku; starajże się to odrobić!

Perswazja pana Michała Rejtana, a zapewne i głos sumienia przekonały pana strażnika, iż zaniechał myśleć o pokrzywdzeniu pana Scypiona; ale z niecierpliwością czekał wyzwania, bo czując się być upokorzonym, okropnie się zawział. Niedługo czekał. Pan Scypion, udaw- szy się do pana Borejszy, porucznika chorągwi księcia wojewody, który z jego ojcem kilkana- scie lat kolegował, kiedy oba byli towarzyszami, objaśnił mu wszystko co do najdrobniej- szych szczegółów i uprosił go, aby raczył od niego kulkę zanieść panu strażnikowi. Pan po- rucznik, nie odmawiając tej posługi synowi kolegi, poszedł w poselstwie do pana Rysia; że zaś miał z nim dawną zażyłość, a do tego był człowiekiem dojrzałym, walecznym i w podob- nych wypadkach doświadczonym, nie zaniedbał mu przekładać, iżby najwłaściwiej było, żeby pan Scypion, jako już go raz publicznie przeproszał za psotę, tak znowu swe kroki do pojed- nania powtórzył, do czego ma nadzieję jego nakłonić, byle ze swojej strony pan strażnik dał słowo, że się da przeprosić i wzajemnie przeprosi za nieprzyzwoite wymówki i pogróżki, uczynione z mocnego uniesienia; a potem żeby się uścisnęli, nie dopuszczając wspólnego a ciężkiego grzechu, by za buty, chociaż atlasowe, krew chrześcijańska i szlachecka przelewać się miała. Ale pan strażnik kulę przyjął, a o niczym więcej mówić sobie nie dał. Gdy układali się o czas, miejsce i sposób pojedynku, nadszedł ksiądz Szukiewicz. Pan strażnik powitał go, lubo z sercem kwaśnym, jednak z powierzchownością dość uprzejmą; ale skoro ten zaczął perswadować, aby niewinnej swawoli, której sam przyznał się być pierwszą pobudką, nie doprowadzał do następstw krwawych, ze zgorszeniem ludzi pobożnych i z obrazą Pana Boga, przerwał mu pan Rys tymi słowy:

- Roboczy z waszeci człowiek, kiedy co dzień czytając mszę świętą i odmawiając swoje pacierze, a do tego dozie-rając księcia hetmanowicza, aby się dobrze uczył, a nie swawolił i później mogła mieć z niego pociechę Rzeczpospolita, jak ją zawsze miała z jego przodków, jeszcze znajdujesz dość czasu nade mną rozciągnąć nieproszoną opiekę. Chociaż nie czuję się być winnym zdawać przed waszecią liczbę z moich postępków, jedynie przez grzeczność po- wiem mu, że mam Scypiona za uczciwego chłopca, choćby dlatego, że mnie wyzwał, tak da- lece że gdybym miał syna, cieszyłbym się widzieć go we wszystkim do niego podobnym. Bo co prawda, to prawda. Tym samym, że mu staję, widać, że go szacuję; ale żebym się oczyścił od pojedynku przeprosinami, tego się nie doczeka. Co się powiedziało, czy .to było dobrze, czy źle, to do mnie należy; a jako od urodzenia nigdy z bojaźni nie cofnęło się, co się raz wy- rzekło, tak też nowego trybu życia nie przyjmę, kiedy wiek nieco czuprynę przyprószył. Za- tem, mój miły księże, wracaj do swego brewiarza i nie miej obawy, abym ci przeszkadzał go odmawiać moimi radami.

- Panie strażniku dobrodzieju, wybaczaj, że się do tego nie przyznaję, bym się w cudzą rzecz wtrącał; bo nie tylko powołanie moje do tego mnie zmusza, ale każdy chrześcijanin winien ująć się za zniewagę praw kościelnych i boskich. Dość pierwszy katechizm otworzyć, żeby znaleźć, jak Pan Bóg uważa mężobójców.

- Tylko proszę, mój księże, nie uczyć mnie katechizmu. Z łaski Pana Boga i świętej pamię- ci ojca mojego umiałem, co potrzeba; a więcej

roku przesiedziawszy w nowicjacie, może bym dziś jeszcze kogoś nauczył. Wiem, co kapłanowi, a co człowiekowi rycerskiego stanu przy- stoi. Bić się na wojnie po żołniersku albo w pojedynku po szlachecku to inna, a zdradą kogo kozikiem zakłuć to znowu inna. Ja dobry katolik, a do tego sodalis, przy łasce Pana Jezusa i Najświętszej Panny, w czym się należy, nie przeszkrobię; wiem, że nie Turczyn, nie Żyd, nie pies się pojedykuje, jeno chrześcijanin i szlachcic. Zresztą nie ja wyzwałem, ale mnie wy- zwano; a zatem ruszaj sobie ze swoimi kazaniami do pana Scypiona. Wszak nie ten, co jest pod kondemnata, z niej kwituje, ale ten, co ją otrzymał. A jeżeli pozwolisz mi się wywzajem-

nić radą, toć życzę, i jemu daj pokój, bo że ksiązę wojewoda waszeci dobrze płaci, to nie na to, byś nas doglądał.

- Więc pan strażnik klątwe za nic sobie wazysz? Przecież i dzieci wiedzą, że czy kto ofiaruje, czy przyjmuje wyzwanie, ten pod klątwą kościelną.

- To już z nowego bicza trzasnąłeś! Szczęście, żeś nie na półgłówka natrafił. A wiedz o tym, że ja twojej klątwy się nie obawiam; a co się tyczy kościelnej, z łaski Pana Boga nadto się wywiązałem Kościołowi, by miał mnie od siebie odłączać. Bo gdyby waszeć w chleb kościelny opatrzone na tyle tylko, ilem Kościołowi wyświadczył, nie miałbyś już potrzeby bałażować. Co się nie mówi, by się chwalić lub jakby się żałowało tego, co się zrobiło - i owszem, da się jeszcze więcej swojego czasu zrobić - ale dlatego, żeby dowieść, że bredzisz. Na sam nowicjat wileński, skąd wychodzili księza trochę większego zdania niż waszecine, sto tysięcy odkazałem i odliczyłem; nie z fartuszkowego majątku, jak śmiał szczekać ten śmierdziuch Scypion, do którego to nic nie należy (dam ja jemu fartuszkowy majątek!), ale z własnej mojej krwawizny. Ojcowie jezuici mnie nie dadzą zginąć dlatego, iż nie wierzę, że Pan Bóg chce, abym się zbłądził. O to pokój. A niech ksiądz pan czy pan ksiądz, przyjmując oświadczenie mojej wdzięczności za jego nawiedźmy, raczy także przyjąć moją prośbę, by te nawiedźmy skrócił, bo nie mam czasu dłużej mu służyć.

I tak księdza odprawił z niczym. Pan strażnik nie szukał sekundanta na dworze nieświeckim, bo pomiarkował, że żaden z nas nie był rad pomagać przeciw koledze w istocie pokrzywdzonemu, za którym jak wiadano, ksiązę nasz pan się oświadczył. Wezwał więc pana Moniuszkę, majora w pułku wielkiej buławy litewskiej, godnego i zasłużonego męża. Ten z panem Borejszą umówił plac i warunki pojedynku, który się odbył nazajutrz na obszernym błoniu między Klockiem a Dunajczycami.

Wielu z nas udało się na to widowisko, ponieważ pan Tadeusz nas wszystkich zaprosił, byśmy byli świadkami, jak nasz niegdyś kolega umie swojej krzywdy dochodzić, mimo siebie puszczając, iż sprawa była z takim, co miał i lwie serce, i lwią siłę. Wedle umowy mieli walczyć konno, każdy z jednym pistoletem w rękę i z szablą na temblaku. Gdyby ogniście bronie obudwóm spudłowały, szabla miała ostatecznie rzecz rozwiązać. Jak się zjechało, broń ponabijano a zapaśnicy siedli na koń, jeszcze po raz ostatni usiłowano ich pojednać. Ale gdy oba oświadczyli, że przyjechali na plac bitwy, a nie na plac mowy, sekundanci rozstawili ich o pięćdziesiąt kroków. Pan Moniuszko, przeżegnawszy się, powiedział te słowa:

- Protestuję się przed Bogiem i przed wami, bracią szlachtą, że nie z powodu jakiej niechęci przeciw panu Scypionowi, ale dlatego pomagam tu W. strażnikowi Rysiowi, iż on, będąc wyzywającym, żądał po mnie tej rycerskiej posługi, której jako szlachcic i żołnierz przyjacielowi odmówić nie mogłem; a do ostatniego momentu miałem nadzieję strony do zgody nakłonić, jako biorę was wszystkich za świadków, iżem ku temu żadnej usilności nie zaniedbał. Gdy przeto przychodzi do bitwy, do której końca asystować winienem, proszę was o przyczynę do Pana Boga, aby nie obciążał sumienia mojego tą krwią, co się dziś przeleje.

A pan Borejsza, także przeżegnawszy się, do nas tak przemówił:

- Lubo jestem obrońcą strony wyzywającej, protestuję się przed Bogiem i wami, bracią szlachtą, że jeżeli wpływam do tego

pojedyнку, to nie przez brak miłości bliźniego, ale owszem, żeby dopomóc synowi nieboszczyka mego kolegi, który został skrzywdzony. A że mimo przekonanie o słuszności jego sprawy nie wprzód dopuściłem pojedyнку, aż wyczerpawszy wszelkie godziwe środki do pojednania stron, zatem upraszam was wszystkich tu przytomnych, abyście za mną złożyli świadectwo na ostatnim sądzie, teraz zaś westchnęli przynajmniej do Pana Boga, iżby mi mojego uczestnictwa za ciężki grzech nie poczytał.

Potem za danym znakiem oba zapaśnicy, przeżegnawszy się, czwałem na siebie natarli. Bitwa i przez jedno Zdrowaś Maria nie trwała. Bo gdy bezskutecznie dawszy ognia z pistoletów, do pałasza się porwali, pan strażnik został zadraśnięty po ramieniu jakby piórkiem, ale

jak palnął szablą na odlew po rękę pana Tadeusza, ręka mu z pałaszem padła na ziemię - i on sam w kilka chwil, omdlały z bólu, powalił się z konia. My wszyscy pobieглиśmy mu na ratunek z lekarzem, którego mieliśmy z Kiecka na każdy wypadek. Ledwośmy go ocucili, że trochę przytomności odzyskał, i zawieźliśmy go do Kiecka z obandażowaną raną, by tam ulokować u lekarza, który się podjął już nie rękę mu wrócić, bo ta aż w dzień ostatecznego sądu wrócona mu będzie, ale choć przy takim ciężkim kalectwie życie mu zachować.

Ile dotąd gorszył nas pan strażnik swoją zaciętością, tyle nas zbudował potem czułym sercem. Jeszcze na placu załamywał sobie ręce z żalu, a ukląkłszy przed biednym Tadeuszem, z oczami zalanymi łzami, błagał go, by mu odpuścił swoje nieszczęście. Później osiadł w Klecku u lekarza i póki trwała niemoc pana Scypiona, o krok go nie odstąpił, wszelkie posługi mu czyniąc, jakby jaki pacholek. Gdy nareszcie do zdrowia przyszedł (jeżeli zdrowiem godzi się nazywać kalectwo, które ubogiemu szlachcicowi wszelki sposób do życia odejmuje), zabrał go z sobą na wieś do swojej córki, tam go z nią zapoznał i po kilku tygodniach powiedział mu jednego razu:

- Słuchaj, panie Tadeuszu! Ja ci rękę odciąłem, a Bóg świadek, że moimi obiema chciałbym ci tę jedną wynadgradzić, bo krzywda twoja ciąży na mnie jak kamień młyński. Ale przyjm w restytucji rękę mojej córki i zostań moim synem. Byłem ubogi jak ty, kiedy jej matkę wzięłem, a przecie daj jej Boże być z tobą dłużej, ale nie więcej szczęśliwą, tylko, ile ona była ze mną.

I nie dawszy mu czasu odpowiedzieć zawołał córkę, oświadczając jej swoją chęć. Panna strażnikówna, że była po chrześcijańsku wychowana, wiedząc, iż głos rodziców jest głosem Bożym i że wielkie błogosławieństwa spadają na dzieci spuszczone w postanowieniu swoim na ich wolę, odpowiedziała skromnie, że jak dotąd nie sprzeciwiała się rozkazom ojca kochanego, tak nigdy sprzeciwiać się mu nie będzie. Niewiele ją ta uległość kosztowała, bo pan Tadeusz, lubo pozbawiony ręki, i sercem, i głową, i urodą swoją łatwo mógł się podobać. Na tak pochlebne oświadczenie padł on do nóg przyszłemu ojcu i swojej narzeczonej, a kilka niedziel ledwo upłynęło, zostając szczęśliwym małżonkiem cnotliwej i urodziwej panny, został z chudego pacholka spadkobiercą jednego ze znaczniejszych na Litwie majątków.

Huczne były zaślubiny, które książę wojewoda zaszczycił przytomnością swoją ledwo nie z całym Nieświeżem. Pan strażnik dzieciom odkażał wielką część swoich dóbr i lat kilka parzył na ich powodzenie. A gdy przyszła na niego kolej wszystkim ludziom przeznaczona, uległ temu prawu ogólnemu z przytomnością i zaufaniem w miłosierdzie Boże, bo do wieczności i długo, i dobrze się gotował; po jego śmierci reszta dóbr spadła na zięcia i córkę. Jednak za życia jeszcze swego miał pociechę widzieć sypiące się zaszczyty na pana Tadeusza Scypiona, bo kiedy mu dawał ostatnie błogosławieństwo, zostawiał go już starostą sądowym ludzkim i kawalerem Orderu Świętego Stanisława.

KRÓL STANISŁAW

Nie jest to łatwo sądzić o rzeczach publicznych, a tym więcej o

mężach, którzy na nie wpływali. Stąd wedle mojego zdania największa przysługa, co ją wysoki rozum dla kraju uczynić może, jest opisanie należyte jego dziejów. Cycero mawiał: „*Historia magistra vitae*”

- a przecie, lubo głęboki mędrzec i nadzwyczajny krasomówca, lubo przez jego ręce przecho- dziły najważniejsze interesa Rzeczypospolitej, nie dowierzał sobie i nie odważył się wydać dziejów ojczystych. Po zagranicznych krajach, gdzie liczni piórowi rzemieślnicy uprawiają papier pod książki, jak u nas szlachta rolę pod żyto i jęczmień, namnożyło się historii różnego rodzaju. Ja ich nie czytałem, bo oprócz swojego i nieco łacińskiego żadnego obcego języka

nie rozumiem, a przecie pewny jestem, że te ich pisma, lubo pokupne, żadnego istotnego pożytku nie przynoszą. Kto przedsięwzięcie opisać dzieje jakiego narodu, powinien wprzód obznać się gruntownie nie tylko z jego językiem, ale jeszcze z jego prawodawstwem, z obyczajami obywateli, a zasiliwszy się takowym zasobem, dopiero wziąć się do roboty. A i wtedy nawet nie ma pewności, aby się ona udała. Bo nie dość to wszystko znać, jeszcze trzeba mieć jakieś doświadczenie w prowadzeniu ludzi. Kowal gwoli kuje lemiesz czy podkowę, ale naród nie jest sztabą martwą w ręku tego, co mu przewodniczy, choć on prowadzi podwładnych; przecie nie robi się z nimi, tylko to, co daje się robić; bez wątpienia włada nimi, a jednak niewidocznie ulega sam ich woli. Pod tym względem uważając rzeczy, można by sobie oszczędzić wiele zapytań, które z pierwszego rzutu rozwiązać się nigdy nie dadzą. Dlaczego Jagiełłowie, mając Litwę i Ruś po sobie, nie utwierdzili dla siebie spadkowego tronu w Koronie, jak go mieli we własnym kraju? Dlaczego Batory Prus Książęcych z Polską nie zjednoczył? Dlaczego Zygmunt III nie ugruntował syna na sąsiednim tronie? Dlaczego Jan III niczego nie obwarował dla Rzeczypospolitej biegnąc na ratunek Wiednia? Dlaczego konfederacja barska przybrała hasło niepolityczne przeciw dysydentom? Wszystkie takowe zadania niejednokrotnie nie słyszałem i po szczeremu wyznaję, że na nie dać odpowiedzi nie umiem. Ale zdaje mi się, że i świadomego odpowiedź byłaby w rodzaju tej, co ją kiedyś uczynił pewien biegły wojsk dowódca lekkomyślnemu młodzieńcowi, chcącemu go sztuki wojennej nauczyć. Owemu dowódcy nie było się razu jednego szczęśliwie powiodło, a tamten chciał mu dowieść, pokazując palcem na mapie jakąś rzekę, że gdyby był przez nią wojsko swoje przeprawił, na głowę nieprzyjaciela by poraził. „Wascin palec nie jest mostem” - odpowiedział na to zniecierpliwiony wódz.

Zeby dobrze opisać dzieje swojego narodu - bo wątpię, aby opisanie cudzego udać się mogło - trzeba mieć jakieś doświadczenie w kierowaniu ludzi przy okolicznościach zawiłych; a zbyt rzadko łączy się w jednej głowie i dzielność w uczynkach, i dar przełożenia tychże uczynków w księgi. Dajmy na to, że takowe zjawisko się uści, jakże trudno nie dać się ułudzić miłością własną i stronnością, bo mąż piszący rzeczy, do których sam wchodził, często-kroć musiałby sam siebie obwiniać. Cieszę się, że nie mamy historii ostatnich naszych czasów, bo niezawodnie byłaby nic do rzeczy. Niech każdy stary sumiennie pisze to, czego sam był świadkiem, niech pisze po swojemu rzeczy uważając, z własnego, a nie uczonego stanowiska, a dopiero, jak będzie potrzeba, znajdzie się taki, którego Opatrzność wzbudzi, aby z tego wszystkiego pożyteczną ułożył historię. Całkowitą młodość przepędziłem w otwartych bojach z królem Stanisławem lub w domach jemu niezyczliwych! a jednak wszystko po bożemu rozebrawszy, potępić go nie śmiem ani jemu przypisuję niezasłużonej winy. Pewny jestem, że jeden człowiek wielką ofiarą, nadzwyczajnym poświęceniem się cały naród swój może zbawić; ale żeby jeden człowiek, acz najwyższy, występkami swoimi mógł naród potępić, tego nie przypuszczam, bo mniejsza zbrodnia przeczyć Boga istności niż sprawiedliwości i miłosierdziu. Nie królów, ale poddanych grzechy gubią narody, bo z chlubą wyznać może-my, że zaden tron na świecie nie pochwali się panami tak łagodnymi, tak sprawiedliwymi, tak uczonymi jak polski. I król Poniatowski miał wielkie cnoty, większe bez wątpienia niż niektórzy z poprzedników jego. Przy innych okolicznościach byłby sobie uzyskał odgłos wielkiego króla. Jakoż widzieliśmy rozmaitych

władców, którzy przed naszymi oczyma rzecz swoje nieźle prowadzili, uchodząc za mądrych i przezornych, a przecię ani rozumem, ani wiadomościami, ani łagodnością obyczajów naszemu Stanisławowi sprostać by nie mogli. Całe nasze nieszczęście, że wpadliśmy byli w taką zagmatwaninę, iż największy człowiek nie dałby jej rady. „Wiele złego dwóch na jednego” - mówi przysłowie, a cóż dopiero, jak tłum go weźmie w obroty! Chociażby się nie wiedzieć jak odgryzał, nie postawi nigdy na swoim.

Niechaj mędrcomie świdrzą rozumem, a ja po prostu tłumaczyć się będę: jest to grzech pierworodny, na który zbyt ciężko chrzest wynaleźć; a chociaż mu nie przeczyli ani rozumowi, ani zdatości, nie dowierzali atoli tyle tym przymiotom, by myśleć, że nimi zastąpi tę powagę,

co ją ród wysoki i dziedziczne państwo saskiemu domowi zabezpieczały. Magnaci tak dalece byli przekonani, że nie była pora Piastowi panować, iż żaden z nich o koronę się nie pokusił. Bo nie ma co liczyć księcia Lubomirskiego, człowieka z umysłem pomieszany, a którego intryga wystawiła była w czasie bezkrólewia, aby osłabić jedność magnatów. Książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, głowa tej partii, w której tyle lat walczyłem jako żołnierz i ziemianin, był nie tylko głębokim, ale poczciwym statystą, bo ile mógł, przeszkadzał królowi Poniatowskiemu i nawet usiłował zepchnąć go z tronu, na którym wedle jego przekonania nieprawnie był zasiadł, obstając za domem saskim, z poświęceniem wszelkiej prywaty, gdyż mógł mieć żal do nieboszczyka króla za odmówienie mu buławy litewskiej po śmierci jego ojca. Ale skoro się upewnił, że żadnego wsparcia z zagranicy mieć nie można, że dom saski przestał o nas myśleć, że wszystkie dwory obojętnie na nas patrzą, przekonał się, iż jako tonący za brzytwę się chwyta, kiedy innego nie ma wsparcia, tak poczciwym obywatelom nie zostawało nic więcej, tylko się tulić do króla, zespolić wszystkie narodowe korzyści z jego osobistymi korzyściami, aby on, czując siebie bezpiecznym między swoimi, nie zebrał wsparcia u postronnych, a tak, iżby każdy uważał być największą zbrodnią wszelką usilność w czymkolwiek bądź nadwątlić tę jedność króla z narodem, w przekonaniu, na doświadczeniu opartym, że każda partia przeciwna królowi zostanie tylko narzędziem, którym szerzyć się będzie wyłom, co go nierząd w kraju wybił od lat tyłu. Jak się więc pogodził z królem, mimo siebie puszczając prześladowania, których od niego doświadczał, pogodził się szczerze i aż do śmierci ani on, ani żaden z jego partii, która całą Litwę zajmowała, nie złamali mu wiary i poddaństwa. Owszem, na wszystkich sejmach posłowie litewscy jednomyślnie z dworem głosowali. Jakoż na pamiętnej sesji sejmowej roku 1786, kiedy rzecz chodziła o przyznanie królowi *subsidium charitativum*, dość długo rozprawiły stany koronne w połączonych izbach; ale kiedy kolej przyszła na Litwę, książę wojewoda wileński objawił i życzliwość Litwinów, i swoje własną potęgę tymi słowy:

- Nie mitrząc czasu tak drogiego przy kończącym się sejmie, w imieniu całej prowincji litewskiej daję afirmatywę.

I ani w stanie rycerskim, ani nawet w senacie nie znalazł się żaden, co by mu tego pełnomocnictwa zaprzeczył.

Pan Bohusz, niegdyś sekretarz jeneralnej konfederacji barskiej, był może najgłębszym w całej Polsce statystą i nadzwyczajnie poświęcał się dla kraju. Kiedy jego i nasze starania na niczym spełzły, na małym przestał: osiadł na dziesięciodymnym folwarczku, na którym miał dożywocie z łaski naszego księcia wojewody, bo więcej nic od niego przyjąć nie chciał. Tam zajmował się pielęgnowaniem pięknych kwiatów; rzadko kiedy dom opuszczał, nawet dla Nieświeża, ale dawnych znajomych rad był w nim ugaszczać. Razu jednego, kiedy mu służyłem w jego domku z panem Świętorzeckim, także wielkim statystą, a jego ścisłym przyjacielem, zgadało się wedle naszego zwyczaju o rzeczach publicznych. Pan Bohusz mnie znał, kiedy to jeszcze byłem pokojowym u JW. Ogińskiego, wojewody witebskiego, i niemało czasu stawiliśmy z sobą we dwóch konfederacjach; a tym bliższy wstęp miałem do niego, że nie chwalać się, na takiej nodze postawiłem mu interes z sukcesorami tegoż JW. Ogińskiego, że na pół darmo, godząc się z nimi, czterdzieści tysięcy mu odliczono. A służyłem mu z przyjaźni, bo żadnej nagrody nie przyjmowałem,

choć kilkakrotnie coś mnie chciał wetknąć w rękę. Otóż pan Bohusz zaczął mówić o potrzebie powiększenia władzy królowi; że nasze sta-rodawne cnoty zanadto już były zbutwiały, byśmy się mogli na dal cieszyć po dawnemu. Pan Świętorzecki na to się [nie] godził, jako utrzymywał, że powierzyć się nie można panującemu regnantowi.

- Jakże - mówił - oddać skarb i wojsko marnotrawcy i tchórzowi?
Na to pan Bohusz tak odpowiedział:

- Panowie bracia, nikt więcej ode mnie nie nadokuczał królowi, bo przekonany byłem, że tylko panowanie monarchicznego domu mogło nas ocalić. Ale jeśli ma być koniecznie Piast, może spomiędzy wszystkich zdatniejszego nie znajdziecie.

Na tośmy obadwa powstali:

- A co to, panie sekretarzu - odezwał się pan Świętorzecki - czy daleko szukać trzeba zdatniejszego Piasta? A wszakże trzy mile niespełna liczymy do Nieświeża. Godzi-li się przepomnieć naszego księcia?

A pan Bohusz:

- Moi panowie, gdyby to ode mnie zależało, a Litwa była odrębnym narodem, anibym się wahał uwieńczyć koroną to panowanie, co nasz książę swoimi cnotami nad nami otrzymał. Któż więcej ode mnie przypatrzył się jego szlachetnym postępkom i poświęceniu się dla dobra ogólnego? Ale nasza Litwa jest tylko częścią Rzeczypospolitej, a wam wiadome uprzedzenia naszego księcia przeciw wszystkiemu, co nie z Litwy. Każdego Wielkopolanina nazywa kaszubą, kto z Małej Polski, u niego cygan, a kto z Rusi koronnej, ten u niego kuśnierz. W dobrach, co ma w Koronie, żaden z tamecznych stron oficjalista w jego służbie się nie utrzyma, wszędzie naszych rozsyła, czym jeszcze więcej Litwę obowiązuje. Ale nie królewska to rzecz dla jednej prowincji być wylanym, a drugie od siebie odganiać. A potem, czybyście dokazali, żeby fałdów przysiedział w Warszawie? W czasie sejmu ledwo szósty tydzień dotrzymał, tak tęsknił za Nieświeżem. A przecie król w swojej stolicy mieszkać musi. Jeżeli tedy on przy tak wielkich cnotach duszy i nadzwyczajnym dowcipie przyrodzonym nie myśli, by dla swoich przesądów całą Rzeczypospolitej mógł dopisać, czy znajdziecie jakiego innego Piasta, co by był zdatniejszym do rządu od terażniejszego? Nie tajno wam, jak ściśle stosunki miałem ze wszystkimi naszymi magnatami. Otóż powiem wam, że jako ich wszystkich widziałem godzących się na królewicza, tak pomimo ściślej przyjaźni, co ich w jedno grono łączyła, każdy z nich tak dalece poznawał, czego drugiemu nie dostawało, że prędzej zezwoliłby na Poniatowskiego jak na którego ze swoich, zaczynając od naszego księcia. Wiem dobrze, że w duchu król Stanisław niewiele o nas trzyma, ale już i to wiele, że sobą władać umie. Pytajcie naszych zakutych Litwinów bywających w Warszawie, a każdy z nich powie o królu, że jest pełnym powagi, nie wdaje się w żadne śmieszki, każdego poddanego przyjmuje jednako i choć miłuje swoich literatów, nie zaciera nimi gospodarzów. A na księcia jenerała skarżą się, że ich w pośmiewisko obracał. Tak więc, wszystko rozebrawszy, wnioskuje, że najlepiej by było, aby Sasi, jak panowali nam blisko lat siedmiudziesiąt, i dalej panowali, bo spomiędzy zagranicznych domów on jest najmniej obcy naszym wyobrażeniom. Ale że wola Pana Boga, aby tubylec nami rządził, oddajmyż więc jemu sprawiedliwość. A jak nie stanie Stanisława Augusta (a my się tego doczekamy), wtenczas obrócmy naszą życzliwość ku wielkiej dobroczynnej krwi jagiellońskiej, ku temu domowi, skąd król terażniejszy czerpał i swój wzrost, i te nadzieje, które Opatrzność tak hojnie ziściła.

Skoro pan Bohusz nam dowiódł, że nasz książę nie byłby zupełnie dogodnym dla całej Rzeczypospolitej, obojętna była dla nas rzecz niezdatność do korony i innych magnatów; aleśmy nie mogli nie podziwiać, że on, tak czynny przeciwnik partii Czartoryskich, do nich skłaniał przysła nadzieje. Spozrzegłszy nasze podziwienie, tak

się nam tłumaczył:

- Panowie bracia, obywatel poczciwy powinien, ile możliwości, bronić ustaw swojego kraju, z poświęceniem nawet własnego przekonania, bo gdzie o powinność chodzi, tam już nie ma miejsca na rozumowanie. Jednak wcześniej czy później nadchodzi czas potrzeby nowych warunków dla społeczeństwa. Poczciwi ludzie, co im się opierają, dopełniają swojej powinności, ale nigdy zwycięstwem cieszyć się nie mogą. Bo starość musi ustąpić miejsca młodości, na którą kiedyś kolej przyjdzie także, zostać starą. Rzecz pewna, że ci, którym obmierzył dawny porządek, nie składają cnotliwszej części narodu, gdyż namiętność zawsze nowościom sprzyja; ale cóż na to poradzić, kiedy doświadczenie nas uczy, że na koniec słusność jest przy nich? Nie żałuję ofiar i poświęceń moich dla dawnego porządku i dziś jeszcze bym je

odnawiał, chociaż w przekonaniu, że one na nic się nie przydadzą - bo nie ma nic wspólnego między dopełnieniem powinności a przeczuciem pomyślnego skutku. Ale jakkolwiek być może, że prywatnie kieruje postępkami ludzi, co pokorzą nowości, wątpić nie można, że przy- szłość, jest ich, a nie naszą spuścizną. Próżna więc usilność chcieć wskrzesić to, co już nie żyje. Lepiej po szlachetnym oporze godzić się z nowymi wyobrażeniami, by przy tej zgodzie zachować to, co jeszcze zachować się może, by przynajmniej ocalić pamięć sławy naddzia- dów, starając się, ile możliwości, do nich łączyć te nowe wyobrażenia. Pokąd sława przodków jest świętą dla narodu, nie ma jeszcze nic dlań rozpaczającego; ale skoro ta będzie znieważo- ną, pomiataną, w pośmiewisko obróconą, wszystko wtedy przepadło; bo już to jest oznaka oczewista, że naród nie wart bytu, że nawet żyć nie może, ponieważ już się oderwał od korze- nia, z którego żywot swój czerpał. Przyznam się wam, że w przyszłości lękam się mocno o sławę wielu naszych godnych mężów, którzy nie poprzestając na tym, co już chwalebnie do- pełnili dla zachowania dawnych naszych ustaw, nie chcą za przykładem naszego księcia szczerze się pojednać z położeniem rzeczy nieodzownym. Strzeż Boże, ażeby kiedy przyjdą ostatnie Rzeczypospolitej zapasy, uporem swoim w przepaść jej nie wtrącili, wołąc się chę- niej złączyć z obcymi niż podzielać z ziomkami to, co uważają być błędnym.

Te były słowa tego wielkiego statysty, który tak zgłębił rzeczy nasze, iż ledwo nie duchem wieszczym przeczował, w co się one obróca. Szczęśliwy, że nie doczekał nieszczęść, których nigdy nie przestawał przewidywać. Ale te słowa jego nigdy mi nie uszły z pamięci. Byłże senator wyższy w świetle, wolniejszy od samolubstwa, równy w poświęceniu swoim dla kraju księciu Antoniemu Czetwertyńskie- mu? Byłże większy obywatel od Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, Antoniego Puławskiego itp., itp.? A przecie, na jak okropne stanowisko popchnął ich wszystkich upór w zamiłowaniu *rzeczy* godziwych i świętych, ale do których cały naród już smak był utracił.

W r. 1784 król Stanisław, objeżdżając Wielkie Księstwo Litewskie, nie ominął stolicy na- szego Mendoga. Między nami, Nowogródzianami, przeciw niemu wielkie krążyły uprzedze- nia, ale na widok jego dostojnej osoby, jego majestatu, prawdziwie królewskiego, wszystkie one stajały jak śnieg kwietniowy przed słońcem. Napatrzyłem się na niego: było coś czarują- cego w tych rysach pięknego oblicza. Na granicy naszego województwa, gdzie go odprowa- dziły urząd i szlachta brzeskalitewska, przyjętym został od starszyny i szlachty nowogródz- kiej. Wszyscyśmy byli na koniach, a na czele naszym JW. Niesiołowski, nasz wojewoda, któ- ry go powitał czułą mową. A król, nieprzygotowany, dziwnie pięknie na nią odpowiedział, dziękując za przywiązanie szlachty oświadczone mu przez cnotliwe usta nieskażonego w za- wodzie pełnym zasług ich sędziwego wojewody. A potem, gdy ten mu przedstawiał urzędni- ków i szlachtę, każdemu coś powiedział takiego, co go za serce uchwyciło. Nawet gdy mię- dzy innymi przedstawiony mu był pan Michał Rejten, nasz pisarz ziemski, z taką czułością wspomniął brata jego Tadeusza, że wszystkim przytomnym łzy dobył z oczu. Dopiero wedle staropolskiego obyczaju urzędnicy brzescy zdali urzędnikom nowogródzkim usługę królowi, który w ciągu swojego pobytu nosił mundur naszego województwa. Wielmożny Rdułtowski, nasz chorąży, zastępujący miejsce pierwszego urzędnika, odebrał z rąk JW. Niemcewicza, podkomorzego brzeskiegolitewskiego, pod regestrem

szaty i sprzęty podrózne królewskie, przyjął i dozór nad jego dworem, ciągle się sam zajmował odziewaniem króla i ścieleniem jego łóżka przy asystencji innych urzędników, tak że przez cały czas jego pobytu tylko *po-sessionati et bene nati* [posiadający majątki ziemskie i dobrze urodzeni] dotykali się naszego pomazańca. Była wielka okazałość przy nim i siła pieniędzy poszła na wydatki jego podejmowania - a te pieniądze nie z jego kasy wyszły, ale naszą były krwawicą. Kiedy urzędnicy zbierali między sobą składkę, my, szlachta, bardzo się obruszyli, że nas nie wzywają. Pan Łukasz Hreczecha w naszym imieniu się odezwał: „A co to, panowie urzędnicy, sami tylko czujecie się być godnymi podejmowania króla, a nas, szlachtę, za ba, i bardzo, macie?” Do-piero każdy z nas, co mógł, sypał, a szczerze, bo kiedy szlachcic się rozczuli, rachować się nie

umie. Dość że taka nawała brzęczących padła u pana Stefana Wereszczaki, skarbnego nowo- gródzkiego, że kiedy król nas opuścił, to chociaż po królewsku był podejmowany, a do tego każdy z jego dworzan i sług stosowny do swojego znaczenia otrzymał upominek - więcej dziesięciu tysięcy zostało u pana skarbnego, z którychśmy uchwalili fundusz na coroczne wybite medalu złotego a cztery srebrnych z popiersiem królewskim na nagrodę uczniom nowogródzkiemu najlepiej odznaczającym się w czasie szkolnych popisów.

Król, otoczony czołem województwa i tłumem szlachty, wjechał konno do Nowogródka i przed farnym kościołem stanął, chcąc najpierw uczcić Pana nad pany. Kiedy zsiadł z konia, pan chorąży Rdułtowski podał mu swoje ramię, a pan Stanisław Orzeszko, koniuszy nowo- gródzki, trzymał jedną ręką frędzle, a drugą strzemię. U drzwi kościoła na czele duchowień- stwa JW. ksiądz Kuncewicz, kanonik wileński a oficjał nowogródzki, orderu królewskiego kawaler, powitał go mową. Po czym król, ciągle klęcząc, słuchał tajemnic Pańskich, w czasie których wymieniony szanowny kapłan przyniósł mu mszał i klęcząc podał mu św. Ewangelię do ucałowania. Po mszy św. urzędnicy województwa oddzielili się od szlachty i skupili się w grono. JW. Gedeon Jeleński, kasztelan nowogródzki, zabrał głos, którym oświadczył w imie- niu tychże urzędników radość publiczną z powodu dnia tak świetnego, w którym łaska Naj- wyższego użyła ich województwu nacieszyć się obliczem pana i ojca całego narodu. Ksia- że Radziwiłł, wojewoda wileński, lubo i był zaproszony do grona urzędników, stał między nami, oświadczywszy, iż nie mając urzędu w tym województwie, jest prostym szlachcicem. Gdy skończył mówić JW. kasztelan, od nas witał króla jegomości pan Paweł Odyniec. Po tych mowach i królewskich odpowiedziach - bo król na każdą mowę odpowiadał dziwnie pięknie, a głosem tak miłym, że jakby wdzięczną muzyką wszystkich serca wabił ku sobie - dopiero duchowieństwo, urzędnicy, szlachta, ba, i prostaczki nawet, zaczęliśmy śpiewać *Te Deum laudamus*. Po odśpiewanym hymnie poszliśmy wszyscy za królem do szkoły woje- wódzkiej. Ksiądz Krysztof Haraburda, rektor, przyjął króla łacińską mową, na którą król od- powiedział tymże językiem, ale tak płynnie, jakby rodowitym, czym do reszty nas zawojował. Potem od każdej szkoły uczeń wystąpił przed króla z mową. Od poetyki w języku francuskim perorował pan Julian Niemcewicz, podkomorzyc brzeski. Widać było, że król był uderzony wymową tego kawalera; jakoż mnie upewniali świadomi przytomni, że ta mowa miała być bardzo piękną.

Ale wspomnienie tej uroczystości rozdziera moje serce! - Młodszy mój syn, mój Karolek, od syntaksy mówił przed najjaśniejszym panem i podobał się królowi, bo od dzieciństwa dziwne miał szczęście do ludzi. Wielkie na nim nie tylko my, rodzice, ale i przyjaciele pokła- dali nadzieje, bo i twarz jakby aniołka, i przy wielkiej zdatności nadzwyczajna pilność i po- tulność. Pan Bóg mi go dał, Pan Bóg mi go odebrał, niech Mu będzie chwała na wieki wie- ków! Po skończonych szkołach, że miał ochotę do wojska, kupiłem mu chorągwo w ósmym pułku litewskim. Pod Żelwą bił się jak lew, że chociaż, desarmacja zastała go podporuczni- kiem, pan Jasiński, tymczasowy naczelnik w Wilnie, kapitanem go mianował w tymże samym pułku. Ale niedługo się cieszył swoim stopniem. Pod Sałantami, gdzie szesnastu oficerów ósmego pułku poległo, padł między nimi mój Karolek, pięciu bagnietami pchnięty . Pogrzeban

został na swojej jeszcze ziemi - to jest jedna pociecha, co mi zostaje.

Król miał prześliczną do naszej młodzi mowę; prawdziwie jak ojciec do dzieci przemówił, a tak, że aż ryk dał się słyszeć po wszystkim kościele. A gdy potem własną ręką rozdawał medale celującym uczniom, gdy go przypinał mojemu Karolkowi, nie wiem, co się ze mną stało, ale wszystkich roztrąciwszy, przedarłem się wprost do króla, jak długi padłem mu do nóg i rozbeczałem się, że sam król bardzo się rozczulił, podniósł mnie, dał rękę pańską do ucałowania, pobłogosławił mi syna i jak się później okazało, dał dowód, że ta moja rzewli-wość nie była mu od smaku.

Ze była właśnie natenczas kadencja świętomichalska, król oświadczył, iż rad by nawiedzić sądy. Pan Ignacy Rewieński, prezydujący w ziemstwie, z kolegami swoimi spiesznie udał się

do sądu, aby króla przyjąć w czasie gotowej sesji. I tak się uwinęli, że kiedy król przybył, zastał sędziów na miejscach swoich, słuchających agitującej się sprawy. Indukt, dopiero zaczęty, przerwany został, a pan prezydent, krótką mową powitawszy najjaśniejszego pana, za-prosił ojca i najwyższego sędziego narodu, aby raczył osobiście wymierzyć tę sprawiedliwość, co ją oni jego powagą i imieniem poddanym głoszą. Król zasiadł w krześle, a wszyscy sędziowie stali w milczeniu, bo w przytomności króla pełność władzy sądowniczej w jego tylko osobie zostaje. Pan Fabian Wojniłowicz właśnie indukował sprawę dość z siebie mało znaczącą. Rzec chodziła o otrzymanie dekretu nakazującego wypłatę sumy z prostego długu należnej, po dwóch kondemnatach uzyskanych na panu Romerze, marszałku oszmiańskim, przez pana Jakuba Potrykowskiego w ziemstwie nowogródzkim. Pan Jelec, umocowany pana marszałka, stawał z tym, że jego stronie zaoczność niesprawiedliwie przypisaną była, gdyż pozwy nie były kładzione na jego dobrach w województwie wileńskim, na których opiera się ubezpieczenie sumy zaciągniętej, ale pozwy położone były w Nowogródku, gdzie piędzi ziemi nie posiadając, pilnować się nie mógł. Domagał się tedy uchylecia zapadłych kondemnat. Ale pan Wojniłowicz stanął z prawem, którym jak wół: *forum ubiquinarium* całemu Wielkiemu Księstwu Litewskiemu jest dozwolony w sprawach *simplicis debit* i-ale w ciągu induktu z ręcznie zrobił zwrot do króla, którego w imieniu palestry ziemskiej powitał. Z mocy więc prawa wypadł wyrok na pana marszałka, aby pod winą wywołania na naznaczonym terminie sumę zapłacił, a ten wyrok przez króla podpisanym został. Pan Jelec, lubo sprawę przegrał, w imieniu swojego pryncypała zadowolenie podpisał, oświadczając, że jest nadto wierzonym poddanym, aby w czymkolwiek różnił się w zdaniu z panem swoim. Wszystko to i go-dziny nie trwało, bo wszystko było przygotowane, by królowi czasu nie kwasić.

Po ogłoszeniu wyroku najjaśniejszy pan poszedł do grodu, gdzie go pan Kazimierz Hara-burda, sędzia grodzki przydujący, powitał, podobnie jak w ziemstwie prosząc go, aby raczył wysłuchać sprawy. Jakoś się nie opatrzył, że nie było przyzwoitą grzecznością prosić króla, aby zasiadł w jurysdykcji, gdzie nie w jego, ale w wojewody imieniu wyroki się głoszą. Ale król przedziwnie się znalazł, bo przyjmując to jego oświadczenie za dowód zyczliwego poddaństwa, co w istocie tak było, oświadczył ze swojej strony, iż w namaszczeniu swoim przyjął stopień duchowny, a zatem wedle kanonów do spraw kryminalnych udziału sądowniczego mieć nie może, i dziękuje Bogu, że mu prawo nie pozwala karać miłych poddanych, czego by mu i własne serce zabroniło. A ja w imieniu palestry grodzkiej miałem rzecz do króla. Łaskawi przyjaciele winszowali mi, że jakoś nie najgorzej mi poszło; wiem przynajmniej, że jeśli tam były pochwały królowi, nie z pochlebstwa ani z podłych widoków pochodziły, ale były istnym wynurzeniem mojego przekonania, a król w krótkich wyrazach okazał, iż mi jest rad.

W dniu tym był wielki obiad dany królowi przez szlachtę w kościele ojców dominikanów. Więcej nas tysiąca siedziało za stołem. Przykro nam było, że król rad nierad wielkie grzeczności wyświadczać musiał jednemu z obcych książąt, kazał jego na obiad zaprosić i posadził go tuż przy sobie. Bo kiedy dzieci ojca przyjmują, nieradzi wtedy, by cudzy do nich się przy-mieszał. Tam wedle starego obyczaju urzędnicy województwa wzięli się do służby, a na czele ich W. Chryzostom Rdułtowski, nasz chorąży. Pan Benedykt

Imieniński, mleczny nowo- gródzki, stał przy królu z pałaszem dobytym. Pan Hipolit Korsak i pan Michał Ginter, jeden stolnik, drugi podstoli, zajęci kuchnią, zastawiali półmiski przed królem, podawali je i chleb mu krajali. Pan Jan Kiersnowski, cześnik, przynosił butelki i korki dobywał, a pan Antoni Zwierowicz, podczaszy, nalewał wino królowi, którego butelka więcej sta złotych kosztowała, a nalewał go w małe kieliszki, gdyż król nie był wezwyczajony do trunku, owszem, brzydził się w nim zbyt kawać. Pan Wojciech Płaskowicki, kra jeży, rozbierał pieczenie i kra- jał mięsiwa królowi przeznaczone. A inni urzędnicy między sobą podzielili dozór nad hajdu- kami pańskimi i inną liberią, z rozmaitych dworów obywatelskich zebraną dla publicznej usługi. Podzielili ich na oddziały tak, że każdy oddział miał nad sobą urzędnika. Srebra były

zbierane z całego województwa, ze wszystkich jego posesjonatów, co z herbów można było poznać, a nad tym kosztownym kredensem miał dozór pan Ignacy Rewieński, prezes sądu ziemskiego. Jeszcze to w czasie obiadu książę gość, widząc, że Zwierowicz królowi wino nalewa, kiwnął na niego i swój mu kielich pokazał, by i jemu nalał; ale nasz podczaszy, że tylko swemu obowiązany służyć, jakby go nie zrozumiał, postawił butelkę na stole. A książę tylko marszem na niego spojrzął, o co on mało dbał, i tamten sam sobie wina nalać musiał. A że my to uważali, była nam pociecha, iż przynajmniej duma upokorzona została. Przy obiedzie spełniono kilka wiwatów, jednak towarzystwo nie bardzo było animowane, bo ten dokuczliwy intruz psuł nam zabawę. Starszyzna nie chciała nas zagrzewać do kielicha, aby któremu z nas coś się nie wypsnęło, bo jakbykolwiek człowiek był ostrożnym po trzeźwu, to przy kielichu nie najlepiej wyjdzie obcy, który się tam urodzi, gdzie go nie posiali. Ale z tym wszystkim nie dość mogliśmy się nacieszyć naszym królem.

Po obiedzie król z księciem wojewodą wileńskim pojechali do Nieświeża na całą noc, gdzie przede dniem stanęli. Król tam miał dwie doby zatrzymać się i wszyscy urzędnicy, nie odstępując króla, za nim pojechali. Król obiecał panu Rdułtowskiemu przyjechać do niego z Nieświeża, ale że on, jako zastępujący miejsce podkomorzego, ani na jedne chwilę nie chciał się odkażać od przełożenia nad królewską usługą, więc pojechał za nim do Nieświeża wraz ze wszystkimi urzędnikami, gdzie i żona jego, księcia wojewody rodzona siostrzenica, umyślnym uwiadomiona, pojechała. Ale zaprosiwszy całą szlachtę nowogródzką do Snowia na dzień pojutrzny, uprosił przyjaciół i sobie obowiązanych, aby wprost natychmiast ruszyli do Snowia, by rozporządzenia w jego niebytności zrobili do przyjęcia tak okazałego i licznego gościa; i mnie tam wyprawił, mówiąc: „Zmiłujcie się, by mnie wstydu nie było, a zajmijcie się gospodarstwem, bo czasu niewiele.” Ja srebra i szkła zebrane z sobą zabrałem, a chociaż gospodarstwa nie było, przy pomocy licznych przyjaciół i krewnych tego domu jakoś się urządziło tak snadnie, że wszystko pokazało się być przyzwoitym. Nazajutrz w nocy nasze chorągwo, przyjechawszy do domu a opatrzywszy się, bardzo się ucieszyli i czule nam dziękowali, mówiąc, że gdyby sami się byli wszystkim zatrudnili, nigdy by nie zdołali popisać się lepiej. Uwiadomił nas chorąży, że król Jmć bardzo był wesół z przyjęcia nieświeskiego, a chcąc w domu księcia pana dać dowód szacunku swojego całemu naszemu województwu, obu naszych posłów, pana Adama Rzewuskiego, chorążycy w. litewskiego, i pana Kazimierza Jabłońskiego, Wojskiego nowogródzkiego, raczył zaszczycić Orderem Świętego Stanisława, oświadczając, że w Snowiu innym obywatelom nagrody rozdawać będzie. Tłumy szlachty przez cały ranek przybywały dla powtórnego powitania najjaśniejszego pana, a przed południem samym urzędnicy nasi przybyli z Nieświeża z doniesieniem, że lada chwila król przyjedzie. Jakoż niedługo czekaliśmy na karetę dworską, z której wysiadł król, książę wojewoda wileński, JW. wojewoda nowogródzki i ksiądz Naruszewicz, pisarz wielki litewski, a za nimi rozmaite karety, z których wysiadały: infuły, mitry, ordery, krzesła i tak dalej. Gospodarz, przyjmując u ganku wysiadającego króla, padł mu do nóg, dziękując za zaszczyt przyniesiony jego domowi; i my wszyscy klękli. Jak ojciec przez dzieci, tak król przez wiernych poddanych powitany został - i mocno go rozrzewniła czołobitność nasza. Nie obawa to była, ale miłość, a tego słodkiego uczucia tylko

dobrzy, ojcowski król doświadczyć mogą. Pani chociaż podać rękę królowi i zaprowadzić go do obszernej sali bawialnej, która w okamgnieniu się napełniła. Król, kilka chwil zabawiwszy, trochę z obywatelami rozmawiał, chwając uprawę roli w Nowogrodzkiem, iż nawet na Rusi piękniejszego zboża nie widział, ale wkrótce kazał się zaprowadzić do komnaty jemu przeznaczonej. Tam poszedł z księdzem Naruszewiczem, by odprawić ekspedycję do Warszawy, a my, zebrani na pokojach, pomagaliśmy gospodarstwu bawić gości, zwłaszcza tych, co składali orszak królewski. A było dość mężów z Warszawy za królem przybyłych. Odznaczali się jego czterej szambelani, nieodstępni od jego osoby przez całą podróż. Ci byli: pan Trembecki, sławny wierszopis, już wieku dojrzałego, a tamci trzej młodzi byli - pan Szydłowski, wojewodzie połocki, pan Grocholski, kasztelanie

braclawski. i pan Morykoni, nasz Litwin; bo chociaż jego przodkowie wyszli aż z łukieskiej ziemi, gdzieś tam spod Rzymu, ale on był osiadłym obywatelem w wileńskim województwie, a nawet został niedługo potem starostą wilkomierskim. Młodzi to byli panicze, po niemiecku się nosili i pudrowali czupryny; ale jak uważałem przysłuchując się ich dyskursom, dobrze z polskimi rzeczami byli obeznani. Bo kiedy się zgadało o odmianach, co je w rządzie naszym skutecznym sejm 1766 roku, pan Butrymowicz, podstarosta piński, ośmiodziesięcioletni sta- rzec, mąż wielkiej powagi, temu sejmowi gdy jał przy- ganiać, iż ścieśnieniem prawa de *liberi vocis* [o wolnym głosie] zniósł przywileje narodu, że to prawo słuszenie od przodków naszych było uważane jako *pupilla libertatis* [źrenica wolności], bo zasłaniało naród od skutków ko- rupcji, która w czasach tak zepsutych ogarnąć może większość izby sejmowej, słysząc to, na niego wielu powstało, a szczególnie szambelani królewscy. Pan Szydłowski bardzo gruntow- nie dowodził, że zerwanie sejmu przy lada materii zawsze było przeciwne duchowi naszego prawodawstwa, że to było nadużycie niektórych wyrazów Jana Zamojskiego, że przedtem *in volumine legum* śladu nie było tak dziwaczego przywileju, upowszechniającego tylko nie- rząd i intrygi w narodzie, a że na koniec samowolność nie na tym zależy, aby ulegać większo- ści izby prawodawczej, ale dawać się wiązać przez widzimisię jednej osoby. Pan Butrymo- wicz, chociaż wielki prawnik, widno, że nie najlepiej sprawy bronił, bo dość słabe były jego argumenta. Zgadało się także o potrzebie egzekucji dekretów. Nasz poseł pan Rzewuski z wielką wymową powstał na nadużycia starostów, którzy w Warszawie przesiadują, a przecie bez ich podpisu grodzkich sądów wyroki egzekucji nie mają, i swoje rozumowania zakończył mówiąc, że:

- Sam skorzystawszy z tego nieładu, mam prawo o nim mówić. Wyobraźcie sobie, pano- wie, że pan Turkuł, łowczy braclawski, zyskał na mnie w grodzie kijowskim dekret nakazują- cy zapłacić mu sześćdziesiąt tysięcy. Prosiłem go o umiarkowanie, żeby przynajmniej rozło- żył wypłatę na dwa terminy; ale, zaufany w dekrecie, tak się okazał twardym, że ani mówić sobie nie dał o układach. Udałem się do Warszawy, gdzie mieszkał książę Lubomirski, woje- woda, a razem starosta kijowski, człowiek umysłu nieprzytomnego i tylko kobietami zatrud- niony. Otóż tam mój umocowany wszedł w układ z jego faworytą, iż co dzień będzie jej pła- cić po jednym czerwonym złotym, aż pokaż książę podpisze dekret zwykłą formą. Rozumie się, że ta imość nie dopuściła księciu takowy podpis zrobić, by nie stracić akcydensu, tak że pan Turkuł, nie mogąc się doczekać egzekucji swego dekretu, przecie zmiękczał i ze mną wszedł w układy. Na przyszłym sejmie, da Bóg doczekać, jeśli będę posłem, wniosę, aby od- jąć starostom ten przywilej, tak uciążliwy dla szlachty, i domagać się będę, aby nadać sądom grodzkim moc egzekucji dekretów, jako ją mają ziemstwa.

I w samej rzeczy w Grodnie na sejmie 1784 na wniesienie tegoż panu Rzewuskiego, posła wówczas wołyńskiego, prawo o egzekucji dekretów jednomyślnie uchwalone zostało.

Tak tedy o publicznych rzeczach wszyscy byli zajęci mową i słuchaniem, gdy król wrócił na pokoje z księdzem pisarzem; i kiedy zgromadzeni poddani cieszyli się oglądaniem pana, gospodarz odezwał się, trafiając w ich myśl, o uszczęśliwieniu województwa tą pierwszą, a tak długo oczekiwaną bytnością króla na Litwie. Ale król przerwał z żywością:

- Mości panie chorąży nowogródzki, jak widzę, masz nas za obcego; wszakżeśmy rodowi- tym Litwinem, urodziliśmy się i chrzest święty przyjęliśmy w Wołczynie, a będąc w stanie rycerskim, sprawowaliśmy urząd stolnika litewskiego. Nawet byliśmy w Lidzie na sejmiku, na którym utrzymaliśmy na poselstwie teraz tu obecnego waszego godnego wojewodę. Mości wojewodo nowogródzki, przyświadcz nam, żeśmy wtedy szczerze wam dopisali.

Skłonił się JW. Niesiołowski, dziękując za łaskawą pamięć najjaśniejszego pana, a ksiądz Kuncewicz, sufragan nowogródzki, sędziwy starzec, ale wielce lubiący gawędzić, wmieszał się do dyskursu:

- Pozwól, najjaśniejszy panie, przypomnieć pewną okoliczność jednego pobytu waszej królewskiej mości na Litwie. To było w Wilnie za księcia biskupa Pocieja. Już byłem rekto-

rem w kolegium świętego Kazimierza, a JW. pisarz wielki litewski tylko co został profesorem; jeszcze wtedy ani myślano o kasacie. Dano przeto wiedzieć księciu biskupowi, że na ponarskiej puszczy lud tajemnie się zbiera dla odbywania jakichś zadawniałych obrządków pogańskich i że tam stoi dąb poświęcony, ogromnej grubości, przed którym lud klęka, pokłony bije i ofiary pali. Już jego poprzednik bywał o tym uwiadomiony i dał był rozkaz, by ten dąb zwalono i spalono; ale było mniemanie, iż jak kto toporem po dębie uderzy, sam siebie zetnie. Stąd prostota myślała, że to Bóg swój dąb broni, a inni wnosili, że być może, iż diabeł ludzi omamiał - dość że nikt się nie odważył na ten dąb porwać i rozkaz dopełnionym nie został, a zabobony, jak trwały, tak trwały. Otóż ksiązę Pocięj, równie świątły jak gorliwy, że tak na pedogrę cierpiał, iż od dwóch lat z łóżka nie wstawał, nie mógł osobiście zjechać do ponarskiej puszczy, ale wysłał tam komisję, a na jej czele nieboszczyka księdza Jurahe, oficyała wileńskiego; i mnie tam wysłano z ojcami jezuitami. Był z nami i ksiądz Naruszewicz, tu obecny, a ten mi kłamstwo zada, jeśli zmyślam. Siła była dominikanów, bernardynów i innych zakonników, nie licząc świeckich; dość że omal całe duchowieństwo wileńskie nie zjechało się, kto z rozkazu, kto z ciekawości, a do nich mnóstwo panów i szlachty się przyłączyło. Przybyliśmy tedy w las, a już z całej okolicy spędzono prostaczków, ile tylko ich można było nagromadzić. Dopiero ksiądz Juraha miał naukę do narodu, w której go przekonywał, że to bałwochwalstwo porzucić trzeba, a przestać naszego Zbawiciela krzyżować gardząc nauką Jego Kościoła, aby chodzić za baśniami i czartowskimi wymysłami, a po skończonym nabożeństwie kazał ów dąb zwalić: ale żaden prostak nie chciał mu być posłusznym. „A co to - prawi jeden po drugim - mam sobie samemu być wrogiem? Niech księza sami popróbują go ścinać”. Nie trzeba zaś zapomnieć o tym, że wielu było świeckich mężów. Ksiądz Juraha mówi JW. Chlebowiczowi, kasztelanowi wileńskiemu: „Jako wysoki senator, daj, panie, z siebie przykład, którym lud oświecisz!” A pan kasztelan odpowiedział pokazując na JO. księcia Radziwiłła, hetmana wielkiego litewskiego, który był razem wojewodą wileńskim: „Oto jest pierwszy senator naszej prowincji. Strzeż mię Boże, abym przywłaszczał sobie pierwszeństwo.” Ale ksiązę hetman: „Rybeńko, przyzwoiciej, aby stan duchowny zaczynał, a my potem.” Tu ksiądz Juraha: „To by było przeciwko powagi stanu duchownego toporem machać”. Tak wszyscy stanęliśmy jak wryci, tylko się na siebie oglądaliśmy, bo choć wiara była wielka, każdy myśli sobie: „A nuż czort omami.” Kto siebie pewny, kiedy on na *Sanctus Sanctorum* [Najświętszy Sakrament] odważył się porwać. Świeccy jeszcze więcej zwątpili o sobie. Piękna by się rzecz zrobiła: tu uczą naród, aby w takie zabobony nie wierzył, a tu sami nauczyciele tak się polekali, iż żaden odważyć się nie może na to, przeciwko czemu piorunieje. Aż jeden pan młodzieuchny, po zagranicznemu odziany, ale dziwnej urody, podobniejszy do anioła niż do człowieka, widząc te korowody, porywa topór i śmiało nim po dębie raz, drugi i trzeci zacina. Dopiero jak zobaczył lud, że jemu nic, za nim z toporami tak żwawo, że dębisko, duchem zwalone, runęło z hukiem o ziemię. My ciekawi, co to za pan tak odważny i piękny, dowiadujemy się, że to pan kasztelanie krakowski, dzisiejszy nasz pomazaniec, który zaszczyca nas swoim majestatem, a który, daj Boże, aby nad naszymi prawnukami panował, jak teraz nad nami szczęśliwie panuje. Tak, ledwo z dzieciństwa wyszedłszy, nasz wielki monarcha uzupełnił

dzieło Władysława Jagiełły: tamten w pogańskich narodach prawdziwą wiarę zaszczeplił, a ten ostatnie szczątki bałwochwalstwa zniszczył. Pan Bóg mu to nadgrodził, powierzając mu panowanie nad ludem, którego, śmielszy od nas wszystkich, na drogę zbawienia naprowadził.

Podobało się bardzo królowi to zaszczytne wspomnienie jego pierwszej młodości, tym więcej że w tym zgromadzeniu było kilku tego naocznych świadków, a wielu z nas o tym wiedziało, ale tylko jak o słyszanej rzeczy. Pan Trembecki zaczął trochę prześladować księdza pisarza wielkiego litewskiego, że z siebie przykładowo nie dał, ale ów JW. ksiądz się tłumaczył:

- Co to waćpan myślisz, że u nas w zakonie jak między szlachtą, gdzie każdy starszy? U nas wara młodzikowi, co by się z czymkolwiek wyrwał przed swoim przełożonym. Nieprawdaż, mości sufraganie, że będąc rektorem, byłbyś mnie w ciupie zaparł, gdybym bez rozkazu jął się siekiery. A na koniec sameś napisał, mości szambelanie, o naszym pomazańcu:

Ze raczył nam powszechnie światło rozprować; I myślić nas nauczył, i po trzeźwu radzić.

Wszystko idzie *ad Caesaris exemplum*. Za Sasów byliśmy pijaki, tchórze i ciemni, teraz jesteśmy trzeźwi, mężni i światli. Onegdaj my, starzy, w szkole nowogródzkiej przekonać się mogliśmy, że dziś dzieci więcej mają nauki niż za naszych czasów wysokie urzędniki.

To młodzieży się podobało, ale starzy trochę czoła na-marszczyli; jeno że król, spostrzegłszy się, wnet temu dał inny obrót:

- Byliśmy tak szczęśliwi - rzekł - obejmując rządy powierzone nam od Boga, iż znaleźliśmy wielu starych, którzy uskuteczniły nasze zamiary względem rozpowszechnienia nauk między młodzieżą. Bo bez pomocy tych weteranów, o których, widno, iż żartując, tak lekko wspomniałeś, mości księżę pisarzu litewski, na nic by się nie przydały starania nasze.

A tymi słowy król mocno uradował całą naszą publiczność.

Potem pani chorążyna zaprosiła króla, by raczył pozwolić sobie służyć obiadem w stodole, przepraszając, iż nie mają sali tak obszernej, w której by mogli umieścić liczne obywatelstwo, łaknące dzielić gody królewskie. Król odpowiedział uprzejmie, że najwłaściwiej króla rolniczego narodu w stodole nakarmić, i podawszy rękę gospodyni domu, z nią poszedł na gumno. Gdyśmy za przykładem i pozwoleniem najjaśniejszego pana zasiedli za stołem, zwrócił uwagę królewską przy nim stojący, na ogromnym półmisku z ciasta i cukru misternie zrobionym, wizerunek Piasta siedzącego na wozie, dwoma wołami ciągnionym, a naładowanym kołami, któremu u wrót Kruszwicy wojewodowie koronę i berło przynoszą. Ta cudna robota, która długo się jeszcze potem chowała w Snowiu, była dziełem wędrownego snycerza Niemca, który właśnie jakby z rozporządzenia boskiego natenczas w kościele ojców dominikanów nowogródzkich różne ozdoby kościelne kształcił i złocił. A że, jako Niemiec, do wszystkiego był zręczny, kazał przeto pan chorąży nam go zabrać z sobą do Snowia, gdzie przez dwa dni niespełna tak się nam popisał, że mu pan chorąży po odjeździe króla dwadzieścia pięć czerwonych złotych z dobrego serca dał nagrody. Z powodu tegoż wizerunku zaczęto rozprawiać, czy też w istocie tak było, czyli to tylko wymysł dziejopisarza. Jedni dowodzili rzetelności tego wypadku, drudzy, a między nimi szczególnie pan szambelan Trembecki uważał to być alegorią. Rozpierali się, jak to zwykle pomiędzy uczonymi, aż król się odezwał:

- Zmiłujcie się, nie odbierajcie nam naszego Piasta! Niech on nam służy na zawsze za dowód, że w zacnym narodzie prosty kołodziej cnotami swoimi może dostąpić najwyższej władzy.

Jeszcze się wtenczas doskonale udało panu chorążemu, stojącemu, jako gospodarz, za krzesłem królewskim:

- Najjaśniejszy panie - powiedział - wasza królewska mość jest dla nas zupełnym Piastem, nawet kołodziejem jak on, bo toczysz koło fortuny polskiej i litewskiej.

Co król mu odwdzieczył miłym uśmiechem. Potem król zaczął po francusku rozmawiać z panią chorążyną. Zaczęła się animować kompania za hasłem przez gospodarza danym, który ogromnym kielichem spełnił zdrowie jego królewskiej mości w ręce JW. Niesiołowskiego, wojewody naszego. A potem kielich puścił się na wędrówkę między nami. Przy tym zdrowiu śpiewano wiersze naprędce ułożone przez pana chorążycza litewskiego, naszego posła, a brata rodzonego gospodyni domu. Król małym kieliszkiem pił zdrowie gospodarstwa i szlachty, ale widno było, że mu to nie służyło, i choć w małej ilości, nie pijał bez widocznego wstrętu. Ale my, szlachta, rozrzewniona jego bytnością, pozwoliliśmy sobie, że przez cały czas obiadu zabawa była dość animowana. I panowie z królem przybyli, chociaż do Warszawy nawykli, nie gorzej nam dopisali, a szczególnie książę Naruszewicz, pisarz litewski, który pił, że aż

miło. Jednak jakieś było umiarkowanie, bo pan chorąży wstrzymywał nasz popęd, gdyż król miał po obiedzie rozdawać urzędy; trzeba więc było gospodarzowi być trzeźwym, bo jako zastępującemu miejsce podkomorzego, wypadało jemu mówić z królem o wakansach i prze- kładać mu życzenia obywatelskie.

Jakoż po obiedzie król, wezwawszy JW. wojewodę i kasztelana nowogródzkich i pana chorążego Rdułtowskiego do swojej komnaty, konferował z nimi o nagrodach zasłużonym obywatelom i o rozdaniu wakansowych urzędów tym, co opinię publiczną mieli za sobą.

Po skończonej konferencji wróciwszy na pokoje, gdzie my zebrani z wielką niecierpliwo- ścią oczekiwaliśmy ich przybycia, król jegomość kazał księdzu Naruszewiczowi ogłosić na- zwiska łaskobierców. Orderem Orła Białego zaszczytzeni wtedy zostali: JW. Gedeon Jeleński, kasztelan, i ksiądz Kuncewicz, biskup adnumentański, sufragan nowogródzki - a Świętego Stanisława: pan chorąży, gospodarz domu, pan Obuchowicz, podwojewodzy, i pan Rewień- ski, prezydent sądów ziemskich. Pan Siemiradzki który przed rokiem złożył nasze stolniko- stwo *in favorem* [na korzyść] pana Hipolita Korsaka, otrzymał urząd sędziego wojskowego. Wakujące strażnikostwo i mostowniczostwo nowogródzkie dostali: pan Celestyn Czeczot i pan Józef Barzobohaty; także kilka starostw król naszym rozdał i nieco urzędów egzotycz- nych. W tym hojnym wylewie szczodroty najjaśniejszego pana i mnie jego łaską nie ominęła: dostało mi się cześnikostwo parnawskie. A sposób, w jakim król te godności rozdawał, był nam wdzięczniejszy niż one same. Bo każdemu świeżo zaszczyconemu umiał coś obowiązku- jącego powiedzieć. Gdy przyszło do mnie:

- Mości cześniku parnawski - rzekł - zawsze się staramy zasłużonym obywatelom podawać coraz obszerniejsze pole do dalszych ich zasług. Wiem, że długo byłeś nam przeciwny; ani wam to za winę przypisujemy, boś szedł za swoim przekonaniem. Spodziewamy się atoli, iż odtąd jedna tylko opinia nie dopuści żadnych domowych rozterek w naszej Rzeczypospolitej i że z równą wiernością będziesz służył królowi, ściśle zjednoczonemu z całym narodem, jakieś służył tej części, która niefortunnymi okolicznościami od niego się była odłączyła. Tu- szym, że mieć zawsze będziemy w waćpanu wiernego sługę i przyjaciela.

Klęknąłem natychmiast przed królem i u nóg jego odnowiłem przysięgę wierności, co ją aż do samego końca dochowałem jemu. I nie tylko ja, ale wszyscy obdarzeni równym zapalem przysięgali mu wiarę. Taką miłością zapaliliśmy się do naszego pana, że byliśmy jak w go- rączce: żaden z nas nie umiałby dokładnie przypomnieć sobie, cośmy wyrabiali. To tylko pa- miętam, że ustawicznie padaliśmy do nóg, płakaliśmy i śpiewali na przemian, a pili, co się wlało. Choć król okazywał, iż był rad tym naszym wynurzeniom, pewny jestem, żeśmy się naprzykrzyli jemu, bośmy chwili mu wolnej nie zostawili. Co jeden kończy, to drugi zaczyna, a gospodarz tylko chodzi od jednego do drugiego i przekłada, że król nazajutrz z rana musi jechać, że podróżą i pracą zmęczony, że wczasu mu potrzeba - na siłę my się przekonać dali. A tak, zebrawszy się w oficynie, żeby hałas nie dokuczał królowi, całą noc piliśmy, że kiedy z rana król wsiadał do karety, zastał nas przed gankiem na nogach, lubo dobrze chwiejących się. Dopiero znowu nowe śpiewy i klęknięcia przy pożegnaniu, i prośby, by nam dał ojcowskie błogosławieństwo, które

byśmy zanieśli żonom i dzieciom naszym- A większa część naszych, choć ledwo na nogach się trzymała przez wino i niewczas, króla konno odprowadziła aż do granicy naszego województwa. Ale kiedy po odbyciu wszystkiego wróciłem do Doktorowicz, co to była za radość żony i czeladki! Zsiadając z bryki, pierwsze moje słowa do żonki, która na przyjęcie moje wybiegła, były:

- Żonko, dziękuj Bogu, że nam nadspodziewanie poszczęścił: był już z Jego łaski majątek i dziatwa, urzędu tylko nie dostawało, aż król jegomość raczył nas i urzędem zaszczyścić. Mo- ścia cześnikowo parnawska, pocałujże swojego męża!

- Co powiadasz, mój kochanku?

- Tak, tak, moja Magdusiu! Pamiętasz, jakieś mocno uczuła roku zeszłego, że nasza sąsiad- ka, pani Rajska, miecznikowa, napisała do ciebie: „Mnie wielce mościwa pani i kochana sio-

stro!” Rzewnymi łzami płakałaś przede mną, skarżąc się na jej niegrzeczność. A jam ci po- wiedział:

„Choć pani miecznikowa mogłaby spuścić ze swego prawa, by nim nie upokarzać sąsiadki, przeczyć jej tego prawa nie można, bo ona urzędniczka, a ty po prostu szlachcianka.” Led- wom cię ukoił, toś przez cały rok ofiarowała boskiej Opatrzności poniedziałki suszyć, byś także została urzędniczką. Widzisz, że kto z Bogiem, Bóg z nim. I my teraz z Jego łaski jeste- śmy wielmożni.

- Ach, mój Sewerynku, pozwól, niech no wyprawię forysia do pani miecznikowej z donie- sieniem o naszym szczęściu, które listownie jej oznajmię, jako sąsiadce łaskawej.

- Dobrze, moja Magdusiu, pisz. Niech wszyscy wiedzą, że my na ludzi wyszli.

Moja Magdusia do siebie nie mogła przyjść z radości. A ja, patrząc na tę jej radość, więcej czułem moje szczęście, niż kiedyś je otrzymał w Snowiu z rąk najjaśniejszego pana. A w domu, z jaką pociechą cała moja czeladka i wiejska gromada przybyli do mnie z powinszo- waniem!

Pięćdziesiąt kwart gorzałki dałem gromadzie, aby na moim dziedzińcu radowała się z na- mi, a mój stary dyspozytor Pękalski, który mojego dobra gorliwiej niż własnego pilnował, którego synów moim kosztem w szkołach utrzymywałem, do łez mnie rozczulił, bo jak mu Magdusia oznajmiła, że cześnikiem zostałem, powiedział mnie:

- Panie? Już teraz spokojnie umrzeć mogę, kiedy doczekałem, że zasługi pańskie nie po- szły mamie.

Ledwo nie przez cały kwartał zjeżdżali się do mnie sąsiedzi, by mi winszować zaszczytu, i niemało kosztu ta ich życzliwość nam przyczyniła. Aleśmy tego nie żalowali i Magdusia, choć skrzętna gospodyni, tak była ucieszona swoim znaczeniem, że na żadne wydatki dłoni nie ścisłała.

ZAMEK KANIOWSKI

Żadna rzecz ludzka nie jest doskonałą, a co tylko ludzie wymyślą, to inni ludzie ulepszyć mogą albol, co często bywa, zepsują. Lecz te rzeczy, co już w obyczaj weszły, częstokroć takim podlegają zawisłościom, że bez zbytecznej zarozumiałości przyganiać im nie można. Wiele jest na świecie rozmaitych narodów, a każdy z nich podlega pewnym prawom, krepują- cym go bez wątpienia, ale razem zabezpieczającym byt jego. W tych wszystkich prawach jest i wielki stosunek, i wielka odmienność. Stosunek w tym wszystkim, co się odnosi do wyobra- żeń danych człowiekowi wprost od Boga, różnica we wszystkich względach jedynie ludzkich. Jak to bywało, mówiono o dekretach, że niektóre z nogami, to jest nabiegano, drugie z ręko- ma, to jest po prostu opłacone, a przecież najwięcej takich, co wedle Boga i sumienia, bo ina- czej nie byłoby sprawiedliwości między ludźmi. Toż i o prawach powiedzieć mogę: są mię- dzy nimi takie, które oczywiście dla osobistych a chwilowych okoliczności napisanymi były, i te wyległy się w czasach, kiedy już prawodawstwo wątpić się zaczęło, kiedy u prawodawców uczucia już z serca do głowy przenosić się zaczęły. Ale każdy naród, jeżeli zechce się opa- trzyć, przekona się, że wszystkie jego starożytne prawa wedle Boga napisane

były. Niewiele pokładam ufności w prawie świeżo utworzonym, ale co się dotyczy tych, co już przeszły przez probierczy kamień czasu, dla nich jestem przejęty głębokim uszanowaniem, tak dalece że chociażby i dziwaczny się zdawały, zaraz przychodzi mi na myśl, że muszą się odnosić do jakich okoliczności, które gdyby wiadome były, przekonałyby o ich mądrości i właściwości. Prawo jest historią narodu, i taką, która zaprzeczeniu nie podpada. Jak dzieje, które mogły się wydarzyć lub nie, albo - pozwólmy, że się wydarzyły rzeczywiście - jakaż pewność, że

ten, co je opowiada, zachował czystą prawdę bez nadwątlenia jej ozdobami. Czy raz bywało, że z kilku naocznych nawet świadków jednego zdarzenia każdy je po swojemu opowie: jeden wspomina o okoliczności takiej, drugi o innej, która pierwszą zbija - domyśl się wtedy, czyja prawda! Ale w prawach nie ma obłudy; z nich jak oliwa z wody na wierzch wychodzą oby- czaje narodów i to jest właśnie prawdziwa historia. Wyrzucają naszemu dawnemu prawodaw- stwu, że nie było w nim środków wykonawczych i dość sprężystych, czym prawo równano do pajęczyny, w której mucha się wikła, a bąk ją przebija. Nie przeczę, by nie miało być coś gruntownego w tym zarzucie, ale nigdzie jeszcze nie usnuto pajęczyny na bąka, wszędzie bieda z bąkami. Każdemu narodowi można powiedzieć z ruska po polsku: *Kruty, ne kruty hołowu* [kręć czy nie kręć głową], *neboże, ne dokażesz*, żeby chudemu pacholкови było to samo co panu. Choćbyś się pozbył wszystkich panów, wkrótce oni się znowu pokażą. Alboż co jesieni pszczoły nie wybijają swoich trutniów co do nogi, a przecież na wiosnę znowu ich pełno. W czasie Sejmu Czteroletniego my wszyscy się zapalali do tego, co się wówczas we Francji działo: jak to było pięknie równością naszą szlachecką całkowity naród obdarzyć, króla osądzić, dworaków się pozbyć, uwolnić się od wszystkich tych, co dotąd ciężyli na równości obywatelskiej - jednym słowem, wytepić szerszenie i bąki, żeby tylko zostały same muchy, na które pajęczyna prawa jest dostateczną. Sliczna myśl, a długoli ona była stateczną? Spomiędzy much niektóre powyrastały tak, że już stały się ogromniejszymi od tych bąków, które się naprzykrzyły. Wszystko się wkrótce odnowiło: i król, i dwór, i magnaci, a co wy- gnano wszystkimi drzwiami, oknami wróciło. To kiedy po upłynionych latach Francja przy- szła do naszej Litwy, był to dla nas czas wielkich nadziei, ale który zrodził nam tylko nowe nieszczęścia, bo przeciw nam był mocarz silny i przezorny, a za nami przyjaciel nieszczerzy i nieroztropny. Otóż wtedy napatrzyłem się na kozery francuskie. Taki, co przed kilkunastą laty bił się za równość ziomków, tak spyszniał, że ani dostąpić do niego. Będąc członkiem komisji centralnej w Grodnie, z urzędu mego musiałem codziennie odnosić się do francuskiego gu- bernatora. Jak mówiono, był on kiedyś blacharzem, co mu nie krzywdę, ale zaszczyt, owszem, przynosiło, bo któż by miał mu za złe, że męstwem i zasługami do wysokich dosto- jeństw się wyniósł. Ale co to była za duma, co za nadętość! Obwiniają naszych magnatów, że byli wyniosłymi. Oj, wołałbym z najdumniejszym naszym magnatem rok przebyć niż godzinę z podobnym gubernatorem. Nie taję mego wyznania: może byłoby dobrze, by żadnego nie było magnata. Zgoda! Piszę się na to i krwią własną podpiszę! Od pastucha do senatora niech wszyscy będą równi. Ale majali być koniecznie magnaci, niechże będą przynajmniej tacy, których krew z wielkich przodków na nich się zlała. Uchowaj nas Boże od podpan-ków, od takich, co lubo teraz możni, lecz ich dziadowie w palce chuchali dla ogrzania się w zimie; bo im świeższe u nas szlachectwo, tym więcej cuchnąca duma. Alboż to nie widzimy codziennie, że ekonomiczne syny dzisiaj więcej nosa do góry zadzierają niż dawniej senatorskie dzieci? Dawniej magnat był dumny, ale względem równego mu magnata; względem szlachty i sług był poufałym i braterskim. Teraz syn ekonomiczny czy tam wnuk, jak się dodrapie przestronne- go dziedzictwa, ani patrzy na zacnego człowieka pokrzywdzonego losem; nie ma upokorze- nia, którego by względem niego nie ważył się dopuścić. Ale niech no się pokaże rosyjski czy to gubernator, czy generał albo jaki i ziomek silny,

potężny w służbie tego rządu, a wnet tak się przed nim uniży, tak się spłaszcy, takimi nadskakiwaniami jego uwagę ku sobie skłoni, żeśmy o tym nigdy i wyobrażenia nie mieli. Szlachcic z zaścianka, w łatanej opończy, dla zapewnienia sobie kawałka chleba, co go nie co dzień jadł do sytości, pewnie nie tyle się płaszcył przed księciem wojewodą wileńskim, ile teraz marszałek lub prezydent przy ob- szernym majątku przed lada zwierzchnością obecną, żeby wypodlić sobie ćwierć łokcia wstążki. Słabe były środki wykonawcze w naszym prawodawstwie. Dajmy, że tak było rzeczywiście. Cóż stąd za wniosek? Ze obywatele źli byli? Owszem, musieli być bardzo cnotli- wi, kiedy prawodawcy na ich charakter jedynie się spuszczali. Bywały czyny dowodzące przemocy magnatów, ale nie myślcie, by to wszystko było prawdą, co teraz o nich mówią.

Niejednemu się zdaje, że u nas były ciągle najazdy, że magnaci nie mieli innej rozrywki, tylko batożenie szlachty, że gwałt był ciągłym stanem narodu. Czyż to wszystkiemu wierzyć, co ludzie mówią? W całej Wielkopolsce ani słyhu nie było o najazdach, toż samo w Małopolsce; na naszej Litwie przez całe moje życie trzy były tylko wypadki, że pan szlachcica najechałszy ukrzywdził. Nasz książę napadł był w karczmie na pana Zaremby i jego skrzywdził; JW. Tyzenhauz, podskarbi wielki litewski, panu Turowi przez jedne noc wszystkich poddanych na swoje grunta przeniósł i tak chałupy i dwór sprzątnął, że gdzie była wieś, zostało same orne pole. Był głośny proceder między JW. Zabą, wojewodą połockim, a panem Hutorowiczem, osiadłym szlachcicem, którego tenże JW. Zaba pięć lat więził okutego w piwnicy, że aż po pas broda mu urosła. Otóż i wszystkie gwałty litewskie przez lat dwadzieścia! A jeśli szlachta między sobą się powadziła i przyszło do uczynków, toć to już nie prepotencja; na całym świecie ludzie siebie krzywdzą - i na to jest prawo. A kto by tam urzęda stanował, gdyby ludzie żyli jak anieli? A i te czynności, o których nadmieniałem, na sucho nie uszły. Nasz książę pięćdziesiąt tysięcy musiał bezwarunkowie zapłacić panu Zarembe, a taki dwanaście niedziel więzy *personaliter* [osobiście] wysiedział w Nowogródku. Z panem Tyzenhauzem gorzej by się stało, gdyby go nie był zakwitował z procederu pan Tur, wzięwszy za to kamienicę na Antokolu i ustępstwo starostwa sutorowickiego, na co JW. podskarbi przywilej panu Turowi od króla wyrobił. A na JW. Żaby wypadł dekret grodzki, w którym rozdział 11, artykuł XXVIII Statutu Litewskiego z całym rygorem do niego zastosowany został. To ledwo wyłamał się z niego w trybunale, sownie wprzód zagodziwszy pana Hutorowicza, by mu w tym wyroku nie przeszkadzał. Sprawa więcej dwóchkroć go kosztowała, chociaż i strona powodowa była zaspokojoną, i sam książę wojewoda wileński zjechał na trybunał, by za przyjacielems forsować. O żadnej innej prepotencji magnata względem szlachcica nie słyszałem, a pewnie po aktach ciągle szperając a z ludźmi obcując, nic takiego przede mną by się nie udało. Ukraina była jedyną częścią Rzeczypospolitej, w której podobne bezprawia nie były rzadkie. Tam było kilku panów możnych, a szlachty nadto mała liczba, by im jakąś przeciwwagę położyć. Nawet w tej małej liczbie szlachty osiadłej na Ukrainie ledwo dziesiąty był prawdziwym szlachcicem, reszta z poddanych dworskich, co ich panowie z Wielkopolski i z Krakowskiego lub z Podlasia wywieźli, którzy po polsku mówiąc a w usługach pańskich jakiegoś grosza nabierawszy, przyszli powoli do roli dziedzicznej czy zastawnej i tak wdarli się chociażem do szlachectwa, nim go sobie i potomkom zabezpieczyli korzystając z pozwolenia danego królowi konstytucją 1766 roku, która to konstytucja, samowolnie rozciągnięta nad jej wyraźne brzmienie, niemało pieniędzy ukraińskich do kasy króla Stanisława przywabiła.

Komuż nie znany pan Potocki, starosta kaniowski, na którego rachunek nakarbowano wszystkie gwałty, jakie przez półtora lat może robiły się na Rusi, a bez wątpienia, że i on sam niemało ich napłatał. Ale i on pod pewnym względem służy za dowód, że była u nas sprawiedliwość. Wszak ci on żadnego szlachcica nie zabił, tylko gęsto sypał plagi na tych, do których coś upatrzył, co nie było trudno, bo był chimeryk Przecie miliony miał po rodzicach, posiadał starostwa intratne, grosza na przepych nie marnował, owszem, był wielkim gospodarzem. Żadnemu panu trzy wsi nie przynosiły tyle, ile mu jedna; a po śmierci, nie wiem, czy dwakroć sto tysięcy na jego

synowca spadło. Ile bowiem batogów sypnął był jedną ręką, tyle potem tysięcy drugą na zagojenie pierwszych dawał. A wieleż to na Ukrainie liberbaronów na dziedzictwo wyszło z łaski jego batogów? To tu razu jednego powiedział pewnemu szlachcicowi, co mu naprzykrzał się w karczmie: *Ne ma hroszy, ne budu byty.*” [Nie ma pieniędzy, nie będę bił.]

Wszyscy słyszeli o staroście kaniowskim, a ja byłem mu osobiście znany, nawet miałem z nim interes, z którego powodu cały tydzień służyłem mu w Kaniowie - i mogę się pochwalić, że najmniejszej przykrości z jego strony nie doświadczyłem. Owszem, tyle okazał się dla mnie łaskawym i łatwym w interesie, że daj Boże moim wnukom każdy ich interes podobnie kończyć. A moja bytność w Kaniowie nastąpiła z następnego powodu.

Książę Wiśniowiecki, hetman wielki litewski, którego córka jedynaczka była matką naszego księcia, miał starostwo kaniowskie, nadane jeszcze od króla Augusta starego. Tam, jako zwyczajnie wtedy na Ukrainie, zastał same pustki. Ale w przeciągu swojego władania wymurował zamek, wystawił folwarków, młynów i zabudowań co niemiara, o co po jego śmierci sukcesorowie poszukiwali swojej należytości w Rzeczypospolitej, że kiedy później to starostwo dostało się panu Potockiemu, on wziął na siebie obowiązek zaspokojenia księżnę Radziwiłłową. Za wstawieniem się przyjaciół interes został ukończonym. Jeszcze księciu wojewodzie wileńskiemu *residuitatis* [pozostałości] zostawało u pana kaniowskiego czternaście tysięcy, które się zawiodły z powodu zamieszek krajowych od śmierci Augusta III. Książę pan, wróciwszy do Ołyki z Lublina po ukończonym interesie z książętami Lubomirskimi, przypomniał sobie, że mu jeszcze coś należy od starosty kaniowskiego, a chcąc mi łaskę wyświadczyć za moje usługi, darem darując, odstąpił mnie tych czternastu tysięcy, dodając:

- Panie kochanku! Waszeć teraz na Rusi, rusza jże sobie do Kaniowa po pieniądze, abyś z gołymi rękoma nie pokazywał się żoncy, której od waści kłamać się będę.

Padłem do nóg mojemu JO. panu. Czternaście tysięcy wtedy był piękny grosz, a nawet i teraz, kto by ich na drodze znalazł, nie szczeniłby rąk swoich do ich podniesienia. Ale jak zaczęli mi ludzie mówić o dziwactwach pana starosty, że zamiast monety srebrnej nietrudno w Kaniowie o rzemienną, niemalom się nafrasował, lecz powiedziałem sobie:

- Naprzód, panie Sewerynie! Czyż już dla wilka nie iść do lasu, choć skóra w strachu? Oj- cieć dzieciom czternaście tysięcy dla strachu nie opuści, chybaby już oczu nie pokazać między ludźmi.

Postanowiłem tedy, odebrawszy list od księcia pana do pana starosty, nazajutrz puścić się w podróż. Pan Bartłomiej Chodźko napierał się być moim towarzyszem, ale mnie na to nie namówił, bym szedł z żarem do prochowni. Cały wieczór na pokojach miną nadrabiałem, ale w sercu była wielka niespokojność, tak że przed wyjazdem na intencją pomyślnej podróży opatrzyłem się Przenajświętszym Sakramentem w kolegiacie ołyckiej i uczyniłem ślub, że po odtrąceniu wszelkich wydatków z całej kwoty, co ją odbiorę, opłacę dziesięcinę w połowie kolegiacie, a w połowie siostrze miłosierdzia w Nowogródku. A lubom wiedział, że pan starosta wówczas znajdował się w Kaniowie, puściłem się jednak ku Podolu, a to żeby przypomnieć się JW. Potockiemu, podczaszemu litewskiemu, u którego kilkakrotnie byłem na ordynansie w czasie konfederacji barskiej. Ba, omal że nie zabrał mnie wtedy z sobą do Stambułu, co mi się bardzo podobało, bo który młodzian nierad jak najwięcej świata przebiec. Ale wola Pana Boga była, bym swoim w kraju służył, bom tak na malignę zapadł był, że JW. podczaszy beze mnie wyjechał. Lecz mogłem sobie pochlebiać, że jakiś wstęp mam do jego osoby.

Pojechałem więc do Morafy, raz dla złożenia czołobitności ziomkom poświęconemu panu, po wtóre, że on zasługami swoimi mógł być uważanym za głowę domu Potockich; chciałem się więc ubezpieczyć w Kaniowie jego listem do pana starosty. Jakoż chociaż tuzin lat i więcej minęło, jak mnie widział ostatni raz pan podczaszy, od razu mnie poznał, nazwał mnie po chrzestnym imieniu i tak

łaskawie mnie przyjął, że padłem mu do nóg, łzami się zalawszy. Z wielką czułością wypytywał mnie o JO. księciu, moim panu, i o innych magnatach litewskich, z którymi miał przyjaźń, a których od dawna nie widział, bo od sejmu podziałowego zamknął się był w Morafie i zajmował się gospodarstwem, usunąwszy się od życia publicznego, w którym wedle jego przekonania nie godziło mu się być czynnym. I tyle okazał się dla mnie łaskawym, że chociaż zostawał w obojętności względem pana starosty kaniowskiego, z powodu iż ten świeżo kazał był powiesić Żyda z Morafy nie odniósłszy się do niego - jednak własną ręką napisał za mną list instancjonalny, co mi go przed wyjazdem wręczył JPan Wirski, marszałek jego dworu, a niegdyś jak ja konfederat barski. Pan Wirski przyjął mnie był na swoją kwaterę i przez dwie doby, com przebył w Morafie, miałem u niego wszelką wygodę. Nie był mu tedy tajny mój interes z panem starostą, a że go znał dobrze i sam bywał nieraz

świadkiem jego dziwactw, różne dał mi informacje o trybie życia, jakie on przybrał. Szczególnie mnie radził, bym nie ważył się kołami zajeżdżać przed jego zamek, ale konno przybyć, gdyż pan starosta zaraz się kwasi na szlachcica, co nie będąc chorym ani zgrzybiałym, pozwała sobie podobnych zniewieściałości. Utrzymywał albowiem, że w Polsce temu tylko pozjazd godziwy, kto ma krzesło w senacie lub trybunale albo miejsce na ławach poselskich - dając z siebie przykład, że będąc tylko starostą, podróże, chociażby najdłuższe, wierzchem odbywał. Tak więc, listami, radami, a najwięcej ufnością w Bogu opatrzony, puściłem się do Kaniowa dnia 4 sierpnia, w wigilię Najświętszej Panny Snieżnej. Nie omieszkałem kupić po drodze w Niemirowie terlicę kozacką z całym moderunkiem, a miałem w lejcu klacz skarogniadą, która w potrzebie niezgorzej pod siodłem chodziła - i szczęśliwie po czterech dniach podróży, już po zachodzie słońca, zajechałem do żydowskiego domostwa na przedmieściu kaniowskim. A nazajutrz raniuteńko wysłuchałem mszy świętej u ojców bazylianów. Do południa nachodzący się po mieście i namedytowawszy kazałem chłopcu klacz okulbaczyć i w imię boskie ruszyłem na niej wprost do zamku. Przed bramą spostrzegłem trzy słupy z uszami żelaznymi do zawiązywania przy nich koni. O, tu pan Wirski zapomniał mnie oświecić, że ja samym instynktem tylko unikałem napaści. Jeden słup był karmazynowy, drugi biały, a trzeci czarny; przy pierwszym uwiązałem klacz i dobrze mi się udało, bo jakem się później dowiedział, ten słup był dla szlachty, drugi dla chłopów, trzeci dla Żydów; a jak kto wybierze słup niewłaściwy swojemu stanowi, a pan starosta to spostrzeże, temu już bieda, zwłaszcza jeżeli podochocony. Ze to była sobota, pan starosta ten dzień suszył i żadnego mocnego napoju nie używał, o czym się dowiedziałem u bazylianów, więc miałem dobrą nadzieję o pierwszym spotkaniu, a wzięłem na siebie mundur albeński, do którego noszenia świeżo byłem upoważniony. Uwiązawszy tedy kobylinę u szlacheckiego słupa, poszedłem na dziedziniec, gdzie zastałem wychodzących z kaplicy zamkowej i rozpierchających się po dziedzińcu dworzan i sług kaniowskich; kilku zostało tylko przed kaplicą, z czapkami pod pachą, a jeden miał głowę nakrytą, którego po tym samym można było poznać, że to był sam pan starosta. Chociaż wzrostu nikłego, a chudy i ogorzały jak Cygan, było coś odznaczającego się w jego obliczu, coś okazującego, że był nawykłym do dawania rozkazów, a jeszcze więcej do tego, by je natychmiast spełniano. Z dworzan otaczających go żadnego nie było, co by go przynajmniej głową nie przenosił, a szczególnie jeden, bliżej jego stojący (do którego właśnie w tej chwili przemawiał i można było zaraz poznać, iż się zaszczyca ściślejszą pozufałością pana), był i ogromnej tuszy, i olbrzymiego wzrostu. Przecię, gdyby nawet pan starosta wraz, z nimi miał głowę odkrytą, anibym się wahał domyślić, że on nad nimi wszystkimi panuje. Poznać pana po cholęwach. Jego czupryna czarna i kędzierzawa, u spodu podgolona, długim spadała kudłem niżej prawego ucha, więcej z kozacka niż z polska. Małe oczy, czarne, błyszczały jakby jaszczurcze w twarzy, po której kilka szramów świadczyło, że w burdach swoich własnego łba nie szczędził, a najgłębsza kresa, co mu lewy policzek na dwie części ledwo nie równe przedzielała. Jakem się później dowiedział, była pamiątką tego najpoufalszego dworzanina, z którym rozmawiał, a który tym, iż go przemógł, zaskarbił sobie szczególne pańskie względy. Wszyscy dworzanie byli odziani porządnie, nawet nie bez jakiegoś przepychu. Ale on sam miał na żupanie płótno domowej

roboty, spod którego wyglądały karmazynowe hajdawery, długą kurtkę granatową z potrzebami, a żupan był opasany rze- miennym łykiem, przy którym wisiała ogromna szablica. Właśnie zapalał mu lulkę kozaczek, mający za pasem nahaj w srebrną skuwkę oprawny. Zbliżyłem się ku niemu i nisko skłoniw- szy się, zabierałem się do opowiedzenia siebie, ale jak utkwił we mnie wzrok swój, zmie- rzywszy mnie wprzód od głowy do pięty, zmięszał mnie zrazu tak, że zapomniałem języka w gębie. Zaraz wszelako przyszedłem do siebie, jak się odezwał pan starosta:

- Co to waszeć, jak widzę, albeńczyk; a co nam z Litwy przynosisz? Odpowiedziałem śmiało:

- Mam listy do JW Pana, które dadzą mi wstęp do mówienia o interesie - i dobywszy z za- nadržą list z Morafy złożyłem go w jego ręce. Ale ledwom wspomniał Morafę, nadstawił marsa.

- To znowu wymówki za Żyda, co go w Kaniowie powiesili; pan podczaszy za Żydem się ujmuje jakby za rodzonym bratem, aż albeńczyka na mnie sprowadził. A wiesz, że to Ka- niów? Jeśli z Morafy przyjeżdżasz, to musisz wiedzieć, że Boćki do pana podczaszego należą i że ja stamtąd co roku kilkadziesiąt nahajów sprowadzam. -Tu wzięwszy nahaj od kozaka: - Widzisz waszeć *timor Domini alias* [bojaźń Pana, czyli] pióro. Ja miewam we zwyczaj, że na listy z wymówkami odpisuję nim na skórze tych, co mi je oddają.

Tu się obruszyłem, jakby nie było, a nadto dobrym się czułem szlachcicem, bym dał sobie mówić o batogach.

- JW. starosto! - powiedziałem śmiało - może na Ukrainie we zwyczaj, nahaj za pióro, a skórę szlachecką za papier uważać. Ja jestem dworzaninem księcia wojewody wileńskiego, od niego w swoim interesie przyjeżdżam, o czym list od JÓ. mojego pana przekona. O żadnym Żydzie morafowskim nie wiem, tylko JW. podczaszego o list instancjonalny prosiłem do JW. pana i dostałem go, bo mnie znał JW. podczaszy, kiedyśmy razem nie nahajem ze szlachtą, ale szablą z wrogiem wojowali. Ja jestem litewskim szlachcicem, a do tego albeńczykiem, i mam przy sobie pałasz, który moją skórę przegrodzi od batogów. A jeżeli mnie liczbą rozsie- kacie, znajdą się koledzy moi, którzy choćby w zamku kaniowskim, po mojej śmierci nawet, odszukają mojej krzywdy.

Wypogodził oblicze swoje pan starosta, a obróciwszy się do poufałego dworzanina:

- Oto *nawizenny Łytwak, czorta by nałykaw*. Widzę, żeś prawdziwy albeńczyk, panie bra- cie. Samopas gotoweś mnie najechać w moim zamku. *Mospańe Łopuski! przeczytaj no, czoho choczet wid* nas pan podczaszy.

Odczytał głośno ogromny dworzanin list pana podczaszego, w którym żadnych nie było wymówek, tylko za mną instancja w nader chlubnych o mnie wyrazach, którychem się ani spodziewał, anim na nie zasłużył.

- *Dobre, bratku, dobre, pomyrim sia; na szczo nam z soboju wojowaty!* - i podał mi rękę, którą z uszanowaniem pocałowałem. - *Dawaj no tepër piśmo* księcia Radziwiłła.

List był krótki, w którym mój książę prosił o łaskawe przyjęcie swego sługi. Pan starosta z przymileniem powiedział:

- Proszę, panie bracie, rozgośćcie się w moim domu. Nie puszcze waszeci od siebie, pokąd tydzień nie upłynie. Dziś sobota, *wodu piju jak selczyn* [kaczor], ale jutro upijem się z sobą, *bo ty dobra detyna i zuch*, a do tego sługa (tu zdjął czapkę) JÓ. księcia wojewody wileńskie- go. To pan nad pany! *koły ty jeho dworaniń, to ty ne hirszy za mene*; ja by sam u niego służył. Na to pan Łopuski:

- A jużci tego nie pozwolim! Tamto litewski pan, a pan nasz pan; nam, szlachcie, służyć, a wam, równym sobie panom, panować.

- *Pokiń, pokiń, pane Łopuski; daleko kuciomu do zajcia. Kołyb ja wsich moich ludę j i Zy- dów z ich żynkami i det'mi w kuczu nahromadyw, i połowyny ne bułoby toho, szczo on towko maje w swojej milicji. A szczo za dwir jeho! Marszałek bilszy pan za mene*. Wiesz waszeć, mospanie Soplico, że przed kilkunastą laty całe półrocze przesiedziałem u waszego pana w Nieświeżu! Widzisz tę kresę, co ją mam na łbie? To pamiątka po panu Ignacym Wołodkowi-

czu. *O, se buw mołodec i z rodu takoho ne baczyw! Bywało, sablu jak sykiru rubaje, aż triski litajut.* Powadziłem się był z panem Józefem Rejtanem i dwa palce jemu odrąbałem, a pan Wołodkowicz ujął się za nim: „Ano ze mną, mospanie kaniowski!” „*Dobre - kazu - poborim sia*”. *Alé jak dał meni po holowi, wsi nébesne zwizdy mohbym porachowaty. To my pisle to- ho tak sia polubyły, szczo bez sibja żyty ne mohły. Oj, kołyb ja buw tohda w Nowohrodku, jak jemu konczynna pryhodyła, sej proklaty pip anyb jeho tyznuw. Szczoż robyty! Ja za nym płakał jak detyna, szest nidył pyw diń i noczu, a smutku ne moh zabuty. A waścin książę oto ale pan!*

W koronie tylko podpanki, *ne ma z kim żyty!* Mospanie Soplico, przepraszam, żem waszeci zrazu źle przyjął; ale jakieś mnie oddał list pana podczaszego, anim się mógł spodziewać, że i od waszego księcia mnie drugi przynosisz. Myślałem, że znowu mnie łaje, bo gniewa się na mnie podczaszy, a sam osadź, czy ma słuszność. Kiedy wasz książe przed nieprzyjacielem uchodził Podolem na Wołoszczyznę, ja w Buczaczu zacząłem zbierać szlachtę i Kozaków. Już było wszystko gotowym do boju. A Żyd, cerulik, *sobacza wira*, który miał przystęp do mnie, o każdym moim kroku donosił generałowi Zagrajskiemu, który stał z komendą w Płoskirowie. Ja o niczym nie wiem, aż tu *nyszczęńkom pryszły wrahi do Buczacza, mene ucho-pyły, potaszczyły do Kijowa i trzymały zapertaho, póki ne było uże po wsim. To za teje, jak wpade w moje ruki jaki Żyd, ne pytaju sia, zwydki, a woddaju za swoje.* Jakiś Żyd pokazał się w Kaniowie na Mikołę i zaczął moich chłopów w kupki ogrywać, a czort wiedział, że on z Morafy. Ja na niego magdeburgię sprowadził i Żyda powiesili. Wielkie święto! A pan podczaszy do mnie z wymówkami. Ja sześć bryk kazałem naładować Żydami śniatyńskimi i buczackimi i te wszystkie bryki przewrócić na dziedzińcu morafskiego zamku. Za jednego Żyda *widdaju bilsze sto, a odczepy sia!* A pan podczaszy jeszcze gorzej się rozgniewał i taki wypalił do mnie list, że *kołyb to ne buw Potocki jak i ja, tob ja jemu... Ale pokińmo o tym. Pane Łopuski, szczoby pan Soplica u nas wsiu maw wyhodu!* Bo to Radziwiłłowska czeladka. A teraz, panie bracie, powiedz no, w jakim interesie do mnie przyjechałeś.

- Niech się nacieszę jeszcze JW. panem, o interesie będzie pora mówić; jak się rozgoszczę, to o wszystkim objaśnię. Dziś sobota, pan zwykłeś dziś suszyć i mnie, sługę swojego, na zbawienną drogę naprowadzisz; przy kielichu jutro głódziej pójdzie, a tylko panny o wodzie rozprawiają.

- Prawdziwy albeńczyk: i zuch, i mądry. *Kołyb ta subota swytsze minula, szczoby z Łytwa-kom pobawyty sia.* W Nieświeżu tego piją. Albo ja tam pół roku nie siedział? Jak się też powodzi panu Leonowi Borowskiemu?

- Zdrów, panie! Zawsze wesoly i w łaskach u JO. mojego pana.

- Albo on tego nie wart? *Se hołowa! Jemu kanclerom buty. A jak pyje! Ja na neho z desiat' raz porywawsia - ne można buło rady daty; tak mene, buwało, położyt, szczo ny ruku, ny nohu pidniaty, ne mohu,* a pan Leon tylko się śmieje i mówi: „Śpij, niebożę, śpij” - i szuka świeżego, żeby z nim dopić; co to, mospanie, pół garnca wina duszkiem w żywot wleje, *ani oddech-ne. Kołyb on do Kaniowa pryjehaw, toby ja jewo jak korola pryniaw.* Mospanie Soplico, z najślawniejszym próbowałem się; pijało się ze Swiejkowskim, podstolim wołyńskim, i z Janikowskim, co to ma przysłowie *quinque diabłów*, i z Branickim, kiedy jeszcze był łowczym koronnym, i z Łahodowskim, co kielichem całą Wielkopolską rządzi: *wsio drań pry Borowski.* I książe wojewoda wileński dobrze pije, ale daleko mu do niego. Na całej Koronie i Litwie jeden tylko Konarzewski, co obok niego stanąć może - *oj, se mołody czołowik, ale krepit także* - a prócz Konarzewskiego, jak świat szeroki, nie ma równego Borowskiemu. To, mospanie, kiedy pan Ignacy mnie nakiereszował, doktor nadworny księcia pana obwiązał mi głowę, krew puścił i wymógł na mnie, żem się na Najświętszą Pannę zaklął, iż póki mnie nie pozwoli, wodę tylko pić będę i nie wyjdę z kwatery. Tęskno mi było w ciupie, modlił się człowiek, modlił, aż

się przemodlił. Przyjaciele i sam książę pan z łaski swojej mnie nawie- dzali. A ja im mówię: „Dla miłości Pana Boga, bawcie się u mnie; choć mi pić nie wolno, niech przynajmniej się napatrzę, jak drudzy piją.” A książę pan zaraz posłał po Borowskiego, bo bez niego zabawa nic warta. A mnie przyszedł concept do głowy: „Panowie! - odezwałem się. - Doktor każe mnie pić wody jak najwięcej; zafarбуйте mnie wodę, oszukamy pana Le- ona, będzie potem śmiech, że będąc słabym, przepiłem go.” Na to książę wojewoda:

„Dobrze, panie kochanku; ale czy doktor pozwoli waści tyle wody nażłopać?” Właśnie doktor był przy tym, doktor Morysson, który jak wiesz, nie był od kielicha. „I owszem - ode- zwał się - niech pan starosta zdrów pije wodę, ile jej się wleje, a ja sam zajmę się jej zafarbo- waniem.” Jak przyszedł pan Leon, wszystko było na pogotowiu i zabawa się zaczęła. Piwni

czy wszystkim nalewał wina, a mnie wodę. Gładko szło. Już wszyscy byli podochoceni, tylko pan Leon zawsze świeży do kielicha. A ja piję wodę a piję, ledwo trzcina w brzuchu nie wyrosła; nareszcie takem się odał, że ani sposobu wytrzymać. Patrząc na Moryssona i oczami modłę się do niego, by mi pozwolił aby jeden kielich wina wypróżnić, bo dalej pękne. Domyślił się doktor, czego chcę, i wyszedłszy zrobił porządek, by mi prawdziwego wina przynieśli. Ale jak mi go nalano w kielich, a ja go do ust przybliżył, pan Leon mnie za rękę: „Nie uchodzi drwić z ludzi, panie starosto; czymś zaczął, tym kończ.” Domyślił się jucha. Ja w prośby! Spuścił mnie od dalszego picia wody, ale wina pić nie pozwolił ani kropelki. „Nie porywaj się z wodą na wino, śpij teraz i swoją wodę wypoć, a jak doktor da ci indult, służę na gołe łby, bez tych figłów studenckich.” Wszystkim śmiech, a mnie wstyd, ale odtąd nigdy głowy przed panem Leonem nie nakrywał.

Po tej gadce przybliżyli się do pana starosty jego kapelani, których miał dwóch: dominikana i bazyliana. Nawet szczególnie ruski obrządek miłował. A ja, by się nie naprzykrzyć, poszedłem sobie z panem Łopuskim, który mnie odprowadził do naznaczonej mi kwatery i ko- byłą kazał wziąć na obrok pański, a wózek zostawiłem z chłopcem na gospodzie, bo taki nie dowierzałem panu staroście, by nie była jakaś napaść, jak się dowie, że pozwalałem sobie wózka. Roztasowałem moje mizerie na kwaterze, ale niedługo w niej siedziałem, bo dano mi znać, że pan starosta każe sobie służyć na obiad. Na tym obiedzie i wstawszy od stołu, ciągle był zajęty mną, chudym pacholkiem, wszystko mię wypytywał o znajomych mu Litwinach i nie było mowy, tylko o życiu nieświeskim. I było tego dobrego do wieczora, który się jednak bez burzy nie obszedł. Bo woźny, trzy pozwy położywszy na ekonomii - a któremu już kilkakrotnie udało się ująć z Kaniowa bez szwanku, gdyż gęste pozwy sypały się na pana starostę - jakoś nie wywinał się i wpadł w ręce Kozaków, którzy mu relacje gotowe wytrzęśli. Biedny woźny sto nahajów dostał, a nie dwieście wedle obyczaju kaniowskiego, bo na jego szczęście to było w sobotę, a na cześć Najświętszej Panny w dniu tym pan starosta zawsze pół kary odpuszczał. Można było uważać, że przy końcu dnia JW. gospodarzowi bardzo się ta sobota przykrzyła i że niecierpliwie wyglądał niedzieli, by co prędzej popieścić się z kielichem. Zakończył nareszcie sobotę, ale w taki sposób, że nawet zakonnicy jego otaczający mogli być wielce zbudowani. Bo i koronki odmówił, i godzinki Niepokalanego Poczęcia śpiewał, i to z całym dworem, a tak gorliwie, że sto różeg kazał dać jednemu ze swych paziów za to, że ziewnął podczas jednej antyfony. A jakeśmy się porozchodzili do wczasu, ledwom mógł zasnąć na kwaterze, bo aż do północy wszystkie dzwony kaniowskie kołysały się na cześć Najświętszej Panny *in gratiam* soboty. W panu staroście była wielka mieszanina pobożności i chimer.

Nazajutrz, jako w niedzielę, za przykładem pana goście, dwór, czeladź i poddaństwo, jak się zebrało w kościele na jutrznią, to dopiero aż po sumie z niego wyszli, a wszystko się miodliło gorąco. Dałby pan starosta temu, co by w prawo i lewo okiem rzucał, bo chociaż sam modlił się z wielką skruchą, ciągle klęcząc, co chwil kilka patrzył, czy wszyscy obchodzą się przyzwoicie. Obaj kapelani kazali, jeden po polsku, drugi po rusku; jedli oni chleb pański, ale dlatego nie oszczędzali pana starosty: pełno było w kazaniu dla niego nie wątróbek, jak to ludzie mówią, ale głógów i cierni. Jeszcze dominikan jakoś z daleka mu przymawiał; ale bazylian po prostu siepał, bez ogródki piorunował naprzeciw pijaństwu, popędliwości,

nie- ludz- kiemu obejściu się z podwładnymi, tak że choć nazwiska nie wymieniał, właśnie jakby pal- cem go wytykał. Pan starosta, jakby nie o nim, tylko głową kiwa, oczy mrużąc, do *Sanctissi- mum* obrócony, i w piersi się bije kulakiem. Może komu z tego był śmiech, ale ja się budo- wałem i wielkie powziąłem uszanowanie dla pana starosty za to, że tak pocziwie wierzył. A czemu, powie kto, nie tak dobrze czynił, jak dobrze wierzył? To źle bez wątpienia, ale gdyby taka wiara była jak uczynki, to byłoby jeszcze gorzej. Co złego, temu przyganiajmy; lecz czemu nie pochwalić, co jest dobrego?

Po nabożeństwie była sesja ekonomiczna, na której sam starosta, jak zwykle, zasiadał; o wszystkim wiedział, nic bez jego rozkazów się nie robiło. To był zawołany gospodarz, a nie tylko dyspozytorowie nagromadzili się, ale i ciwunowie, których tam przysiężnymi zowią, a każdego wysłuchał i badał, tym łatwiej, że po ukraińsku mówił jak diak. A Kozacy z nahażem stali przed oknami kancelarii, gotowi sypać plagi na znak pański. Jakoż nie obeszło się bez kilku egzekucji. Strach się malował po twarzach wszystkich oficjalistów. Jedna spomiędzy wielu egzekucji dnia tego, chociaż boląca, nieco mnie rozśmieszyła. Przed kilką tygodniami pan starosta był przedał *certum quantum* [pewną ilość] pszenicy filiponom kaniowskim. Otóż w jednym folwarku dyspozytor, zniósłszy się z przysiężnym, kilkanaście korcy czelnej pszenicy w poślad wmieszał i sobie zabrał w moc ordynarii; bo że w tym roku jarzyna chybiła w Kaniowszczyźnie, poślad pszenny w miejscu owsa przyjmowali ordynariusze. Ale pan starosta, co wszystkiego zawsze doszperał przez swoich Kozaków, po nitce dobrał się do kłębka; rozgniewał się tedy okropnie i krzyknął na Kozaków, by położyli dyspozytora. Ale ten zaczął się wymawiać swoim szlachectwem, że nie jest on z takich, co ich najwięcej na Ukrainie i Wołyniu, co to tylko szlachcic *alias*, ale że on jeszcze z dziada i pradziada ma zasługi w domu Potockich. A trzeba wiedzieć, że pan starosta zawsze miał wzgląd na szlachectwo, o którego rzetelności był przekonany. Zaraz się opamiętał:

- Otoś mnie zagadł! Prawda, synu, prawda, tyś szlachcic, twój ojciec był towarzyszem w mojej chorągwi. *Byty ne budu; ale koły ty szlachtycz, na szczo kradesz! A taki nezabud bu-desz maty.*

Kazał położyć dyspozytora, a na nim przysiężnego i temu dwieście nahażów odliczono, tak że szlachcic służył chłopowi za ławę. A jak oba wstali, przysiężnemu powiedział:

- *Pamiętaj, sobaczy synu, szczo by z ekonomom ne zmawlaty sia na szkodę pańsku; szlachtycz sia wykpyt, a tobi bude bida. Teperki pokłony sia ekonomowi i podiakuj jemu, szczo on pozwoływ tobi na nym leżaty.*

A waćpana, panie szlachcicu, proszę dziś do siebie z innymi na obiad.

Było tam jeszcze rozmaitych kawałków, ale Bóg świadek, że w tym wszystkim było silne wyobrażenie sprawiedliwości. Sesja ekonomiczna skończyła się przed samym obiadem. Wszyscyśmy poszli do stołu za panem starostą. Co było na sesji, to było, ale po niej każdego uprzejmie zaprosił, tak że kilkadziesiąt osób siedziało za stołem. Mnie niedaleko siebie posadził. Piwniczny nam wino nalewał, a na szarym końcu stał miód w dzbankach na stole, ale tak obficie, że każdy mógł się opić jak bąk. Jakoż uważałem, że nikt tam swojego gardła nie oszczędzał. A pan starosta po sztuce mięsa już rozpoczął zdrowia kolejnym kielichem. Pierwsze zdrowie było mojego pana, JO. księcia wojewody wileńskiego, po którego spełnieniu za danym hasłem wszystkie armaty kaniowskie huknęły; a inne zdrowia spełniano, ale bez wiatów. Wszystkich mu znanych Litwinów pił zdrowie i kazał mi za powrotem moim ich uwadomić, jak zachowuje ich pamięć, a szczególnie, by księciu wojewodzie oświadczyć, że nigdy w nim nie przelanie mieć gorliwego i poświęconego sługi, który żadnej nie opuszcza okoliczności, aby uczcić tego wielkiego męża, któremu równego ani świat, ani Korona Polska nie wydały. To był prawdziwie dzień świetny dla naszej Litwy. Gdyby cała mogła być obecna tej uczcie, tak by się rozrzewniła jak ja, który w Jej imieniu ze łzami dziękowałem i

odpijałem wdzięczność za to zachowanie, co jej syny uskarbili sobie na Ukrainie, a które wynurzał jeden z najznakomitszych magnatów tej strony od nas oddalonej. Byłem przejęty uczuciami najgłębszej wdzięczności, po pierwsze, za cześć kilkakrotnie wynurzoną JO. księciu wojewodzie wileńskiemu, panu i dobroczyńcy, którego smaczny chleb od tylu lat jadłem, a którego szczyt i wówczas wstęp mi dała do zamku przemożnego pana, gdzie byłem przyjęty nie jak sługa równego jemu magnata, ale jak przyjaciel. Bo powinny nawet lepiej niż ja nie mógłby być ugoszczonym. Po wtóre, za tę zaszczytną pamięć, co ją serce pana starosty kaniowskiego zachowało o tylu Litwinach zacnych, po większej części z mojego województwa, a z którymi wychowałem się i kolegowałem, a nawet wprost za siebie samego kilkakrotnie musiałem

dziękować. Bo nie tylko że jedna kolej obeszła za szczęśliwe powodzenia szlachty Wielkiego Księstwa Litewskiego, do którego grona mam zaszczyt należeć - i to wyznaję bez obawy, by mię o chępliwość posadzono - ale pan starosta pił zdrowie bandy albeńskiej, co mnie jeszcze bliżej dotykało, bo jakom wspomniał, świeżo byłem przypuszczony do tego towarzystwa, którego barwę ciągle w Kaniowie na sobie miałem. A na koniec pan starosta - niech go za to Pan Bóg stokrotnie i na tamtym świecie błogosławi - mnie, chudego pachółka, zdrowie stojąc spełnił, jak wszystkich innych. Bogiem i ludźmi się świadczę, że tak było, a nie inaczej; a ja klęcząc spełniłem kielich dziękczynny i nie taję się, że mu kolana ucałowałem.

Już dawno było po obiedzie, a my pijem a pijem, a pan starosta tak wylany, nie tylko dla mnie, którego się usadził okryć szczególnymi względami, ale i dla oficjalistów swoich, tych nawet, co ich ofukiwał na sesji. A jaki miły w opowiadaniu! Ciągle coś wesołego miał do mówienia.

- Mospanie Soplico - mówił mnie - ogadano mnie przed światem, że tyran na szlachtę. Broń mnie waćpan przed ludźmi! Wszak ja sam szlachcic, a podły ptak, co swoje gniazdo paskudzi. Byłeś świadkiem, że choć tak uniosłem się na ekonoma, skoro tylko się złożył szla- chectwem, dałem mu pokój, i choć okradł mnie, na sucho go puściłem. Prawdziwemu szlach- ciciowi nigdy w skórę nie dałem, chyba nie wiedziałem o jego zaszczycie: natenczas *ignorans peccavi*. A że mnie dekretami osypano, nie dziw, bo tutejsi sędziowie takiego samego szla- chectwa jak ci, którym skórę rozpruwszy, musiałem ją moją kieszenią nadłatać. Kruk krukowi oka nie wykole. *Ot tepir jak ekonomska detyna nad nami panuje, kto w Boha wiryt i ne wiryt, to szlachtycz*. Kiedyś to szlachectwo nasze dostojenstwem było zaszczytem nad zaszczytami, *a nyne tak go Poniatowski zasmerdyw, szczo sorom do szlachectwa przyznawaty sia. Bih mene osudyt, a lude nehaj brechajut*. Waćpan sobie nie wyobrazisz, co to się dzieje w naszej Ukra- inie. Mam sąsiada *Wołyneckoho*, dorobił się dziedzictwa, ale *ładaszczo*. Jak zaczął mnie do- kuczać, cierpliwości nie stało: to karczmy stawił mnie na podryw, to w grunta kaniowskie się worywał, to zające szcuł na moim polu. *Ja jemu raz kazu: „Oj mosanie Wołynecki, odczepy sia, bo dohrajeszsia. „ Na konec na mojej zemli ja jeho uchopył i piatsot tam kazał mu nasy- paty, hde potrybno, a win, jak sia wylizaw, na mene z pozwom do grodu*. Ja tłumaczę się, że on popowicz, i stawię ludzi, *szczo jeho bat'ka znały; ale i sudia, i pridsudki takowoże rodu szczo i win, i szlachectwo protiv Bohu mu przyznały, i wieżę kazali mi wysiedzieć, że musia- łem pięćdziesiąt tysięcy zapłacić, a tak moju krywdu podliły sia*. Zgubić mnie chcieli. Ja tu szlachtę robię jakby jaki hetmań: komu dam w skórę, ten zaraz i szlachcicem się robi, a potem za moje pieniądze zostaje osiadłym. *Od Kaniowa aż po Skwyru kto didycz, to szlachtycz mojej roboty*. Jeszcze za to na mnie psy wieszają, taka to tutaj wdzięczność, że na ludzi kieruję. *Me- ni ne hroszy žal, ale kraju; my szlachtą stali, a jak szlachectwo się spaskudziło, obaczysz, że i kraj upadnie. Szczoż robyty. jaki pan, taki kram*. Co tylko złego, to od Poniatowskiego wyszło. Pojeżdż no do Warszawy, a obacz, kim się otoczył. Aż ksiądz Naruszewicz, który choć wiersze pisze, przecie dobry szlachcic, a nawet waszego księcia koligat - to on, lubo zausznik króla, nie może wytrzymać i mawia: „Czy król myśli papiernie zakładać, że tak zbiera gałgany?” Warszawa gorsza niż Sodomia: same farmazony i lutry. *Boha ne bojut sia, a takie teper sena- tory i dygnitary, szczo by kołyś nyktob ich na ekonomow ne wziaw*. Pan Potocki, chorąży ko-

ronny, *didycz* *Humańszczyzny*, *kołyś meni każe:*”Bracie kaniowski, już waszeć dawno staro- sta; pojedź do Warszawy, żeby nowe krzesło do domu Potockich przybyło.” A ja mu na to:

„Uwa! A szczo to ja soroci spod chwosta wyliz, szczo by mene Poniowski meźdu senatory posadyw? Chwałyty Bohu z jeho łaski nyczoho ne maju i ne budu maty. Buczacz i Sniatyn to mojeho bat'ka pracia, a starostwo kaniowskie dał mnie neboszczyk Sas, szczo ałe buw koro- lom. Bude z mene, żynki i deti ne ma i ne budet, do śmierci wystarczy, a krewni, choć nic nie znajda, z siebie bogaci. Na co tłusty poleć smarować!”

I tak piliśmy i gawędziliśmy cały tydzień, jako z tym się oświadczył na wstępie pan staro- sta; a przyznam się, że choć zabawa miła i umiałem cenić poufałość magnata, rad byłem, że

tydzień się kończy, bo zdrowia dalej by nie stało co nocy iść do wczasu bez przytomności, a nazajutrz toż samo powtarzać. Dopiero w piątek odważyłem się mówić o moim interesie, bo już w dniu tym był koniec zabawom, gdyż w sobotę pijatyki nie było, a w niedzielę zaraz po mszy świętej miałem opuścić Kaniów. Pan starosta nie tylko, że się nie zasepił, ale z uprzej- mym obliczem, przyznawszy mi wszelką słusność, powiedział:

- Jeszcze dziś się pobawim, a jutro skończym interes.

I w samej rzeczy nazajutrz, że nie było pieniędzy w kasie, dał mi prosty skrypt, którym do kapitalnej sumy dołączył najskrupulatniej wszystkie zaległe procenta, z których gdy część odstąpiłem panu Łopuskiemu, ten gotówką spłacił mnie sumę. A tak z kabzą napełnioną wró- ciłem do żonki, wedle słów JO. mojego pana, do którego pan starosta własną ręką przeze mnie napisał list niekrótki, choć pisać nie lubił. Jeszcze na niezabud darował mnie smycz chartów personatów, co każdy z nich pojedynczo wilka chwycił. Te charty były głośne na całej Litwie, a ich gniazdo, lubo u mnie się zwiódło, dotąd jednak w psiarni radziwilimont- skiej się zachowuje.

Nikt nie jest bez ale, i pan starosta kaniowski za życia nie był świętym. Ale że miał dobre serce, że był gorliwym katolikiem, że było w nim wiele wspaniałomyślności, jest to prawda, o której wątpić nie mogłem. Wprawdzie wiele złego o nim słyszałem, ale wiele dobrego sam widziałem i doświadczyłem. Bynajmniej nie zadziwiło mnie, jakem się dowiedział, że w lat kilka potem skończył życie w Poczajowie w wielkiej świątobliwości i że prostaczkowie po- bożnie nawiedzają jego zwłoki.

